

Wciągająca powieść sensacyjna z nietuzinkowymi postaciami i nagłymi zwrotami akcji.

PIOTR LANGENFELD QUADIRA



SKARPA
WAR
SZAW
SKA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

PIOTR
LANGENFELD

QUADIRA



Spis treści

Karta redakcyjna

Motto

Od Autora

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Epilog

Przypisy

Redakcja
Adam Podlewski

Korekta
Małgorzata Podlewska

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

Skład i łamanie
Marcin Labus

Zdjęcia wykorzystane na okładce
© *Mohammad Rahmani/Unsplash*; © *Summer loveee/Shutterstock*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022
© Copyright by Piotr Langenfeld, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze

ISBN 978-83-67093-78-1



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.
ul. Borowskiego 2 lok. 24
03-475 Warszawa
tel. 22 416 15 81
redakcja@skarpawarszawska.pl
www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

NIEWIDZIALNA BURZA – AFGAŃSKI FAKTOR

„Wojna oparta jest na oszustwie. Nie ma w niej miejsca, gdzie nie posługiwano by się szpiegostwem. Zaoferuj wrogowi przynętę i zwab go.”

Sun Tzu, „Sztuka wojny”

Gorącym latem, pośród skalistych pustkowi Afganistanu, pomiędzy górami Hindukuszu i równinami prowincji Chost lub Logar występuje niecodzienne zjawisko. Coś co przykuwa uwagę i fascynuje nieprzyzwyczajonego przybysza.

Ponad wysuszonymi pustkiewiczami potrafią szaleć burze, głośnie i gwałtowne. Wiatr gna chmury, wzbija tumany kurzu. Pioruny uderzają, rozjaśniając nieboskłon białymi błyskawicami. Jednak z poszarpanych obłoków nie pada ani kropla deszczu. To burze ciepłe, jak mi tłumaczono. Pozbawiona wody ziemia nie oddaje jej przyrodzie. Burza jednak trwa, choć tak jakby jej nie było. Staje się niewidzialna. Podobnie jak dziesiątki konfliktów, wojen, międzynarodowych gier, których nie jesteśmy świadomi, a które to zmieniają nasz świat. Afgański dramat roku 2021 był w mej opinii jednym z czynników tej niewidzialnej burzy targającej ludzkością. Nie nowej już, ale innego rodzaju wojny, której fronty zaczynają się daleko stąd, ale na które żołnierze w końcu docierają.

Piotr Langenfeld

PROLOG

Jak na tę porę roku było chłodno, a wręcz nieprzyjemnie zimno. Zdawało się, że matka natura rozmyśliła się i wycofała ze zwyczajnego cyklu spraw. Jakby to, co miało się wydarzyć, nie było zgodne prawami świata i należało temu przeszkodzić, sprowadzając nieprzyjazną aurę. Krótka o tej porze roku noc stała się nieprzeniknieniem ciemna. Co chwila powracał drobny, nieprzyjemny deszcz. Wiało. Wszystko to wydawało się jakąś złośliwą anomalią czyniącą z okolicy miejsce złowrogie i nieprzystępne.

Ciągnące się nisko i przesuwane zachodnim powiewem mgły spowijały gęste lasy – wielkie połacie strzelistych jodeł, buków i dębów poprzetykane zaroślami. Otulały tę pozorną, nieprzebytą barierę wiekowych pni, wiatrołomów i bagien. Białe obłoki wdzierały się w zapadliska, smagały nieliczne ścieżki. Knieje trwały w nocnej ciszy, czasem tylko szumiąc wierzchołkami rozłożystych konarów.

Po nieboskłonie sunęły wolno i dostojnie ciężkie chmury. Wydawało się, że zaraz runą i zmiażdżą świat. Zdawało się, że z lasów zniknęła zwierzyna. Kierowane instynktem stworzenia wiedziały, że niedługo zrobi się dla nich zbyt ciasno. Jak wtedy kiedy do lasów, puszczy wkraczali myśliwi i trzeba było uciekać. Już teraz powietrze niosło zapach ludzi. Byli już blisko, nadchodzili. Nadchodzili z każdej strony.

W gąszcz weszła grupa ludzi. Było ich dwanaścioro. Cisi, zmoknięci i przeważnie wystraszeni, choć nie wszyscy. Drogę torował im rosły mężczyzna w sportowym odzieniu, dobranym profesjonalnie na długą pieszą wędrówkę lub biwak w dziczy. Przybysze dźwigali plecaki. Grupa niosła w nich zapasy jedzenia, powerbanki, telefony i ubrania na zmianę.

Przewodnik był pewny siebie i zdecydowany. Chyba nawet dość dobrze poznał okolicę jeszcze z końcem zimy. Nie wiedział po co, aż do majowego dnia, kiedy wszystko stało się jasne.

Teraz wdzierał się w gęstwiny, rozchylając gałęzie tak cicho, jak to było możliwe. Pilnował, by reszta nie rozchodziła się, nie zgubiła i uważała. Dozorował ich przy każdym strumieniu, przesiece. Miał świadomość, że tylko kilku jego „podopiecznych” było tak doświadczonych jak on. Przynajmniej w pewnym zakresie. Reszta była świeża, niezaznajomiona i przewodnikowi z trudem przychodziło zapanowanie nad dyscypliną.

Musiał dawać przykład, jak samiec alfa w stadzie. Wiedział przecież najwięcej, znał drogę i potrafił widzieć w ciemności. Białoszary obraz dwuokularowego noktowizora dawał mu przewagę. Przewodnik widział dalej, potrafił wykryć zagrożenie i opanować pozostałych, dla których środowisko leśnego gąszczu było zupełnym novum.

Grupa precyzyjnie się między pniami smagana gałązkami, a przewodnik syknął na znak, by się zatrzymali. Dotarli na niewielką polanę zaśmieconą powalonymi, gnijącymi pniami. Przywódca wiedział, gdzie są. Na korze leżącego drzewa zabłyszczał przygotowany znacznik, choć dostrzec mógł go tylko przewodnik. Punkt na tajnym szlaku informował, jak daleko jest do celu. Musieli iść na przełaj, skoro nie wolno im było poruszać się głównymi przesiekami i ścieżkami stworzonymi przez miejscowych i zwierzęta.

Mężczyzna uniósł gogle i obrócił się do reszty. Wyglądali jak ciemne plamy w odzwyczajonym od ciemności wzroku. Dygotali. Jedna z kobiet szczękała zębami. Chłód i przenikliwa wilgoć, nawet mimo najlepiej dobranej odzieży, były dla tej ciemnowłosej dziewczyny jak mróz – gotowe ją zabić.

– Chwila odpoczynku – oznajmił przewodnik, starając się, by zabrzmiało to sympatycznie. Jego dobry nastrój wpływał pozytywnie na morale. Dał sygnał dłonią, by wszyscy rozsiedli się pod drzewami w grupie, co pomogłoby im się ogrzać. „Kilka godzin w lesie i już mają dość? Co będzie jesienią?” – przemknęła mu przez głowę smutna myśl.

Potem kucnął pod opasłym pnem buka i sięgnął po rurkę bukłaka. Upił trzy duże łyki wody.

– Jesteśmy niedaleko. Za tą polaną. – Wskazał kciukiem za siebie. – Do celu macie niecały kilometr.

– Poprowadzisz, prawda? – Młoda dziewczyna przerwała mu niespokojnym pytaniem. Przewodnik wstrzymał oddech, rozdrażniony, ale i rozbawiony zarazem. Nie nawykł do tych histerycznych wtrętów, zwłaszcza kiedy zabierał głos. Nie wszyscy byli tacy jak on czy jego koledzy. Uczyniono go niańką, tak, zwykłą niańką dla grupek zwykłych, wystraszonych ludzi, którzy nie bardzo wiedzieli, co się wokół nich dzieje. Tylko tą niewiedzą można było tłumaczyć ten lęk.

– Poprowadzę, jak daleko będzie trzeba. – Przewodnik odparł wolno i spokojnie, patrząc w oczy dziewczyny. Na powrót przyzwyczajał się do nocy i zdawało mu się, że widzi grymas ulgi na jej twarzy. Może nawet coś więcej. Albo to tylko podszept wyobraźni. Jej koleżanki, dwie inne dzierlatki, wpatrywały się w niego. Podobał się kobietom, ale nie miał czasu na flirty. Szkoda, bo mógłby wykorzystać swoją pozycję, choć takie zagrywki były surowo zakazane.

– Pójdę tak daleko, jak będzie trzeba – powtórzył, kierując zdanie już do całej grupy. – Potem wiecie, co robić. Spora polana, kilometr po tamtej stronie i będzie leśna droga. Będą na was czekać. Oni wszystko wiedzą. Rozumiecie? – Zorientował się, że jego arabski nadal kuleje i może nie być zrozumiany, zwłaszcza kiedy część słuchaczy była skrajnie zestresowana.

Grupa potwierdziła gwałtownymi skinieniami głów. Przewodnik przyjrzał się tym kilku wybrancom, którzy nie byli „zwyčajnymi turystami”, jak określano podobne grupy. Byli przygotowani, ale najwyraźniej i nerwy zaczynały ich zawodzić. Milczeli wpatrzeni w gęstwinę albo łypali na przewodnika. Ten zrozumiał, że jeszcze chwila takiego napięcia i skupienie osiągnie szczyt, a następnie zacznie spadać i rozsypywać się.

– Spokojnie... Wszystko jest w porządku. – Wydusił z siebie sztampowe pocieszenie. Te wypowiedziane ciepłym głosem słowa chyba działały. – Napijcie się i ruszamy – dorzucił mocniej, jak na dowódcę

przystało. Grupa, jakby pozbawiona naturalnych potrzeb, zaczęła łykać wodę dopiero po jego poleceniu.

Przewodnik chciał na powrót nasunąć na oczy gogle, kiedy poczuł, że w kieszeni szerokich turystycznych spodni wibruje telefon. „Kurwa!” – zaklął w myśli. Teraz i jemu raptownie zrobiło się zimno. Nie przewidywał nawiązywania łączności na tym etapie. „Do trzech razy sztuka” – szepnął złośliwie głos w środku. Mężczyzna chodził tu dwa razy i nigdy nie napotkał większego problemu. Więc teraz musiało wydarzyć się coś niepokojącego.

Przewodnik wyciągnął telefon. Był to zabezpieczony programem szyfrującym aparat, a właściwie – jak nazywano go podczas szkoleń – „środek łączności specjalnej”.

– Jestem – rzucił krótko i cicho do mikrofonu. Na ten numer mógł dzwonić tylko jeden człowiek. Grdyka słuchającego mężczyzny poruszyła się. – Rozumiem – powiedział. Było to drugie i ostatnie zarazem słowo. Zakończył połączenie i chowając aparat, zastanawiał się, jak przekazać nowe polecenie, by nie wywołać paniki. Zwłaszcza teraz, w nowych okolicznościach.

– Idziemy, natychmiast.

Tylko stanowczość mogła pomóc. Wstał i założył noktowizor. Przez grupę przeszedł szmer, ale nikt nie odważył się zadać głośno pytania, co się stało. Nawet gdyby takie padło, przewodnik nie miał zamiaru dzielić się nowinami.

Były niepokojące. Prawie trzy kilometry na północny zachód od ich pozycji pojawili się ludzie. Kilku z samochodem. Patrol albo co gorsza operatorzy drona. W opinii przewodnika popełniali błąd. Byli niedoświadczeni albo zbyt narwani. Podeszli za blisko. Nie poruszali się, więc mogli szykować bezzałogowiec, ale i mimo to dało się ich dostrzec.

– Za mną. Szybko, szybko. – Lider pozwolił sobie pierwszy raz rozkazać głośniej i ignorując zasady skrytego podejścia, wbił się w płataninę gałęzi, łamiąc je bezceremonialnie. Reszta posłusznie podążyła za nim, znacznie zwawiej niż przed chwilą.

Szatyn ze zmierzwioną czupryną pełną czarnych odrostów, który jeszcze nie przekroczył dwudziestego piątego roku życia, dygotał z zimna z rękami wpuszczonymi w spodnie. Nakrył głowę kapturem bluzy wystającej spod goretexowej kurtki turystycznej i skierował wzrok w niebo.

– Lato, jebane lato – rzucił ni to do siebie, ni to do dwójki kompanów kulących się wewnątrz szarego busa zaparkowanego w krzakach tuż obok ścieżki. Nikt nie odpowiedział. Mężczyźni byli osowiali, niewyspani i zupełnie wyczerpani z energii przez to niespodziewane załamanie pogody. Jeszcze potrzeba tylko ulewy albo burzy. Ten w kapturze śledził przesuwające się chmury. Miał dość. Chciał wrócić do hotelu lub do mieszkania i zawinąć się w kołdrę obok swojej dziewczyny. Nic więcej, nic po za tym. Chłód dziwnego lata pozbawił go ochoty na miłosne figle, a to oznaczało, że było z nim naprawdę źle.

– Tam! – Kierowca drgnął w fotelu i położył dłonie na kierownicy, wybałuszając oczy. Szatyn jak na rozkaz przystawił do oczu niewielką lornetkę, którą trzymał w kieszeni. Wiedział, gdzie patrzeć. Wytrenował oczy w przenikaniu ciemności.

– Są. – W głosie chłopaka słychać było radość i podniecenie. Zapomniał o zimnie i nudzie. Na ścianie lasu błyskało czerwone światło.

Brunet odczekał, aż sygnały ułożone w specjalny kod powtórzą się w całości.

– Odpowiedz – polecił szoferowi. Ten przekręcił kluczyk w stacyjce i włączył światła. Reflektory błysnęły trzy razy. Sygnał był mało skomplikowany, ale musiał wystarczyć.

Trzeci z pasażerów busa wysiadł i otworzył bagażnik, szykując się na podjęcie gości. Wyciągnął dwa spore termosy herbaty i kanapki. Tamci mieli za sobą zaledwie kilkanaście, może kilkadziesiąt kilometrów drogi, ale opiekun wiedział, jak mocno będą wycieńczeni.

Na lizjerze lasu tymczasem pojawiły się pierwsze sylwetki ludzi. Ruszały się wolno, nieśmiało. Człowiek w kapturze postąpił krok bliżej

krawędzi wygonu. Dobył latarki i zaczął wolno machać, wyznaczając kierunek. Grupa naprzeciw niego rozrosła się momentalnie i nabrała zapachu. Pędzili jak ćmy wabione płomieniem świecy. Pierwszy dotarł niski, dobrze zbudowany wążacz ze sporym plecakiem.

– Witaj, bracie – rzucił zdyszany jeszcze w biegu. – Salam alejkum! – Podał dłoń i objął nowego przewodnika, jakby znali się od lat.

– Witaj, bracie – odparł szatyn. Wiedział, co jest przyczyną tej serdeczności, nawet zanim padło umówione hasło.

– Ciepły dzień – wyszeptał przybysz z lasu.

Brunet mało nie parsknął śmiechem. Skierował oczy na niebo i poprawił wymownie kołnierz kurtki.

– Naprawdę ciepły dzień. – Postarał się, by odzew zabrzmiał zwyczajnie. – Ilu was jest? – zadał ważne pytanie.

– Moich jest trzech – oznajmił przybysz, kiedy nadeszła reszta grupy. Wszyscy zaczęli się witać, ścisnąć, jakby byli u celu długiej podróży. Zaczęto rozdawać ciepłą herbatę. Kobiety śmiały się nerwowo, tworząc odrębną grupę po pierwszym wybuchu wesołości. Zgodnie z zasadami religii.

– Bez problemów? – spytał dla zasady brunet w kapturze.

– Chyba bez, choć przewodnik... Dzwonili do niego przed samą granicą.

Szatyn przełknął ślinę i odwrócił się do swoich kompanów. Gapili się równie zaskoczeni jak on.

– Niczego nie było. – Szofer wystawił głowę z niespokojnym grymasem. Gasły pozory spokoju. – Nikt nie dzwonił.

– Karim się wścieknie. – Szatyn w kapturze cisnął wyszeptanym przewidywaniem. Nabrał powietrza, trzymając nerwy na wodzy. Czuł, jak przyspiesza mu puls. Coś mówiło mu, że ma niewiele czasu. Właściwie już go zabrakło. Klasnął w dłonie.

– Uwaga! – krzyknął. Wszystkie spojrzenia spoczęły na nim. – Zwijamy się. Ta trójka jedzie pierwsza! – Przyciągnął krępego wążacza

do siebie.

– Co znaczy pierwsza? Co z nami? – zapytała najstarsza z kobiet nieprzyjemnym tonem, godnym przekupki na bagdadzkim bazarze.

– Jedziemy wszyscy. Zapłaciliśmy. – Druga uniosła ręce, gestykulując, co od razu uaktywniło innych ludzi.

– Dość! – rzucił głośno potulny do tej pory pan od gorącej herbaty, kończąc rozpędzającą się typowo bliskowschodnią pyskówkę.

– Wasza trójka do auta! – Szatyn w kapturze potrafił okazać równie nieprzyjemne oblicze. – Reszta idzie tam. – Wskazał nieprzeniknioną noc, a tam krył się las równie potworny jak ten, z którego wyszła grupa. – Dotrzecie do ruin domu. Poczekajcie. Za godzinę, dwie wrócimy. A przynajmniej tej nocy... – Udawał szczerego, choć wiedział, że prawie nic z tego, co mówi, nie jest prawdą.

Grupa spotulniała, widząc hardość nowych przewodników. Nie mówili już nic, obserwując, jak sześciu mężczyzn wsiada do auta. Zasunięto drzwi, zawarczał silnik i bus bez włączonych świateł ruszył w las. Jeszcze chwilę słychać było jego hałas, a potem już tylko szumiał wiatr.

Auto jechało szybko, ale pewnie. Kierowca był dobry. Jeździł kiedyś jako dostawca w sklepach spożywczych w Holandii. To zawodowstwo podparto krótkim szkoleniem przy pewnym ośrodku kultury, na kursie ukierunkowanym na tego typu slalomy na wąskiej drodze w głębokiej puszczy.

Nikt się nie odzywał. Gospodarze nie mieli prawa o nic pytać. Ich pasażerowie zaś opowiadać o celu ich przybycia. Przed wszystkimi była jeszcze bardzo daleka droga do kolejnego punktu. A potem kolejna grupa transportowa. Ale to była przyszłość. Tak niepewna jak to, co kryło się za zakrętem drogi w uśpionym lesie.

Jaśniejsza linia przesieki rozszerzyła się i znikła na szarym pasie dziurawego asfaltu. Kierowca zwolnił. Podjechał bliżej krawędzi utwardzonego szlaku i rozglądnął się przepisowo, choć o tej porze nic nie miało prawa tędy jechać. Skręcił w lewo. Przejechał kilometr, może

więcej. W szarówce niezastłoniętego przez drzewa nieba mignął mu kanciasty kształt. Stopa przydusiła odruchowo pedał gazu. Samochód skoczył, rzeżąc i przypominając prowadzącemu, by wrzucił następny bieg.

Błysk światła poraził oczy zanurzone od wielu godzin w ciemności. Szofer zaklął i osłonił twarz ramieniem. Samochód zatrząsnął się i wpadł w ślizg. Zaczął jechać zygzakiem. Nerwowy krzyk wypełnił jego wnętrze. Kierowca wcisnął wreszcie hamulec i sprzęgło, przez co prawie poleciał na przednią szybę. Półślepy wrzucił chaotycznie wsteczny bieg, próbując umknąć czterem mocnym reflektorom, które pojawiły się na szosie. Kiedy tylko zaczął się cofać, mrok ustąpił przed snopem białego światła. Przez jasność przebiły się migoczące niebieskie błyski. Cała szóstka zaczęła przekrzykiwać się w panice, rzucając przekleństwa i niewiele rozumiejąc.

Przez poświatę przebijały się szybkie, niewyraźne cienie, które zaczęły otaczać wóz. Trzasnęła klamka i do wnętrza dostało się zimne powietrze. Ktoś otworzył drzwi i wrzasnął po arabsku:

– Wysiadać!

Chłopaka w bluzie z kapturem jakaś dłoń złapała za ubranie, tuż pod gardłem, i ściągnęła w dół. Zaraz poczuł zimno wilgotnego asfaltu na twarzy i bolesny ucisk na kręgosłupie.

Pułkownik wygiął w niekontrolowanym odruchu dolną szczękę i zębami zaczął drapać wargi. Na ekranie umiejscowionym w pospolitej wiejskiej chacie pełnej jego ludzi widział obraz z drona. Nie był to najlepszy przekaz. Termowizyjna kamera wisiała za daleko i zbyt wysoko, by ukazać każdy szczegół zdarzenia. Zresztą nie było to potrzebne. Klęska była aż nazbyt widoczna i zrozumiała.

Pułkownik ocknął się, gdy pojął, że dziwnie musi wyglądać z tym wyrazem twarzy. Sięgnął pod cywilną, wytartą kurtkę po paczkę papierosów i włożył jednego do ust.

Chłopaki patrzyły na niego. Zerkali, choć udawali, że tego nie robią. Atmosfera stężała. Praca kilku ostatnich miesięcy właśnie przestała mieć sens i każdy zapewne zachodził w głowę, kto jest temu winien.

– Dobra, panowie. – Pułkownik zapalił wreszcie i zaciągnął się głęboko. – Koniec na dziś – powiedział ot tak, zwyczajnie. – Tamci byli dobrzy, my też jesteśmy. „Dżokeja” nie złapali. Zdażyliśmy go ostrzec – wyliczał usprawiedliwienia na głos. – Przerzucił ich, tam wszystko było w porządku. Po prostu zasadzili się na nich. – ucichł, międląc papierosa w ustach.

– Wiedzieli. – Krótco ostrzyżony, szczupły kapitan o aparycji studenta pierwszego roku ASP wyraził to, o czym wszyscy rozmyślali.

– Być może. Jedna grupa wpadła, ale reszta... – Podeszedł do mapy, szukając miejsca, gdzie mieli być ukryci cywile. – Niech się nie cieszą – szepnął dla otuchy. Wiedział, że w zasadzce musiał brać udział patrol dronów i grupa zadaniowa na ziemi, która weszła do akcji w ostatniej chwili. Wykryte ognisko ruchu, przed którym ostrzegął swojego oficera w puszczy, miało tylko odciągnąć ich uwagę.

– Skurwysyny! – sapnął z pewnym podziwem dla porządnej pracy. Miał jeszcze asa w rękawie: dwie inne osoby ze swojej „stajni”, które grzecznie grały wyznaczone role. Zapewne jeszcze tej nocy miały być złapane i odesłane do ośrodków dla imigrantów, ale rozkazano im zostać w nowym kraju i czekać.

– No, towarzysze... – Pułkownik klepnął się w udo. – Na dziś koniec – stwierdził, nie patrząc w oczy chłopakom. Przepisnął się przez przyciemną, cuchnącą izbę i wyszedł w chłodną noc. Sięgnął po telefon i obracał go w dłoni, zastanawiając się, czy ma już teraz meldować, czy poczekać do rana. – Zresztą co to za różnica? – sapnął. Wybrał numer i wcisnął zieloną słuchawkę.

– Czołem, towarzyszu pułkowniku! Problem mamy. Właściwie zesrało się. Nie, nie wszyscy – dodał, gdy padło przekleństwo z tamtej strony. – Ale trzeba będzie pogłówkować, jak to wszystko naprawić. Zmienić, właściwie. Tak... dobre określenie. Trzeba działać hurtowo.

ROZDZIAŁ 1

Dwa miesiące wcześniej

Popołudnie było słoneczne i duszne. W tym miejscu, o tej porze dnia trudno by było wskazać coś przyjemnego. Od Wisłostrady wionęło smrodkiem spalin setek, tysięcy aut tkwiących w korku. Warkot silników zlał się w jedno dudnienie, wdzierające się w umysł i denerwujące człowieka. Zwłaszcza takiego, który szukał wyciszenia, by pozbierać myśli.

Trzydziestopięcioletnia kobieta o ciemnoblond włosach była ubrana w urzędowy zestaw: spódnicę, białą bluzkę wraz ze zwiniętą na kolanach marynarką. Siedziała na ławce obok deptaka betonowego nabrzeża. Była zgrabna. Kiedy mogła, starała się dbać o kondycję i jak najmłodszy wygląd. Choć niska, co maskowała za pomocą obcasów wyjściowych butów, była dumna ze swojej kobiecości, wybijanej zwłaszcza w kilku miejscach. Wyprostowała zgrabne nogi pokryte opalenizną zwracającą uwagę mężczyzn. Wybrała cień młodego drzewka na szarym placu. Usiłowała odetchnąć po dniu w biurze i wyprawie do tego miejsca aż z ulicy Puławskiej. Nawet leniwy nurt Wisły nie potrafił złagodzić odbioru dokuczliwego harmidru miasta.

Grupy krzykliwych, o wiele bogatszych niż w jej czasach, studentów rozpanoszyły się po zajęciach i porozsiadały w okolicy. Pewni siebie, każdy i każda z telefonem, dowcipkowali i popisywali się. Hałasowali nie mniej niż zapchana ulica pulsująca pomrukiem i klaksonami.

Dziewczyna sięgnęła po telefon, choć ten nie dzwonił, i dla zabicia czasu sprawdziła, czy nie przyszedł kolejny sms albo wiadomość na którymś z komunikatorów.

Nie było nic nowego. Kobieta sięgnęła po małą butelkę i dopiła resztkę wody. Powoli i miarowo zaczynała kiełkować w niej frustracja. Natchnęło ją, by zamówić taksówkę i porzucić wcześniejsze plany. Jednak jeden rzut oka przez ramię na zapchaną arterię pozbawił ją złudzeń. Nabrała powietrza i skupiła się na mknącej w spokoju wodzie,

uciekając wspomnieniem do dzieciństwa na wsi pod Garwolinem, do bez troski i tak upragnionej ciszy.

– Cześć piękna. – Z na w pół hipnotycznego stanu wyrwał ją wesoły głos. Znała go doskonale, a mimo to drgnęła.

Mężczyzna był wyższy. Zadbany, choć ostatnimi czasy nie miał za wiele okazji, by zażywać ruchu, co odbijało się na sylwetce. Ciągłe był jednak postawny i mocny. Imponował.

Nosił ciemnogrnatowy garnitur szyty na miarę i frywolnie rozpiętą koszulę. Kilka niedużych blizn dodawało drapieżności i tajemniczości jego opalonej, nieco okrągłej twarzy. Oczy rzucały intrygujące, inteligentne spojrzenie zza czarnych okularów. Spore zakola maskowały czarne, ale już siwiejące na skroniach, zaczesane na bok włosy. Mężczyzna był w jej oczach przystojny, choć teraz wyglądał na więcej niż jego trzydzieści siedem lat.

Kobieta wstała, osłaniając oczy od słońca.

– Adaś! – rzuciła w pierw ucieszona, ale zaraz dobry humor jej przeszedł. Chciała pokazać niezadowolenie, choćby z przekory. – Spóźniłeś się! Prawie godzinę... – Zrobiła krok w tył, mało nie łapiąc się dłońmi za biodra.

– Wybacz, słońce... – Adam Thomał przechylił głowę z uroczym uśmiechem, połączonym z miną wystraszonego chłopca. – Powrót się opóźnił, a potem te korki. Naprawdę przepraszam. Miało wyjść lepiej. – Mówił cicho, ale najzupełniej szczerze. Zza pleców wyciągnął niewielki bukiet, przystrojony kolorowym papierem. – Pięknie wyglądasz. – W jego oczach błysnęła iskra pożądania i tęsknoty za Madzią. A właściwie Matyldą, bo tak nazywała się jego kobieta.

Poznali się kilka lat temu, kiedy po trudnym finale afery na gdańskim wybrzeżu, którą nazywał „szpiegowsko-antykwaryczną”, przeniesiono go – niejako w nagrodę – do Warszawy. Do Komendy Głównej i Centralnego Biura Śledczego Policji, gdzie pracował „w linii” trochę czasu. Z całkiem dobrymi osiągnięciami zresztą.

Związek z Matyldą był najdłuższym w życiu Adama. Od czasów studenckich, odkąd opuścił Bydgoski Fordon, by rozpocząć studia w Gdańsku, i poczuł się wolny, kolekcjonował dziewczyny. Rówieśniczki, starsze lub młodsze. Zdobywał każdą, która wpadła mu w oko. Lubiły go za bezczelność, ale i inteligencję. Nie był nachalny, za to zabawny, wygadany, a kiedy trzeba opiekuńczy. W porównaniu z innymi kolegami wcześniej zaczął łysieć, zapewne za sprawą zbyt intensywnie produkowanego testosteronu. Był wysoki, sprawny i pewny siebie. Odróżniał się od studencików-moli książkowych, a potem, zanim stało się to modne, zaczął dbać o siebie.

Minęło kilka wiosen, Thomał się zmienił, może nawet na lepsze, jeżeli chodzi o aparycję. Starzał się przystojnie. Za „kadencji” Matyldy nie zaprzestał swoich łowów, co kilka razy sprowadziło czarne chmury nad ich związek. Ale wydarzenia lub nawet dramaty, jakie stały się ich udziałem^[1] – choćby na afrykańskiej wycieczce, która z romantycznej wyprawy przerodziła się w walkę o życie – otrzeźwiły mężczyznę. Kilka życiowych wstrząsów sprawiło, że zdawało się, iż dorasta, być może nawet starzeje? Zamiłowanie Thomala do popisów w miłosnych gierkach i biegania z bronią za „złymi” zaczęło przemijać.

Czasem tylko życie zmuszało Adama do powrotu do dawnych zwyczajów, i to w dramatycznych okolicznościach. Porzucił miłostki, choć nie był pewien, czy definitywnie. Kumple z dawnej i nowej pracy czasem sugerowali, że to coś na kształt choroby czy psychicznego zawirowania.

Niemniej opanował się. Był teraz pracownikiem Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Ulokowano go tam po kilku działaniach u boku prezydenta RP, a dokładniej po utajnionych wypadkach na terenie Ukrainy, które niemal nie pozbawiły Rzeczypospolitej głowy państwa^[2].

Zastanawiał się nad życiem, przyszłością i innymi podobnymi zagadnieniami, które jeszcze niecałą dekadę wcześniej uznałby za stek filozoficznych bzdur dla staruszków.

Stres związany z coraz bardziej nieprzewidywalnymi obowiązkami zmusił go do szukania bezpieczeństwa, odreagowania wszystkiego, co

mu kiedyś zagrażało. Nawet jeżeli to ryzyko rekompensowane było przez furtkę do kariery, o której tak marzył i o którą zaczął walczyć z silniejszymi od siebie ludźmi, jeszcze w Gdańsku.

Stał więc tak, przywdziewając słodko-kretyńską minę poczciwiny, patrząc na Madzię. Jej odpowiedzialna posada w Komendzie Głównej nie sprzyjała trzymaniu linii, ale nie było tragedii. Starła się zapanować nad lenistwem. Pięknie dojrzewała. Ciągłe miała gładką, wręcz jedwabistą cerę, która przez cały cały rok miała piękny odcień opalenizny. Piękność krągła dzięki hojnej naturze tam, gdzie dokładnie Adam sobie tego życzył. Uwielbiał jej spojrzenie cudownych zielonych oczu. Kiedyś nosiła kucyk, teraz jako pracownica Policji czesała się bardziej oficjalnie.

– Dziękuję. – Madzia pocałowała Adama i pogładziła po brzuchu. – Fajnie, że jesteś – wyszeptała, opierając głowę o jego czoło. Wiedział, że ją ma. Nie potrafiła się złościć, zwłaszcza po rozłące i kilku jego fochach. Nie był tak głupi, by sądzić, że Matylda jest płytką trzpiotką, grzejącą się w blasku karierowicza. Jak każda kobieta miała tę umiejętność zerkania głąb umysłu faceta i podświadomego wykrywania spraw, które ją niepokoiły (a potem, w zależności od potrzeby, zmuszania go do zmiany albo ucieczki). Znała jego charakter. Nieraz kajał się za uleganie chuci, ale nie niszczył tej relacji do cna.

– Toksyczno-patologiczny jest nasz związek – wypaliła Madzia.

– Słucham? – Nie zrozumiał. Wystraszył się przy tym, że nie rozpoznał nadchodzącego ataku.

Matylda uśmiechnęła się nieomal triumfalnie, śląc przenikliwsze niż zazwyczaj spojrzenie.

– Ciągłe za dużo na ciebie czekam – wyjaśniła z niepokojącą Adama poważną nutą w głosie.

– Ciebie też wysyłają na delegacje. – Nic lepszego nie przyszło mu głowy. Ujął dłoń dziewczyny i powiódł w dół betonowych schodów, w stronę rzeki i kilku zacumowanych barek pełniących rolę restauracji.

– Pan dyplomata raczy żartować. – Matylda dała wyraz frustracji spowodowanej zmitrężonym popołudniem. – Jak długo zostajesz? – spytała wprost. Puściła rękę mężczyzny i zatrzymała się, oczekując odpowiedzi.

– Mam trzy dni przerwy, potem mam zająć się sprawami w Warszawie i znowu... – Nie patrzył na nią, tylko łowił wzrokiem co bardziej roznegliżowane studentki na tle Wisły.

– Znowu... – westchnęła Matylda i złożyła ręce na brzuchu. Palcami przekręcała bukiet, który dziwnie zaczynał jej ciążyć. – Niech cię diabli, Adam! – fuknęła. Postąpiła krok i zaczęła kręcić głową, jakby nie mogąc zdecydować, w którą stronę ma sobie pójść. – Jeszcze rok temu był czas na wspólny wypad. Sandomierz, Kraków...

– Kraków – zachnął się na wspomnienie spraw tam rozpoczętych, które przysporzyły mu tylko więcej pracy i były powodem stresu największego kalibru. – Tak, to prawda. – Zbliżył się do Madzi, usiłując ją przytulić, ale dziewczyna wyczuła jego intencje.

– Odczep się!

– No, to czego ty chcesz?

Thomal stał się zasadniczy. Zrobiło mu się gorąco. Zdjął marynarkę i zarzucił na ramię. Stracił chęć na szpanowanie wyglądem i podchody, czując, że nawet po dziesięciu dniach rozstania nie będzie raczej szans na szalony seks.

– Wiesz, jak to wygląda. Sama robisz ciągle u niebieskich, więc...

– Niebieskich. – Blondynka obruszyła się i machnęła rękami. – Zapomniał wół, jak cielęciem był.

– Nie łap mnie za słówka. Czepiasz się głupot. O co ci chodzi? Świat jest pełen gówna i jest mnóstwo roboty. Czego chciałaś? Zrobili mnie kierownikiem działu, a to spora odpowiedzialność. Mam wpływ na kilka spraw, bo słuchają moich pomysłów. Ty też zaszłaś daleko.

– Ja chcę normalności, Adam. Po prostu. Ile tak można? Siedzę, dzwonię, dzwonię, myślę...

– Ile sekretarek poderwałem? – Wykrzywił usta w niemalże sadystycznym uśmiechu, nie potrafiąc powstrzymać się od rzucenia gorzkiego żartu.

– Debil! – Madzia potrząsnęła bukietem przed nosem faceta.

– Słońce... – Znów był słodki. Zaryzykował i objął dziewczynę. – Nie przeczę, okazji mam sporo. – Kobiety podobno lubiły szczerość. Czasami. W tym przypadku podziałała kojąco. – Coś sobie wyjaśniliśmy, a ty... Ty jesteś tą jedyną. – Pocałował ją. Madzia oddała pocałunek i przestała się opierać. Przeczesał jej włosy, pochłaniając wzrokiem każdy centymetr twarzy. – No, a poza tym... mogłaś sobie znaleźć szewca, to by siedział w domu.

Matylda szturchnęła go piąstką, ale znacznie spokojniej. Potem go pocałowała.

– Ty naprawdę jesteś szurnięty. Ale tak nie może być, rozumiesz?

Chciała być surowa. Jednak dłonią wodziła po krawędzi rozpiętej koszuli. Thomał rozpoznawał takie sygnały. Czyli miał szansę na coś miłego tego wieczora.

– Dlatego tu się spotykamy. – Objął ją jedną ręką w talii i wskazał na najbliższą barękę. – Włoska kuchnia. Zjemy coś dobrego. Napijemy się Brunello z Montancino.

– Mmm... – Madzia zamknęła oczy. – Zapamiętałeś. Lubię to wino. Bardzo lubię... Nieźle was szkołą w tym MSZ-ecie.

– A co? Myślałaś, że jak jestem stary glina, to muszę po służbie łoic ordynarnie gołdę? – Adam się roześmiał i pociągnął już ułagodzoną Matyldę na trap u wejścia na pokład.

Spędzili kilka godzin przy stoliku na skraju pokładu, przy samej wodzie. Sącząca się delikatna muzyka maskowała szum nieodległej ulicy, na której ruch nie zamierzał się uspokoić. Wreszcie zapomnieli o hałasie. Byli tylko oni. Długi dzień przeszedł w jasny, ciepły wieczór, kiedy słońce leniwie zaczęło wędrówkę ku horyzontowi. Robiło to tak powolnie, jakby noc nie miała nadejść.

Na barce zapalono lampiony i sznury lampek oplatające relingi. Uśmiechnięta Matylda chłonęła atmosferę z błyszczącymi oczami. Adam wiedział, że ona potrzebuje takich chwil. Wspomnienia romantycznych randek oraz marzenia o kolejnych trzymały ją przy nim. Czasem zgrywała hardą. Jak wtedy, kiedy się poznawali. Jednak w głębi duszy była romantyczką, która nie przeżyła dość uniesień, kiedy była młodsza.

Thomal prawił komplementy. Dopytywał co w pracy Madzi, w jego dawnej „fabryce”. Matylda od ponad roku działała w sektorze przestępstw gospodarczych, choć nie była funkcjonariuszem, a jej zadania polegały na koordynowaniu przepływu materiałów i dokumentacji.

– Znów proponowali, żebym została gliną – wypaliła, wciągając długą nitkę włoskiego makaronu. Po masce wesołej dziewczyny nie było już śladu. Madzia stała się niepewna i patrzyła, oczekując reakcji.

– Co ty powiesz? – Adam zamarł, spodziewając się pointy.

– Mam studia. Znam się na pracy i strukturach – zaczęła pospiesznie tłumaczyć Matylda. – Byłoby łatwiej, gdybym była zaszeregowana. Sprawy tajemniczy i takie różne. Sam wiesz. – Udawała obojętną, ale wyraźnie kręciła ją ta wizja. Może zarazem ekscytowała i przerażała.

– Od razu komisarzem? – Adam napił się wina. – Może i tak... Tu stolica, takie rzeczy szybciej się dzieją, no i masz znajomości – zakpił ordynarnie. Zapatrzył się w rzekę i na chwilę zatopił we wspomnieniach.

– Jesteś zazdrosny? Tak, jesteś. – Matylda wydawała się rozbawiona, a jednocześnie ciskała gromy oczami.

– Nie, nie zazdroszczę – burknął Adam, tracąc opanowanie. Dopił wino z kieliszka i stuknął stopką o stół. – Ja musiałem wycierać krawężniki kilka lat i zajmować się ćpunami, bitymi żonami albo mordującymi się menelami, zanim nadarzyła się okazja...

– A potem trafiłeś do nas, do Warszawy. Znam to na pamięć. Szczegółów sprawy mi nie opowiadasz, to jasne, ale to było coś dużego.

Ważne jest to, że dzięki temu wszystkiemu narodził się... związek dwóch słoików. – Zachichotała, zakrywając usta. Adam pojął, że wino zaczyna uderzać dziewczynie do głowy.

– Dobrze mówisz. O ten związek mi chodzi... – Zaczął litanie tłumaczeń. – Zrobisz, jak uważasz, będę cię wspierał. – Słyszac ten frazes, jeszcze kilka lat wcześniej zwymiotowałby. – Ale sama narzekasz, że za mało się widzujemy. Że czas nam przelatuje między palcami. – Był niebezpiecznie blisko stwierdzenia „mamy problem” a nawet „kryzys”. – Wezmą cię do szkoły. Pół roku? Więcej. Przynajmniej na kurs. – Thomalowi poruszyła się grdyka na wspomnienie szkoły policyjnej. Nie oficerskiej, ale szkolenia podstawowego. Swobodna atmosfera w kontaktach międzyludzkich zawstydzila by niejednego imprezowicza z byle akademika. Naraz przypomniał sobie twarze kilku koleżanek, z którymi umiłał sobie jesienne wieczory. O dziwo, nie pamiętał ich imion. Były podobne do niego. Wyzwolone. Szukały zabawy albo odreagowywały stres związany z rozłąką z domem.

Nie spodobało mu się wyobrażenie, że i Madzia, teraz coraz bardziej odważna i wyzwolona, mogłaby posmakować takiego życia.

– To harówka, nauka, a my możemy na tym ucierpieć – ostrzegał, choć rozumiał, że było to powierzchowne i głupie.

– Więc jednak jesteś na nie – sapnęła Madzia i oparła splecione ręce na kolanach.

– Nie, nie mówię... Ja po prostu... – Adam się miotał. Przetarł twarz dłońmi i skinął na kelnera, widząc, że nie ma czym uzupełnić kieliszka. Podniósł pustą butelkę i zamachał.

Uprzejmy i przymilny blondyn był zaraz obok. Nalał wina i ulotnił się niezagadywany przez żadne z gości.

– Madziu, wiem, że trochę się nam to rozłązi. – Adam uniósł szkło i zerkał raz na bordowy płyn, raz na dziewczynę. – Ale trzeba się trzymać. Coś się wymyśli. Ułoży się. Ludzie nie takie kryzysy pokonują. Ba, niektórzy musieli jeździć za chlebem na saksy i dawali radę. – Napił się prędko, jakby dla dodania animuszu. Odstawił kieliszek i zaczął szukać czegoś gorączkowo w kieszeniach zawieszonych na oparciu

marynarki. Wyplątał ze zrolowanego krawata małe aksamitne pudełeczko. Wyciągnął je z dumą, cały spięty. Matylda zamarła, śledząc wzrokiem opakowanie, którego zawartość odgadła.

Thomal podsunął pudełko bliżej wybranki i otworzył je. Na białym materiale błysnął złoty pierścionek ze szlachetnym kamieniem.

Matylda zakryła usta. Jak porażona, blaskiem albo powagą chwili, odsunęła się z głośnym westchnieniem.

– Matyldo, zechcesz zostać moją żoną? – Thomal nie czekał, aż dziewczyna ochłonie. Mógł to pytanie zadać w bardziej uroczysty sposób. Zamówić orkiestrę, fajerwerki i baloniki, klęknąć, ale znał Madzię i wiedział, że czułaby się przytłoczona, zmuszana. Niechybnie by uciekła.

Matylda tymczasem ocknęła się i powróciła do rzeczywistości. Spoważniała i wyprostowała się i łypiąc ciągle na pudełeczko.

– Jaka odpowiedź? – zapytał niecierpliwy Adam i pchnął palcem opakowanie pierścionka. Madzia spokojnie podniosła wzrok na niego i z absolutną powagą rzuciła:

– Muszę się zastanowić, Adasiu.

Ciche i łagodnie wypowiedziane zdanie zawisło nad stolikiem, nad rzeką i – jak się wydawało – całą Warszawą. Dudniło pod czaszką Thomali.

Młasnął niemo ustami, osuwając się głębiej w krzesło. Ktoś wszedł na salę. Kolejna para. Jakaś szatynka w okularach zerknęła na nich. Adam musiał wyglądać strasznie głupio albo tak mu się zdawało. Czuł się jak kretyn, którego wszyscy zaraz zaczną wytykać palcami.

– Przecież sama przed chwilą narzekałaś... – zaczął nieskładnie bronić swojej propozycji. – Pobierzmy się. Będiesz mnie pewniejsza.

– Właśnie – odezwała się Matylda, pierwszy raz od dłuższej chwili. – Powinnam być pewniejsza. Ale... zaskoczyłeś mnie. To wszystko, co się z nami dzieje...

– Mam szansę na awans. Na zastępcę dyrektora departamentu – wciął się nieco rozpaczliwie.

– Tak, Adasiu, oboje pniemy się w górę. – Wysunęła dłonie, opierając łokcie o stół. Patrzyła na niego uważnie i przenikliwie. – To poważna decyzja. Jeżeli znów oszalejesz dla którejś z koleżanek, współpracownic... Jestem coraz starsza, może już nie potrafię być tak wyrozumiała. Z tego, w czym jesteśmy, można jeszcze uciec.

– Chcesz? – syknął Adam wystraszony pytaniem i znów przełknął głośno ślinę. Oczy Matyldy rozbłysły nieco weselej.

– Nie, nie chcę – mówiła dalej już opanowana. – Świetnie byłoby żyć normalnie, ale i tak będziemy się mijać. Dziękuję ci. – Przechyliła uroczo głowę i uśmiechnęła się szerzej. – Starasz się i ci na mnie zależy. – Thomał złapał ją czule za dłoń. Magda spostrzegła, że jest spocona. – Chcę, żebyś zrozumiał. Wracasz po kolejnym na wół tajnym wyjeździe i zapowiadasz, że będziesz w domu kilka dni. Planujesz to wszystko, myśląc, że podskoczę z radości, a ja już nie jestem gówniarą z wioski. Nie mówię ci „nie”. Daj mi czas, muszę pomyśleć. – Pogładziła Adama po ręce i przycisnęła ją do policzka. Z trudem walczyła ze wzbierającym uczuciem satysfakcji, które widać było w jej źrenicach oświetlanych blaskiem lampionów.

Adam się uspokajał, nie miał zamiaru dłużej popisywać się retoryką romantyka. Spływało na niego opanowanie wzmocnione przecuciem. „Więc tak?” – zapytał niezadowolony głos w środku. „Mści się...” – odpowiedział dalej. To była jej kara za te kilka lat wygłupów i zmagania się ze spóźnionym dojrzwaniem. „A przecież się staram!” – zapewnił sam siebie jak rozzłoszczony dzieciak. „Stworzyłem potwora? A może zawsze taka była, tylko tego nie dostrzegałem?”. Zdał sobie sprawę, że za długo przygląda się Madzi z głupkowatą i zaciętą miną, przygryzając wargi.

Niezgrabnie złapał pudełko z pierścionkiem i schował na swoje miejsce.

– Pamiętaj, że czeka na ciebie – oznajmił nazbyt szorstko. – Liczę na pozytywną odpowiedź – dodał drętwo. Dolał wina. Nieco się trząśł, co

zaskoczyło jego samego. Przetrwiał kilka porządných strzelanin, katastrofę śmigłowca, a tymczasem rozemocjonowała go własna kobieta.

– Jesteś zły? – zapytała Madzia z doskonale udawaną troską i minimalnym triumfem w głosiku.

– Nie. – Adam kłamał w tym momencie bardziej nieudolnie. – Chyba nawet... rozumiem cię. – Pokiwał głową. Kąciki ust uniosły się w nerwowym grymasie, który miał być uśmiechem. Thomał miał ochotę wypić coś mocniejszego aniżeli to włoskie dziadostwo, które tak naprawdę mu nie smakowało.

– Bądź cierpliwy. Naprawdę się nie spodziewałam.

„Jesteś diabolicą” – pomyślał, ciągle niepokodzony z potwarzą, gdyż tak odebrał to przedstawienie. Coś ukuło go pod sercem. Zaraz niepokojąca myśl zakwitła mu w głowie. Sama wizja dodała mu energii i poprawiła nastrój. Uznał, że jest usprawiedliwiony. Nieco obłudnie, ale takie określenie nigdy nie pasowało do jego słownika.

„A jeżeli mnie sprawdzasz?” – pojawiło się kolejne pytanie. „Nie ważne” – uznał. Istotne było to, że może, że ma prawo znów „zapolować”, zabawić się. Miał powód, miał kilka okazji. Byłoby to lekarstwo na odrzucenie, na afront. Tak to sobie tłumaczył i zaczynało mu być wszystko jedno. Alkohol z wolna uderzał do głowy.

– Będzie dobrze, Madziu. Musi być! – Na powrót był milutki i kochany, jak lubiła.

– Wierzę – odpowiedziała, opierając głowę na dłoniach. Rozejrzała się. – Ładne miejsce. Ładny wieczór.

– Tak, ładny – zgodził się Adam. – To może spacer? – zaproponował, ale nie zamierzał naciskać.

Madzia pokiwała głową, szczęśliwa na myśl o wspólnej przechadzce. Adam zawołał kelnera i poprosił o rachunek. Wyszli przytuleni. Matylda zdjęła cisnące ją buty, gotowa spacerować boso. Ruszyli na południe w stronę Powiśla. Żadne z nich nie wracało do tematu ślubu. Matylda

grała swoją rolę, a Adam gasił niepewność i obawę masochistycznym wyobrażeniem małej zemsty. Ostatniego wyskoku.

Nie nadeszło jeszcze lato, a dzień w afgańskiej stolicy zapowiadał się nieznośnie gorący. Z początkiem świtu, kiedy tylko słońce wzniosło się ponad szczyty gór otaczających miasto, nie dało się długo wytrzymać na nieosłoniętej przestrzeni. Zwłaszcza nieprzywykłemu Europejczykowi.

Mark był człowiekiem zachodu, a przynajmniej tak ciągle określali go miejscowi. Każdy biały był tu „zachodni” bez względu na to, jak daleko czy blisko ten mityczny zachód się znajdował. Wysoki, o sięgających ramion, kręconych jak sprężyny ciemnorudawych włosach. Był wręcz chorobliwie szczupły i chodził nieco przygarbiony. Lubił nosić się swobodnie, co nie podobało się zwłaszcza starszym wiekiem Afgańczykom. Przynajmniej tym nieznanym, którzy nie pogodzili się z brakiem zasad u przyjezdnych. Za to ci, którzy znali Marka, przymykali oko na te jego przyduże koszule, t-shirty, często drugiej świeżości, oraz koraliki na szyi. Albo wytarte spodnie, do których lubił zakładać sandały. Przywykli do jego napadów bycia „fit”, do ćwiczeń i biegów po niebezpiecznych zaułkach, na przemian z ciągotami do imprezowania.

Ogólnie rzecz biorąc, Mark przypominał hipisa z dawnych zdjęć przedstawiających czasy rewolucji dzieci kwiatów. Braki w obyciu i wyglądzie nadrabiał poczciwością, dobrym sercem, pomysłowością, a przede wszystkim poczuciem humoru. Sytuacyjnymi żarcikami i gagami zjednał sobie wszystkich pracowników instytucji, dla której pracował. Podobnie było z każdym, z kim rozmawiał. Lubili go dorośli i dzieci, co budowało więzi, pokonywało niechęć i podejrzliwość u poznawanych osób.

Mark wyszedł przed bielony budynek, otynkowany blok betonu na modłę zachodnich budowli. Zza uchylonych osłoniętych okien dochodziły głosy nauczycielek i nauczycieli prezentujących zagadnienia lekcji. Niknęły jednak przy już solidnym (mimo wczesnej pory) harmidrze ulicy za okalającym teren murem. Aleja nie należała do tych

ważniejszych, a mimo to było tam gwaro aż do samego placu Spin Kalai. Słysząc było nieprzerwany szum aut, pokrzykiwania i nieodłączny dźwięk klaksonów.

Nim „hipis” zdecydował się wyściubić nos spod cienia daszku przy schodach wejściowych, nasunął na głowę czapkę i włożył czarne, stylizowane na lata sześćdziesiąte okulary. Poklepał butelkę wody w kieszeni i nie spiesząc się, począł do zakurzonego dostawczaka.

– Salam, Senga je – rzucił do wartownika afgańskiej policji, który siedział pod lichą budką zbitą z desek w połowie drogi do bramy. Wąsacz, na wpół jeszcze śpiący, machnął dłonią, uśmiechając się szeroko, rad, że ten miejscowy klaun go dostrzegł.

Mark otworzył drzwi do wozu, kiedy podbiegł do niego umięśniony dryblas w ciasnej, szarej koszuli i pustynnych spodniach, z pasem broni na ramieniu.

– Gotowy na zwiedzanie, Sven? – Mark przewrócił oczyma, robiąc jedną ze swoich głupkowatych min. Ochroniarz, który mógłby uchodzić za obiekt żartów o stereotypowych Szwedach, skinął głową i uśmiechnął się. Przesunął z pleców karabinek M4 i dumnie, ale i groteskowo potrząsnął nim na znak, że jest przygotowany. Nie korygował błędu w imieniu. Wiedział, że ten lekko postrzelony facet każdego Szweda nazywa Svenem, a Szwedkę Astrid.

Mark zapuścił silnik, wrzucił bieg i auto potoczyło się do zasuwanej bramy. Tam kolejny ochroniarz wcisnął przycisk i przeszkoda zaczęła ustępować. Mark nie byłby sobą, gdyby nie rzucił na powitanie jakiejś śmieszności i nie wyciągnął ramienia, by przybić piątkę.

Wreszcie wyjechał na ulicę. Było tak jak za każdym razem. Albo jeszcze gorzej.

– Chyba liczba mieszkańców trochę się zwiększyła, co? – Mark przygryzł wargi, zrezygnowany. Zdawało się, że ze spokojnej wyspy mają rzucić się w rwący nurt. W obłoku żółtego kurzu przepychała się w obu kierunkach cizba ludzi, aut, skuterów i wózków. Ulicę obstawiały popękane mury i ściany domów budowanych z błota i marnych cegieł – obdrapane, czasem w jaskrawych kolorach, już mocno nieświeżych.

Tutaj mocniej było czuć smród mieszanki spalin, dymów, wyziewów z wszelakiego rodzaju zakładów i barów. Niektóre domy od frontu mieściły zakłady usługowe. Wulkanizacja sąsiadowała tu ze sklepem meblowym lub czymś, co nazwać można było garmażerią. Trotuary znaczyły sterty śmieci i niewielkie stragany ustawiane na chodnikach. Przez kurzawkę przebijały się pstrokate szyldy reklamowe, ozdabiane beczelnie twarzami zachodnich aktorek i aktorów.

– Co to za syf? Nigdy się nie przyzwyczaję – szepnął Sven, a właściwie Jorg. Podczas każdego wyjazdu przypominał sobie, że wolałby nawet chłodny jeszcze o tej porze Sztokholm.

– Co prawda, to prawda – przytaknął Mark jak najbardziej poważnie, ostrożnie włączając się w ruch, a właściwie w niekontrolowaną falę pojazdów.

– Są. – Jorg dopiero po chwili wypatrzył w tym tłumie toyotę pick-upa miejscowej policji. Opuścił szybę i pomachał, pokazując się funkcjonariuszom.

Stojący na pace strzelec z karabinem maszynowym odpowiedział podobnym gestem i poklepał dach wozu. Błysnęły światła radiowozu. Kierowca wdusił klakson i jadąc powoli, zmuszał tłum przed maską do rozejścia się.

– Będziemy tak jechać cały dzień. A miały być szybkie zakupy – westchnął zdołowany Mark i oparł głowę o ramię. Do sklepów w Green Village w zagranicznej strefie Kabulu mieli spory kawałek. Właściwie musieli przebić się przez skrawek śródmieścia.

– Ktoś lubi, gdy znikamy na długo? – Kierujący postawił prowokacyjne pytanie.

– Za wiele kombinujesz. – Szwed nie miał zamiaru dać wciągnąć się w dyskusję.

Horyzont wyznaczały tańczący w upale obraz ciemnej plamy kurzu i wzgórze pełne upchanych ciasno lichych domostw. Policyjny radiowóz radził sobie jednak całkiem dobrze, torując przejazd. W niecałe dziesięć minut przebyli zakorkowany i jeszcze głośniejszy plac, po czym

skierowali się na południe, na znany im objazd, którym omijali ściśle centrum.

Przez kilka kilometrów jechali szerszą arterią. Mark mógł rozpędzić swojego volkswagena. Czuł się lepiej i bezpieczniej aniżeli w klaustrofobicznym uścisku miejskiego zgiełku.

Pick-up przeciął przeciwległy pas, zmuszając jadących z naprzeciwka, by ustąpili. Mark wjechał na powrót w gorszą drogę pomiędzy domami, ale tutaj ku uldze obydwu mężczyzn ruch był spokojniejszy.

– Jest OK. – Jorg wyraźnie się rozluźnił. – Załatwimy wszystko sprawnie.

– Tak cieszy cię taka drobnostka, jak ominięcie korka w tym obrzydliwym mieście? – zapytał Mark z ironią. – Ach, ten wasz skandynawski minimalizm. – Popatrzył długo w boczne lusterko i znów był poważny. „Tak, jest ok” – uznał w duchu i mógł pozwolić sobie na nieco więcej luzu.

– Gliniarze są dobrzy. – Wskazał palcem przed siebie. – Mało kto tak się przykłada do zadań.

– Odwalamy za miejscowych kawał roboty. – Jorg poprawił się w siedzeniu i zmarszczył czoło. Zgubił gdzieś szwedzki optymizm i poprawność. Bardzo rzadko zdarzały się przedstawicielom tej nacji momenty, kiedy byli prawdziwi. – Poza tym płacimy im górę forsy za to, żeby nas pilnowali. Lepiej dla nich, by zarabiali na nas, niż dali się wysłać na front z talibami.

– Co racja, to racja – potwierdził Mark półgłosem. Znowu zaczął analizować odbicia w lusterkach. Nazwa „talibowie” wzbudziła w nim nieobecny jeszcze tego dnia lęk i sprawiła, że nakazał sobie jednak większą czujność.

– Przez tych skurwysynów... – Jorg zaczął się nakręcać, obserwując mijaną okolicę. – Mam na myśli taliban. Niedługo cały kraj przeniesie się do Kabulu. Jak to w ogóle możliwe? Tyle lat pompowania pieniędzy w rząd, a ci pojebani fanatycy jeszcze dyszą i potrafią gryźć – wściekał się nieco infantylnie.

Z zawodowej ostrożności Mark nie dzielił się własnymi przemyśleniami. Nie chciał dać się poznać z tej zbyt mądrej strony albo zwyczajnie sprowokować. Wiedział, że ochroniarze w tym zapomnianym przez Boga kraju nie biorą się z przypadku. Przynajmniej nie wszyscy.

– Widzisz, życie jest popieprzone jak stroje Abby. – Zachichotał jak krety, znów kłując dowcipem szwedzką dumę.

– Czubek! – Jorg wyciągnął wielką łapę i dobrotliwie stuknął kolegę w tył głowy.

Policyjny pick-up przyspieszył. Mark docisnął gaz, zmienił bieg, ale silnik toyoty był mocniejszy. Policjanci oddalali się w chmurze pyłu, nieomal taranując co powolniejsze auta i przechodniów.

– Popierdoliło ich? – Mark przeklął. Z wolna zaczynał rozumieć, co to może oznaczać. Jorg przeszedł w tryb bojowy. Podsunął bliżej ramienia kolbę karabinku i zaparł się o podłogę, jednocześnie szukając ewentualnych zagrożeń.

Ulica wyglądała jak setki innych. Obskurna, tłoczna i brudna. Mark też umościł się w fotelu i spał. Przyspieszył jeszcze bardziej gotowy rozjechać każdego, kto stanąłby na drodze. Mijał pohukujących Afgańczyków, wściekłych na tak szaleńczą jazdę.

– Zwijamy się? Trzeba zmienić kierunek. – Mark był spokojny. Jorg wpatrywał się w okolicę, ale korciło go, by obejrzeć się i upewnić, co stało się z pajacem fundacji.

Mark zwolnił, nie potrafiąc zdecydować, w którą przecznicę ma skręcić.

– A zakupy? – zapytał Jorg.

– Pierdole to – rzucił Mark. – Gliny znały trasę. Jeżeli zniknęli, to... – bał się dokończyć.

– Kurwa – sapnął Szwed, wiedząc, że mają tylko dwie opcje do rozważenia. Policja wiedziała, że szykuje się coś niedobrego albo sama była w coś umoczone.

– Dziś nie możesz w tym gównie ufać nikomu – wyrwało się poważnym tonem Markowi.

Upewnił się po raz trzeci, że nikt za nim nie jedzie. Skręcił gwałtownie w wąski zaułek. Pamiętał, że takimi uliczkami dopcha się do lepszej trasy.

Przejechali kilkaset metrów i wtedy za nimi pojawił się szary pordzewiały bus. Mark nic nie powiedział, tylko zacisnął dłonie na kierownicy. Silnik wył. Coś w duszy podpowiedziało mu, że mają problem, że ci z tyłu to nie przypadek. Szofer zaczął gorączkowo przypominać sobie plan okolicy i obmyślać manewr, jaki mógłby wykonać. Spozstrzegł, że między domami parkuje niewielki samochód. Kierowca umyka biegiem.

– Trzymaj się! – krzyknął Mark, wciskając hamulec do deski. Samochód zaskrzypiał, kiedy koła przestały się kręcić. We wzbitym obłoku kurzu pojaśniał żółty okrąg. Trwało to ułamek sekundy. Potem fala gorąca uderzyła w wóz i wszystko się skończyło. Potem krótki przeblysłk świadomości – jak zamglony, nierealny sen. Było widać kilku ludzi. Stali wokoło.

Trzech zamachowców nie było pewnych, czy załatwili wszystko jak należy, więc posłali kilka serii ze swoich AKMS w sam środek zadymionej kabiny pokiereshowanego busa. Nawet nie rozkładali kolb, strzelając z biodra. Palba urwała się nagle. Strzelcy ruszyli do szarego minivana, który wywiózł ich z piskiem, zagłuszając krzyki przerażonych gapiów.

Salka konferencyjna budynku szkoły była pełna ludzi. Rozmawiali nerwowo. Wzdychali. Jedna czy dwie kobiety szlochały, drżąc i szukając pocieszenia w ramionach współpracowników. Było duszno. Ktoś zapomniał podkręcić klimatyzację, ale to nie bardzo obchodziło zebranych za długim stołem.

Otworzyły się drzwi i do umeblowanego po europejsku pokoju weszła lekko smagła, wysoka kobieta. Obcym zazwyczaj trudno było odgadnąć

jej wiek. Po prostu wyglądała młodo, tajemniczo i onieśmiałą urodą, którą obdarzyła ją natura.

Pociągła, ostro zarysowana twarz. Z niewielkim nosem, dużymi oczami, pełnymi ustami i gładką cerą miała prezencję top modelki. Spod chusty narzuconej zgodnie z islamskim zwyczajem na głowę opadały na ramiona czarne jak smoła, proste włosy. Luźna, nieco za duża koszula przysłaniała szczupłe, ale kształtne ciało, którego niewiasta nie zwykła eksponować, przynajmniej publicznie. Jak co dzień ubrała się sportowo, w luźne, wytarte jeansy i wygodne buty. Jej atrakcyjności nie umniejszały zaczerwienione i podpuchnięte tego dnia oczy.

Głowy zebranych zwróciły się w stronę kobiety. Szum ucichł. Dziewczyna usiłowała przyjrzeć się każdemu ze swoich podwładnych, a właściwie przyjaciół. Odczytanie nastroju było banalnie proste. Bali się. Byli przerażeni. Wszyscy bez wyjątku. Dziewięć kobiet – młodych nauczycielek, urzędniczek do spraw biurokracji pochodzących stąd, z Afganistanu. Ale też z Europy, Danii, Szwecji, Francji. Mężczyźni, tych kilku ostatnich Skandynawów, Anglików i Pakistańczyków. Jej trzódka, z którą – jak sądziła – zmieni świat i uratuje tyle istnień, ile się da, albo przynajmniej skieruje je na drogę nowoczesnego rozwoju, by potem same mogły odmieniać kraj.

– Coś wiadomo, Anno? – George, otyły spocony belfer-okularnik z niewielkim stażem w rodzinnej Brytanii, gapił się spod zmierzwionej czupryny i rozdziawiał usta.

Szefowa przeszła na kraniec stołu i nerwowo splotła ramiona na piersi. Wszyscy widzieli, jak wiele kosztuje ją ta przemowa.

– Jak zawsze. Jak zawsze przy takich wypadkach – zaczęła cichym i drżącym głosem. – Nie mają sprawców ani żadnego śladu. Podobno nikt się nie przyznał, więc nie ułatwi roboty. Pułkownik zapewniał mnie, że zrobią co w ich mocy, ale... Wiecie, że to bełkot – zakończyła, patrząc w do połowy zasłonięte okno.

– Nie lubili nas... – Zapłakana drobna dziewczyna w kolorowej chuście zaczęła znów łkać. – Nie przejmą się nami. Babska instytucja. Tu się nic

nie zmieniło. – Otarła oczy z łez. Blondyn z Danii objął ją i pogłaskał po głowie.

– To nie o to chodzi. Teraz mają mnóstwo roboty. Wiecie, co się wyprawia. – Spuścił wzrok, nie chcąc ciągnąć niewesołego wątku. Początek jakiegoś niedobrego przełomu mogli zauważyć wszyscy. Niezależnie od tego, jak bardzo zaklinaliby rzeczywistość, ciesząc się życiem we własnej „bańce” i marząc o wpływie na otaczający ich świat.

– Rozumiem. – Anna przysiadła na blacie. – Ale oni naprawdę mają nas w dupie. – Z bezsilności uderzyła dłonią w mebel. Rzadko jej się to przytrafiało, toteż reszta zamarła, czekając na ciąg dalszy. – Potrafiliśmy bronić się sami. Policja uznała, że robi wielką łaskę, pilnując nas, a na koniec i tak nie potrafiła zapobiec śmierci. – Głos kobiety znów się zmienił. Nie potrafiła wymówić imion Marka i Jorga. – Jorg, Sergiej, Taruk i Jan potrafili nas ochronić, lepiej niż ta banda skorumpowanych... mądrali. Nigdy nie było poważniejszych incydentów. Ani tu, ani w żadnej z naszych placówek.

– Więc co się zmieniło? – rzuciła prowokacyjnie wciśnięta w róg sali Alia, ciemnowłosa córka imigrantów z Algierii, którzy przybyli do Francji.

– Właśnie? – podchwycił Duńczyk. – Wybrali nas, po co?

– Przecież my tylko pomagamy dzieciakom – rzuciła druga z płaczek tak naiwnie, że każdy obecny postępowiec poczuł się zażenowany.

– Nie o to chodzi. – George zdjął okulary i otarł czoło rękawem. – Na innych też były zamachy. To norma. Każdy się z tym liczył. Liczyliście się z tym, prawda? – rzucił gorączkowo pytanie, kiedy nikt mu nie przytaknął. Zawstydzeni nie mieli ochoty poruszać tego tematu. – Będą nas chcieli przepędzić. Mark czasem o tym ze mną rozmawiał. – Anna spojrzała na niego zaciekawiona.

– Było spokojniej, ale teraz – Anglik mówił dalej – kiedy talibowie zaczynają podnosić łby... Chaos, tego chcą. Nie jesteśmy wojskiem. Jorg i cała nasza mała armia nie wystarczą, by nas osłonić. Fanatycy chcą nas wypędzić. Jesteśmy niewielką organizacją, na uboczu, więc teraz mogą próbować. Pytanie, czy się damy, czy...

– ...czy śmierć chłopaków pójdzie na marne? – dokończyła bardziej już bojowo szefowa.

Odpowiedziało jej niezręczne milczenie.

– Ja chcę zostać. Tak długo, jak się da! – Wstała, wyprężyła się i ujęła pod boki

w surowej pozie lidera. – Nawet jeżeli miałabym wydrzeć z centrali dodatkowe fundusze na ochronę. Wiecie, że nie lubię broni, mundurów i tego całego gówna. Jestem tu po to, żeby coś zmienić bez przemocy. Żeby te dzieci wiedziały, że można żyć bez karabinów, bez wojny. Przynajmniej próbować. Ale... Nie wolno nam odpuścić i, jeżeli trzeba, przeczekamy. Chłopaki potrafiły nas uchronić. Nikt nie nastawał na szkołę, ani w Kabulu, ani w innych miejscach. Nie możemy porzucić dzieci, zostawić ich. Co z nimi, co z rodzicami? Wszystkimi, którzy dla nas pracują?

– Spokojnie, pani dyrektor – przerwała Alia, nieco rozbawiona furią koleżanki. – Nikt o tym nie myśli. Mam rację? – Ludzie zaczęli kiwać głowami, ale bez większego przekonania. – No co? Damy się zastraszyć?! – Klasnęła w dłonie. Zebrani drgnęli. – Szkoda Marka i Jorga, ale może to był przypadek. Te pojeby chciały dopaść kogokolwiek z zachodu i wcale nie chodziło o szkołę. Tak, szanowni państwo – rzuciła z niesmakiem. – Okazało się, że jesteśmy na wojnie i trzeba się z tym pogodzić. Anno! – wyciągnęła ramię w stronę szefowej. – Rób, co uważasz. Masz nasze wsparcie. – Ktoś zaklaskał, poruszony tym płomiennym, pełnym odwagi przemówieniem. Zaraz, niejako z musu, dołączyła reszta, ale aplauz nie brzmiał przekonywająco.

Na cotygodniowych zebraniach, zwoływanych dla omówienia zadań i rezultatów oraz dla podtrzymania morale nowoczesnymi metodami coachingu, było znacznie weselej i głośniej. Dyrektorka wiedziała o tym doskonale.

– Dziękuję, dziękuję. – Dała znak, by przestali klaskać. – Działamy. Jednak... Musimy przystopować. Przyjmujemy dzieci, ale nie ma wychodzenia na miasto. Żadnego szwendania się po bazarach. Nawet localsi – zaznaczyła, śląc groźne spojrzenie miejscowym. – Wyślemy

chłopaków z ochrony po zakupy, o świcie. Mają szybko wracać. Póki sprawa się nie wyjaśni, zaciśniemy pasa. Damy radę bez słodyczy i słodzonych napojów. – Rzuciła żarciem, że niby przy okazji zadbają o zdrowe żywienie, ale nikt nie podłapał. Patrzyli zblazowani, rozważając w sumieniach, czy chcą ryzykować. Być tu i ratować świat, kiedy to w każdej chwili ich własny może się zawalić. – Potem rozważymy, co robimy. Mark i Jorg będą zawsze w naszych sercach. Musimy ich pożegnać. – Przyłożyła dłoń do piersi, błędząc gdzieś spojrzeniem. Zebrani wiedzieli, co to oznacza, i jeszcze bardziej ją podziwiali. Ich liderka potrafiła być twarda i zdusić w sobie osobiste odniesienia.

Ktoś zapukał. Drzwi otworzyły się i w wąskiej szparze pojawiła się ciemna twarz mężczyzny.

– Mogę cię prosić? – szepnął teatralnie do Anny, po czym zniknął.

– Przepraszam. – Dziewczyna była zadowolona, że została wyratowana z tej trudnej sytuacji i nie musiała dłużej brać udziału w bezcelowej paplaninie. Nie mogła powiedzieć nic konkretnego, ani uspokoić kolegów, gdyż sama niewiele wiedziała. – O co chodzi? – spytała z lękiem, zamykając drzwi, za którymi znów rozgorzały dyskusje.

Balil Dar patrzył skupiony i przejęty. Był przystojnym, zadbanym trzydziestoparolatkiem. Uczesane włosy, kilkudniowy ciemny zarost i okulary w złotych oprawkach kontrastowały z sylwetką niepasującą do nauczyciela. Ćwiczył i dużo się ruszał, co przekładało się na jego wygląd i wyprostowaną postawę. Ubierał się po europejsku. Tego dnia miał na sobie czerwone polo i jasne bawełniane spodnie.

– Powiesz wreszcie? – huknęła, odruchowo spoglądając na sportowy zegarek na dłoni Pakistańczyka.

Mężczyzna podał jej kartkę.

– Wydrukowałem ci. Przyszedł email ze Sztokholmu. Podobno trudno się do nas dodzwonić. Sprawdzam. Spokojnie – dopowiedział, uprzedzając polecenie Anny. – Wszystko wygląda w porządku, to pewno

przez to całe zamieszanie. Dziennikarze wydzwanają. – Anna przestała słuchać, bo zagłębiła się w treść notatki.

– Przynajmniej tyle – westchnęła i znowu spojrzała na zegarek. – Będą się łączyć na Skypie za półtorej godziny. Chcą mnie sprawdzić? – złękła się.

– Bez obaw. – Balil złapał ją delikatnie za ramiona i popatrzył w oczy kobiety. – To kryzysowa sytuacja. Fundator ma prawo sprawdzić, co dzieje się z jego projektem. Poza tym chcą ci pomóc. Nasi reporterzy... – ostatnie słowo powiedział z obrzydzeniem, robiąc w powietrzu znak cudzysłowu – ...siedzą po barach w bezpiecznej strefie, w tych swoich pustynnych butach i szukają tematu na telefon. Ale tam, w kraju pewnie robi się gorąco. Na pewno ktoś coś chlapnął. Poza tym widzę, jak ci ciężko. – Ostrożnie przytulił Annę. Objął i pogłaskał po plecach, wplatając palce w odsłonięty kosmyk czarnych włosów. Uwielbiał jej zapach. Jej dotyk. Przelotna, niby przypadkowa i nic nie znacząca pieszczota młodego ciała, którego jędrność czuł teraz pod rękoma i ubraniem, wzbudzała w nim hamowane pożądanie. Anna odzyskiwała spokój, poddając się pocieszeniu. Lubiła te krótkie momenty pozornie przyjacielskiej czułości, którą okazywała na co dzień, przy byle okazji.

– Śmierć Marka... to musiał być cios. – Wyszepcane przez mężczyznę zdanie niespodziewanie wzburzyło Annę. Odepchnęła go, prawie gotowa dać mu w twarz.

– Nie waż się. To cię cieszy? – Umilkła, świdrując rozognionym spojrzeniem twarz Balila i chcąc dostrzec ślad przyznania się do winy. Pakistańczyk złożył dłonie na sercu i przygarbił się w przeproszającej pozie.

– Zginął człowiek. Mój, co by nie było, kolega – tłumaczył się gorączkowo, kalecząc angielski miejscowym akcentem. – Myślisz, że mógłbym teraz się cieszyć? – Rosła w nim furia, charakterystyczna dla miejscowego mężczyzny obrażonego docinkami kobiety. Kobiety, którą – gdyby nie światowe obycie – Balil musiałby surowo skarcić.

– Wybacz, wybacz, Balil. – Anna pohamowała się i zakryła oczy, do których znów zaczęły napływać łzy. – Wspierasz mnie. Zawsze

wspierałeś, nawet kiedy ja i Mark... Tak, dobrze, że Sztokholm pomoże. – Potrząsnęła kartką, wracając do tego, co najważniejsze. – Ja nie potrafię gadać z tymi dupkami z policji. – Pociągnęła nosem. – Na nikogo z sił koalicji nie ma już co liczyć.

– Resztki pakują walizki – wtrącił Balil. – Podobno, jak mówią, mają się ewakuować wcześniej, niż ogłosili.

– Co ty mówisz? – Oczy Anny zrobiły się jeszcze większe, przez co dla mężczyzny jeszcze piękniejsze.

– Tak, moja droga. Chcą zostawić ten piękny kraj.

– Więc każą nam się wynosić – dyrektorkę opadły czarne myśli. Osunęła się na ścianę, prawie mdlejąc.

– Co ci jest? Wody?

– Nie, nie... – Anna kręciła głową. – Nic nie mów reszcie. Rozpadną się zupełnie i rzucają to w cholerę.

– Może... może trzeba to rozważyć. Zamknąć interes? – Balil spytał ostrożnie, zaskoczony tą nieprzejednaną postawą. Nie miał ochoty na kolejny wybuch agresji byłej kochanki.

– Ani mi się waź! – Jej twarz przybrała ostry, niemiły wyraz. – Nie ot tak. Trzeba to przygotować. Co zrobisz z uczniami? Kadrą na prowincji? A nasi ochroniarze?

– Węszą swoimi kanałami, ale niewiele mogą. Ich zachodnich kumpli jest coraz mniej. Inne źródła na razie... – Pakistańczyk się zmieszał. Wolałby nie mówić teraz o poufnych sprawach firmy. – Ochroniarze... Na jeden twój sygnał mogą zacząć ściągać resztę. Na tym się skupią. A o organizatorach ataku długo się nie dowiedzą. Jeżeli w ogóle. To inne rewiry. Tam działa kto inny, tu inne grupy. Nie sądzę, by zerwali umowę.

– Kurwa mać! – zakląła płynnie po polsku. Ten zwrot pamiętała najlepiej. – Porozmawiam z nimi, ale później. Jak wszyscy ochłoniemy. Teraz to jest ważne. – Znowu potrząsnęła papierem. – Z pozycji dyplomatycznej załatwią więcej. Może kogoś przysłać? Ja nawet nie

wiem, jak teraz wysłać ciało rodzinie. Boże... Czy on miał w ogóle jakichś bliskich? I gdzie? – Zdała sobie sprawę, że nigdy o tym nie rozmawiali. Pracowali razem długo, ale relacja intymna była krótką przygodą.

– Spokojnie, tylko spokojnie. – Balil podszedł i przyciągnął ją do siebie jeszcze raz. Robił to z troski, ale próbował też podchodzić Annę, nawet jeżeli by temu zaprzeczył. – To szaleństwo, ale dasz radę. Sama chciałaś tu pracować? To nie przedszkole w nudnej Skandynawii. – Trącił delikatnie palcem brodę Anny i pocałował ją w policzek. Tym razem nie broniła się. Potrzebowała tego. – Pamiętaj, jak nazwali cię rodzice. Nosisz imię Quadira. – szeptał do jej ucha. – Wiesz, co to znaczy po arabsku? Pełna energii. Pasuje do ciebie, pasuje jak ulał. – Pogładził włosy, kiedy zabrzączał mu w kieszeni telefon.

Mężczyzna zaklął w paszto i odsunął się.

– Słucham. – Przyłożył aparat do ucha. – Kiedy? – spytał głośno, zakrywając drugie ucho. Połączenie było kiepskie. – Dziś? Dobrze, przekażę. Dawajcie znać. Mamy tu kłopoty, jak wiecie, ale coś obmyślimy. – Wcisnął czerwoną słuchawkę. – „Papa” dzwonił – westchnął ciężko. – U nich też nie najlepiej. – Anna rozłożyła ręce, czekając na szczegóły. – Czarne turbany. Idą albo zaraz się ruszą.

– Przecież tam był spokój. Miejscowi potrafili...

– Tak, potrafili się bronić. Więc trzeba ich było złamać, nie? Zwłaszcza że w sąsiednich dystryktach mają się dobrze. Nieważne. „Papa” ma znajomości w miejscowej policji. Ściągnęli Kandak, afgańskie commando. Dali cynk. Podobno ostrzegają wszystkich zachodnich. To dobrze, ale naszym ludziom, jak wiesz, nic nie grozi. Nie powinno.

– Ja pierdołę! – Dziewczyna kopnęła w drewniany mebel, aż huknęło na korytarzu. – Koniec, pierdolony koniec – dyszała. Zebrała siły, żeby stłumić niezdrową emocję. Wyprostowała się. – Nie, nie złamię nas. Nie pozwolę! Pogadam z szefami. Daj znać, jak coś będziesz wiedział. Jestem u siebie. – Obróciła się i ruszyła w głąb korytarza, bijąc się z myślami.

Nieregularny kształt horyzontu zlał się z czarną połącią nieboskłonu. Afgańska noc była tak czarna, że zdawało się, iż jest nieprzenikniona. Mrok rozlał się po prowincji Chost leżącej na wschodnim krańcu państwa, gdzie za sztucznie wyznaczoną, nierespektowaną granicą, liczoną od szczytu do szczytu, był już Pakistan. Między wzgórzami pogranicza rozgrywały się dramaty wszystkich ostatnich wojen toczonych w Afganistanie. Sowieckie dywizje więzły tu w walkach na wąskich górskich szlakach, zdobywając jaskinie zmienione w fortyfikacje. Tutaj, między innymi, przelewały się potoki ochotników i zaopatrzenia dla mudżahedinów w czasie wojny z Sowiecami. W latach pięćdziesiątych amerykańskie pociski Tomahawk spadły na pozycje kryjącej się w prowincji Al-Kaidy w akcie zemsty za ataki na ambasady USA w Kenii i Tanzanii.

Kiedy wybuchła nowa wojna, do Chostu przybyło CIA, by kupić sobie przychylność weteranów walk z komunizmem i ruszyć z nimi przeciwko talibom i ludziom bin Laden.

Osiągnięto sukces, ale jak wszystko w tym kraju: tylko w połowie. Podjazdowa wojna tliła się cały czas, a zza sztucznej granicy, będącej tylko linią na mapie, ciągle przychodzili nowi ludzie chcący zyskać sławę wojowników i gotowi ginąć za wiarę lub po prostu zarabiać.

Strzeliste szczyty piaskowo-brązowych wzgórz niknęły w ciemności niczym ucięte. W dolinach spływająca noc ukryła wszelkie oznaki życia, zmuszając ludzi i zwierzęta do snu. Kraina zielonych pastwisk w płaskich wąwozach otoczonych łańcuchami, gór była bezludna i jak rzadko kiedy spokojna.

W rzeczywistości wszystko to było ułudą. Od wielu lat często bywało tak, że po zmroku w dziesiątkach punktów na mapie Islamskiej Republiki Afganistanu zaczynał się ruch jeszcze większy niż za dnia. Ożywały górskie ścieżki i przełęcze. Zapęłniały się jaskinie. Opustoszałe wsie, zapomniane i porzucone gdzieś na zboczach gór, znowu pełne były ludzi. Tej wiosny tak właśnie było. Odkąd ruszyła nowa fala, niosąca umęczonemu krajowi wielkie zmiany, działo się jeszcze więcej.

Nocami zaczynała pulsować niekończąca się wojna. Czerń nocy wybierali ci, których od lat zwano „Duchami”. Kryli się w niej, myśląc, że są wtedy chronieni przed nową technologią. I choć tak nie było, choć ginęli nawet po zmroku, wierzyli, że mają szansę. Dziesiątki i setki ludzi, każdy kolejny ochotnik, płatny najemnik – wszyscy ruszali do punktów zbornych, porzucając codzienne, zwyczajne życie, jakie wiedli od wschodu do zachodu słońca.

Odkąd liczba obcych i ich przeklętych maszyn, nowoczesnych „ptaków”, które widziały wszystko i wszędzie, zaczęła maleć, wiara w ochronę nocy znów zaczęła rosnąć. Wojna, ta wojna, bardzo się jednak zmieniła. Miejscowi też zdobyli sprzęt, którym mogli rozjaśnić mroki.

Chłodne, cuchnące pomieszczenie tonęło w półmroku. W zrujnowanej kalacie z glinianych cegieł, w izbie będącej kiedyś głównym pokojem urządzono połowy punkt dowodzenia. Rahmat stał w mundurze amerykańskiego wzoru „Woodland”, z kamizelką kuloodporną PICO-MVS wyposażoną w ładownice na magazynki i broń osobistą. Z przymkniętymi oczami szeptał słowa modlitwy. Obecność jego kilku przybocznych nie przeszkadzała. Nie śmieli mu przerywać. Kiedy kapitan skończył modlitwę, był spokojny i gotowy. Miał przed sobą ekran opancerzonego laptopa, który wyświetlał obraz z drona. Jeżeli zachodziła potrzeba, można było obserwować widoki nawet z kilku bezzałogowców. Operator niewielkiego urządzenia, które teraz przemieszczało się po łuku nad oddaną mu pod obserwację doliną, działał spokojnie i rutynowo. Czekał na polecenia.

– Niczego się nie spodziewają – odezwał się cicho kapitan. Czuł satysfakcję, ale jak zawsze w takich sytuacjach, powściągał nadmierny optymizm. Jeszcze bardzo wiele mogło zmienić się i to nie po ich myśli.

– Nie wiedzą, co na nich spadnie. – Generał Ulfat Maluvi zakradł się cicho i patrzył teraz na szary obraz na monitorze.

– Istotnie, nie wiedzą. – Młodszy o dobre dwadzieścia lat Yasim był podobnego zdania. – Pańscy ludzie muszą wytrzymać, póki nie zaczniemy.

Odwrócił się do starszego stopniem. Krótko mierzył go wzrokiem od stóp do głów. Młodemu kapitanowi wydawało się, że rozmawia ze starcem. Bardzo się różnili. Maluvi był niezdrowo chudy, przygarbiony, siwy na głowie i na brodzie. Jego polowy mundur nowego wzoru był połatany i mocno zużyty. Wisiał na generale, który ścisnął się pasem z kaburą. Kamizelka taktyczna i przyczepione do niej (chyba dla prestiżu) granaty wyglądały karykaturalnie, a nie bojowo. Pozory nie były tu jednak ważne. Yasim miał ogromny szacunek dla oficera, nie tylko przez wzgląd na jego wiek, ale też z uwagi na wielkie doświadczenie w walce i zapał, który nie zgasł w sercu generała.

Dowodził wszystkimi zdolnymi i, co ważniejsze, chętnymi do walki oddziałami armii narodowej, policji granicznej a także asem w jego talii: 6. Kompanią 2. Commando z Gardez; pododdziałem słynnego, bitnego Kandaku. Dowodzącym tym pododdziałem, crème de la crème armii afgańskiej, był stosunkowo młody, bo trzydziestodwuletni oficer. Jak reszta jego podwładnych wyróżniał się zachowaniem i wyglądem. Silny, umięśniony, z przystrzyżoną czarną brodą zarastającą twarz przypominał jednego z operatorów amerykańskich special forces, a nie chuchro armii rządowej.

Kapitan zerknął na zegarek.

– Czas, generale. – Sięgnął po hełm typu FAST, przynależny siłom specjalnym. Włożył na głowę, sprawdzając wpięte pod nakrycie słuchawki wygłaszające hałas i podpięcie do radiostacji. Zapiął pasek pod brodą. Włączył radio umieszczone w ładownicy przy kamizelce.

– Tu Czarny 1, do wszystkich, do wszystkich – testował aparaturę, mówiąc spokojnie. – Zgłaszać się – rozkazał.

– Czarny 2 gotów, Czerwony 1 gotowy...

Na kodowanym kanale zaczęła się wyliczanka. Rahmat miał tu cztery plutony zaprawionych w boju, oddanych jemu i sprawie ludzi z całym sprzętem, jakiego potrzeba było podczas nowoczesnej wojny. Dzięki tej mieszance doświadczenia, elektroniki i dobrej analizy mogli wykryć zgrupowanie nieprzyjaciela i ocenić, gdzie znajduje się stanowisko dowodzenia. To dawało przewagę i szansę na wyprzedzający atak.

– W porządku! Z Bogiem, chłopaki – zakończył Rahmat podniośle. W żołądku go ścisnęło. Poziom adrenaliny zaczął się podnosić i mężczyzna poczuł to podniecenie a zarazem lęk, który jednak bardziej mobilizował. W słuchawkach usłyszał krótkie, bojowe nawoływania, teraz przytłumione ze względu na okoliczności. Dowódca i jego ludzie znali swoje możliwości i czuli się pewnie. Takich nie było wielu w tej armii, w tym czasie.

Generał uściśnął dłoń kapitana i poklepał go po plecach. Yasim założył na szyję pas swojego pokrytego piaskową farbą karabinka HK 416 z celownikiem optycznym.

Skinął na dwóch pozostałych ludzi jego przybocznego pocztu i ruszył w ciemność. Ta była nieprzenikniona. Słyszać było tylko szum ludzi w niedużym obozie. Yasim opuścił na oczy dwuokularowy noktowizor przymocowany do czoła hełmu. Włączył go. W szarawo-zielonej poświacie dojrzał swoich komandosów, ludzi generała i zamaskowane pojazdy.

Kapitan nie musiał brać w tym udziału, ale chciał – dla przykładu. Każdy idący w bój oficer mógł sprawić, że wojsko będzie walczyć chętniej, gdy wieść o tym rozejdzie się po szeregach w całym kraju i podniesie morale.

Plutony Rahmata rozłożyły się szerokim okręgiem, wyżej w górach. Najciszej, jak potrafili, maskowali swoje podejścia pod cel długimi marszami okrężnymi. Analitycy postanowili użyć dronów, by zminimalizować ryzyko wykrycia. Wyglądało to jak wielka akcja, godna polowania na któregoś z przywódców talibów, a nie na byle komendanta polowego.

Do bezpośredniej akcji Yasim wybrał dwa pododdziały. Jedna drużyna chroniła sztab, reszta oddzielała miejsce ataku kordonem. Ci ludzie mieli nie dopuścić do przenikania szpiegów i zwykłych cywilów, jeżeli tacy w ogóle chodzili nocami po górach.

Ludzie generała Maluwiego odprowadzali komandosów spojrzeniami pełnymi dumy. Wierzyli w Kandak, wierzyli jak każdy chcący walczyć Afgańczyk. Yasim i jemu podobni byli jak obietnica zwycięstwa.

Rahmat wsiadł do amerykańskiego Humvee. Pojazdy te były podstawą transportu jednostki specjalnej – obwieszane sprzętem, dodatkową amunicją, paliwem, z opancerzoną wieżą osłaniającą wielkokalibrowy karabin maszynowy M2.

– Jazda! – rozkazał oficer. – Tylko wolno, jak zawsze – dodał dla pewności i wóz ruszył w noc.

Musieli się wspinać. Wolno, ostrożnie, by nie zdradzić się żadnym dźwiękiem. Kapitan Yasim Rahmat i jego dwaj podoficerowie dostrzegli świecący w podczerwieni lokalizator. W niecałe pięć minut byli na nowej pozycji.

– Powitać. – Rosły jak niedźwiedź, mocno zbudowany podoficer wynurzył się z ukrycia. W hełmie obłożonym płytkami kevlaru wyglądał na jeszcze większego.

Yasim ucieszył się na jego widok. Sierżant sztabowy Kamal Wardani, Tadżyk i były zapaśnik, był najlepszym żołnierzem kompanii, jeżeli nie całego Kandaku. Z pozoru za wielki i przyciężki do tej specjalnej służby, ale wszystkie szkolenia kończył z wysoką lokatą.

– Gotowi? – Rahmat nie tracił czasu.

– My czy oni, dowódco? – Kamal był w dobrym nastroju. Wskazał szczelinę w skale zakrytą przeciwdeszczową peleryną. Kapitan wcisnął się między dwóch ludzi. Peleryna osłaniała blask niewielkiego ekranu, który otrzymywał każdy dowódca plutonu, a jeżeli trzeba było także dowodzący sekcją, by wpatrywał się w to, co rejestrował sunący wysoko po niebie dron. Kapitan uniósł noktowizor i otarł twarz z potu. Wiosenna noc nie była tak zimna jak inne.

– Zbierają się, ale wolno. Większość grup jeszcze nie ruszyła na pozycje. – Niedźwiedziowaty zaczął objaśniać sytuację z ostatnich chwil. – Gnuśni się nam trafili. – Ta opinia zapewne go cieszyła.

– Tak, chyba mamy farta. – Kapitan podrapał się w brodę i kucnął. Skinął, by podali mu ekran. Na monitorze widać było jasne punkty ciepłe. Oznaczały ludzi. Mogli zobaczyć, jak trzy kilkunastoosobowe grupy wspinają się w ciemnościach, taszcząc coś ciężkiego.

– Moździerze. – Mrużąc oczy, oficer rozpoznał oręż wrogów. – Mamy zapas czasu. Uderzą na miasto przed świtem. – Taktyka przeciwników nie była niczym odkrywczym. Wróg nie spieszył się. Nie przewidywał kontrakcji albo – jak w większości przypadków – był powolny i leniwy. Spotykało się zajadłe w działaniu oddziały talibów i znacznie gorszego ISIS-R, nawet grupy zwane specjalnymi, ale – ku uldze Afgańczyka – tej nocy nie trafili na takie elity. Miejscowi strzegli tajemnicy, nie mieli jęzorami albo ktoś zadbał, żeby nie narobić szumu przybyciem całej kompanii naraz.

Yasim przełączył na obraz z drugiego drona, który obserwował sztab talibskiego zgrupowania. Krył się pod nawisami skalnymi, niecały kilometr od obecnej pozycji kapitana. Kilka pick-upów, paru zbrojnych ludzi i faceci z radiostacjami. Gdyby komandos chciał, mógłby mieć nasłuch ze skanera radia, na bieżąco. Najwyraźniej nie mówili nic ważnego, nic, czego nie mógłby zweryfikować obraz bezzałogowców.

– Niebiescy 2 i 3, tu Czarny 1. – Przysunął mikrofon radia przy hełmie bliżej ust. – Widzicie czujki?

– Tak jest, Czarny 1. – Odpowiedź przyszła momentalnie, jakby wyczekiwano pytania.

– Pilnujcie. – Yasim chciał być pewny. Zakrył mikrofon i spojrzał na Wardaniego. – Nie będziemy przedłużać. – Kpiący, sadystyczny uśmiech wykrzywił mu twarz. Podoficer zatarł dłonie w nomexowych rękawiczkach. Tu nie było przypadkowych ludzi. Wszyscy znali swoje obowiązki. Byli ochotnikami albo wybrańcami. Uwielbiali Kandak i służbę w nim. Napędzał ich strach, jaki wzbudzali u nieprzyjaciół. Ale i lęk o to, co stałoby się z krajem, gdyby ponieśli klęskę.

– Daj rozkaz, kapitanie. – Wardani przytulił swojego M4 z podwieszonym granatnikiem. Pogłaskał broń, jakby była jego kobietą. Odsunął lufę granatnika i wpakował do środka czterdziestomilimetrowy granat.

– Zaczynaj zabawę – rozkazał spokojnie kapitan. — Przechylił na oczy noktowizor.

Mężczyzna, strzelec ze snajperskim karabinem Dragunowa SWD, czuł się bardzo pewnie. Na codzienne odzienie nałożył grubą wojskową kurtkę z podpinką. Nosił czarne buty ponad kostkę. Umościł sobie legowisko wytartym kocem, by osłonić się od chłodu. Nasunął głęboko na uszy pasztuński beret pakol i obserwował otoczenie za pośrednictwem chińskiego celownika noktowizyjnego. Był wybrańcem, przynajmniej tak się czuł. Nowoczesna broń miała uchronić jego i towarzyszy. Ochotnicy po drugiej stronie byli jednak lepiej wytrenowani.

Ostatnią rzeczą, jaką zobaczył talibski strzelec, był daleki niewyraźny błysk gdzieś na zboczu klifu. Kula snajpera Kandaku, wystrzelona z wyciszonego karabinu L115A3, zgruchotała mu czaszkę u samego wierzchołka. Zaraz potem drugi strzelec commanda armii narodowej zlikwidował jeszcze jednego snajpera. Jedna z czujek, wychwyciwszy chyba głuchy trzask niesiony echem, zerwała się na równe nogi z leża. Znow coś huknęło lekko i talib osunął się, padając twarzą w piach. Kapitan momentalnie wydał rozkaz.

– Naprzód!

Dwa plutony wyrosły na kamiennej pustyni jak ciemne bezszelestne duchy. Szybko pokonywali kamienisty, wznoszący się teren oddzielający ich od celu. Operatorzy dronów, tak jak w zachodnich wojskach specjalnych, czuwali, by nie było żadnych niespodzianek.

Po sprawnym marszu Yasim, idący za drużyną drugiego plutonu, minął stygnące ciało snajpera. Nie poczuł nic. Miał zadanie do wykonania. Jak zaplanowano, pierwszy pluton zajął miejsce w pobliżu skarpy schodzącej do płytkiego wąwozu. Nikt ich nie wykrył, nikt nie zorientował się jeszcze, że zabrakło trzech ludzi z oddziału. Szczęście nie trwało jednak wiecznie. Trzeba było się spieszyć.

Drugi pluton rozłożył się bardziej na zachód, od sąsiadów. Jedna drużyna zaczęła schodzić w dół. Kapitan i niedźwiedziowaty zamarli w bezruchu, rozumiejąc, że teraz starczy byle wartownik w dole, który dostrzeże tę dwunastkę, i rozpęta się piekło. Mijały jednak ciągnące się w nieskończoność minuty i nic się nie działo. Drony obserwowały sztab

wroga i jego grupy uderzeniowe, które dopiero zbliżały się do swoich pozycji wyjściowych. Jak meldowali nasłuchujący relacji w radiu, nawet talibowie przestali być rozmowni. Drużyna zameldowała się na pozycji na przeciwległym skraju wąwozu. Stanowisko dowodzenia zostało odcięte.

– Po zwycięstwo, przyjacielu! – Rahmat klepnął w hełm sierżanta i zmienił kanał w radiu. – Czarny 1 do Tygrysa: zaczynamy!

Zaschło mu w gardle. Kamal Wardani wyciągniętą ręką wskazał wybranych przez niego komandosów, którzy mieli torować drogę. Ci przytaknęli bez żadnego zbędnego słowa i zaczęli zsuwać się po zboczu z sypkiego piasku.

W pewnej odległości szła druga drużyna z barczystym podoficerem i kapitanem Rahmatem. Ten nie potrafiłby usiedzieć na miejscu w miarę bezpieczny na wzgórzu, gdyby wiedział, że ludzie, których szkolił, wchodzą w paszczę lwa.

Tymczasem dwaj idący na szpicy operatorzy mierzyli z wyposażonych w tłumiki karabinków M4. Mieli torować drogę, po cichu eliminując każdego napotkanego wroga, a także cel, przed którym ostrzeże ich operator drona. Szukiwali też pułapek i min.

Na obrazie podczerwonym wyraźnie było widać, że w pobliżu aut odbywa się jakaś narada. Ludzie przestali się poruszać, czekając na meldunki od zespołów mózdzierzy, których salwa miała przygotować atak na miasteczko.

Kolejna grupa komandosów należących do Wardima zaczęła schodzić do wąwozu, obierając taki kierunek, by w labiryncie skał i rozpadlin sflankować wroga. Tamci niczego nie podejrzewali. Sądzili, że ta skalna forteca osłoni ich przed okiem maszyn. Przygotowali się. Kryli się w cieniu gór drugą dobę, rozsyłając komendy do nadchodzących z północnego wschodu oddziałów.

Niespodziewanie jeden z mężczyzn ruszył na zachód, pozostawiając resztę. Szedł swobodnie z bronią na ramieniu.

– Jeden tango na kursie! – Żołnierz od drona ostrzegł w amerykańskim (a raczej natowskim) stylu. Potwierdzono informację jednym sygnałem w eterze.

Talib wszedł pod skałę i niechybnie szykował się do opuszczenia spodni, by ulżyć sobie przed walką. Ujrzał dwa cienie. Zamarł, bo wiedział, że już nic nie może zrobić. Strzałów nie było słyhać. Trup padł na skałę. Drużyna uderzeniowa minęła zakręt i weszła na otwartą przestrzeń. Nie było już odwrotu. Każdy z tego tuzina komandosów potrafił – dzięki szkoleniom i ogromnemu doświadczeniu – dobierać szybko cele.

Operatorzy widzieli wroga, zanim ten mógł się zorientować. Zaczęły huczeć oddawane pojedynczo strzały. Uniósł się kurz. Wokół pick-upów odziani w workowate stroje talibowie osuwali się na ziemię. Któryś krzyknął, ale nie odpowiedział mu nikt. Padający od postrzału zacisnął palec na spuście kałasznikowa i w górę poszła dłuższa seria. Ludzie Rahmata nie zwracali na to uwagi. Parli do przodu, zabijając tamtych. Ślali po kilka pocisków i przechodzili do następnego celu. Zajęło to nie więcej jak trzydzieści sekund, po czym zapadła całkowita cisza.

Wokół pojazdów leżały ciała, rozrzucona broń, radiostacje. Komandosi przykleknęli na zajętej pozycji, aż któryś z przodu, dysząc z emocji, której nie dało się wyciszyć, powiedział do radia:

– Czysto!

Jeden z watażków, ranny chyba w nogę czołgał się w szoku, naiwnie szukając ratunku. Sierżant Wardim, jako dowódca grupy szturmowej, podszedł do mężczyzny i pochylił broń gotowy wypełnić rozkaz niepozostawiania przeciwników żywych.

– Czekaj! – Yasim powstrzymał go stanowczo. – Jeden na pewno się nam przyda. Medyk! – Wskazał dłonią w ciemność. Po chwili chłopak objuczony dodatkowym plecakiem z medykamentami zaczął opatrywać wroga.

– Zbierać co się da! – rzucił jeszcze kapitan. Nie musiał precyzować. Ludzie wiedzieli, że mają zabierać broń, ale przede wszystkim wszelkie dokumenty i komputery, jeżeli gdzieś tu były. Bezpańskie teraz

radiostacje nadal przekazywały wezwania i prośby o rozkazy od szefów pozostałych talibskich oddziałów.

– Zatrzymali się. Wahają się – meldował operator drona, nie bez satysfakcji.

Rahmat włączył na powrót ekran z widokiem z latającej kamery. Inne grupy słyszały walkę. Rozłożyły się między wzgórzami.

– Zwierz bez głowy, co? – Rahmat uśmiechnął się pod wąsem. Przetawił radio. – Tygrys, tu Czarny 1. Macie ich na widoku. Zaczynajcie! Allah Akbar! – zakończył podniośle.

Odpowiedziało mu podobne pozdrowienie.

– Teraz tutejsi mają swoje pięć minut.

Kapitanowi chciało się pić. Patrzył krótko, jak ludzie pakują zdobyte trofea w wielkie płachty znalezione w autach. Od zachodu naraz błysnęło i niebo na ułamek sekundy zrobiło się pomarańczowe. Ziemia się zatrzęsała. Po niebie poszedł terkot i wkrótce pomiędzy wzgórzami dał się słyszeć jęk eksplozji. Potem kolejnej i następnej.

Dwie baterie haubic generała zaczęły wstrzeliwać się we wskazane im cele. Rahmat zerknął na ekran, napawając się przez chwilę satysfakcją zwycięzcy. W ciemnym obrazie górskiego krajobrazu wykwitwały białe pióropusze gorących wybuchów. Blask na kilka chwil zamazywał widok. Błyski zgrywały się z dolatującym z daleka odgłosem. Kiedy obraz powracał, widać było latające odłamki i skrawki ciał. Niektórzy leżeli już martwi. Żywi biegali, przypadając do ziemi, a potem rozpierzchając się w różne strony. Uderzenie za uderzeniem. Wolno i miarowo, w każde większe skupisko ludzi. Yasimowi starczyło. Schował urządzenie. Zabezpieczył karabinek.

– Czekamy, panowie – powiedział do radia, wpatrując się w łuny eksplozji na niebie. Daleko. – Piechota zacznie ich spychać na nas. Mam nadzieję, że nie pozwolimy im się przedrzeć – zakończył, jakby prosił swoich ludzi, ale wszyscy wiedzieli, co mają robić. Dolinę wypełnił krótki, pełen furii bojowy krzyk.

Noc jaśniała rysującymi się nad horyzontem błyskami eksplozji. Były jak uderzenia błyskawic, choć o wiele częstsze i nieprzyjemnie głośnie. Obserwujący to nocne teatrum męzczyzna znał je dobrze. Nieraz był w samym środku cyklonu. Szedł do walki, pod ogień.

Jednak było to dawno. „Papa”, mieszkaniec ukraińskiego Donbasu, postarzał się. Miał pięćdziesiąt sześć lat, ale według wielu wyglądał na starszego. Wysoki, zwalisty i nadal silny ruszał się wolniej, ale dawał radę na nowej posadzie.

Kucał przy oknie najwyższego piętra wyremontowanej szkoły w niewielkim mieście Mita Sah, mniej więcej na granicy dwóch prowincji, Paktija i Chost.

Częstotliwość padających pocisków zaczęła maleć. Błyskało coraz rzadziej. „Papa” wychylił głowę. Wydawało mu się, że pomiędzy wykwitającymi kulami światła widział pojedyncze ogniki pocisków smugowych. Z oddali przedzierały się niewyraźne, spóźnione odgłosy karabinowej palby.

„Papa” poprawił amerykański kevlarowy hełm, który trzymał na takie sytuacje. Podparł się kolbą swojego AK-101 z celownikiem kolimatorowym i wstał. Zbiegł po schodach do piwnicy. W suchym betonowym pomieszczeniu było kilkanaścioro nauczycieli. Miejscowych i przyjezdnych. Ukryło się paru uczniów, nastolatków z okolic.

Pedagogiczno-administracyjnej części przewodził arab, Tarik. Młody, o wąskiej szczupłej twarzy i skręconych nad czołem włosach. Bał się, okropnie się bał. Rozbiegane oczy męzczyzny szklily się, a dłonie aż drżały.

– Co się dzieje? – zapytał, nie przejmując się tym, że reszta wystraszonych słucha.

„Papa” rzucił okiem na wpatrzoną w niego ludzką ciżbę.

– Jeszcze nie wiem. – Ochroniarz położył dłoń na ramieniu belfra i postarał się, by jego głos zabrzmiał kojąco. – Rządowe wojska. Kandak, tutejsi komandosi podobno są w okolicy. – To zadziałało. Nauczyciel przestał na chwilę drzeć. – Nie wychodźcie. Pilnujemy was. Rozumiesz?

Dobrze. Spróbujcie się przespać. Jutro po lekcjach dzieci wrócą do domu. – Klepnął chłopaka nieco za mocno, bo ten aż się zachwiał.

„Papa” wyszedł z budynku szkoły i przyświecając sobie czerwonym światłem czołówki, skierował się prędko do żelbetonowej konstrukcji z szerokim tarasem na dachu. Była to strażnica odziedziczona po posterunku jakiejś bojówki pasztuńskiej, którą wznieśli im Amerykanie. Kilku ochroniarzy, których najęto do ochrony szkoły, miało tu swoją kwaterę. Widzieli stąd kamienne pustkowie, jakie rozciągało się wkoło, i każdą drogę prowadzącą do miasteczka.

Najemnik wszedł do pomieszczenia, które było pokojem socjalnym. A właściwie składem niepotrzebnych mebli, które służyły do wypoczynku. Jego kompani, trzech osiłków: Pakistańczyk, Polak i jeszcze jeden Ukrainiec (bo do tej narodowości mężczyzna akurat się poczuwał... chyba) nie okazywali zdenerwowania. Daleka bitwa niewiele ich obchodziła. „Papa” zmrużył oczy od światła kilku ledowych lamp. Zdjął hełm i rozsiadł się na krześle.

– Co u chłopaków? – zapytał „Lach”, ochroniarz z Polski, nawet nie otwierając oczu.

– Czuwają. Dzieciaki i kadra zdenerwowani, ale się trzymają – odpowiedział.

– Niech się hartują – rzucił beznamiętnym głosem „Kozak”. Wstał z krzeselka i podszedł do zakurzonego ekspresu w rogu pokoju, by nalać lurowatej kawy. – Zaraz znów będzie tu... goręcej. – Napił się, odwrócił i oparł o stół.

– Ty, strateg... – „Papa” pogroził mu pięścią. Żył z wojny, ale nikomu jej nie życzył. Miękł na starość. Przypominał mu się dom i to, co się tam wyprawiało od kilku lat. – Nam nic nie zrobiją.

– Pewien jesteś? – „Kozak” z wyrzutem spojrzał na Pakistańczyka.

Krótko ostrzyżony, wąsaty „ZiZi” niewiele rozumiał z rosyjskiego, ale domyślił, że był to przytyk.

– Pierdol się! – krzyknął po angielsku, wymachując rękoma. Dodał kilka przekleństw i własnych opinii w paszto. – Wszyscy jesteśmy w tym

gównie – zapewnił zaraz o lojalności po angielsku.

– Was tu wszystkich można kupić. – „Kozak” nakręcał się z bezsilności.

– Miejscowych kupiliśmy. Nie martw się tyle i nie myśl – wysyczał „Papa” i wyciągnął się na krześle. Zarzucił nogi na stół. – Za duży deal. Sami wiecie.

– Więc może trzeba było – rzucił „ZiZi”, pochylając się nad stołem, jakby bał się, że ktoś ich podsłucha – ostrzec. – Ostatnie słowo zawisło w pokoiku.

„Papa” nieznacznie się uśmiechnął.

– Trzeba by było, trzeba. Ale nie można być za dobrym. – Mrugnął okiem. – Siedzimy cicho. Nie wychylamy się, póki góra nie zdecyduje co dalej. – Opuścił nogi i niechętnie wstał. – Chuj jeden wie, co tu właściwie jeszcze może się wydarzyć. Kto wie... może pogonią tych talibów? – Zamarł a potem wybuchnął dławiącym, nerwowym śmiechem. – Idę do chłopaków. Może coś nowego? – Poprawił pas broni i niechętnie wyszedł.

Szarość świtu nad Warszawą przechodziła w przyjemnie słoneczny poranek. Adam Thomał, oparty o parapet kuchni ich wspólnego mieszkania przy ulicy Sobieskiego, dopił kawę. Lubił patrzeć z rana na korony zielonych drzew oddzielających ich budynek od komunikacyjnej arterii, która jeszcze znajdowała się w półśnie. Thomał wybierał się do pracy, co – jak wyczuł – tego poranka bardzo nie podobało się Madzi. Przez ostatnie dni dawała do zrozumienia (dość wyraźnymi sygnałami), że weekend razem to za mało. Zwłaszcza kiedy w najmniej odpowiednich momentach ktoś przerywał im sielankę telefonami, a ona sama wolne miała tylko w sobotę i niedzielę. Adam robił, co mógł. Starał się, ale coś nie grało. Nie było tak łatwo jak kiedyś. Opór po drugiej stronie był irytujący, przy wszelkich pozorach łagodności.

Adam co rusz słyszał w głowie szatański podszept, by przestać się starać. Opuścić i podreperować nerwy, jak to określał przed samym

sobą. Ten głos był coraz mocniejszy, chociaż Adam Thomał był w innym punkcie życia, i miał, o dziwo, wyrzuty sumienia. Kiedyś posłuchałby tego podszeptu niemal od razu, ale teraz był związek, była też nowa praca. Funkcja, którą miał pełnić, nie była do końca tym, o czym opowiadał Matyldzie. Ona mogła się chwalić awansami. Jemu zabroniono.

Nowe zaszeregowanie było wyróżnieniem, które przyjmował z radością. Cieszyły go nowe wyzwania i kolejny sukces osiągnięty w życiu, w dodatku dzięki wiedzy, odwadze i tylko przy minimalnym udziale protekcji z dużego pałacu. Wcześniej te proporcje były zupełnie odwrócone.

Były i minusy. Nowa funkcja nie sprzyjała romansom. „Zresztą nie takie rzeczy widziałem...” – pocieszył się w myśli i uśmiechnął. Słyszał o dziesiątkach biurowych romansów. To zaś, co działo się w świecie polityki, zawstydziłoby niejednego świętoszka. Tak o to pokusa, aby zaszaleć, stawała się tym silniejsza, im mniej było widoków na sukces na domowym froncie. Jednak Thomał wciąż trwał w postanowieniu, że będzie grzeczny.

Adam zdjął z krzesła cienki sweter i włożył na koszulkę. W niewielkim sportowym plecaku sprawdził rzeczy, które miał ze sobą zabrać. Zarzucił ekwipunek na ramię i ostrożnie przeszedł do sypialni.

Matylda spała zawinięta w kołdrę. Lubił na nią patrzeć w podobnych sytuacjach.

– Idziesz już? – Ocknęła się niespodziewanie.

– Wybacz, że obudziłem. Możesz spać jeszcze ze dwie godziny.

Uśmiechnęła się, trąc zaspane oczy.

– Spokojnie. Po prostu leżę w półśnie. – Usiadła. – Długo będziesz w... delegacji? – To ostatnie słowo Madzia wymówiła z przekąsem, jak gdyby nie wierzyła, że to rzeczywiście praca. Wiedziała też, że lepiej nie pytać, dokąd jedzie.

– Dwa dni. Potem do ciebie wracam – odparł poważny, nie zauważając, że czasem brzmi jak pantoflarz. Kilka sekund patrzyli sobie

w oczy.

– Powodzenia – odezwała się wreszcie Matylda. – Uważaj na siebie – dodała z troską w spojrzeniu.

– Dzięki. Kocham cię – rzucił na jednym oddechu, a w myśli dopowiedział: „Staram się, do ciężkiej cholery. Nie widzisz tego?”.

– Ja ciebie też.

Ucichła, mierząc swojego faceta wzrokiem. Thomał nie miał zamiaru pokazać, że czeka na coś więcej, że oczekuje odpowiedzi na pytanie, które wisiało między nimi od czasu kolacji nad Wisłą. Było jednak za późno. Niepasująca do niego niepewność i obawa musiały być widoczne z daleka.

– Nie bój się, myślę... – Madzia wypowiadała słowa niby od niechcienia, przymykając powieki. Adam oderwał się od ściany i zbyt długo wahał, co ma odpowiedzieć. Perfidia dziewczyny, której był pewien, sprawiła, że nie był w stanie rzucić jakiejś mądrej riposty. Za to miał jeszcze jeden dowód, że to wszystko gra. Bała się, a jednocześnie trzymała w diabelnej niepewności. Dawał się upokarzać. „Urządzasz mi czyścić” – pomyślał. Zaraz owładnęła nim złość, ale nic nie pokazał po sobie. W jednej chwili młodszy Adam, albo i jakiś niedobry duch, znowu zaczął namawiać, by dał sobie spokój i poszedł na żywioł. By nie martwił się, co będzie, i przestał się wygłupiać. Zranione ego bolało, przesłaniając jego występki. Tak się do nich przyzwyczał, że nie uważał za nic zdrożnego. Chciał nawet więcej.

– Cześć, odezwę się.

Pomachał dłonią i ruszył do drzwi. Musiał skupić się na czymś innym, nie rozpamiętywać niuansów kobiecego zachowania. Nie on jeden nie potrafił zrozumieć logiki i zachowania płci przeciwnej. Adam nie chciał zwariować.

Czarna służbowa skoda octavia przemknęła przez dopiero budzącą się do życia Warszawę. Było pusto. Na drogi wyjeżdżały pierwsze auta. Służby miejskie porządkowały ulice. Pod niektórymi sklepami kończył się wyładunek zaopatrzenia.

Za plecami Adama po nieboskłonie wspinało się słońce. Pierwsze prognozy w radiu mówiły, że dzień będzie ciepły. Idealny na wypad za miasto, na łono natury.

Miejsce, do którego udawał się Thomał, było urocze. Znajdowało się pośród pięknej, bujnej natury, wśród cichych lasów, opodal niewielkiej rzeki. W połowie drogi między stolicą a Łodzią. Oficjalnie był to ośrodek wczasowy, który dopiero szykował się na nieodległy już sezon. Tak naprawdę zaś nowe, niestandardowe więzienie oddane we władanie Agencji Wywiadu, choć z nieruchomości korzystały również inne służby.

Placówkę osłaniało (prócz lasu) ogrodzenie z siatki i solidny mur. Na obydwu przeszkodach zamontowano czujniki ruchu oraz kamery z oprogramowaniem do skanowania twarzy. Ośrodek przekształcono w nowoczesną placówkę, minitwierdzę, do której nie mógł dostać się nikt postronny.

Skoda zatrzymała się przy rogatece ze szlabanem i opuszczaną betonową szykaną. Niecodzienny widok w ośrodku wczasowym. Ze strażnicy wyszedł dobrze zbudowany chłopak w uniformie pasującym do ciecica na budowie. Dbano tu o dobry kamuflaż. Na swoim monitorze widział auto na długo przedtem, zanim zbliżyło się do szlabanu. Strażnik znał już Adama.

– Dzień dobry – rzucił z uśmiechem, zupełnie zwyczajnie.

Kierowca bez zbędnej zwłoki podał swoją legitymację i specjalną przepustkę. Mały, czerwony kawałek plastiku. Wartownik sprawdził wszystko sumiennie, według powierzonej mu listy. Znajomość z wjeżdżającym nie miała tu znaczenia. Adam zaś wiedział, że za każdym razem, kiedy mija bramę, każdy wóz, którym się porusza, jest potajemnie skanowany w poszukiwaniu urządzeń zakłócających pracę ośrodka: mogących nadawać, odbierać lub wskazywać lokalizację.

– W porządku, panie Adamie. – Gdy strażnik był pewny, że sprawdził wszystko, oddał dokumenty. – Miłego dnia życzę – powiedział i dotknął ręką daszka czapki.

– Dzięki, wzajemnie – odpowiedział Thomal z uprzejmym uśmiechem i, gdy tylko przeszkoda się podniosła, ruszył. Jechał do samego centrum palcówki. Do budynku przypominającego koszary albo raczej robotniczy hotel o podwyższonym standardzie. Był pamiątką po PRL i nie do końca znanej jednostce wojskowej. Dwupiętrowy klocek otaczały pomniejsze budyneczki. W parterowych, murowanych barakach teoretycznie znajdowały się magazyny, kotłownia i inne pomieszczenia techniczne. W rzeczywistości zaś sprzęt łączności i całe oprzyrządowanie do strzeżenia ośrodka.

Thomal zaparkował pod wiatą z pleksi. Chroniła nie tylko przed słońcem czy deszczem, ale przede wszystkim przed obserwacją z wysoka. Z bardzo wysoka. Adam wysiadł, złapał plecak. Uderzyła go cisza tego miejsca. Nikt nie szwendał się po asfaltowym placu między budynkami. Zieleń szumiącego lasu skrywała kilkanaście pustych lub zajmowanych przez takich jak on gości domków. Tylko pokraczna bryła budowli kolidowała z atmosferą miejsca. Thomalowi pasowałyby tu urokliwe pałacyki albo secesyjne wille.

Magnetyczna karta przyłożona do drzwi zidentyfikowała przyjeźdnego. Kolejny ochroniarz wcisnął przycisk i drzwi otworzyły się.

– Dzień dobry – rzucił Adam do ludzi za szkłem jasnej, nieco laboratoryjnej „repcji”.

– Powitać, powitać.

Dowódca zmiany, tęgawy mężczyzna o szerokim karku podsunął papier będący dokumentem wejścia. Adam wypełnił go machinalnie. Ruszył do windy, otworzył ją kartą i wcisnął przycisk -2.

Drzwi otworzyły się na poziomie głębokiej piwnicy. Na korytarzu stał człowiek o posturze gibkiego biegacza: chudy, wręcz kościsty, z meszkiem ostatnich włosów na głowie. Podobno, jak słyszał Adam, był z niego mocny zawodnik. Pokonał jakąś formę nowotworu, wrócił do pracy i ani razu nie wspominał o problemie. Tego poranka tryskał energią. Ubrany jak Adam: w jeansy i cienki sweter. Przypominał zamożniejszego turystę w ośrodku wczasowym.

Pułkownik Stefan Kłodziński. Wesoly, jowialny jegomość. Przeważnie uśmiechnięty i lustrujący każdego byстрыm spojrzeniem. Był pułkownikiem Agencji Wywiadu, ale o tym wiedziała garstka wybrańców. Kłodziński pracował, a właściwie przesiadywał w MSZ jako konsultant lub wicedyrektor przeróżnych departamentów. Był łącznikiem z wywiadem, a odkąd przestał działać za granicą, zajmował się koordynacją prac obu instytucji i łowieniem talentów – jak sam mówił o sobie, kiedy zaproponował Thomali pracę w kolejnym miejscu.

– Jak nastrój? – Stefan wyciągnął dłoń na powitanie. – Jak wielkie plany? – dorzucił zaraz pytanie, wyraźnie ciekawy relacji Adama.

– Cóż... – Adam zastygł, marszcząc brwi i szukając gorączkowo jakiejś mądrej odpowiedzi. – Plany nie zawsze udaje się zrealizować. – Skrzywił nieporadnie usta, wiedząc, że wychodzi na żalostnego i pokonanego. Pułkownik przechylił głowę, zaskoczony nowiną.

– Aż tak źle? – wymknęło mu się. Znał przeszłość Adama i jego talent do zjednywania sobie kobiet. Dokładnie studiował jego życiorys umieszczony w teczkach osobowych. Uznał więc, że Thomał musiał znów nabroić.

– To nie tak, jak myślisz. – Thomał zaprzeczył, czując, że szef zaczyna podejrzewać go o coś, co nie pasuje do poukładanego życia pracownika AW. – Ale za to grzechy przeszłości teraz... procentują. No i kto zrozumie babską logikę.

– Święte słowa... – Kłodziński zamyślił się i odpłynął gdzieś.

– Ale nie ze mną te sztuczki. Wiem, że będzie dobrze. – Thomał uderzył w uda dłońmi. Nadrabiał wigorem.

Stefan ocknął się i zdawało się, że nie pamięta o osobistych porażkach młodszego kolegi.

– Doskonale. Zapraszam. – Powiódł Adama w kolejny korytarz. Biały i jasno oświetlony niczym segment jakiegoś ośrodka dla psychicznie chorych.

– Jak nasz milusiński? – spytał szczerze zaciekawiony Thomał.

– O, doskonale – odparł pułkownik. – Żadnych ansów. Podoba mu się tu. Może nawet za bardzo. Albo ja głupieję. Zawodowa paranoja. – Na moment spoważniał. – No, ale twój kolega był zmęczony, więc daliśmy odpocząć. Za wiele tego. My, Amerykanie, Anglicy... Pozwoliliśmy pospacerować. Lubi łowić ryby, wiedziałeś? Sądziłem, że tylko po pięćdziesiątce ludzie mają takie hobby.

– Za dużo siedzisz w swoim świecie.

– Co racja, to racja – Kłodziński sapnął ciężko, pojmując, że świat poza wycinkiem jego pracy, i zarazem pasji, przyspiesza nieprawdopodobnie.

Przystanęli przy drzwiach. Stefan przyłożył kartę i obydwaj weszli do wygłuszonej, jasnej sali konferencyjnej z długim stołem, krzesłami i kilkoma mapami Europy i świata.

– Witam panów. – Thomał pozdrowił dwóch mężczyzn i kobietę zasiadających przy stole. Byli nieco starsi od niego. Wystrojeni podobnie, jak korposzczury na jakimś wyjazdowym szkoleniu. Niby swobodnie, ale z nutą ostrożnej elegancji. Żadnego niechlujstwa. Taki był tu dress code. Mężczyźni zbliżali się do wieku średniego, a sądząc po ich obliczach, lubili od czasu do czasu zapomnieć o stresie dzięki przyjęciu wielkiej ilości alkoholu, z czym absolutnie się nie obnosili i co nie wpływało na ich zdolności. Kobieta była krótko ostrzyżoną blondynką w okularach, z mocno zarysowanym biustem, który przyciągał wzrok każdego faceta. Adama Thomali w szczególności. Uśmiechała się prawie bez ustanku, ale nie przestawała przyglądać się rozmówcom, tak jakby usiłowała czytać myśli.

Ich moc była sumą ilorazów inteligencji i umiejętności, które nauczyli się maskować wypracowaną pospolitą fizjonomią. Być może zdawali się nieco znużeni pobytem w tym ośrodku i ciągnącą się długo pracą. Bardziej tęgawy był major Michał Jabłonowski, jego przeciwieństwo stanowił niezdrowo chudy kapitan Arkady Ikisu z głową na cienkiej jak tyczka szyi. Pół Polak, pół Japończyk, aczkolwiek z przewagą tutejszych genów, co zdradzała uroda oficera. Agata Anras również miała stopień kapitana. Dla kogoś zupełnie postronnego, przechodnia na ulicy była to

mało interesująca grupa. A byli przecież utytułowanymi oficerami wywiadu. Na dodatek dwoje z nich to psychologowie, zaś Arkady był specjalistą od nowych technologii informatycznych (czyli czegoś, co Adam tłumaczył sobie jako połączenie programowania i sztucznej inteligencji). Więcej nie rozumiał, albo nie mówiono mu za wiele. Tak czy owak przy nich czuł się jak zupełny przeciętniak.

Potrafiliby przejrzeć człowieka na wylot, czytając z jego zachowania, twarzy i wszystkich tików. Wsparci technologią stawali się alfą i omegą. Jako pierwsi sprawdzali, czy przesłuchiwany lub sprawdzany człowiek przekazuje prawdziwe informacje.

Przy tej trójcy można było nabawić się kompleksów, choć były sprawy, w których Thomal przodował. Zupełnym zrzędzeniem losu, lub – jak uważał wcześniej sam zainteresowany – za sprawą pecha Adam zdobył wielkie doświadczenie w działaniu na pierwszej linii. Umiejętność improwizacji i działania pod wielką presją była jego atutem. Zwłaszcza że mógł poszczycić się niezbyt długą, ale bogatą historią służby w policji.

– Pan władza jak ranny ptaszek. – Agata odezwała się pierwsza, zerkając znad okularów w czarnych okrągłych oprawkach. Aura bohatera, który kilka razy uciekł kostusze spod kosy, zapewniała przychylność i sympatię koleżanki. Thomal zaś nieskromnie uważał, że nie zardzewiał i potrafił oczarować nawet starsze niewiasty.

– Stęskniłem się za wami – rzucił Adam z wesołą drwiną i przysiadł się do reszty, zdejmując plecak.

Kobieta patrzyła na niego tym analitycznym spojrzeniem. Pozostali dwaj stroili sympatyczne miny, taktownie nie dopytując o to, co na pewno już wiedzieli, czytając w nim jak w książce.

– Weekend udany, jeżeli chcecie wiedzieć – dodał Adam. – Choć były pewne potknięcia. – Spode łba rzucił Kłodzińskiemu niewypowiedziane ostrzeżenie, by nie ważył się poruszać tematów dotyczących życia prywatnego. Był tu ciągle nowy i najmłodszy, ale istniały pewne granice. Pułkownik rozumiał sytuację. Wciągnął faceta w biznes, zdobył jego zaufanie, więc nie miał zamiaru zmarnować tej pracy. Zwłaszcza że

układanie sobie życia nie było nigdy tematem pogaduszek w czasie służby. Szczególnie w takim miejscu jak to, czyli w utajnionym ośrodku „firmy”.

– Dobra. Wypada trochę podzielać – zaczął zupełnie już poważny Kłodziński, skupiając na sobie uwagę reszty. Usiadł na końcu stołu. – Dziś, jak wiecie, razgawor prowadzi Adam. – Thomał przeglądał notatnik i kiwał głową.

– Gość lubi cię najbardziej – wtrącił Michał.

– Oj, tak. – Agata wyciągnęła się na krześle i pomachała palcem, jakby groziła młodemu. Tyle że z wielkim urokiem. – Wspólnota przeżyć? A może mu zaimponowałaś? Chyba tak, o to tu chodzi.

– Ważne, że gość nam ufa – przerwał jej Adam. – Nam wszystkim. – Czuł się nieswojo, kiedy mu kadzono w tym towarzystwie. Zastanawiał się, czy to przypadkiem nie żarty i sposób na sprawdzenie jego reakcji.

– Dokładnie o to chodzi – przytaknął pułkownik. – Bez względu na to, czy nas słucha, lubi albo szanuje, Amerykanów się boi. Prawda, Arkady? – wywołał informatyka.

– Natężenie stresu rośnie, kiedy tylko jankesi wchodzą do akcji. – Wyciągnął z torby pod stołem kartkę z wykresem. Dowód zapisu jego aparatury, której czujnikami naszpikowano „pokój rozmów”.

– Na ciebie naprawdę reaguje najlepiej – dodała Agata.

– Może się w tobie zakochał? – Arkady dowalił, jak przystało na starszego służbą, a może i zazdrosnego.

– Tak... – Adam nie stracił rezonu. – Wyznajemy to sobie za każdym razem. Rozumiem go. Też wolałbym młodszych i ładniejszych – odparował, nie spuszczać wzroku ze starszego kolegi. Kilka razy w życiu przechodził „chrzest” młodego, więc wiedział, jak ma się zachować.

Agata i cała reszta zanieśli się krótkim śmiechem. Arkady skinął głową na znak szacunku za takie odszczeknięcie.

– Pośmiali się, pogadali... – Kłodziński postukał palcem w blat. – Później też będzie czas. Adam... – Przesunął się w krzesło i zarzucił ramię na oparcie. – Zmiana planów. Większość spraw obgadaliśmy. Są w analizie i sprawdzaniu, więc mamy zająć się czymś gorącym. Aktualnym. Może coś będzie wiedział.

Przydzielona gościowi cela była de facto niewielkim, podziemnym mieszkaniem. Aneks kuchenny wyposażono jak w bunkrze wybudowanym przez siećówkę meblową. Niewielka sypialnia, łazienka. Wszystko ukryte głęboko poniżej poziomu gruntu. Pilnowane przez monitoring i wentylowane.

Wiaczesław Filipowicz Arlow czekał w swoim pokoju, siedząc za stołem. Ubiorem przypominał sportowca na zgrupowaniu. Wąskie dresowe spodnie i bluza z kapturem nie pozwalały odgadnąć jego zawodu.

Przed nim leżały przybory do pisania, skoroszyty, kilka atlasów i słowników polsko-rosyjskich. Żadnej elektroniki, za pomocą której mógłby łączyć się z Internetem lub jakąkolwiek siecią komórkową.

Rosjanin przytył nieco, co było nieuchronne w zamknięciu, w jakim przebywał od prawie ośmiu miesięcy. Jego i tak pucołowata twarz zaokrągliła się, a sylwetka atlety, który niegdyś biegał po górach z plecakiem, straciła na atrakcyjności. Arlow robił, co mógł, by spowolnić ten proces, i trzy razy w tygodniu urządzał treningi między meblami swojego lokum.

– Proszę – odezwał się po polsku Rosjanin, kiedy usłyszał pukanie.

Trzasnął elektroniczny zamek i w progu stanął Adam Thomal.

– Priwiet! – udał, że saltuje.

– Gaspadin policyjski! – Wiaczesław wstał i pospieszył z wyciągniętą dłonią, by się przywitać. – Wiedziałem, że to ty. Inni nie pukają, tylko wchodzą. – Wskazał krzesło przy stole, przyzwyczajony do roli gospodarza. Adam ukradkiem rozejrzał się po pokoiku, zawsze oceniał takie miejsca, nawet jeżeli znał je i uważał za bezpieczne.

Jedna kopia obrazu na betonowej ścianie, lampa na komodzie pod telewizorem i szara kanapa. Żadnego bałaganu, rozłożonych nieumytych naczyń, skarpet na podłodze albo rozrzuconych gazet.

– Schludnie, ładnie – oznajmił półszepem, zaciekawiony.

– Wybacz, tak mam. – Wiaczesław wzruszył ramionami. Nieco go zastanowiło, a może dotknęło, że polski przesłuchujący dostrzega jego uporządkowanie tak późno. – Kawy? – zapytał, zmieniając temat.

– Poproszę. – Adam zgodził się uprzejmie, hamując jak podczas każdej wizyty wesołość wywołaną przez tę, z pozoru pospolitą, gościnność. Jakby przyszło im spotykać się dla przyjemności gdzieś w Petersburgu lub Moskwie.

– Długo cię nie było. – Arlowow mówił z kuchni, nalewając wodę do czajnika.

– Sprawy osobiste. – Adam rozkładał kartki, choć wiedział, że każde słowo jest nagrywane, a oni dwaj obserwowani. Zresztą ich gość miał również pełną tego świadomość. – O to też trzeba zadbać. A pracy sporo – mówił ogólnie.

– Tak, sprawy osobiste. Rodzinne. – Wiaczesław przystanął w drzwiach, zakładając ręce na piersi i patrząc w podłogę. Przygryzł wargę i błędził gdzieś myślami. Adamowi, zgodnie z kielkującą jak u wszystkich paranoją, przeszło przez myśl, że to gra. Sztuczny obrazek, który miał wywołać współczucie, a nawet litość. Tyle tylko, że odkąd „odwiedzał” Arlowowa, ten starał się być niewzruszony i profesjonalny. Nigdy w rozmowie nie dał świadectwa choćby krzty tęsknoty. „Coś cię łamie?” – pytał w duchu Thomal, rozumiejąc, że Rosjanin tylko w zachowaniu profesjonalnej postawy widzi swoje szanse.

Kiedy Wiaczesław Arlowow przechodził na stronę NATO na rosyjsko-litewskiej granicy miał stopień kapitana. Oznaczało to, że w GRU znaczył niewiele. Był koniem roboczym towarzyszy pułkowników, ważnych czynowników o prawie nieograniczonej władzy, czerpiących frukta z każdej możliwej dziedziny. Kimś takim jak jego ojciec, który zginął podczas zadania realizowanego w Polsce. Było to przy pierwszej dużej sprawie, jaką prowadził Thomal, niejako wbrew przełożonym.

A była to sprawa, która mimo niebezpieczeństwa wyniosła go na szczyt. Tam wyszedł poza „zwykły” świat przestępczości i zderzył się z nową państwową mafią rosyjskiego bantustanu i jej wielkimi możliwościami. Zwłaszcza w kraju nieoczyszczonym wtedy ze starych złogów i zależności^[3].

Jeżeli chodzi o Wiaczesława, to po kilku latach służby został wplątany w tajną operację dywersyjno-dezinformacyjną. Jej celem był Adam Thomal właśnie. Jego uprowadzenie i oskarżenie o szpiegostwo miało przerodzić się w medialny teatrzyk, który maskowałby działania na innych ważniejszych odcinkach. Arlowowi wmówiono, że mści ojca, jako że Adam miał być jego zabójcą. Ta część operacji wkrótce się posypała, a młodemu kapitanowi nie pozostało nic innego, tylko próbować uniknąć kary za blamaż i uciekać. Czuł się oszukany i wykorzystany, co zakrawało na naiwność, niegodną człowieka wywiadu.

Sam niewiele znaczył w systemie, ale jako że był synem ważnego ojca, podniesiono go w hierarchii. W uznaniu zasług taty był przydzielany jako umyślny do ciekawych zespołów działających w Europie, Azji i Bliskim Wschodzie. Wykazał dokładnie, jak wyglądały przygotowania do serii prowokacji w Europie. Obserwował je z bliska, a akcja z Thomalem była mu nawet powierzona. Ta mnogość pracy i stosunkowo młody wiek pozbawiły Wiaczesława słabych punktów. Nie miał jeszcze rodziny, prócz matki, wdowy po oficerze GRU. Dziewczyna, z którą się spotykał, nie była już balastem, o który musiałby się martwić.

Woda zaszumiała w czajniku i urządzenie pstryknęło.

– Z mlekiem? – Wycelował palec w gościa, wyrwany z rozważań o przeszłości.

– I z cukrem – uściślił Adam.

Rosjanin postawił za chwilę na stole dwa parujące kubki i rozsiadł się, wyraźnie nie mogąc doczekać się rozmowy. Thomal wyrażał satysfakcję z ofiarności Arlowa, ale sam zaczął się zastanawiać, czemu tak dobrze im się współpracuje. Rosjanin nabijał punkty, od których zależał poziom

przyszłego życia. Zakwaterowanie, być może pensja. Chciał być szczery i oddany, rozumiejąc, że każde jego słowo jest sprawdzane, a każda nieścisłość może uniemożliwić mu pracę, może nawet na stanowisku konsultanta w którejś z zachodnich służb. Krótko mówiąc: stabilizację w nowym życiu. Stabilizację i ochronę.

„Wy, Ruskie chyba naprawdę szanujecie zwycięzców” – pomyślał Adam ze ściągniętymi brwiami, gapiąc się na tamtego. Pociągnął łyk za gorącej jeszcze kawy. Kiedy się poznawali, Wiaczesław był butny, chamski i brutalny. Kiedy wszystko się zawaliło, stał się potulnym barankiem.

– To co dziś? Ostatnio mówiliśmy o ośrodkach gamingowych na zachodzie. – Arlwow przerwał bezczynne wyczekiwanie. – Wasi więksi bracia zza wody też o to pytali. Te wszystkie gry w sieci pozwalają na budowanie bazy.

– Nie, to zostawmy. – Polak utracił wątek.

– O! – Wiaczesław otworzył usta i się uśmiechnął. – Coś nowego. Fajnie. – Rozpiął suwak bluzy.

– Dziś muszę zadać ci kilka pytań o... – Thomal udał, że szuka tematu na kartce. Jednocześnie bacznie obserwował interlokutora. – Afganistan.

Arlwow wygiął wargi w podkówkę, a czoło pokryły zmarszczki.

– Nie mój departament. – Zdziwiony wzruszył ramionami. Ślizgał się wzrokiem po notatkach Thomala, a potem po ścianach, niespodziewanie zainteresowany kamerami.

– Uważasz, że to jakiś test? Że mam coś na ciebie, o czym nam nie mówiłeś? – Bawił się setnie, był pewien, że odczytuje zachowanie poprawnie. – Masz dostęp do telewizji. W Europie nie mówi się może wiele o tym kraju, ale... Mamy problem. Jankesi ogłosili odwrót, a talibowie zaczynają być agresywni. Delikatnie rzecz ujmując.

– Talibowie... – wyszeptał Rosjanin i nerwowo przygryzł wargę. – Opowiadałem przecież o ludziach Kadyrowa i jego „ogródku”. On miał zalać świat islamski naszymi... jego ludźmi. Tak jak przy zamachach

w Szwecji, ale przede wszystkim Syria i Afganistan właśnie. To trwa od lat. Talibowie to szmaciarze w sandałach. – Ożywił się pełen pogardy, zarazem dumny z działań poprzedniego pracodawcy. – Bez wsparcia z zewnątrz nic by nie zdziałali. Amerykanie dużo wiedzą. Poznałem po ich pytaniach. Coś podobnego ćwiczyli w Iraku, gdzie partyzantka była zbyt dobrze poinformowana, gdzie i jak uderzyć.

– OK, OK. – Adam zgodził się, choć nie o tym chciał mówić. Splótł palce na stole i patrzył na Wiaczesława. – Czy masz jakieś informacje o rozszerzeniu bazy waszych najemników?

– Tam? W Afganistanie? – dopytał Arlow. – Chcecie wiedzieć, czy pozyskujemy ludzi z Azji Środkowej? Oczywiście. Nie mam liczb i danych, ale Kadyrow szkoli takich w swoim nowiutkim ośrodku pod Groznym. Będą potrzebni. – Wydawał się zażenowany poziomem pytania.

– Dobrze, ale skąd ich biorą? – Adam miał szczegółowe wytyczne co do zagadnień.

– Mało jest uchodźców? Sierot po wojnach albo weteranów? Każdy próbuje ich zagospodarować. – Wiaczesław nieco obruszył się na brak tak oczywistej wiedzy.

– A Afganistan? Czy możesz coś powiedzieć o siatce takich układów tam? – Polak docisnął, nie chcąc tracić czasu na teorie. Arlow przysunął się bliżej i pochylił głowę.

– Z własnego doświadczenia wiecie, że nasi Czeczeni potrafili płacić dzieciakom po dolarze za rzucenie kamieniem w natowski patrol. Dolar to było coś więcej niż cukierek albo długopis od was. Poza tym amerykańscy przyjaciele... – znowu wyszukał niewielką kamerę w rogu pokoju i tam zaczął kierować słowa – ...bywają nierozsądni. Skoro potrafili zatrudnić jako konsultanta do spraw tej sterty kamieni weterana sowieckiej armii, pułkownika GRU. – Wybuchł śmiechem i teatralnym gestem potarł oczy. Historia z oficerem „po GRU” była legendarna, niebezpieczna i szokująca. – Skoro więc robią takie błędy, to nie mają czasu zauważyć, jak Rosjanie rozpanoszyli się po kraju i potrafią schodzić do tak niskich poziomów. Nie byłem tam. Ty chyba

też nie. Ale wiem, że mamy pod Hindukuszem dużą telefonię komórkową, kilka sporych firm, banków i takich różnych. Opletliśmy ten kraj pajęczyną pod okiem NATO. A co dopiero Chińczycy...

– Tak, rozumiem – odparł Thomał. – To ciekawe, ale czy wiesz coś dokładniej? To bardzo obecnie nas interesuje.

– Byłem raz w Tadżykistanie. Było nas z sześciu. Szefował pułkownik Primkow, pseudonim „Gaspadin Ministr”. Stary wyga. Zajmował się szkoleniem i przerzutem dywersantów, którzy mieli pozostawać w uśpieniu. Sam ich trenował. Wynajdywał, jeszcze na placówkach na Bliskim Wschodzie. Jak rozumiesz, to niemłody facet. Działał jeszcze w epoce Andropowa i całej reszty.

– Kiedy to było? – Adam chwycił długopis. – Kiedy był w Tadżykistanie?

– Chyba w 2015. Może w 2016, w samym szczycie kryzysu imigracyjnego, który przeszedł przez Syrię i Libię. Pewnie „Ministr” też w tym brał udział. Może sam wymyślił. To dobry szachista. Dużo myśli, mało mówi, przynajmniej z podwładnymi. Typ introwertyka, a może i lekko autystyczny. Ja i koledzy byliśmy jego psami gończymi. Przynieś, podwieź, ochroń. W Tadżykistanie miał jakieś rozmowy. Tam pół kraju to nasza agentura. Nie było problemu. Pewnie kiedy zaczął się ten burdel w Europie, ktoś wpadł na pomysł powtórzenia tego albo... Zabrakło chętnych do pracy dla nas – zakończył ze śmiechem.

Adam omiół odstępce zaciekawionym spojrzeniem, konstatując, że ten mimo pozorów musi być pod presją. „Zbyt często się śmiejesz” – zauważył w myślach.

– Czy Primkow robił coś jeszcze?

– Nie wiem. Może tylko rozmawiał wstępnie, a zajął się tym ktoś inny. Potem miałem inne zadania. Zginął mój ojciec i...

– O czym rozmawiał w Tadżykistanie? – Thomał twardo uciął ckliwsze akordy, mając już po dziurki w nosie głędzenia o sprawie gdańskiej sprzed lat.

Wiaczesław wyciągnął dłonie i zaparł się o stół. Zwilżył usta językiem. Gorzej zniósł przekierowanie rozmowy z jego osobistego dramatu. Adam miał to gdzieś. Jak go uczono, z pokonanymi, zwłaszcza ze wschodu, tak właśnie trzeba było.

– No więc? – ponaglił nieuprzejmie.

– Pamiętam jak przez mgłę. Słyszałem tylko ogólniki, kiedy szef się szykował. Potrzebował ludzi, zaufanych ludzi na miejscu. Do czego? Nie mam pojęcia. Chciał działać punktowo, czy tworzyć sieć po za naszymi strukturami. Wtedy byliście tam wy i Amerykanie, w ogóle całe NATO. To był tygiel. Trudno było wejść z nową inicjatywą, jeżeli rozumiesz. Zaraz zresztą wyjechaliśmy. Na Ukrainie też wiele się działo. Było co robić...

– Potem nic nie obilo ci się o uszy?

– Nie, zupełnie się tym nie interesowałem. – Wiaczesław wzruszył ramionami. – Zresztą Kabul to był karny odcinek. Najlepsze szlify można było zdobywać u was, w Polsce. – Pokierował dłonią po pokoju. – Nie wiem, co potrzeba twoim szefom, ale mogę doradzić to, co każdy wie. Szukajcie śladów naszych... To nie będzie oczywiście łatwe, bo nawieźliśmy tam tysiące „turystów”. Pewnie nawet połowa to zwykli biznesmeni, ale... Po nitce do kłębka? Tak się u was mówi? – Popisał się znajomością niuansów językowych. – Oczywiście jeżeli będziecie mieli czas i sposobność... Coś mi mówi, że zaraz zacznie się tam gorąco i nie będzie wiadomo, w co ręce włożyć. – Złapał kubek i chwilę grzał nim dłonie. A potem dodał, jakby coś sobie przypomniał: – Kto wie... Może nasi potrzebowali tylko kogoś do nowych biznesów z heroiną. Do Petersburga szło tego sporo. Nawet jeszcze jak na północy rządził Masud... Może to będzie trop.

Adam Thomal zanotował kilka swoich przemyśleń i odłożył długopis. Usiadł bokiem, zarzucił nogę na nogę i zastukał palcami w stół.

– No to od początku. – Zastosował zwyczajową metodę. – Jeszcze raz, ale dokładniej. Kiedy byłeś w Tadżykistanie? Z kim? Jak długo? I co pamiętasz z rozmów? Choćby dotyczyły tylko pogody... – Zmieniał się w rasowego śledczego. Na początku uprzejmego, acz stanowczego.

Nigdy nie musiał być ostrzejszy w dyskusjach z Arlwowem. Ten spowiadał się rzetelnie. Tego jednak dnia były policjant nie wróżył sobie sukcesu. Doświadczenie tak mu podpowiadało.

Siwy jegomość o wyglądzie krzepkiego seniora, ale jeszcze nie dziadka, opierał się o mur nad rzeką i przyglądał krajobrazowi. Niemłodego mężczyznę cieszyło ciepło wiosennego dnia, śpiew ptaków i zieleń rozłożystych drzew rosnących wzdłuż betonowego prospektu. Sam widok nie był imponujący. Szeroka tafla wody, połyskująca od słońca, dzieliła miasto na dwie części. Park dodawał nieco elegancji, ordynarnym cementowym zbiorowiskom „klocków” bez żadnego wyrazu.

Nie było tu śladu zabytków i choćby prób gustownego podejścia do współczesnej architektury. Morze betonu upstrzonego reklamami, lampionami i stosami śmieci. Jedynie na obrzeżach, gdzie swoje wille (choć też nie najpiękniejsze) stawiali członkowie ogromnej diaspory chińskiej, było czystiej i schludniej. Poczciwy dziadek właśnie dlatego nie lubił tego skrawka państwa. Trzymał się daleko od Syberii, jej przygnębiających lasów, stepów i rozpaczliwie nijakich miast.

W kieszeni krótkiej wiatrówki zadzwonił telefon.

– Słucham – zapytał mężczyzna nieśpiesznie. – Rozumiem. Za pięć minut... – Zakończył połączenie.

Odwrócił się od rzeki. Nasunął tanią czapkę z daszkiem na czoło i zdołał w kilka sekund przeanalizować okolicę. Za pasem zieleni i drzewami biegła ulica i szpaler domów. Podobno najdroższych w centrum. Ruch był niewielki. Zarówno na ulicy, jak i trotuarach. Na jednej z ławek spał jakiś bezdomny. Gdzieś dalej błąkał się bezpański pies.

Mężczyzna ruszył w stronę jezdnii zdecydowanym krokiem, ale uważał, by nie wzbudzać zaciekawienia swoją gibkością. Okrągła, pulchna twarzznaczona kilkoma zmarszczkami i perkaty nos, osadzony pomiędzy na wpół przymkniętymi oczami, zdawały się określać

człowieka bez siły. Takiego, który swoje w życiu zrobił, a teraz upodabniał się do milionów emerytów w tym kraju. Może z tą różnicą, że w tym wieku jeszcze żył, co było swoistym rekordem wśród obywateli czekających na państwową pensję.

Ten osobnik nie był zwyczajny. Wiele przeżył. Niezgrabny chód i mętny wzrok przysypiającego rencisty były wyuczonymi sztuczkami, które myliły wiele osób.

Dziadek był wysoki, miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i bujną ciagle, choć siwą czuprynę, niekorespondującą zupełnie z wysportowaną (jak na sześćdziesiąt sześć przeżytych wiosen) sylwetką. Zalety fizyczne również maskował obszerniejszymi i tańszymi ubraniami albo zgarbioną postawą.

Tego przedpołudnia „emeryt” szedł jednak żwawo, kierując się do uliczki położonej kilkaset metrów od jego ostatniego punktu obserwacyjnego. Jak miał we zwyczaju, wyuczył się topografii śródmieścia tak dokładnie, że nie potrzebował żadnych GPS-ów i internetowych map, które mierzyły go, zwłaszcza że używali ich młodzi adepci jego zawodu.

W alejce z dziurawego asfaltu, otoczonej murami z pustaków, gdzie pod młodymi, na wpół uschniętymi drzewami parkowały auta, stał jeden wyróżniający się wóz. Mercedes G. Czarny, połyskujący. Starszy pan wiedział, że nie ma mowy o pomyłce. Złapał za klamkę i wskoczył na tylne siedzenie.

– Do dupy z maskowaniem – rzucił oschle na powitanie, podając dłoń człowiekowi w czarnej koszulce polo, rozsiadającemu się na kanapie. Był młodszy o kilkanaście lat. Krótko ostrzyżone włosy maskowały zakola. Nie był wzorem krzepkości i zdrowego stylu życia. Świadczył o tym mocno zarysowany pod ubraniem brzuch i drugi podbródek. Pasażer miał na nosie czarne ray-bany, ukrywał swoją tożsamość przed osobami postronnymi albo lubił się popisywać. „Emeryt” uznał, że raczej to drugie, jako że szyby wozu były przyciemniane. Była też trzecia możliwość.

– Ciężka noc na służbie ojczyźnie? – zapytał starszy z powagą, po czym przystawił prostą dłoń do szyi.

– A ty byś nie pił, gdyby cię wysłali do tej dziury? – Przez twarz łysego przeszedł nerwowy grymas.

– Fakt – Siwy zgodził się markotnie. – Po chuj ściągałeś mnie na to zadupie?

– Bo tylko na takich zadupiach możemy porozmawiać spokojnie.

– Aż tak źle? – westchnął zrezygnowany starszy mężczyzna.

– W tym temacie tak może być. – Łysy sięgnął na podłogę do skórzanej teczki. Wydobyl szeroką kopertę i jedno mniejsze opakowanie. – Kostia, zapoznasz się – polecił. – No i działasz.

– Szybko. – Starszy pan przeglądnał pierwszy plik kartek w uchylonej kopercie. Nie wydawał się najszcześliwszy.

– Dasz radę. Kto jak nie ty... – Łysy udawał, że podziwia obrzydliwą ulicę. – Co do czasu... Cóż. Idą tam wielkie zmiany. – Puknął palcem w pakiet informacji. – Żółci partnerzy liczą na wiele, więc ma to wymiar strategiczny.

– Partnerzy – prychnął Konstantin. – No niech ci będzie. – Zdjął czapkę i otarł czoło. – Aż taki syf? – pytał, czytając dossier. – Rozbrykali się...

– Nie zaczynaj. Tak bywa.

– Ostatnio coraz częściej. Jak rozumiem, wielka forsa wchodzi w grę?

– Masz wszystko w papierach. Porządek i zdecydowanie. To nam musi przyświecać – powiedział surowo Łysy.

– Sami żeście to akceptowali i zezwalali na to. Teraz co? – Kostia drążył zaciekawiony. – Priorytety się zmieniły?

– Kurwa, ale ty jesteś upierdliwy. – Łysy miał ewidentnie dość rozmowy. – Tak, zmieniły się. Zawsze się zmieniają, gdy ktoś za wiele sobie pozwala. Poza wszystkim rzecz dotyczy... Sam poczytasz.

Siwy zaciekawiony, zaczął grzebać w wydrukach.

– Kurwa!

– No właśnie... – Młodszy kompan poklepał go dobrotliwie po ramieniu. – Szkoda to wszystko spieprzyć, staruszk. Nie potrzebujemy bałaganu i to takiego. Mleko się rozlało i zaraz będzie tam gorąco. Ty masz to przeanalizować – wskazał okularami na koperty. – I zaproponować rozwiązanie. Krótko, minimalizować straty. Jeżeli nie dasz rady, a wierzę, że dasz... Ale gdyby... Stracisz wszystko. Wszystko! – dodał poważnie.

– Góra jak? – Starszy pan bał się zadać to pytanie.

– A jak myślisz? Daje zgodę. Choć z oporami. Podobno. „Najlepszy przyjaciel” zaś... Nic nie wie albo udaje, że nic nie wie. Przyjaźnie przyjaźniami, ale dyscyplina w strategii...

– Przyjdzie się odrdzewić.

– Ty nigdy nie zardzewiałeś i nie zardzewiejesz. – Łysy szturchnął kompana łokciem. – Stare sprawy wracają, ale to nie problem. Masz dowolność w doborze ludzi, trasy, pobytu i tak dalej. Oczywiście jesteś znikąd. My cię nie znamy. Oni tym bardziej nie mogą. Tam – pokazał na mniejszy pakiet – masz pierwszą ratę. Powinno starczyć na podróż i podkupienie kilku brodaczy. Zresztą dostaniesz dostęp do agencji. No jak? – Pasażer wydał się znudzony rozmową albo uznał, że odprawa skończona. – Rozumiesz?

– Rozumiem, towarzyszu generale. – Siwy skinął służbowo.

– Podwieźć cię gdzieś? – Łysy sięgnął po telefon i włączył go. – Wracaj! – rzucił do mikrofonu.

– Żartujesz? – „Emeryt” wcisnął koperty pod pachę. – Za dużo reklamy z tym autkiem. To nam niepotrzebne. Wracam do siebie. Muszę wytłumaczyć wnukom, że dziadek wyjeżdża.

Podał dłoń koledze i wysiadł. Na końcu ulicy pojawił się ubrany w garnitur kierowca. Starszy pan oddalił się w przeciwnym kierunku, wciskając głęboko czapkę na czoło i upewniając się, że nikt nie przygląda mu się zbyt uważnie. Czuł żal, że ktoś jeszcze zmusza go do pracy, ale jednocześnie schlebiało mu to. „Ty nigdy nie zardzewiałeś” –

przypomniała mu się pochwała. Schował się w cieniu zapełnionej wiaty na śmieci i patrzył, jak mercedes odjeżdża. Wtedy dopadło go smutne spostrzeżenie, że stara gwardia musi pilnować nowych, co nie wróżyło najlepiej.

ROZDZIAŁ 2

Do ośrodka wczasowego przyjechało kilkoro gości więcej. Stefan Kłodziński pilotował delegację kilkorga Polaków, którzy jednak nie przybyli w zielone knieje dla wysłuchania rosyjskiego zbiega, zwłaszcza tak niskiej rangi. Sprawdzeni goście (obdarowani odpowiednimi identyfikatorami) mogli poruszać się tylko po określonym terenie i pomieszczeniach. Aby nie nadwyręzać tajemnicy głównej budowli w obiekcie, na mini-konferencję przeznaczono salkę w budynku opodal jeziora. Pełniła rolę obiektu na oficjalne ceremonie, kiedy przybywali tu dygnitarze krajowi lub zagraniczni. Widok z ogromnych okien na spokojną taflę jeziora, pomost i zielone tataraki umiłał czas i uspokajał, nawet jeżeli (w teorii) nie było tu tak bezpiecznie, gdyż obiekt przygotowano w celach turystycznych. Było tam po prostu milej niż w klaustrofobicznej ciasnocie bielonych ścian podziemi.

Thomal szedł ostatni, usiłując wyczytać coś z rejestracji czarnych służbowych aut. Wiedział, że mógłby głowić się do końca życia, przecież numery blach o niczym nie świadczyły, ale natura śledczego pozostawała silniejsza. Spadł na niego pomysł, by przed zapewne nudnymi pogadankami, sprawdzić co u Madzi, ale porzucił go zaraz. Wolał nie używać telefonu, zwłaszcza w sprawach prywatnych. Nie chciał, żeby nasłuch żartował sobie z niego ani z wyznań, którymi musiał operować, żeby ukontentować, jak sądził, jednak przyszlą narzeczoną.

– Zapraszam! – Pułkownik machnął na niego ze schodków prowadzących do pawilonu. Adam przyspieszył kroku. Kłodziński wprowadził go, wskazując uprzejmie, jak na dyplomatę przystało, pokój obrad. Reszta już czekała.

Adam i Stefan przeszli niewielki hall z pustą szatnią, w której ustawiono skrzyneczkę, do której należało włożyć telefon. Wkroczyli wreszcie do jasnego pokoju zwieńczonego czymś na kształt sceny i podwyższenia dla prelegentów. Po środku stał stół, a przy każdym

stanowisku dla członka narady przygotowano teczki z dokumentacją, a także wodę i ciastka.

– Dzień dobry – odezwał się były policjant do grupki osób napełniających filiżanki kawą z wysokich termosów na stole pod ścianą.

– Powitać – rzuciła Agata z szerokim uśmiechem, gorączkowo mieszając łyżeczką w kubku.

– Jesteśmy wszyscy. – Pułkownik klasnął w dłonie i zajął miejsce. Reszta, niczym pisklaki, podążyła za nim. Thomał usiadł najdalej, jak ciągle miał w zwyczaju. Cały czas czuł się odrębnym bytem w tym towarzystwie. Podświadomość szeptała mu, że jest sprawdzany bez ustanku i nie może być pewny intencji współpracowników. Przekonał się wiele razy, jak działają polityka i służby. Jak wykorzystują ludzi, a potem wyrzucają na hałdę zużytych atutów. Jeżeli nie nauczyłoby tego jego własne doświadczenie, to książki o historii były pełne dowodów.

Jednak to właśnie ta szczypta niepewności i ekscytacji była tym, co go pociągało. Brakowało mu jej. W jednej z autopsychoanaliz, której się poddał, gdy nieco zmądrzał w życiu, uznał, że takich ekscytacji szuka w przygodach z panienkami. Czy były to kompleksy? Miał potrzebę ciągłego udowadniania, co potrafi.

Ale też w nowej sytuacji był pierwszy raz pewny (nawet bardziej niż w CBŚP), że zna się na rzeczy i jego zdanie jest szanowane. Koilo to wewnętrzne demony. I tylko Matylda z nim pogrywała.

Dołączając do tak zacnego grona, był absolutnie pewny, że dla własnej równowagi musiał będzie odreagować zagrywki jego wybranki. Cel objawił się sam. Usiadła na prawo od Kłodzińskiego. Była blondynką o krótkiej fryzurze. Równa mu wiekiem, zgrabna. Tyle mógł powiedzieć po pierwszym oglądzie. Nie zwracała uwagi, ubrana w „pancerz” oficjalnego ubioru urzędniczki: długie profilowane spodnie, marynarkę i jasną bluzkę ozdobioną spokojnymi koralami na niewielkim dekolcie. Makijaż również był odpowiedni do roli i miejsca. Nienachalny, grzeczny.

Adam oceniał kobietę na przemian z udawanym oglądaniem salki oraz zerkaniem w ułożony przed nim brulion. Był jeszcze mężczyzna,

który rozmawiał tylko z pułkownikiem. Bliższy emerytury, łysy, z orlim nosem trzymającym prostokątne okulary. Nosił dwurzędowy garnitur z drogim krawatem. Był to jeden z sekretarzy stanu, wiceminister, którego dokooptowano do MSZ niecałe sześć miesięcy wcześniej. Podobno były naukowiec i erudyta. Józef Maria Moguncki. Obstawa tej dwójki została ulokowana gdzieś indziej. Pozostałych Adam znał. Michał, Arkady, Agata.

– Szanowni państwo, dzień dobry raz jeszcze. – Stefan Kłodziński rytualnie zastukał długopisem w stół, dając sygnał, że rozpoczyna się właściwa część spotkania, po czym uklonił się. Odpowiedział mu niezrozumiały pomruk kiwających głów.

Kłodziński sięgnął po małego pilota i wciskając przycisk, włączył żaluzje, które zasłoniły w połowie uroczy widok na jezioro. Zrobiło się ciemniej i bardziej tajemniczo. Thomał wiedział, że szykuje się coś ciekawego.

– Państwo pozwolą, że przedstawię – szef ciągnął część oficjalną. – Pani Aurelia Voit. – Wskazał przystojną blondynkę w garniturze. – Podpułkownik Służby Kontrwywiadu Wojskowego. – Kobieta uśmiechnęła się sztucznie i skinęła głową. Pierwszy raz jej wzrok zahaczył o Adama.

Thomał próbował przybrać sympatyczny wyraz, ale niewiasta szybko odwróciła wzrok. „Ładnie, ładnie” – myślał nieco zawiedziony, że ma do czynienia z taką szarżą. Wyższa pozycja kobiety zmuszała do wysiłku i mogła wskazywać na rychłą klęskę w podchodach. Takie dziewczyny były pewne siebie, twarde. Tak naprawdę, a nie powierzchownie, by zakryć jakieś lęki. „Ta Aurelia to na serio czy fake na potrzeby świata po za firmą?”.

– Pan minister Moguncki – Kłodziński kontynuował prezentację. Minister wstał i skłonił się, obracając we wszystkie strony. Potem przedstawili się koledzy Adama i on sam na końcu. Jego przywitanie spotkało się z uśmiechem ministra, który musiał go już kojarzyć, oraz z intrygującym wyrazem twarzy pani Aurelii. Czymś będącym pospółu rozbawieniem i obrzydzeniem. „Jesteś, kurwa, sławny?”. Adam

zastanowił się niewesoły, że jego czarna legenda krąży po różnych instytucjach i pozbawia go szans na sukces. Zawodowy czy każdy inny, wszystko jedno. Wahał się, czy być grzecznym, ale jego pierwsza natura nakazywała, by był gotowy.

– By nie przedłużać... – Kłodziński splótł dłonie i podsunął się bliżej. – Tematem naszego spotkania jest sytuacja w Afganistanie. – Odczekał, by zebrani podwładni mogli zareagować. Nie pomylił się. Patrzyli na niego, zerkali po sobie wysoce zdziwieni. Thomał złożył usta, jakby chciał gwizdać i osunął się na oparcie, wtykając kciuki w kieszenie spodni.

– Sprawy wyglądają źle w tym pięknym kraju. – Stefan pozwolił sobie na pewną uszczypliwość. – Nie będziemy tu konferować o zagadnieniach strategii i przyszłości tej islamskiej republiki. Zaznaczę jedynie, że nasi sojusznicy powzięli zamiar opuszczenia Afganistanu znacznie szybciej, aniżeli wcześniej zakładali. Jak wicie zapewne, termin ewakuacji określono na 11 września, ale Amerykanie mocno podkreślili tempo. Być może ich ostatnie jednostki zostaną wycofane już wczesnym latem.

– Co? – Arkady zadał zupełnie niedyplomatyczne w formie pytanie. – Wyjdą w miesiąc?

– Na to wszystko wskazuje. – Moguncki smutno potwierdził, bawiąc się piórem. – Jesteśmy w kontakcie z Waszyngtonem, podobnie jak wszystkie kraje, które mają jeszcze w Afganistanie swoje oddziały. Możemy się jedynie podporządkować. Do końca czerwca wycofamy naszą misję szkoleniową. Komponent wojsk specjalnych i wszystko, co tam mamy.

– A co z Afganistanem, panie ministrze? – wtrącił nieco rozgorączkowany nowinami Adam. Ta niefrasobliwość w stawianiu tematów była jednym z jego negatywnych bagaży zawadzających na różnych etapach kariery.

– To nie temat spotkania. – Kłodziński próbował utrzeć jałową dyskusję.

– Tak, to ogromny problem. – Wiceminister poprawił okulary. – Armia narodowa podejmie walkę, ale... Cóż – zamyślił się. – Na dwoje babka wróżyła.

– Obecnie – Aurelia Voit weszła mu w słowo – skupiamy się na ratowaniu ludzi, nie na dywagacjach modnej ostatnio geopolityki. – Obróciła głowę w stronę Thomala, dosłownie piorunując go spojrzeniem. „Ostra koleżanka!”. Adam wiedział, z kim ma do czynienia. Nie lubiła marnowania czasu albo popisujących się facetów, takich jak były gliniarz. „Agatko ucz się od pani pułkownik”. Thomał zerknął na skonfundowaną blond okularnicę i udał, że chrząka, by nie parsknąć śmiechem.

– Powiem wprost: mamy przydział do Afganistanu – wyrzucił z siebie na jednym oddechu Stefan i zaraz (by nie dopuścić do głosu zaskoczonych podwładnych) dodał: – To tylko na kilka dni.

– To zawsze jest tylko kilka dni. – Thomalowi znów się wyrwało. Odruch był silniejszy od niego. Osunął się w krzesło, dość nieelegancko zarzucił nogę na nogę i założył ręce na piersi w czymś, co psychologowie nazywają podobno zamkniętą postawą. Najpewniej wyglądał jak naburmuszony dzieciak. Agata i pani Aurelia spozierały na niego ze sporym zdziwieniem i jakimś pytaniem, którego bały się wypowiedzieć. „Skąd wiem?” – Adam w duchu zadał je za nie. „Bo zawsze jest inaczej, niż obiecują”. Tę opinię zachował dla siebie. Ruszał szczęką, nieomal zgrzytając zębami, bliski tego, by naruszyć dyscyplinę i wypowiedzieć myśli na głos.

Wróciły obrazy kilku misji albo wyjazdów, które nie miały być żadnymi misjami, a zmieniały się w walkę o życie. Potem przed oczyma zawitał obraz załamanej Matyldy, która rzuca mu w twarz, że odchodzi, i z płaczem zaczyna pakować walizki. Adam sięgnął po butelkę wody, którą każdy miał przed sobą. Napił się solidny haust „z gwinta”.

Gwałtowne ruchy i nachodząca czerwień twarzy nie uszły uwagi Kłodzińskiego ani nikogo innego w pokoju. Byli wszak elitą wywiadu państwa.

– Pan Thomal posiada pewne doświadczenie w operacjach, które stawały się problematycznymi. – Pułkownik starał się tłumaczyć wiceministrowi zmianę w nastawieniu swojego człowieka. Oficjalnie przytakiwał, jak na wprawnego polityka przystało, ale tak naprawdę uznawał, że do zespołu dokooptowano wariata albo kogoś po poważnej traumie.

– Spokojnie, to naprawdę krótki wyjazd – ciągnął Kłodziński, choć też zastanawiał się, czy Thomal to dobry wybór. W firmie nie działało „pod linijkę”, trzeba było ludzi inteligentnych i z polotem, ale pewnej granicy braku dyscypliny lepiej było nie przekraczać.

– Przejdźmy do tematu. – Dał sygnał, że wszelkie mazgajstwa winny ustać. Adam przełknął ostatni łyk wody i nabrał powietrza. Czuł się bardzo głupio. Szczególnie wobec kobiet.

– Już słucham – rzucił pokornie.

Kłodziński wcisnął guzik innego pilota i pod sufitem włączył się rzutnik. Na ścianie ponad sceną pojawiło się zdjęcie paszportowe. Widniała na nim podobizna szczupłego mężczyzny, ciemnego blondyna o przyszczyżonych włosach i kościstej twarzy. Miał inteligentne, nieco znużone albo wystraszone spojrzenie.

– Nie wiem, czy śledzicie media... – westchnął Kłodziński retorycznie. Na to tutaj niewielu miało czas albo po prostu brzydzili się tą formą pozyskiwania wiadomości. Pracowali w instytucji, która o sprawach najistotniejszych dowiadywała się pierwsza... lub przynajmniej powinna. Reszta była nic nieznaczącą zasłoną, papką dla śmiertelników. Ponadto nie mieli czasu na chłonięcie bzdur, czasem prokurowanych przez nieobytych naiwniaków albo bezczelnych piewców fake newsów.

– Niecały tydzień temu w Kabulu zginął ten człowiek – tłumaczył pułkownik. Jego podwładni rozważali, co to ma wspólnego z nimi. – Ostatnio zamachy są bardzo modne w stolicy Afganistanu. – Mało wysublimowany dowcip spotkał się z burknięciem wiceministra. Kłodziński skinął głową w czymś na kształt potwierdzenia swojego błędu i przeprosin.

– Człowiek na zdjęciu to Marek Waliszewski. Obywatel RP, od kilku ładnych lat mieszkający w Szwecji. Drugą ofiarą zamachu był Szwed właśnie. Były żołnierz jednostki Kustjägarkompaniet – przesylabizował z notatek z wielkim trudem. – Kompanii zwiadowczej szwedzkiej marynarki wojennej. Obydwaj zginęli w wybuchu samochodu-pułapki.

– Skurwiele! – odezwał się Michał wgapiony w oblicze nieżyjącego już nieszczęśnika, wyobrażając sobie drani, którzy pozbawili go życia.

– Obydwaj mężczyźni byli pracownikami fundacji zajmującej się edukacją afgańskich dzieci. Budowali i prowadzili mniejsze lub większe szkoły. Czasem ten NGO zajmuje się tworzeniem lecznic albo ewakuacją na bardziej skomplikowane zabiegi medyczne do krajów zachodnich. Fundacja nazywa się... – Zerknął znowu w papiery. – Education and Skill Foudation: Future world – przeczytał długą nazwę. Przerzucił slajd w rzutniku. Na ekranie pokazało się zdjęcie w miarę młodej kobiety o dużych oczach i smagłej, pociągłej twarzy o pięknych orientalnych rysach, konwenujących z prostymi, ciemnymi włosami zaczesanymi nieco na bok. Adam poruszył się w miejscu i przysunął. Ten niekontrolowany tik fascynacji nie uszedł uwagi Aurelii Woit.

– To Anna Linberg.

– Jak? – Arkady przekrzywił swoją chudą głowę na dowódcę, nie potrafiąc połączyć fizis egzotycznej modelki ze skandynawskim brzmieniem nazwiska.

– Ma podwójne obywatelstwo. To mocno skomplikowane. – Kłodziński ukradkiem przewrócił oczami w stronę Woit, prosząc o wsparcie. Podpułkownik doskonale odczytała intencję.

– Kobieta nazywała się Anna Tajsumowa – Aurelia przejęła pałeczkę. – Lub bardziej z arabskiego: Quadira Tajsumowa. Później wyszła za mąż za szwedzkiego polityka. Deputowanego do parlamentu. Nie wiem, jakie są jej relacje z mężem, ale od kilku dobrych lat siedzi tylko w Afganistanie. Czasem wyjeżdża na urlopy.

– Skąd tam się wzięła? – Teraz Agata chciała zaspokoić ciekawość.

– To uchodźca wojenny. W wieku czternastu lat Anna, czy też Quadira, trafiła do Polski, kiedy w Czeczenii trwała druga wojna z Rosją. Był rok 2002, świeżo po zamachach w USA. Terror islamski, Al Kaida. Arabskie imiona źle się kojarzyły, dlatego zmieniono jej imię na Anna. – opowiadała Voit, nie patrząc w zapiski. – Dziewczyna przybyła z matką i trójką rodzeństwa. Była najstarsza. Ojciec zginął albo przepadł. Anna była zaradna i pracowita. Włączyła się w społecznikowstwo i zaczęła reprezentować swoją grupę uchodźców.

Adamowi wydawało się, że los Czeczenki, jak i ona sama, bardzo imponował pani podpułkownik. Wyczuwał tu jakieś niezdrowe zainteresowanie.

– Wyłowiła ją jakaś organizacja islamska czy raczej islamsko-szwedzka. Różnice w życiu w Szwecji lub ośrodku we wschodniej Polsce dwadzieścia lat temu były aż nadto wyraźne. Anna ruszyła na północ. Szybko ściągnęła rodzinę. Tam po kilku latach stała się Szwedką wojującą o prawa kogo się da.

– Zrobili jej takie nowoczesne pranie mózgu. Od islamu do tęczy? – Thomal nie zdzierzył i rzucił obserwacją, która poza zamkniętym gronem, w zewnętrznym świecie byłaby wielce niepoprawna. – Wybaczcie – poprawił się, widząc przerażenie pułkownika i pani Voit. „Mam cię” – rzucił w myśli, dumny z tej małej prowokacji. Pani podpułkownik najwyraźniej nie miała ochoty referować, chyba oburzona na zachowanie. Stefanowi zaś chyba podobał się ten „antymodernistyczny” wtręt.

– Tak, pani Anna stała się bardzo nowoczesna. Za cel obrała sobie pomoc dzieciom w krajach ogarniętych wojną, a w szczególności w krajach islamskich. Trwał konflikt w Afganistanie, choć temat zrobił się nudny dla świata. Był jeszcze Irak, potem przydarzyła się Libia i Syria. No, ale do brzegu... – Podrapał się w czoło i znów przełączył slajd. – W Szwecji powstało kilka NGO pomagających w strefie walk. Future world jest kooperacją. Szwedzki kapitał od bogatych firm i darczyńców oraz wkład rządu polskiego. My też staraliśmy się pomagać nie tylko materialnie, ale też w innych dziedzinach. – Nieomal się chwalił, ale mało kogo to obeszło. Wszyscy jego ludzie wzdrygali się

na myśl, że muszą jechać do tej sterty kamieni zwanej państwem. Na ekranie pojawiła się mapka Afganistanu.

– Siedziba główna fundacji w kraju to Kabul – objaśnił Kłodziński. – Zazwyczaj było tam najbezpieczniej, no ale wiecie już, jak sprawa wygląda. Jeżeli nie talibowie, którzy, póki co, chcą żyć dobrze z Amerykanami, to łeb podnosi ISIS. Ich irańska odnoga, która jest obecna na miejscu i uważa taliban za zbyt grzeczną grupkę nieudaczników.

– Wojna z zachodem to jedno – wtrącił minister. – Ale grozi nam wojna domowa między tymi dwiema grupami. – Tymi wywodami nie wzmacniał morale przed „ekscytującą” podróżą. – No, ale to nie czas ani miejsce.

– Naszym zadaniem jest – pułkownik przechodził do clou spotkania – nadzorować ewakuację pracowników tej instytucji. Nauczycieli i tak dalej. Jeżeli trzeba, to ich afgańskich współpracowników, a nawet absolwentów z rodzinami. – Zaschło mu w gardle. Odkręcił butelkę i usiadł wygodnie. Wizja tej operacji teraz i jemu wydała się zbyt ambitna. – Nasz kontyngent będzie wycofany. – Wstał z butelką w dłoni i zaczął krążyć. – Tam jest mnóstwo pracy. Polska ma też kilka innych organizacji albo ośrodków, z którymi kooperuje. Kilka tysięcy pracowników kontyngentu i tak dalej, i tak dalej. Sama ta fundacja to już tłum, więc potrzeba ludzi. Padło na nas. – Zatrzymał się na końcu stołu i oparł dłońmi. – Pan minister będzie koordynował naszą pracę z polską ambasadą w New Dehli w Indiach. Jak być może nie wiecie, nie mamy swojej placówki pod Hindukuszem. Od 2015 roku krajem zajmuje się właśnie placówka w Indiach.

Nikt się nie odzywał. Trójka od Kłodzińskiego nie wiedziała, o co ma zapytać. Szok jeszcze nie minął. Nie byli biegli w akcjach na pierwszej linii, a do tego w rejonie środkowej Azji. Adam Thomal zaś, ciągle poirytowany, wolał trzymać język za zębami i nie grabić sobie więcej.

– Wszystkie ręce na pokład. Brakuje ludzi w obecnej sytuacji w Europie. – Pułkownik uszczegółowił najprościej jak się dało.

– Jest tylko jeden szkopuł. – Woit szła z odsieczą oficerowi, który chyba nie spodziewał się aż takiego marazmu wśród ekipy. – Pani Linberg i jej grupa nie chcą być ewakuowani. – Pani Aurelia zagryzła wargi i spięła się, spodziewając się werbalnej napaści.

– Że jak? – Michał Jabłonowski prawie położył się na stole, wykręcając się w stronę pani podpułkownik.

– Powariowali?

– Chodzi o przywiązanie do wychowanków, personelu – tłumaczyła Woit niepewnie, patrząc na Jabłonowskiego. Thomal był bezczelny i niepoprawny, ale od tego brodatego oficera była agresja.

– Nie chcą uciekać w tej chwili. – Moguncki wtrącił się jako rozjemca i wskazał na mapę. – Oni tam na miejscu sądzą, że w krótkim czasie znajdą sami nowe miejsca pracy, mieszkania albo drogi przerzutu. Cóż, tego rodzaju organizacje są nieco zbyt nasiąknięte idealizmem. – Kwaśno się uśmiechnął. – I chcą być niezależne. Jak długo się da.

– Ale dotacje przyjmują, co? – ironicznie zauważył Arkady.

– To też prawda – przyznał minister.

– Jeżeli można... – Adam uniósł dłoń. – Rozwalili im dwóch ludzi. To znaczy... Wzięli ich na cel. Kto? Talibowie czy ten cały irański ISIS? Jeżeli tak, to za co? Tacy dobrzy z nich ludzie przecie...

Woit zachwiała się, udając, że szuka czegoś w dokumentach.

– Miejscowi nie lubią, jak miesza się im w zwyczajach. Kobiety nie mają prawa do edukacji, są tam nikim – powiedziała szybko i głośno. Thomal zgodził się z opinią, ale wewnętrzny glina kazał dopytywać.

– Czemu teraz? – pytanie wisiało chwilę w powietrzu. Woit nieco poczerwieniała i znów grzebała w kartkach.

– Ciekawe, prawda? – Mogunckiemu najwyraźniej też coś nie pasowało do końca. – Mogli ich atakować, ile chcieli. Tymczasem atak następuje, kiedy Amerykanie ogłaszają wyjście z Afganistanu.

– Tym Szwedom, czy kim oni są... – Michał nie odpuszczał. – Może tak się spodobało? Chcą pokazać, jacy z nich wojownicy o lepsze jutro. –

Uderzył w blat obiema rękami, gapiąc się na na wpół zasunięte żaluzje. – Rozumiem, że mamy ich po prostu wyrwać stamtąd, póki nie dojdzie do czegoś gorszego.

– Tak by to wyglądało. – Kłodziński podszedł bliżej wyświetlanej mapy. Przystanął, patrzył się chwilę na grafikę, opierając brodę o dłoń. – Istnieje teoria, że fundację wybrano nie bez przyczyny. Mogą stać się kozłem ofiarnym. Celem, po zniszczeniu którego inne instytucje zaczną wiać w podskokach. Te inne organizacje mają póki co lepsze umocowania. Ameryka, Wielka Brytania... Kto przejmie się dziwołągiem ze Szwecji?

Adam znów odkręcił wodę i pociągnął solidny łyk, nie wierząc w ani jedno słowo tej dętej według niego teorii. Wszystko to, o czym tu mówili, wyglądało co najmniej dwuznacznie i był przekonany, że to nie wszystko.

– Prócz ewakuacji... – Woit odzyskiwała mowę – ...należy pamiętać o sprawdzeniu ich wszystkich. Jak zauważył pan pułkownik, to spora grupa. Wielu miejscowych albo przyjezdnych z Pakistanu, z krajów arabskich. Tylko zespół taki jak nasz może weryfikować tożsamość. Potwierdzenia dostępu do danych, bazy informacji i tak dalej. Nie wpuścimy ot tak pół setki ludzi do Polski i Szwecji.

– Szwecji? – zapytał Thomal. – Mamy robić dla Szwedów?

– Niezupełnie – odparł zmieszany Kłodziński. Najwyraźniej nie tak chciał przedstawiać kolejną część zadania. – Sztokholm dołączy nam kilka osób. Są neutralni, nie ma ich na wojnie, choć wspierają sojusz. Chcą prowadzić swoje śledztwo na miejscu.

– No to proszę mówić od razu. – Adam poczuł wiatr w żaglach. – Mamy przeprowadzić dochodzenie...

– Tak – potaknęła pani Aurelia. – Od tego właściwie powinniśmy zacząć. Miejscowi, ani tym bardziej sojusznicy, nie mają możliwości rzetelnego sprawdzenia, kto stoi za atakiem. Być może to też ktoś z wewnątrz. Dlatego łączy się to ze sprawdzeniem ludzi tam. Z przesłuchaniami...

– A co, w połączeniu z pracą z przedstawicielami innego państwa – Agata łączyła wszystko w całość – daje potrzebę zespołu do ogarnięcia tego wszystkiego. Połączonych sił wywiadu i kontrwywiadu.

– Wiedziałem, kogo wyznaczyć – powiedział przymilnie Kłodziński, ale ludzie patrzyli na niego z chęcią mordy w oczach. – Nikt nie chce przyjąć tu bandy Afgańczyków bez uprzedniego sprawdzenia i na dodatek bez próby odgadnięcia, kto stoi za śmiercią naszego obywatela. Takie mamy wytyczne i wykonamy zadanie. Koniec i kropka – podsumował całość.

– Tak jest – odpowiedział cichy chórek niezadowolonych.

– Mamy od pięciu do siedmiu dni. Wizy, szczepienia, lekarze, sprzęt. Dossier sprawy dostaniecie, choć niewiele wiadomo. Tyle co odesłali nam z kabulskiej policji i to poprzez fundację. Nie wiem, czy w ogóle odesłali ciała rodzinom. Pojutrze powinni być Szwedzi. Przywitamy się gdzieś indziej niż tu. Nie mam zamiaru pokazywać im za wiele. Powinniśmy też dostać wsparcie, to znaczy jakąś ochronę. U naszych „animalsów” – powiedział z niesmakiem, mając chyba na myśli ludzi z wojsk specjalnych – huk roboty, ale kogoś przydzielą. Nie wiem, jak będzie z transportem, bo to też kłopot. Módlcie się, żeby się udało. – Złożył dłonie jak do pacierza.

„No właśnie, oby nie” – odpowiedział mu w myśli Adam, zupełnie nie ciesząc się na zagraniczny wyjazd. „Co ja jej powiem?”. Myślał o Matyldzie. Czas na podróżowanie po Azji był mu bardzo nie na rękę.

– Kurwa! – szepnął pod nosem.

– Coś mówiłeś? – Kłodziński nadstawił ucha. Adam prześwidrował go spojrzeniem, usiłując zrozumieć, czy słyszał przekleństwo. Nie miało to zresztą żadnego znaczenia. Jego los został przypieczętowany. Był gotów uznać, że wszystko, co złego uczynił, zemściło się właśnie w tej półgodzinie. Nienawidził siebie, talibów, szwedzkich fundacji. Zgniół pustą butelkę.

– Muszę zaopatrzyć się w jakiś krem z porządnym filtrem – powiedział bez przekonania, obojętny czy kogoś rozbawi.

Anna Linberg od kilku dni ubierała się na czarno, podobnie jak reszta przygnębionego zespołu. Wspomnienie największej w historii fundacji tragedii było ciągle dojmujące. Zapał do działania w nowej sytuacji gwałtownie przygasł. Pomieszczenia i biura kabulskiej siedziby stały się smutne i spokojne. Tym, co odróżniało bardziej konserwatywne w sposobie nauczania instytucje edukacyjne od organizacji takich jak Future Life, była radość. Narzucona niejako w statucie i metodzie uczenia, by zachęcać dzieci i dać im nieco więcej koloru w biednym życiu. Teraz zabrakło tych przebiegłych zabiegów zaklinania rzeczywistości.

Anna poprawiła ciemny szal na głowie i nabrała powietrza. Złapała klamkę przy drzwiach, ale straciła siłę. Oddychała chwilę, układając na powrót to, co miała przedstawić zespołowi. Dopiero kiedy uznała, że da radę, weszła do środka.

Czarna od żałoby grupka przyjaciół obróciła twarze. Śledzili każdy jej ruch, czekając w napięciu. Nie było ich tylu, co ostatnio. Trójka miejscowych nauczycieli wycofała się z projektu. Martwiło to wszystkich. Zostali głównie przyjezdni. Zapaleńcy przepelnieni ideą, którą ostatnio podkopano.

Balil Dar, prawa ręka Anny, usiłował uśmiechnąć się jak najbardziej naturalnie, ale też nie potrafił wyzbyć się dyskomfortu sytuacji. Siedział w pierwszym rzędzie, wyprostowany, ze splecionymi między udami dłońmi i wpatrzony w Annę z bijącą od niego atencją lub chęcią pocieszenia. Linberg odwróciła wzrok poirytowana umizgami Pakistańczyka.

– Rozmawiałam z szefami – zaczęła cicho, ochrypniętym głosem. – Kolejny raz próbowałam ich przekonać. Niestety, nie udało się. – Zrobiła przerwę, szykując się na najtrudniejszą część. – Przyślą po nas ludzi. Mają pomóc nam... ewakuować się...

– Zamykają nas! – Balil poderwał się z krzesła, bezwiednie zaciskając pięści.

– Tak. Wygląda, że misja skończona. – Quadirę najwyraźniej opuszczały siły. Nie potrafiła albo nie chciała rozsądzać, czy oburzenie Pasztuna było szczere, czy tylko znów się przed nią popisował.

W zespole tymczasem też podniosła się lekka wrzawa. Ludzie zaczęli wygłaszać własne opinie, tak jakby każda była ważniejszą od innych. Zrobił się z tego bełkotliwy hałas zaskoczonych, zestresowanych ludzi. Oni na pewno nie udawali.

– Trudno, tak trzeba... – Brytyjczyk George wstał napędzany jakąś dławiającą frustracją. – Jaki mamy wybór?! – zapytał i reszta umilkła jak zaczarowana.

– Tchórz! – szepnęła Alia, niska, bezpardonowa w działaniu Francuzka z arabskimi korzeniami, ale Anglik udał, że nie słyszy. Wiedział, że ma za sobą większość. Zazwyczaj on i reszta pedagogów byli pełni werwy i odwagi. Do czasu, kiedy ich bańka wyobrażeń nie została brutalnie zniszczona.

– Mieliśmy misję. Jakiś cel... – Anna kontynuowała.

– Spójrzmy realnie. – Duński kolega poczuł przyływ szczerości. – Niewiele to dało.

– Chcą nas zabić – wtórowała mu młoda Afganka.

Linberg usiadła na biurku, blednąc. Spuściła głowę. Cios od miejscowej dziewczyny był jak uderzenie w twarz.

– Naprawdę tak myślicie? – zapytała, nie odrywając wzroku od podłogi.

Na to nikt nie miał odwagi odpowiedzieć wprost. Ludzie odwracali oczy albo szukali wsparcia u innych. Zrobiło się cicho. Tylko gdzieś dalej ponad miastem przelatywały śmigłowce, których terkot drażnił zmysły Anny. Starła się myśleć. Ułożyć jakieś płomienne przemówienie, które zagrzałoby zebranych do działania. Potrafiła wskrzeszać ducha, kiedy upadał. Dziś jednak zderzyła się ze ścianą. Być może podwładni podchwycili jej nastroje. Podłamane nerwy, strach i niemoc wpływania na cokolwiek. Ale nie spodziewała się aż takiego oporu.

– Dobrze więc... – Podniosła się, wynajdując rezerwy siły, by nie pęknąć. – Najwyraźniej tak musiało się stać. Przegrywamy. Ja przegrywam. – Balil chciał podejść i coś powiedzieć, ale powstrzymał go ruch dłoni kobiety. – Tak, biorę to na siebie. Ale nie czas na mazgajstwa. Musimy ratować kogo się da. Dzieciaki, kadry... Tego nie odpuścę! – Z zapamiętaniem uderzyła pięścią w otwartą dłoń. Darowi usta lekko drgnęły. Taką Quadirę kochał najbardziej. Imponowała mu. W jego kulturze stała o wiele niżej w hierarchii, ale podniecało go to jej zachodnie, światowe obycie. Sam widział wiele, wyrwawszy się z zapadłej dziury w Pakistanie, i nauczył się doceniać kobiety z inicjatywą. Były trudne do zdobycia i jeszcze trudniejsze w utrzymaniu przy sobie. Stawały się wyzwaniem.

– Musimy zachęcić dzieci i rodziców do wyjazdu – zaproponowała dyrektor. – Pytajcie dzieci, które jeszcze przychodzą na zajęcia. Albo przygotujemy list do rodziców. Byle nie robić paniki, bo szkoła opustoszeje.

– Będzie pożytek z nauki czytania dla młodych. – Duńczyk dodał czarny dowcip, który nikogo w tej chwili nie rozbawił.

– Może masz rację – odparła Anna. – Jeżeli dzieciak przeczyta ojcu, że chcemy go ratować... Zrozumieją, że nasza praca miała sens.

Dar nerwowo zdjął okulary i ścisnął nasadę nosa, nie wiedząc, jak zareagować na takie banialuki. Wiedział, jaka będzie reakcja większości miejscowych. A co dopiero rodzin dalej od miasta. Przed chwilą pełna zapału, teraz Quadira miotła się w emocjach i pomysłach, wędrując od ściany do ściany.

– Możemy chodzić po domach. – Alia lubiła popisywać się odwagą. Stała podparta pod boki w rozkroku, co w połączeniu z ciemną chustą opadającą na plecy nadawało jej wygląd pomocnicy Batmana.

Anna nie wytrzymała tego skojarzenia i pomimo gęstej atmosfery parsknęła śmiechem.

– Przepraszam... – Zakryła usta. Podziałało nieoczekiwanie, gdyż cała sala buchnęła szczerym, choć nerwowym śmiechem.

– To zbyt niebezpieczne – dodała Linberg. – Nie możemy tak ryzykować.

– Zabierzemy chłopaków z ochrony! – Alia myślała, że wpadła na genialny pomysł. – Dwóch starczy. Wezwiemy busa, zrobimy listę rodzin i...

– Starczy, Alia – Balil Dar uciął surowo przemowę młodej. Nie szanował jej tak jak szefowej ze względu na brak takiej zaradności i sukcesów jak u Anny, ale i młodszy wiek. Ta wyrywność nawet go drażniła. – Ochroniarze mają bronić nas. – Stuknął palcem w pierś. – W tym miejscu. – Rozkręcał się, wpatrując w dziewczynę spod zmarszczonych brwi. Stres zbyt łatwo szarpał nerwy.

– Spokojnie... – Dotyk dłoni Anny na jego ramieniu zadziałał jak cudowny balsam. Balil uspokajał się szybko i tylko dyszał.

– Moja droga... – Linberg podeszła bliżej swojej trzódki. – Dziękuję za każdy dobry pomysł, ale to... – obróciła się do nauczycielki z Paryża – ... ryzyko. Dla nas, ale i dla rodzin. Wizyta nauczycieli z zachodniej szkoły... Póki co to nic złego w dość liberalnym mieście, ale za miesiąc, za tydzień? Taliban ma wszędzie szpiegów albo po ich nadejściu dobrze będzie się im wkupywać w łaski.

– Uważasz... – Alia otworzyła usta, nie przyjmując veta ze strony szefowej, która była dla niej wzorem do naśladowania. – Uważasz, że Kabul padnie?

– Nie wiem. – Linberg wyczuła, jak parzą ją spojrzenia reszty ludzi. Starła się brzmieć naturalnie. – Raczej nie, ale wolę być przygotowana na wszystko, co najgorsze. Jeszcze tydzień temu nikt by się nie spodziewał, że Mark i Jorg... – Zacisnęła zęby na dolnej wardze. Towarzyszyło temu niekontrolowane, ale głośne westchnięcie wszystkich. – Pakujcie się powoli. – Zmieniła temat i bardziej nakazywała, niżeli sugerowała dyrektor. – Grupa ewakuacyjna będzie tu za kilka dni. Ale nie wolno nam o tym rozmawiać. Z nikim, rozumiecie? – Uniosła palec. – Uratujmy kogo się da. Musicie wiedzieć... – zwracała się do tych kilku dzielnych miejscowych nauczycielek – ...że nikogo z was nie zostawimy. – Położyła dłoń na

sercu. – Zrobię wszystko, by uratować was i wasze rodziny. Tyle muszą mi obiecać po tym, co robiliśmy dla tego kraju.

Wyciągnięty palec wskazywał podłogę. W oczach miejscowych kobiet, ale i mężczyzn, zapłonęła otucha, a może i jakiegoś rodzaju wdzięczność. Zaczęli uśmiechać się, kiwać głowami. Dyrektorka nie zatraciła dawnych umiejętności. Ciągle potrafiła podtrzymywać na duchu.

Jedna z dziewczyn cicho zaszlochała i rzuciła się szefowej na szyję, tak jakby dowiedziała się o zwycięstwie w tej niełatwej wojnie. Było przecież wprost przeciwnie.

– To był piękny czas – załkała. – Jesteś silną kobietą! Dziękuję ci. Dziękuję, że mogłam pomóc i cię poznać – chlupała, kalecząc angielski.

Wzruszenie udzielało się Annie, ale postanowiła wytrwać i trzymać fason. Reszta też podchodziła, by dziękować. George i jego duński kompan stali zmieszani i nie wiedzieli, jak się zachować. Linberg była charyzmatyczką przekuwającą klęskę w płomień zapалу do ostatniego zrywu.

– Jesteśmy z tobą! – Głos Georga ledwo dało się usłyszeć. – Zabierzemy stąd ilu się da. Za takie jaja kiedyś pewnie dostaniesz Nobla – zakończył pochlebstwem.

– Dzięki Georg, dzięki chłopaki. – Potarła ramię Anglika z ujmującą miną, udając, że o wszystkim zapomniała. – Dobrzy z was ludzie. Damy radę – rzuciła do wszystkich, pokazując zaciśnięte kciuki. – Do pracy. Kabul to relatywnie prosta sprawa. Zostało jednak jeszcze kilka cholernie trudnych miejsc. – Spojrzała przez ramię na pakistańskiego kolegę. – Prawda? Trzeba to jakoś zorganizować.

Potrafiła wspierać resztę. Sama jednak potwornie się bała.

„Papa” zakończył połączenie i rzucił telefon na zdezelowane łóżko pod ścianą równie mało imponującej kwatery. Myślał nad czymś, czochrając tłuste, za długie szpakowate włosy i wpatrując się w czubki butów. Nie miał ochoty ruszać się z „twierdzy”, jak zwał ich małą placówkę

chroniącą szkołę. Upał nawet pod koniec dnia był coraz gorszy do znoszenia. O podróży w „pancerzu” po piaszczystej pustyni trudno mu było myśleć.

– Kurwa! – sapnął, doskonale pojmując, że nie ma innego wyjścia. Dźwignął się z posłania. Wziął aparat w dłonie. Wyłączył, otworzył klapkę i wyciągnął baterie. Ukrył wszystko starannie.

Niechętnie narzucił kamizelkę na tułów i zapiął mocno. Ciężyła mu i od razu zrobiło się jeszcze goręcej. Szara koszula trekkingowa, którą nosił tego dnia, zaczęła pokrywać się jeszcze większymi plamami potu.

Ochroniarz złapał hełm, kamizelkę taktyczną z zapasem magazynków. Osadził wszystko na sobie, tak by nie krępowało ruchów. Karabin przewiesił pasem przez pierś. Zatrzymał się jednak. Nie o wszystkim pamiętał. Musiał pomyśleć i lepiej się przygotować.

Wyszedł z pokoju po dobrych dziesięciu minutach i zapukał do drzwi obok.

– Wyłączać pornole. Trzeba jechać! – warknął, wparowując do „komnaty” kumpla. – „Zizi”, ruszaj dupę! – Klaskał w dłonie, widząc, jak śniady gość poleguje na kocu w samych bokserkach, ze słuchawkami od tabletu w uszach.

– Czego chcesz? Nie moja zmiana. – Ten poderwał się rozdrażniony.

– Nie twoja? Właśnie że twoja. – „Papa” cisnął w niego zdjętymi z krzesła portkami. – Ubierz się, pasztuński wojownik. – Pokręcił z ubawieniem głową. „Zizi” wstał, mamrocząc coś po swojemu, i zaczął wypełniać polecenie. Był niższy, chudszy od Ukraińca. Dobrze nabudował się mięśniami, ale nie miał ochoty mierzyć się z kolosem. Zwłaszcza w tym upale.

– Trzeba jechać. – „Papa” podszedł i nachylił się do ucha kolegi. – Zabierzemy jeszcze „Lacha”. Umie główkować. No, pospiesz się. – Obrzucił lokum chłopaka spojrzeniem godnym inspekcyjnego podoficera. Zaraz machnął ręką, przypominając, że jemu też dawno odechciało się trzymać nawet pozorów przyzwoitości.

Całą trójką wyszli poza betonowy schron. Ziemia zdawała się biała, tak paliło ją słońce. Za każdym razem zapominali o szoku, jaki występował, kiedy opuszczali mury, które i tak wydawały się nieznośnie gorące.

– Kurwa ich mać! – „Papa” nie zdzierzył, czując, jak oblewa go żar z nieba. Sięgnął do wielkiego kartonowego pudła przy wyjściu, gdzie w kurzu spoczywały butelki wody. Bez niej podróż w góry oznaczałaby pewną śmierć. Wcisnął kilka opakowań w głębokie kieszenie bojowych spodni. Pod pachą trzymał niedużą, pękatą saszetkę, którą zabrał z biura, i starał się nie obnosić z jej posiadaniem.

– Lato przyszło wcześniej tego roku, co?

„Lach” założył okulary i prowokacyjnie wystawił twarz do słońca, jakby się opalał i niewiele sobie robił ze skwaru. Był tylko sześć lat młodszy od „Papy”, ale trzymał się o wiele lepiej. Szeroki w ramionach, o mocnym tułowi i chudych nogach, wyglądał jak zapalony amator siłowni.

– Ty, kulturysta w dupę jebany! – Dowódca wysyczał idealnie po polsku, wściekły na te popisy.

„Lach” nałożył wytarty zielony kapelusik i zaniósł się śmiechem zadowolony, że rozzłościł starego.

– Co? Niesympatycznie, grubasie? – rzucił, wsiadając do auta.

– Było zostać na afrykańskiej pustyni, „Francuziku”! – Ukrainiec splunął, gramoląc się na siedzenie. Wiedział, że Polak nie lubi przezwiska, którym go maltretował, kiedy dołączył do ich „firmy”. „Lach” chciał uchodzić za weterana legii, którym zresztą był po służbie w 2. Pułku Spadochronowym. Dla „Papy”, a nawet „Kozaka” stawał się od czasu do czasu „Francuzikiem”, a nie wyjadaczem, który ponad dziesięć lat wachał proch w Afryce i Afganistanie.

– Właściwie gdzie nas ciągniesz?

Polak otworzył okno, by dało się oddychać w nagrzanym terenowej toyocie.

– Trzeba pogadać...

– Z kim? – „Zizi” podsunął swój fotel bliżej kierownicy. Zwykle robił za szofera. Potrafił poruszać się na miejscowych drogach (czy raczej ich prymitywnych namiastkach) i kamienistych stepach.

Dłoń „Papy” zacisnęła się na barku Pakistańczyka tak mocno, że aż stęknął i próbował się wyrwać, ale Ukrainiec zarzucił na niego drugie ramię, przygniatając do fotela.

– Teraz posłuchasz ciekawej historyjki. Wysłuchasz i nigdy więcej nie powtórzysz – sapnął Papa. „Lach” patrzył na podwórze, wystukując coś palcem w magazynek swojego AK-47, nie mając zamiaru przerywać dyscyplinującej pogawędki.

– Mówiłem ci, szuszfolu, że źli nas nie ruszą. Prawda? – „Papa” zacisnął mocniej dłoń. – Pamiętasz? – „Zizi” wybełkotał coś, co szef uznał za potwierdzenie. – No to dobrze. Jesteś tu nowy, najmłodszy, a przede wszystkim spokrewniony z tymi gnojkami, więc wybaczysz, że za wiele ci nie mówiliśmy. Dziś sprawy nieco się pokomplikowały. Musimy odwiedzić kogoś ważnego z tamtej strony.

Polak obrócił się wreszcie, poruszony tym, czego się dowiedział.

– Puść go już, bo zadusisz. Chyba zrozumiał. – Pacnął pięścią w biceps „Papy”. – I co ty do cholery pierdolisz?

Ukrainiec osunął się na kanapę i nerwowo zaczął szukać czegoś w kieszeniach. Wyciągnął wreszcie wymiętą paczkę papierosów i pospiesznie zapalił.

– Sugestia od dyrekcji. – Zaciągał się, trąc spoconą złą twarz. Mam ugadać, żeby nas nie tykali do samego końca. A to wymaga odwiedzin. Dyplomacja w miejscowym stylu i sprawy bezpieczeństwa.

– Pojebało was?! – „Zizi” podskoczył, wpatrując się w kompanów, jakby byli niespełna rozumu. Dłoń Pakistańczyka skierowała się w stronę klamki.

– Nawet o tym nie myśl. – „Lach” pogroził palcem. – Siedzimy w tym razem. Gdzie pójdziesz? Do tamtych? Sam cię rozwalę – oznajmił,

spoglądając przez czarne okulary w przerażone oczy najemnika.

– Słusznie mówi. Słuchaj się starszych. – „Papa” odgrywał spokojnego, strzepując popiół na podłogę.

– Ty nie zmieniaj tematu! – Polak pomachał dowódcy dłonią. – Jedziemy do zbója? W co nas pakujesz? To nie wyjazd nad jezioro! Trzeba się przygotować.

– Uspokójcie się, obydwaj. – „Papa” trwał w luźnej pozie, nie dając się sprowokować. – Tu wszyscy są zbóje i jebani złodzieje. My to kto, anioły? Czasem tak trzeba. Nie mamy wyboru. Będą nas zwalniać.

– Co to znaczy? – „Zizi” ściągnął brwi. Pocił się obficie, jakby nie był tutejszym przywykłym do klimatu.

– Zarząd, czy kto tam daje pieniądze na te głupstwa, postanowił zwijać biznes. Przysyłają kogoś z Europy, żeby pomógł w pozbieraniu wszystkiego. Będą pewnie wywozić kogo się da z miejscowych.

– Jeżeli zechcą – słusznie wtrącił „Zizi”. Przygryzł paznokciec, tonąc w jakichś nie najmiłszych wyobrażeniach.

– Prawda – potwierdził „Lach”.

– Więc rozumiecie już, czy trzeba coś jeszcze...? – Dopiero teraz „Papa” zaczął się niecierpliwić.

– Jeżeli tamci się dowiedzą... – Pakistańczyk niechętnie podniósł głowę w stronę góry majaczącej w tańczącym powietrzu – przyjdą po łupy albo raczej karać za grzechy.

– Jeżeli będziemy się bronić, to zrobią wszystkim kuku – postukał palcem w czoło. – Jeżeli nie, to tylko się zabawia.

– Dlatego musimy kupić czas. – „Papa” podniósł saszetkę najwyraźniej wypchaną gotówką i pomachał nią jak zabawką. – Jesteście mi potrzebni. Ty jesteś potrzebny. – Teraz zupełnie czule pogłaskał „Ziziego” po ramieniu. – Nie wystarczy zostawić torbę z kasą kurierowi na motorze. Mamy gadać z jakąś szychą. Wie o nas. Spotkanie załatwione. Trochę od nas dostał, więc chyba nie zastrzeli.

– Nie rozumiem – odparł Pakistańczyk. – Po co im to mówić? Nie można siedzieć cicho i zwiać? – Odwrócił się, czekając na odpowiedź od zwalistego Ukraińca.

– Można by, to prawda – potwierdził „Papa”. – Ale mamy polecenie. Góra rozkazała. W Kabulu wiedzą coś więcej. Lepiej się zabezpieczyć. Tylko trzeba uważać, bo jak ktoś nas nakryje, to będzie przesrane u harcerzyków wszelkiej maści. No... – trącił kolanem fotel. – Ruszaj, bo nas tu noc zastanie.

– Właściwie dokąd jedziemy?

– Powiem ci. Ogólnie... – Dowódca zastanowił się, trąc brodę. – Jedź na północ. Północny wschód. Uważaj. Obydwaj uważajcie i nie dajcie się sprowokować. – Nabrał powietrza w płuca i kiedy pozostali odwrócili głowy, szybko i ukradkiem przeżegnał się trzy razy.

Zakurzona toyota wyjechała z terenu szkoły. „Zizi” starał się trzymać nerwy na wodzy, ale ciągle rozmyślał przerażony wyprawą do ludzi, których poprzysiągł zwalczać. Tam w domu, w Pakistanie, a potem tutaj u nieoklepanych sąsiadów ze wschodu.

Dodał gazu. Koła zabuksowały na ścieżce wytartej przez auta i z tyłu wybuchnął obłok żółtego kurzu. Lekki pył wypełnił wnętrze, ale nikt specjalnie się tym nie przejął.

„Papa” podciągnął spraną arafatkę z szyi na nos, kiwając się, jak i reszta, na wybojach.

– Jesteśmy jak pieprzeni Beduini. – „Lach” odpłynął w romantyczne porównania, urzeczony wciąż widokiem ostrych wierzchołków gór, które majaczyły w gęstym powietrzu jak nierealne, senne widma. – Podobno każdy z afrykańskich nomadów ma w brzuchu kilogram, albo i dwa, piachu. Naukowo sprawdzone. Badali któregoś po śmierci.

– Było się przyłączyć i jeździć na wielbłądzie – rzucił Ukrainiec. – Ja mam dość po paru latach, a tobie chyba mózg przepaliło od słońca i jakiejś pedalskiej, słodkiej wody, „Francuziku”.

– Najemnik, najemnik z ciebie bez serca. – Polak warknął bez werwy. – Nic tylko pieniądze, bez krzty poezji – dodał po polsku,

wiedząc, że wielkolud ma to wszystko gdzieś. Zresztą i on tego popołudnia powinien być skupiony. Maksymalnie pewny swojego działania. Nie byli na „szychcie” wokoło muru przy szkole, ale pchali się w paszczę lwa.

„Zizi” zjechał ze wzgórza, które u podstawy okalały zwoje drutu kolczastego i płytki rów, coś na kształt suchej fosy, która miała bronić placówki przed hordami napastników, niczym w dawnych wiekach. Za każdym razem kiedy widział tę pierwszą linię, dziękował Bogu, że nigdy jeszcze się nie przydała.

Terenówka wspięła się na nasyp, po którym biegła lepsza droga. Słońce oślepiało na otwartej kamienisto-piaszczystej przestrzeni. Kilka zaledwie drzew, które mijali albo widzieli opodal domów, było małych i szaro-matowych od promieni albo wszędobylskiego kurzu. Zaraz potem przed trójką najemników zaczęły ukazywać się zabudowania miasta. Właściwie miasteczka.

– Jedź prosto. Przez centrum. – „Papa” prawie się roześmiał na dźwięk własnych słów. – Możemy jechać bokami, ale w tej sytuacji lepiej nie ryzykować. Tamci albo rządowi będą coś podejrzewać.

„Lach” kiwał głową, bacznie przyglądając się okolicy niczym z opowieści biblijnych. Między szkołą a pierwszymi gospodarstwami było około dwóch kilometrów wolnej przestrzeni oraz nieco pól, na których z wielkim wysiłkiem miejscowym udawało się zbierać jakiegokolwiek zbiory. Gliniaste tarasy po obu stronach szosy, podsypywane ziemią, były osłonięte niskimi murkami. Wąskie rowki kanałów, mimo że nie nadeszło jeszcze lato, były suche jak pieprz.

Te dwa tysiące metrów przestrzeni dawało obrońcom szkoły jako takie przekonanie, że wykryją szybko ewentualnych napastników i że nikt nie ukryje się z karabinem snajperskim. Mogliby go łatwo wykryć na otwartym polu albo nawet za murem. Z wysokości betonowej wieży uzbrojeni w noktowizory mieli dobry wgląd w okolicę. Gorzej byłoby, gdyby przyszło im kryć się przed ostrzałem mózdzierzy, ale o tym nikt nie chciał myśleć.

Za rozłożystymi kalatami^[4] z nawet solidnymi, gliniastymi murami, o wysokich, czasem pstrokato malowanych bramach zaczynała się ściślejsza zabudowa. Linię graniczną miasta (a właściwie miasteczka) wyznaczał rów, który na mapach oznaczano jako rzekę. Strumień przybierał zazwyczaj wiosną, kiedy jego dnem toczyła się woda z topiących się wysoko śniegów.

Mita Sah było zwyczajną osadą w tej części Chostu: nijakie, brudne i cuchnące wyziewami nielicznych zakładów, garbarni i warsztatów. Nawet „Zizi” podciągnął chustę, by zakryć usta i nos. Przy pierwszych szeregowych domostwach, poprzątkanych czasem budynkami z cegły lub pustaków, robiło się gwaro i tłoczno.

Ponad miastem unosiła się siwa czapa pyłu, spalin i dymów. Ktoś prowadził bokiem szosy wóz ciągnięty przez osła. Z naprzeciwka jechała wielka ciężarówka obwieszona starymi płytami CD i łańcuszkami jako rzekoma ozdoba i reklama jej właściciela.

– Pierdolone Bolywood! – „Papa” rozdziawił usta jak zawsze, kiedy widział takie szkaradztwa.

– Ej... – Pakistańczyk pogroził pięścią do wstecznego lusterka na znak, że nie godzi się porównywać pasztuńskiego poczucia gustu do wytworów hinduskich filmideł.

– Co oni robią o tej porze? – zapytał „Lach” i przysunął się do szyby, analizując ten ruch, który w jego mniemaniu nie miał sensu. – Taka bieda i syf. Posterunek! – Cofnął się w fotelu.

„Papa” odwrócił się i spojrział.

– Nie miejscowi, Kandak.

Przed mostem wzniesionym za zachodnie pieniądze robił się zator. Postawiono kilka betonowych szykan i znaków ostrzegawczych. W ruchomym powietrzu, przesączonym pyłem rysowała się sylwetka dwóch Humvee z opancerzonymi wieżami. Osłonięte płytami i pancernym szkłem celowały w obie strony szosy. Strzelcy w środku osłaniali się od słońca szykowanymi naprędce baldachimami

z amerykańskich peleryn. Jakaś postać, kryjąc się za jednym z pojazdów, przyglądała się drodze przez lornetkę.

– Ani słowa o wycieczce. – „Papa” rozkazał przez zaciśnięte zęby. Pomacał saszetkę, przemyślując, czy nie mogłaby się przydać w przypadku obiekcji.

– To nie jest zwykła policja – szepnął, krzywiąc usta, zapatrzony w człowieka z lornetką. Nawet nie miał zamiaru próbować przekupstwa. – Już nas wypatrzyli. Zakupy, jedziemy po zakupy – wyznaczył przewodnie kłamstwo.

Potok aut i innych pojazdów ślimaczył się do posterunku, na którym odziani w pancerze, hełmy i szalo-kominiarki komandosi bez pardonu sprawdzali każdy pojazd. „Papa” patrzył co chwila na zegarek, tupiąc nogą w podłogę. Czas upływał. Słońce kierowało się bliżej gór.

Toyota wreszcie dowlekała się na posterunek. Afgański żołnierz uniesioną dłonią nakazał stanąć. Jego postawa, ubiór, sposób trzymania broni zmuszały do szacunku. Drugi z operatorów, rosły zamaskowany komandos, który mógłby równać się posturą z „Papą”, podszedł do okna.

– Dzień dobry. – „Zizi” powitał żołnierza, odsłaniając twarz i śląc mu uśmiezek, głupkowatego stylu.

– Wy tu po co? – burknął tamten po pasztuńsku, nie nabierając się na zagrywki.

– My... po zaopatrzenie.

– Powitać waleczny Kandak! – „Lach” wtrącił się z werwą po angielsku, ratując sytuację. – Gratulacje! Daliście popalić skurwielom! – Splótł dłonie w geście triumfu i podsunął głowę bliżej okna. – To musiało być coś. U nas było słyhać. Dzięki panowie, wielkie dzięki,

– Doskonała robota. Jesteśmy wam wdzięczni. – Do chórkę pochwalnego włączył się „Papa”, komicznie wystawiając głowę za szybę.

Atletyczny komandos stropił się. Usta drgnęły mu pod chustą i chyba wypadł z roli surowego stróża prawa. Był wyszkolony w innej

mentalności, choć usiłowano pozbawić go narodowych naleciałości, ale te okazywały się silniejsze.

– Najemnicy? – spytał ciszej, taksując całą trójkę. Pochwała od ludzi, którzy mieli okazję walczyć wcześniej na zachodnich wojnach, smakowała mu bardziej.

– Zaraz najemnicy. Emeryci. – Polak machnął dłonią, jakby skromnie mówił o czymś błahym. – Ochroniamy dobrych ludzi, którzy chcą coś zmienić – dodał zaraz, wiedząc, że takie banały mogą się spodobać.

– No dobra – komandos skinął głową. – Jesteście z tej szkoły? W porządku. Po co jedziecie? – Rozejrzał się po aucie. – Sami... To niebezpieczne. – Zdawało się, że prócz ciekawości powoduje nim pewna troska o weteranów, którzy go docenili. „Lach” rzucił szefowi krótkie, porozumiewawcze spojrzenie. Tamten był już ich.

– Różnie może być – „Papa” odgrywał przejętego. – Trzeba zrobić zapasy, gdyby znowu coś się zaczęło. Ale skoro wy tu jesteście...

Afgańczyk zawiesił na nim wzrok, jakby chciał dać do zrozumienia, że obcy przesadza z tym kadzeniem.

– Te ścierwa mają wszędzie agentów. Musicie uważać. – Zastukał palcami dłoni opierającej się o dach. Zastanawiał się nad czymś.

– Wiem, wiem dobrze – potwierdził „Papa”. Nawet nie miał zamiaru wspominać, że był już tutaj raz, jako młody dzieciak posłany na sam koniec sowieckiej wojny. – Ale co zrobisz? – Wzruszył ramionami nieco niby zafrasowany. – Taka praca. Wy rozwalacie fanatyków i tkwicie na tym upale, a my musimy wozić wodę tym gruchotem!

– OK. – Afgańczyk klepnął karoserię. – Jedźcie, ale naprawdę uważajcie. Nie płaczcie się po zmroku. Powodzenia. – Machnął niby to niedbale ramieniem, dając znak do odjazdu.

– Dzięki, przyjacielu. – „Papa” z szacunkiem uniósł dłoń na pożegnanie.

Sierżant Wardim stracił zainteresowanie sprawdzaniem reszty pojazdów. Śledził oddalającą się toyotę. Machnął na żołnierza

w Humve, każąc mu go zastąpić.

– Coś nie tak? – młodszy stopniem wyczuł konfuzję u szefa.

– Rób swoje. Muszę pogadać. – Nie chciał wdawać się w dyskusję. Poszedł do swojego wozu, siadł na miejscu pasażera i złapał za słuchawkę.

– Czarny 1, tu Niebieski 2... – zaczął wywoływać.

– Czarny 1 zgłaszam się, odbiór – zatrzeszczał głos radiooperatora w jednostce.

– Daj Czarnego – polecił surowo sierżant.

– Jestem. – Yasim Rahmat przejął słuchawkę po krótkiej chwili. – Kłopoty?

– Nie wiem – podoficer zastanawiał się. – Dwóch bladych i eunuch z za gór. – Wyliczył ludzi, których spotkał, używając potocznych w kompanii określeń na tych z zachodu i człowieka z Pakistanu.

– No i? – Kapitan był znużony i nie w nastroju do pogaduszek.

– Coś mi śmierdzi. Robią sobie przejażdżki. Podobno zakupy. Są z...

– Jakaś firma albo placówka – uciął Yasim, odczytując dobrze, że mieli do czynienia z prywatnymi kontraktorami.

– Olej ich. Zresztą kto wie, może kiedyś... – Nie chciał mówić o planach ewentualnej współpracy, nie w eterze. Nawet najlepiej kodowanym. – Po prostu olej.

Wardim z trudem odgiął się w bok, ograniczony kamizelką, by zobaczyć jeszcze raz wóz najemników. Już ich nie było.

– Może jednak posłać za nimi ptaka? – spytał niepewnie.

– Mają co robić. – Kapitan nastroszył się. – Jeżeli to wszystko, to bez odbioru – trzasnęło w słuchawce. Sierżant odsunął mikrofon i przygryzł usta.

Toyota przejechała przez Mita Sah, zostawiając osadę daleko z tyłu. Po drodze ochroniarze minęli jeszcze dwa punkty kontrolne, ale nikt ich nie zatrzymał ani nie pytał. Checkpointy obstawiała policja. Tutaj

całkiem nawet waleczna, ale najwyraźniej zmęczona skwarem. Ktoś uznał, całkiem mądrze zresztą, że dwaj zachodni najemnicy i to pod bronią podróżujący w świetle dnia nie mogą pracować dla wroga. Byli w prawie, jeżeli poruszali się drogami, jakkolwiek niebezpieczne by to nie było.

Terenowe auto oddaliło się od utwardzonego szlaku. Wspinając się na niewielki płaskowyż, wóz kolebał się na wszystkie strony, kiedy opony wyrywały głębokie bruzdy w nierównościach. Jechali ku małej wsi. Przysiółka wzniesionego głównie z odpadów, pełnego pordzewiałych wraków aut i śmieci ściągniętych tu nie wiadomo na co z natowskich baz.

– Stój – rozkazał „Papa” kierowcy. Wóz zahamował w obłoku kurzu. Silnik pracował miarowo i prócz tego nie było słyhać nic więcej. Wioska wydawała się pusta albo zamieszkała tylko przez kilka osób.

– No już, pokaż się – „Papa” złapał oburącz automat, przeświadczony, że wchodzi w zasadzkę. Serce łomotało mu pod kamizelką.

– Jest ruch. – „Lach” wychylił się w siedzeniu i przytulił kolbę karabinku do ramienia.

Z mizernej, niskiej chaty z szarych klocków wyszedł facet w typowym, miejscowym stroju.

Powiew wiatru omiół mężczyznę z czarną brodą i ukazał, jak chudy jest jegomość. W obszernej szacie widać było kościste nogi i zapadnięty brzuch. Wyglądał mizernie, ale był pewny swego i zły.

Pomachał do pasażerów i pokazał zaraz, że mają jechać za nim. Spod muru i jakichś blach wyciągnął staroświecką motorynkę. Odpalił ją i dostojnie ruszył między domostwa, ciągnąc obłok spaliny.

– Dalej – kazał krótko Ukrainiec. „Zizi” nieco się lękał, ale niezadowolone oczy „Lacha” zmusiły go do działania.

Toyota toczyła się wolno. Cała trójka wypatrywała zagrożenia jeszcze wiele metrów przed autem i w ciemnych oczodołach ruder, jakie mijali. Pakistańczyk łykał co i rusz ślinę, nie potrafiąc opanować lęku. „Lach”

tańczył palcem po kabłąku opuszczonej nisko broni, jakby nie mógł się doczekać, kiedy wciśnie spust.

– Módlcie się, żeby nie było żadnego drona – przytomnie zauważył. – Jak się wytłumaczymy z tego gówna... – wymawiał dowódca, który zaciągnął ich tak daleko od szkoły.

– Pilnuj drogi – warknął „Papa”.

Toyota pokonała ostatni, piaszczysty zakręt i wkrótce wieś-widmo została z tyłu. Motorowerzysta czekał w dole drogi, po środku nagiego zadołowania.

– Coś pokazuje. – „Zizi” zmrużył oczy.

Koścista dłoń pokazywała coś jeszcze niżej, w płaskiej dolinie. Pakistańczyk podjechał do przewodnika i wyciągnął szyję za okno.

– Nie zjadę tam – ocenił. – To znaczy: zjadę, ale już nie wrócę. Za stromo i za dużo głazów – tłumaczył się.

– Ty, daleko to? – zapytał człowieka na motorze.

– Co mówi? – „Lach” nie rozumiał nic z gorączkowych objaśnień tamtego.

– Mamy iść – „Zizi” jakby zbladł. – Tam jest jaskinia. Ktoś czeka. – Według niego, ale i reszty, brzmiało to aż nazbyt surrealistycznie.

– Może niech od razu strzeli nam w łeb. – Teraz i „Lach” zaczynał wpadać w panikę. – Gdzieś ty nas, kurwa, wciągnął? – Podskoczył na siedzeniu i odwrócił się do szefa.

– Idziemy. – Ukraińiec odgrywał opanowanego. – Wszystko załatwione. – Otworzył drzwi.

– Ufasz im? Pojebało cię! – „Zizi” wykrzyknął, waląc dłonią w czoło.

– Ruszać dupy! – „Papa” nie znosił oporu. – Postoimy tu za długo, to naprawdę ktoś nas namierzy. Wyszedł z bronią lufą do dołu, rozglądając się uważnie. Chciał dać przykład.

– Pojebało nas wszystkich! – „Lach” wyskoczył na piach. Był wściekły, ale rozumiał, że muszą się wzajemnie osłaniać.

Schodzili zygzakiem w dół zbocza, tak by nie nadwyręzać kolan pod ciężarem oporządzenia. Każdy z trójki wpatrywał się w krajobraz, usiłując wyluskać choć cień zagrożenia. Ukrytą sylwetkę, błysk odbicia słońca w podglądającej ich soczewce.

Kiedy byli mniej więcej w połowie zbocza, na równinie wyrósł mężczyzna. Ubrany po miejscowemu, ale w ubraniu o jaśniejszej barwie, która zlewała się z podłożem. Nosił turban i karabinek Kałasznikowa. Machał nim, a drugą ręką osłaniał oczy od słońca.

– Tak się fiut cieszy na nasz widok? – „Lach” wycharczał zmęczony i spragniony.

Nowy przewodnik z fałszywym uśmiechem zaczął coś gorączkowo tłumaczyć, jak tylko podeszli bliżej.

– Każe zostawić broń. – Zdyszany „Zizi” zaczął tłumaczenia.

– Powiedz, żeby spierdalał – „Papa” polecił, także uśmiechając się od ucha do ucha.

Pakistańczyk przemówił, choć nieco złagodził przekaz szefa. Brodacz pokręcił głową i znów zaczął mu się słowotok.

– Dobra. Nie chcę mi się tego słuchać. – „Papa” irytował się coraz bardziej z każdą sekundą.

– Powiedz mu, że przyłazimy handlować i nie chcemy kłopotów. – Znowu był pierwszy, kiedy uniósł karabinek i zdjął pas z ramienia.

– Ty jesteś pogrżany. – „Lach” nie wierzył.

– Jesteśmy gośćmi. – „Zizi” szeptał półgębkiem. – Nie wolno im nas zaszlachtować. – Też sięgnął broń.

– Za to potem... – Rozjuszony Polak nie dokończył.

Brodaty dziarsko dźwigał trzy automaty i swój jako czwarty. Szedł z tyłu, tylko co chwila wskazując kierunek w plamę cienia u podnóża góry, na której zostawili auto. Wreszcie można było dostrzec czarny otwór jaskini. Przed tą szparą ułożono dwa dywaniki, przy których przewodnik ułożył broń gości i podniósł kciuk. Nie wiadomo skąd pojawił się jego kompan w długiej koszuli i dla odmiany jaśniejszym

turbanie. Z powagą kazał podnieść ręce. Goście wykonali rozkaz, uspokojeni przez „Papę”, który znów pierwszy wykonał wymuszoną czynność. Jasny turban wskazał na wejście, kiedy był pewien, że nic nie zagraża jego szefowi.

Weszli ostrożnie. Oczy wolno przyzwyczajały się do ciemności. Było za to przecudownie chłodno. Wręcz obezwładniająco kojąco. Ludzie Ukraińca czekali na atak, niespodziewane zdarzenie, przed którym musieliby uciekać. Zamiast tego w najdalszym kącie pieczary na dywanie objawiła się siedząca postać.

Nie dało się określić wieku gospodarza. Miał długą, ciemno-siwą brodę, spory pakol, spod którego wyzierały pasma włosów. Siedział tu długo, bo narzucił na ramiona długą wojskową parkę. Obok na ziemi stał imbryk z herbatą i kilka szklanek.

Mężczyzna wstał i podążył uspokając gości z wyciągniętą na powitanie dłonią. zaproponował czaj i kilka cukierków. Poprosił, by usiedli. „Zizi” cały czas przekładał jego słowa na angielski.

Gospodarz był bardzo pogodny i serdeczny. Za to nie odpuszczał bycia czujnym i reagował na każdy niekontrolowany gest albo dźwięk.

Przedstawił się jako pułkownik Ahmed. Mówił krótko, jak jego ludzie szykują się do walki o nowy, lepszy Afganistan i o tym, że takim jak jego goście nic nie grozi. Zwłaszcza jeżeli nigdy nie walczyli przeciwko jego grupie. Pułkownik nie wydawał się fanatycznym talibem. Przewodził jakiejś grupie, która – suto opłacana za handel heroiną – podłączyła się pod taliban, jak wiele plemion i grup zbrojnych. „Lach” usiłował odgadnąć, ile takich spotkań odbywał komendant i jak często na tej długiej wojnie zmieniał strony.

Potem przyszła kolej „Papy”. Mówił wolno, wyraźnie, co i rusz pauzując, by „Zizi” przetłumaczył. Robił przy tym różne pokłony, dotykał serca, by zaświadczyć gestem o prawdziwości swoich słów.

Wyolbrzymił moce swoich szefów, robiąc z nich jakichś bogatych władców fortun, którzy – olśnieni sukcesami pułkownika i całego Talibanu – proszą o łaskę, by odejść w pokój. Łechtanie ego watażki,

jak i każdego więcej mogącego w tym kraju, musiało trwać długo i mieć odpowiednią oprawę.

„Lach” zaszokowany tym, jakim dyplomatycznym erudytą może być wielkolud z Donbasu, którego miał za zwyczajnego rozbitka i alkoholika, milczał potulnie.

Kiedy „Papa” zbliżył się do meritum, z nabożeństwem dobył sakwy z bocznej kieszeni spodni i w uroczystym pokłonie, niby że nieśmiało się ośmiela, wręczył ją pułkownikowi.

Ten rozpiął torebkę i zajrzał do niej, choć bez ostentacji i popisywania się plikami dolarów, które znalazł w środku. „Papa” zabrał całą gotówkę, jaką dysponował w sejfie, na czarną godzinę. Taką jak ta.

Komendant wypiął pierś, obdarzając każdego z gości zaszczytem zagładnięcia mu w oczy. Potem oparł głowę na dłoni i gładził brodę. Czynił to bardzo hamletowsko, drażniąc przybyłych. Wreszcie kiwnął głową i wymachnął ramionami ucieszony. Zaczął mówić tak szybko, że „Zizi” ledwo nadążał.

– Jest wdzięczny za podarek. Gwarantuje, że póki będziemy w Mita Sah, będziemy bezpieczni. My i nasi wychowankowie. On ma rozmówić się z innymi dowódcami. Teraz... teraz proponuje nam herbatę. – Dłoń pułkownika sięgnęła po czajnik. Nie mogli odmówić.

Pili obrzydliwie słodki napój, gawędząc o niczym szczególnym. Kiedy opróżnili szklanki, stało się oczywiste, że spotkanie dobiega końca. Pułkownik pożegnał serdecznie zachodnich gości i odprowadził na sam skraj jaskini. Życzył dobrej drogi i tłumaczył, że musi zostać w ukryciu długo w noc, by unikać patroli wroga, a i tak obawia się dronów.

„Papa” życzył z kolei powodzenia, choć podejrzewał, że Afgańczyk zaraz zmieni kryjówkę.

Odzyskali broń bez żadnych kłopotów i zostali puszczeni. Musieli się spieszyć. Słońce rzucało coraz dłuższe cienie, a niebo zaczęło robić się z lekka purpurowe. Niedługo miało zrobić się niebezpiecznie i temu nie mogłyby zaradzić żadne układy.

„Pułkownik Ahmed”, jak kazał się tytułować dowódca polowy, odsapnął i wodził oczyma za trójką oddalających się gości. Śmiał się cicho, czego nie mógł zrozumieć żaden z jego podwładnych. Tymczasem on sam mało nie skonał w rozmowach, z trudem trzymając fason. Miał satysfakcję, że nikt z ludzi Ukraińca nie spostrzegł, że się znają. On, ukraiński najemnik, dawny żołdat armii sowieckiej i Afgańczyk, oficer nieistniejącej ludowej armii Afganistanu, który teraz był odważnym dowódcą oddziału wielkości batalionu.

Czas przyspieszał. Wiele miało się zmienić. Ale należało być bardzo ostrożnym. Mylić tropy i uważać na wszystko. Podśluchy i szpiegów. Dlatego musieli ryzykować i bawić się w takie gierki. Informacja od „Papy” o przybyciu Kandaku była cenna, ale dopuszczalna, by przekazać ją jak inne poprzez kuriera.

Pozwoliło to upewnić komandosów reżimu w Kabulu, że odnieśli sukces. Nawet jeżeli kosztowało to życie zagranicznych ochotników, których należało poświęcić. Przynajmniej ich szefostwo. Ahmed pozbywał się konkurencji do przyszłych zaszczytów.

W tym zaś przypadku stawka była o wiele większa. Pułkownik przepatrzył plik dolarów i znalazł w nim złożoną kartkę papieru. Liścik pisany był odręcznie, ale wyraźnie. Komendant przeczytał go dwa razy. Schował zaraz. To, co w niej było, musiał jeszcze tej nocy przekazać dalej. Nie skłamał zachodnim. Szykował się do niebezpiecznej podróży.

Mieszkanie przy ulicy Sobieskiego w Warszawie wypełniały dźwięki piosenki „Outlaw Justice” Bluesa Saraceno; mocnego, szybkiego utworu w stylu dark country. Adam lubował się w utworach tego muzyka jeszcze od czasów, kiedy pował na „szeryfa”, ruszając na nocne patrole w miasto. Podobało mu się wyobrażenie, że stanie się kiedyś twardym pogromcą zła, niczym z westernów. Poza tymi dziecinnymi marzeniami melodia wpadała zwyczajnie w ucho.

Adam Thomal podśpiewywał, zapamiętałe grzebiąc w szafie w swoim pokoiku, który zwał „pokojem wojny”. Tutaj – w niewielkiej przestrzeni, na regałach pełnych książek i w szklanych gablotach – trzymał pamiątki

z dawnych czasów zabawy „w historię”. Była to pasja, dla której od dawna już nie miał czasu. Albo już z niej wyrósł i pozostał mu tylko sentyment.

Mógł patrzeć i wspominać. Podziwiał w blasku ledowej lampki kilka zabytkowych mundurów, odznak, orzełków i sklejonych modeli. Rozważał, by wrócić do kolekcji. Do dłubania w plastiku jak za szczeniackich lat, ale życie zawsze stawiało coś na drodze.

W wysokiej szafie z przesuwanymi drzwiami trzymał nieco swojej zwyczajnej garderoby, ale też rekonstrukcyjne mundury, których nie miał serca sprzedać oraz polowe stroje na akcje. Takie jak ta, do której został skierowany. Niektóre leżały cierpliwie, czekając na wydobywanie z lamusa, jako że ich właściciel od dawna prowadził bardziej spokojny, uporządkowany tryb życia.

– Co robisz? – Pytanie Matyldy wystraszyło Adama. Podskoczył i prawie wpadł do wnętrza mebla.

– Boże... dziewczyno! – Złapał się za serce. – Mało nie dostałem zawału.

– Bo ryczy to cholerstwo. – Madzia podeszła do wieży na biurku i wyłączyła muzykę. – No... – Stała z rękoma na brzuchu, co w połączeniu z jej biurowym strojem dało wygląd profesorki czekającej na odpowiedź studenta. – Można wiedzieć?

– Nie wiedziałem, że wrócisz wcześniej. – Adam próbował budować grunt pod złe nowiny. Nie czynił tego sprawnie i brzmiał jak przyłapany z kochanką męż. Przygarbił się i mówił cicho, bojąc się sprowokować większą erupcję.

– Ty też nie dałeś głosu. Wracasz bez słowa – odburknęła. Adam spostrzegł, że jej palce tańczą na trzymanym ramieniu, co ewidentnie wieściło kłopoty. – Znowu delegacja? – Patrzyła po ułożonych parach spodni, piaskowym plecaku. – Gdzieś dalej, co?

– Tak, niestety tak. Zamierzałem ci powiedzieć. – Zbliżył się, chcąc przytulić Matyldę, ale ta cofnęła się ostentacyjnie.

– To tak właśnie będzie. Ja sama albo oboje w robocie... – Była bliska płaczliwej furii. – To chyba w ogóle nie ma sensu. – Pociągnęła nosem, a z oka popłynęła wąska stróżka łez. Była zła, ale nie na niego. Raczej na wszystko, co ich otaczało. Splot karier, które burzyły wizję pięknego życia.

– Gdzie? – wreszcie zapytała i podniosła zaczerwienione oczy. Cel podróży nie był tajny, przynajmniej nie dla rodzin. Może jedynie poufny, ale Adam nie chciał oszukiwać i kluczyć.

– Afganistan. – Ta nazwa zabrzmiała jak szargający zmysły wystrzał w ciszy. Słyszając ją, Matylda mało nie padła na ścianę.

– Odbiło wam! – szepnęła. – Nie – dopowiedziała pewniej. – Nie pusz... czę... cię. – Jej szczeka drżała, kiedy z wysiłkiem wymawiała sylaby. Przestała się opierać. Thomał wziął ją w ramiona. Oparła głowę o jego bark i cicho płakała. On głaskał ją po włosach, chcąc ukoić przygnębienie.

– Cicho, cicho. Spokojnie – pocieszał, choć sam chciałby, żeby ktokolwiek dodał mu otuchy. Afganistan był złym, nieprzewidywalnym miejscem, którego sama nazwa kojarzyła się jednoznacznie z chaosem albo bardziej literacko: z Mordorem, którego nie potrafił sobie wyobrazić. Skalno-piaszczysta kraina była pełna na wpół dzikich krwiożerczych plemion i wielkich interesów pośród zapomnianej wojny. Czytał sporo o konfliktach w tej republice i uważał, że w teorii wie wszystko. Skonfrontowany jednak z wizją podróży w najgorszą część Azji zaczynał się bać. A strach ten narastał z każdą godziną, każdym dniem, jaki przybliżał go do wylotu.

– To nic. – Musiał udawać. Potrafił czasem czynić to lepiej niż niejeden aktor. – Kilka dni pracy – teraz kłamstwo szło nad wyraz opornie – przy ewakuacji polskich obywateli – wyjaśnił, nie odchodząc daleko od prawdy.

– Tam jest wojna. – Madzia wpiła palce w jego ramiona i przycisnęła mocniej głowę.

– Tam zawsze jest wojna. Ale my będziemy w stolicy, tam nie ma walk.

– Ktoś zginął. Był zamach. – Zaskoczyła go znajomością najświeższych wypadków. – Tam ciągle ktoś się wysadza albo biorą zakładników.

– Kochanie. – Z uczuciem przeczesał jej włosy. – To przeciwko cywilom. Ja jadę jako urzędnik państwa NATO. Talibowie mają układ z paktem. Z Amerykanami. Nie ruszą nas. – Miał złudną nadzieję, że takie teorie nieco pocieszą dziewczynę. Jemu nie pomagały.

– Nie, nigdzie nie jedziesz. – Stawiała się jak smarkuła.

– Wiesz, że muszę... – Odsunął jej głowę i otarł kciukiem łzy. – Nic mi nie będzie.

– Zawsze tak mówisz, a potem... – Przypatrywała się twarzy Adama. – Po każdym wyjeździe i po każdej robocie w kraju przybywa ci blizn.

Adam zachichotał nerwowo, maskując wzruszenie.

– Po tej misji, obiecuję ci, nie znajdziesz nawet zadraśnięcia. – Złapał dwoma palcami za podbródek Madzi, przyciągnął bliżej i pocałował drżące usta. Trwali tak długo, nabierając ochoty na więcej, ale nie mogło być im dane. – Więc jednak cokolwiek ci na mnie zależy. – Thomal przeszedł do kontrataku, korzystając z momentu. Matylda zawahała się i zamarła, zaskoczona pytaniem.

– O... oczywiście, że tak – odparła poruszona.

Adam pojaśniał. Blondynka udała naburmuszoną i lekko, tak dla zasady, puknęła go w tors pięścią.

– Świnia. – Wiedziała, że się odsłoniła. Wszystkie jej wcześniejsze fochy właśnie przestawały być ważne.

– Więc jak? Odpowiesz mi? – poszedł za ciosem. Matylda wróciła do poprzedniej pozycji już tylko dla rytualnej obrony resztek własnego podstępu.

– Odpowiem – odparła wyniośle. – Albo... Wrócisz, to powtórzmy wszystko.

Chciała być oschłą, ale oczy teraz płonęły już ciepłą tęsknotą. Kochała go. Oboje to wiedzieli. Thomal przytulił Madzię jeszcze raz i wpił się

w jej usta. Rozpierało go podniecenie i radość, że gliniarskie przeczucie go nie oszukało. Zwyciężył.

W kieszeni zadzwonił telefon. Adam wyciągnął go i przyłożył do ucha, nie odrywając się od jej ust.

– Mhh... – wydał na koniec dźwięk i rozłączył się. – Muszę się pakować. Będą po mnie za pięć minut.

– Jak to: za pięć? Jedziesz już dzisiaj? – Złapała go mocniej za ramię. Thomał skrzywił się i jęknął.

– Szczepionka. – Pomasował ramię. – Dali mi szprycę na jakieś gówno.

– Chyba syfilis – odparowała Madzia.

– Przestań! – Mężczyznę dotknęło to szczerze, niewiele słabiej niż cios w bolący mięsień. – Muszę się pakować, skarbie. – Zaczął wciskać ubrania w piaskowy, wytarty plecak z nylonu. – Muszę powiadomić rodziców. Żebyś ty nie musiała. – Puścił oko. Wyprężył się naraz. – Nie bój się. Ułoży się nam. Wezmę urlop, długi urlop i jeszcze będziesz miała mnie dość. – Nie odmówił sobie przyjemności, by pocałować ją jeszcze raz, niejako na zapas.

Wóz, który po niego przysłano, nie znalazł miejsca, by zaparkować pod blokiem. Stał nieco dalej, w uliczce obstawionej szczelnie po obu stronach samochodami mieszkańców. Adam wyskoczył jak po ogień, przyciśnięty wypchanym do niemożliwości plecakiem. Był jak turysta idący na wycieczkę. Nosił luźne spodnie i buty ponad kostkę, skórzano-nylonowe, niepasujące zbyt na piaski, ale innych na takie okazje nie miał. Pod tobołkiem zrolował polar, kurtkę z goretexu. Przytroczył śpiwór i karimatę.

Obrócił się do okna i gorączkowo machał, słał buziaki, unosił kciuki w górę do rozedrganej Matyldy przy szybie. Był już stęskniony. Potem ruszył biegiem do wozu, co i rusz jeszcze się odwracając. Szary bus mercedesa nie wyróżniał się niczym prócz nowości. Adam pomachał do kierowcy, złapał za klamkę i odsunął boczne drzwi.

– O! – Stanął jak wryty z rozdziawionymi ustami.

– Witamy pana władzę. – Z cienia auta wychyliła się uśmiechnięta, bardzo szczupła twarz.

– No, mogłem się spodziewać. – Adamowy szok zmieniał się w rozbawienie. – Dwa orły wojsk specjalnych. Wy jeszcze żyjecie? – Szczerzył się, kręcąc głową. I zaraz pacnął się w czoło. – Czemu na to nie wpadłem?

Obok szczupłego człowieka w wieku dobiegającym pięćdziesięciu wiosen, o dużych szczerych oczach pojawił się drugi – również wysportowany, ale o głowę niższy, bardzo krótko obcięty i zawadiacko się uśmiechający. Ta dwójka też przypominała biwakowiczów w drodze w jakieś Bieszczady albo chociaż do Puszczy Kampinoskiej. Nosili spodnie z kieszeniami, nijakie koszule z długimi rękawami i pustynne buty. Ten ostatni element mógł wskazywać, że nie do końca chodzi im tylko o odpoczynek na łonie natury. Służyli w jednostce specjalnej Formoza, a ich losy krzyżowały się z życiorysem Thomala niespodziewanie często^[5].

– Cześć, Adaś! – Ten niższy wyskoczył na asfalt, by uściskać dłoń kolegi. – Nad morze nie wracasz. Na piwo w stolicy też nie zapraszasz... – Robert „Mucha” Krawiec żartował, ale nie bez wyrzutu.

– Sorry, Robercik. – Thomal łykał ślinę, gorączkowo szukając wytłumaczenia. – Dopiero co kobieta ciosała mi kołki na łbie, że nie ma czasu do kina wyskoczyć, a co dopiero z wami iść w miasto.

– Ty się babą przejmujesz? – Ten wyższy, Kamil „Monsignore”, przechylił czerep, przymknął powieki, jak miał w zwyczaju, kiedy zamyślał się na poważnie. Tym razem tylko żartował, bo zaraz parsknął śmiechem. – My to kumple od poważnych przygód, a nie jakieś tam kobitki. – Trącił Adama w bok i przytulił „na misia”. – Gnido dworska! – Poklepał w plecy człowieka, którego kiedyś musiał ratować. – Bez nas byśmy ci nie dali jechać. Musimy cię pilnować, bo znowu coś odpierdolisz. – „Monsignore” sięgnął po camele i zapalił, chłonąc łapczywie dym.

– A ty ciągle nie rzuciłeś tego syfu? – Adam patrzył z niesmakiem, rzucając to oskarżenie, by odwrócić od siebie uwagę.

– Roboty za dużo, panie doktorze – zaciągał się. – Dziwne, że ty jeszcze nie kopcisz. – Buchał dymem, uzupełniając na zapas poziom nikotyny.

– Ty teraz już minister czy premier? – Robert zrobił durnowatą minę pajaca i gęgał kretyńsko pytanie.

– Bardzo śmieszne. – Thomal już odwykł od tych ich zwyczajowych docinków, powitalnej opryskliwości, którą okazywali radość ze spotkania.

– Panowie, już po ceremonii? – Z głębi auta doszedł głos jeszcze kogoś. Thomal był przeświadczony, że będzie ich czwórka. Między siedzeniami przecisnął się kolejny „wielbiciel pieszych wędrówek”. Z kwadratową głową zwieńczoną równą, krótką fryzurą i opaloną twarzą był chyba równolatkiem Adama. Dziwnie się patrzył na człowieka, którego historię chyba poznał w całości.

– Czas, panowie. – Pokazał busolowaty drogi zegarek.

– Mariusz. – Wyciągnął wielką dłoń mocnego ramienia i dopiero wtedy twarz wydała się nieco przyjemniejsza. Mimo tego nie podał pseudonimu, tym bardziej nazwiska. Nie ufał jeszcze.

– Adam... Adam Thomal. – Pasażer nieśmiało się przedstawił. Rozumiał, że wypad do Azji przeistacza się w coś wielkiego. – Pan... To znaczy ty...

– Pozwól. – „Monsignore” rzucił niedopalkiem i zdusił nogą. – Pan major. Jest „groszkiem”.

– Spierd... – Mariusz pacnął go między łopatki. Nikt z jednostki Grom nie lubił tego przezwiska.

– Ale poza tym to nawet porządny człowiek. – Robert wrzucił swój przytyk i puścił oko do Adama. Thomal słyszał, że ci operatorzy z najsłynniejszej i najlepszej jednostki w Wojsku Polskim potrafili uchodzić za szpanujących arystokratów oręza, zwłaszcza ci młodszy. Choć były policjant nie spotkał się w kontaktach z tymi ludźmi z niczym, co przewyższałoby popisy nielicznych mądrali w jego pierwszej firmie.

– Panowie oficerowie lubią kabarety. – Mariusz udawał, że tłumaczy się Adamowi. – No, dobra, jedziemy. Nie chcę być ostatni. – Schował się w aucie, a obydwaj porucznicy skończyli wygłupy. „Mucha” zabrał plecak Adama i wrzucił do bagażnika, jakby już od tego momentu czuł się odpowiedzialny za tego cywila. Pół-cywila, czy jak inaczej należało go traktować. Adam wsiadł, przywitał się z kierowcą, młodym, wygolonym na zero operatorem pod pseudonimem „Golas”. Zapiął pas i zaczął rozmowę z towarzyszami. Czuł, że lęk nieco odpuszcza lub raczej daje się zamaskować. Z tą dwójką pozytywnych wariatów czuł się lepiej. Byli dobrzy, nawet bardzo dobrzy w swoim fachu i wciąż nie do zdarcia. I wtedy coś ukuło pod sercem. W umysł wdarła się nieprzyjemna myśl, że do spotkania doszło, ponieważ potrzebowali twardych ludzi, skurwieli, którzy zmierzają się z najgorszym. Adam zsunął się w fotelu, milknąc, i zatrwożony swoją obserwacją łowił za oknem widok swojego domu.

Adam Thomal był na tyle obeznany z tajnym światem, że znał zasady. Nie zdziwiło go zupełnie miejsce dyslokacji międzynarodowego zespołu. Bus trafił na nowopowstające osiedle, nieopodal lotniska Okęcie.

Thomal patrzył po pustych uliczkach ciasno upchanych klocków, nowoczesnych szklano-betonowych budynków, których nie zapełniły jeszcze rodziny z dziećmi, studenci czy panienki z mini-burdeli. Żadnych tajnych jednostek wojskowych, przebudowanych ośrodków wywiadu. Kilkanaście zwyczajnych osób miało zająć pachnący świeżą farbą blok na obrzeżach Warszawy.

– Ciekawe, czy to najem, czy nasi mają tu safe house? – „Mosnignore” nie byłby sobą, gdyby nie zaczął analizować wszystkiego wokół. Bus wjechał do garażu pod ziemią, jak nakazywała (podobno) instrukcja. Cały poziom był pusty i spokojny. Samochód przemknął przez pustą, betonową przestrzeń. Zatrzymał się na samym końcu, w rogu tego ponurego podziemia.

– Ostatnie piętro – powiedział Mariusz. – Trochę tu posiedzimy.

Rozglądał się, wyjmując spory plecak i pokrowiec na broń. Adam sapnął tylko, wpatrzony jak w hipnozie na zakryty oręż. O dziwo, nie budził on jego zaufania i poczucia spokoju.

– Co? Cykoria? – „Monsignore” położył dłoń przy karku kumpla. Nie kpił, raczej się troszczył. – Będzie dobrze. – Poklepał byłego gliniarza i sam zabrał się za bagaż.

– Chyba się starzeję – wykrztusił z trudem Thomał i założył plecak.

Każdy z operatorów dźwigał wielki pakunek. Wszystko, co miało im się przydać w misji, musieli mieć przy sobie. Mieli broń, amunicję, ale również sprzęt, który był jeszcze ważniejszy: zabezpieczone komputery z programami do analizy zdjęć z satelitów i samolotów, którymi można było działać cuda w wyszukiwaniu wroga. Szczególnie kiedy było się tak zdolnym i sprawnym analitykiem jak „Monsignore”. W cywilnym ubiorze wyglądał (tak jak i Robert) zupełnie pospolicie. Może nawet mógł zlać się z tłumem. Był jednakże kimś szczególnym. Głowę miał napakowaną wiedzą i doświadczeniem. U obu kolegów Adama długa służba i ilość zdobytych informacji, a właściwie tajemnic, przekładała się na postępującą paranoję.

Pięciu ludzi dotaszczyło graty do windy. Wjechali na miejsce. Ktoś czekał w korytarzu: jeszcze jeden rosły „cywil”. Kiwnął głową, kiedy tylko zobaczył majora, więc oczywistym było, że to jeden z jego ludzi. Witał się sympatycznie, ale pilnował ich.

– Całe piętro nasze – wytłumaczył. – Ostatni apartament zajmujemy my. Pozostałe cztery... – wskazał dłonią. Z najbliższego mieszkania wychylił się pułkownik Kłodziński.

– Powitać mocną grupę pod wezwaniem! – Oficer uśmiechał się.

Adamowi jego „stylówka” przypomniła angielskie filmy przyrodnicze o sawannie, gdzie prowadzący nosił wszystko, co piaskowe. „Może jeszcze korkowy kapelusz?” – chciał dodać Adam, ale wstrzymał się ze względu na szacunek, jaki musiał okazywać dowódcy przy innych.

– Panowie tam... – Stefan z uprzejmym wyrazem twarzy uklonił się nieco i pokazał lokum w końcu korytarza. Sekcje miały być podzielone. – A Adasia zapraszam do naszej trzódki. – Uchylił drzwi szerzej.

Mieszkanie było świeże. Nie zdołano go jeszcze umeblować albo nie było takiej potrzeby. Za krótkim korytarzem znajdował się ogromny pokój z zaledwie dwoma kanapami, telewizorem i jednym stolikiem. W kuchni za wyposażenie musiały starczyć lodówka i niewielka płyta grzewcza na blacie ze zlewem.

– O, no to jesteśmy w komplecie. – Arkady wyszedł ze swojej kryjówki, zajadając skittlesy. – Spore lokum. – Machnął kciukiem za siebie. – Dla każdego będzie pokój. Jak nie tu, to za ścianą. – Szukał pozytywów w fatalnej sytuacji, ale Adam widział, że tak naprawdę jest przybity.

– Ciesz się... – Thomal zdjął plecak i podał rękę koledze. – Na miejscu pewnie takich luksów nie będzie. – Rozglądał się po nagich, białych ścianach. Reszta zespołu przysła się witać.

– Dzień dobry! – Adam wypowiedział te słowa z serdecznością, widząc podpułkownik Aurelię w sportowym stroju: luźnym T-shircie i cudnie podkreślających jej figurę napiętych dresach. Thomal gapił się bez skrupułów, głaszcząc wzrokiem ciało, jakby to, co mówili sobie przed chwilą z Matyldą, nigdy nie nastąpiło. Tak po prostu funkcjonował, to było silniejsze niż panowanie nad instynktem zdobywcy.

– Witam. – Woit powiedziała oficjalnie i założyła dłonie za siebie, by nie musieć podawać prawicy. Nie miała ochoty na dotyk napaleńca, o którym wiele musiała słyszeć.

– Takie mundury noszą panie w wojskowym kontrwywiadzie. – Adam wycelował z biodra palcem na panią oficer. Oschłość lub brak zainteresowania działały na niego jak wyzwanie, któremu musi podołać. – Bardzo twarzowe.

Te zagrywki były bezczelne, czy – jak to się teraz określało – seksistowskie, ale Thomal uznawał, że użyte co jakiś czas, zwłaszcza publicznie, łamią opór niewiast, które tak naprawdę lubią być

komplementowane. Grzecznie lub nieco mniej. A kiedy to sobie uświadomią, są już jego.

– Adam... – Agata zaprotestowała piskliwie na tę uwagę, wystraszona konsekwencjami dla nich wszystkich.

– Agatko, ty też wyglądasz uroczo. – Thomał puścił oko do koleżanki, która naprawdę wyglądała atrakcyjnie w damskiej wersji bojówek i koszuli khaki.

– Spokojnie, ten typ tak ma – wyjaśniła Aurelia, patrząc surowo i z wyższością w oczy Adama, z takim uporem, że ten bliski był rejterady.

– Chciałem tylko pochwalić – wystękał były policjant, zaskoczony nieporadnością frazy, do jakiej go doprowadzono.

– Wystarczy Thomał! – syknął zażenowany Kłodziński przez zamknięte zęby. – Pracujemy razem i ma być miło. – Stał przed Adamem, chyba pierwszy raz okazując oblicze podobne do podoficera w wojsku. Podwładny zrozumiał tę demonstrację władzy.

– Przepraszam. Ma pani rację, tak czasem mam.

– Ok, zapomnijmy – łaskawie zaproponowała świadoma sukcesu Aurelia. – I „pani” Aurelia. Już sobie wyjaśnialiśmy – przypominała wcześniejsze rozmowy w ośrodku.

– No to wszystko jasne. – Kłodziński zmienił ton, ale ciągle patrzył na Adama podejrzliwie. – Za chwilę powinni przybyć goście z północy. Przypominam o legendach, panie i panowie! Przegadamy z nimi kilka kwestii. Michaś ich tu eskortuje. Będą do pół godziny. A jeżeli idzie o wylot, trzeba czekać. Samolot mamy dopiero pojutrze. Nie było łatwo z czarterem, nawet państwowym.

– Nieźle. Półtora dnia nerwówki. – Thomał podszedł do kanapy i siadł wygodnie. Agata i Arkady też nie tryskali entuzjazmem. Każdy wolałby już zacząć, zamiast czekać i dawać się szarpać strachowi.

Zapowiedziane trzydzieści minut zmieniło się w kilka godzin nudy. Oprócz jednego telewizora, kilku służbowych laptopów w mieszkaniu

nie było wielu rozrywek. Adam siedział grzecznie, pogrywając w karty z Arkadym albo czytając jakieś pismo, które wepchnął w ostatniej chwili do bagażu. Co rusz upewniał się, czy pani podpułkownik nie szuka jakiejś zemsty za jego docinki. Woit odpierała te nerwowe spojrzenia z wyższością i wypowiedanym gestami poleceniem: „Odwal się. Jesteś nikim”.

Były glina nie zamierzał się buntować przeciwko temu dystansowi. Udawał neutralność, czekając jakiejś lepszej okazji na wyjaśnienie nieporozumienia na osobności, gdyby taka się nadarzyła podczas długiej wyprawy. Wolał nie ryzykować szans na dalszą karierę byle głupotą.

Kłodziński stukał w klawisze albo czytał coś, szykując się na rozmowy. Czasem zamieniał kilka uwag z Woit, chociaż Thomał nie rozumiał, po co właściwie, skoro sprawa była aż tak oczywista. Mieli wylądować, pojechać do fundacji, zabrać kogo się da, ewentualnie ewakuować miejscowych. Tu byłoby trochę dłubaniny przy sprawdzaniu przeszłości. Na wykrycie sprawców zamachu w ogóle nie liczył. Wywiad i kontrwywiad mieli pewnie jakieś źródła, ale w obliczu burzy, jaka nadciągała nad Kabul, on sam by nie zaufał żadnym płatnym informatorom.

Zaburczał telefon pułkownika. Ten spojrział na ekran.

– Są! Państwo pozwolą... – wezwał swoją drużynę.

Adam wstał z kanapy i podszedł do ściany przy stole. Tu Kłodziński i Woit byli najważniejsi, on uważał siebie za wyrobnika.

– Tylko grzecznie Adaś, bo będę zły – wyrzucił z siebie pułkownik półgębkiem, idąc obok, kiedy chował komputer.

– Tak jest! – odparł Thomał.

Już wiedział, że stary ma na niego baczenie. „Te baby cię załatwią” – coś szeptało pod czaszką. Mógłby podchodzić Agatę. Lubiała go. Podobała się mu, ale była zbyt intrygująca. Za to Aurelia miała to coś, czego potrzebował jako trofeum.

Ktoś zapukał. Stefan otworzył.

– Zapraszamy – powiedział Michał po angielsku, wszedł pierwszy i wskazał pokój, lekko się pochylając.

Delegacja sąsiadów zza Bałtyku składała się z trzech osób. Dwóch chudych, krótko obciętych facetów i jednego dryblasza, który został za drzwiami. „Szefowie i ochrona” – domyślał się Adam.

Michał zaczął przedstawiać gospodarzy. Najpierw Kłodzińskiego, którego oczywiście wskazano jako przedstawiciela MSZ o nazwisku Jerzmanowski, wyznaczonego przez samego ministra. Podobnie panią Woit, która była prezentowana jako prokurator z Warszawy, wyznaczona przez ministerstwo sprawiedliwości. Nazywała się Gawędzka. Agata i Arkady oficjalnie działali w MSW przy nadzorze nad organizacjami NGO. Adam był pracownikiem MSZ, więc nie musiał zbyt wiele udawać, był pracownikiem departamentu polityki bezpieczeństwa tego resortu.

Goście, panowie Stenbock i Berggeren – choć zapewne tak się nie nazywali – musieli mieć świadomość, kogo widzą w postaci Adama Thomali: człowieka, którego los krzyżował się z działaniami ich państwa. Adam oficjalnie był ciągle w tej samej instytucji, więc mógł z nimi współpracować swobodnie.

Stenblock, starszy szef delegacji, był tym od spraw politycznych. Oficjalnie reprezentował MSW królestwa Szwecji, które nadzorowało wydatkowanie funduszy płynących ze Sztokholmu. Był trudnym do oceny mężczyzną o jasnej cerze i krótkiej, chudej szyi. Adamowi podejrzewał, że nie jest tym za kogo się podaje.

Drugi Szwed był bardziej wylewny. Próbował niezdarnych uprzejmości wobec pań, a nawet żartów (choć ta dziedzina interakcji nie wychodziła nigdy Szwedom). Berggeren miał być wiceprezesem zarządu organizacji, którą należało ewakuować. Podobno, bo każdy z polskiej strony miał świadomość, jak wygląda ta zabawa w udawanie. Obydwaj włożyli ciemne marynarki oraz pospolite jeansy, nosili teczki na komputery, co robiło z nich na pozór lichych biznesmenów załatwiających kontrakty. Oni wączali ich, ludzie Kłodzińskiego odwzięczali się tym samym.

Szwecja, choć oficjalnie neutralna, działała ściśle przy NATO, widząc zagrożenie w tylko jednym zbójckim państwie: Rosji. Ostatnie tajne działania Moskwy wymusiły większą integrację nordyckiego królestwa z paktem, a w szczególności z Polską, co procentowało bardzo owocną współpracą, której świadkiem bywał Thomal.

Apartament, nawet tak przestronny jak ten, nie był najlepszym miejscem do rozmów. Gwarantował jedynie tajność dyskusji. W półcieniu przysłoniętych żaluzji rozsiedli się, gdzie kto mógł, i grupa wyglądała jak zebranie dziwnej sekty – bez porządnych krzeseł, foteli, popijając zmrożone napoje z lodówki.

Thomal stanął w rogu oparty o ścianę i słuchał. To, co miało być wyprawą ratunkową, z każdym kolejnym zdaniem okazywało się czymś o wiele większym.

Po ogólnych wstępach, pochwałach współpracy i dogrania szczegółów w tak krótkim czasie recytowanych z pewnym znużeniem przez przybyszów przeszli do konkretów. Adam wyczuwał, że to znudzenie banałami mogło wynikać z faktu, że wcześniej trzeba było je prawić gdzieś wyżej. W ministerstwie albo diabli wiedzieli gdzie jeszcze.

– Fundacja działała sprawnie. – Berggeren zaczął z zapalem, gdy „szpieg od polityki”, który oficjalnie przecież nie był nikim takim, przekazał mu głos. Jak konstatawał Thomal, ten entuzjazm oznaczał, że pierwszy raz uczestniczył w tego rodzaju wyprawie. – Początki były trudne. Ale potem złamano nieufność miejscowych. To wspólny mianownik dla doświadczeń takich organizacji. Liczba edukowanych dzieci, głównie dziewczynek – na czym zależało fundatorom – rosła, nawet mimo niechęci konserwatywnych duchownych czy starszyzn. Chyba zrozumieli, że edukacja to przyszłość w tak zacofanym kraju. – Thomalowi wnętrzości przewracały się od tych huraoptymistycznych banałów. – Jednak w ciągu ostatnich trzech, czterech latach zaczęły się problemy. – Szwed spoważniał, usiadł na skraju krzesła, oparł łokcie o kolana i splótł palce dłoni. – Może nie tyle problemy, co niepokojące sygnały. W szkołach prowadzonych z dala od Kabulu, w miejscach o wiele bardziej niebezpiecznych zaczęły ginąć uczące się dzieci. Właściwie już nastolatki oraz osoby pełnoletnie. Przeważnie

chłopcy, ale to nie była bezwzględna reguła. – Adam skierował uwagę na gościa, pewien że zaraz wypowie coś, co oznaczać będzie kolejne kłopoty. – Wiem, że te sygnały docierały też do polskich partnerów.

– Tak, były takie informacje. – Woit vel Gawędzka potwierdziła z iście brytyjskim akcentem. – Uznawano, że to sprawy dla lokalnej policji albo raczej rad plemiennych. Rodziny rezygnowały z dalszej edukacji. Kiedy chłopcy, a właściwie młodzi mężczyźni, kończyli szkołę, mieli wracać do domów i pomagać na roli. Tymczasem poziom nauczania był całkiem porządny, podobnie jak wpływ pedagogów na młodych. Potrafiono nakierować ich na lepsze pomysły na życie. A to napotykało opór tradycjonalistów.

– Pięknie pani to przedstawiła – odparł Berggeren z rozbijającą miną.

Aurelia chyba nawet spąsowiała, po czym rzuciła okiem na Adama, jakby chciała wyszeptać: „Jednak można mieć sympatyczne podejście do kobiet, nieprawdaż?”.

– Było to tylko kilka przypadków – kontynuował Szwed. – W ciągu kolejnych miesięcy liczba incydentów zaczęła rosnąć. Nawet Afgańczycy, lokalna ludność, zaczęła zadawać pytania i oskarżać zarówno szkoły, jak i wszystkie struktury państwa o porwania. Przybłąkał się jakiś reporter, który szukał tematów w Kabulu. Kjell Haugen.

Prelegent przerwał, by sięgnąć do torby na laptopa po papier w foliowej oprawce. Okazał zebrany niewyraźne, powiększone zdjęcie, chyba z wniosku paszportowego. Nieco otyły na twarzy mężczyzna z kręconymi włosami nie budził żadnych emocji.

– Pan Haugen – pałeczkę przejął Stenblock – zaczął węszyć, rozpytywać nauczycieli, głównie tych miejscowych, jakby nie ufał władzom fundacji. Posłał nawet krótki artykuł, który ukazał się w internetowej wersji jego gazety, ale to nie zwróciło niczyjej uwagi.

„No pewnie, że nie” – pomyślał Adam. „Mielibyśmy to w dossier o fundacji. Zablokowaliście ten tekst, cwaniaki? Skandal za państwowe pieniądze nie pasuje, co?”.

– Kjell Haugen został zastrzelony – dodał urzędnik. Michał wydał usta, jakby chciał gwizdać. Reszta też była zaskoczona, co znów nie poprawiało widoków na rychły wylot do Afganistanu.

– Napadnięto go, kiedy jechał ze swoim kierowcą z Kabulu na południowy wschód od stolicy, do Paktiki. Tam Future world w jednej ze wsi miało swoją placówkę. Policja i nasze służby konsularne ustaliły, że był to napad rabunkowy. Cóż, zdarza się, ale daje do myślenia. Z uczniów wybranych do kontynuowania nauki, a nawet z zabezpieczonymi stypendiami, ubyło aż sześć osób. Miały trafić na uniwersytet do Kabulu, a jedna z dziewczyn, podobno bardzo zdolna, nawet do Szwecji. Jak państwo widzą, wspólna inicjatywa to nie tylko nauka podstaw pisania, ale...

– Cholerna tajemnica – wtrącił Adam impertynencko, niegotowy na kolejną porcję popisów i kwiecistych laurek.

– W jakimś zakresie tak. – Stenblock przytaknął zimno.

Thomal o mało się nie uśmiechnął. Mógł być czasem odważny przy tych udawaczach. Dostrzegł to w spojrzeniu gościa. Należało do człowieka, który sztywno trzyma się roli i jest gotów na wiele, by z niej nie wypaść, by nie pokazać prawdziwych emocji.

– Próbowano dociekać, co jest powodem tych zaginięć. – Reprezentant fundacji nie chciał tracić czasu na uszczypliwości. – Pani Anna Linberg zrobiła co w jej mocy, by wyjaśnić sprawę. Ona i jej pracownicy. Jej raport był przesłany stronie polskiej. Obawiała się, że chodzi tu o porwania dzieci do pracy albo jako seksualnych niewolników. Nikt z rozpytywanych nie potwierdził tych teorii, na szczęście. Jednak sprawa nadal nie została rozwiązana.

– Czemu nie poproszono nas o wsparcie? – Kłodziński zarzucił nogę na nogę, a jego czoło pokryły zmarszczki. Szwedzka samodzielność lub raczej ignorowanie partnera z południa nie pasowało mu. – Można było przeprowadzić dyskretne, ale szerzej zakrojone śledztwo.

– Tak, należało. – Stenblock przybrał aktorską pozę potulnego słuchacza i, co najlepsze, zrobił to z premedytacją, by wbić szpilę gospodarzom. – Ale nikt z polskiej strony tego nie chciał.

Kłodziński vel Jerzmanowski drgnął mimowolnie i chrząknął.

– To zapewne nieporozumienie.

– Być może. Strona polska brała udział w wojnie. Waszym celem była ochrona kontyngentu, polskich żołnierzy i cywilów. Polskie instytucje mierzyły się z problemami humanitarnymi w innych regionach świata i zapewne nie starczyło im sił i środków, by przeciwdziałać wszystkim nieprawidłowościom.

Thomal chciałby dopowiedzieć: „Szwecja – Polska 1:0”. Pan „polityk” w idealnej dyplomatycznej manierze wykazał, że nie było komu po prostu badać czegoś, co wiązało się z wchodzeniem w plątaninę pradawnych układów plemiennych.

– Oczywiście, z naszej strony również powinno zadziałać się więcej – przyznał gość, wrzucając kamień do swojego ogródka, by nie pozostawić interlokutora z ciężarem całej winy. Uśmiechnął się przy tym łagodnie, co Kłodziński uznał za zakończenie sporu.

– Sprawy przycichły. – Młodszy ze Szwedów stał się równie poważny jak jego kolega. – Być może nikt nie zgłaszał zaginięć, ale jeszcze kilkoro uczniów nie stawiało się na nowe zajęcia, nawet mimo powierzonych im funduszy oraz zapewnień psychologów, że są gotowi uczciwie się kształcić. Potem nastał covid, zamieszanie. Wiele dzieci odeszło. Szkoły zamykano i otwierano. Były ofiary pandemii i temat się rozmył. W tym roku cisza. Nic nie wskazuje, by kłopoty powróciły albo ktoś gdzieś zmienił taktykę. Nie było zgłoszeń. Może zresztą to nie ma nic wspólnego z fundacją i nie powinniśmy się tym przejmować.

– Tak sądziliśmy – dodał „polityk”. Sam zaczął szukać czegoś w teczce. – Jak państwo wiedzą, w pewnych rejonach Szwecji, a dokładnie w dużych miastach, mieliśmy ostatnio do czynienia z rozruchami.

Adam znów parsknął, ale tym razem udał przekonująco, że dławi go kaszel. Szwed w jednym zdaniu doceniał walory wywiadu, który musiał śledzić te „rozruchy”, a zaraz umniejszał ich znaczenie. Tymczasem było to kierowane zewnętrznie powstanie, którego źródła pomagał weryfikować polski wywiad.

– Po namierzeniu i rozbiciu kilku gangów, kryjówek, a wreszcie grup wywrotowych – jakby bał się nazwać terrorystów terrorystami – wśród zabitych znaleźliśmy tego człowieka.

Niemal uroczyście pokazał jeszcze jedno zdjęcie, duże, czarnobiałe. Widniał na nim młody chłopak. Miał lekko skośne oczy, włosy przycięte równo na czole w staromodną grzywkę i liche, młodzieńczy zarost pod nosem.

– Hassan Sadozai – przeczytał z trudem nazwisko na odwrocie.

– Cóż z nim? – Kłodziński przysunął się bliżej, gapiąc na twarz na zdjęciu.

Stenblock nabrał powietrza i otarł czoło.

– To jeden z uczniów fundacji Future world.

Na kilka sekund wszystko zamarło i zrobiło się absolutnie cicho. „Kurwa!” – Adam zaklął w duchu. „Miało być zwyczajnie. Krótki wypad...”.

– Hassana zabiła nasza policja – ciągnął Szwed. – Stawiał opór przy zatrzymaniu na obrzeżach Gáteborga. Użyliśmy wszelkich sposobów, by sprawdzić, kim jest, jako że występował pod fałszywym nazwiskiem jako uchodźca przybyły do Europy podczas kryzysu w dwa tysiące piętnastym. Ktoś pofatygował się przeglądać rejestry fotograficzne i system wyrzucił to. – Potrząsnął zdjęciem, po czym podał je pułkownikowi, jakby Kłodzińskiego interesowało podziwianie podobizny martwego Pasztuna.

– I co w związku z tym? – Pani Voit albo udawała naiwną prokurator, jednocząc się z rolą, albo naprawdę nie mogła wynaleźć punktu zaczepienia.

– Teraz sprawdzamy różnych podejrzanych. Zaczęliśmy przeglądać dogłębniej rejestry fundacji, które należało pozyskać.

– To groźne – ocknął się Kłodziński. – Jeżeli ktoś wewnątrz robi coś niedobrego, już wiedzą.

– Od tego jest pan Berggeren – wyjaśnił spokojnie Adam, wskazując wyciągniętą brodą na przedstawiciela Future world.

– Dokładnie. – Szwed uśmiechnął się. Adam był nieomal pewien, że młodszy z „wikingów” został zwerbowany albo od początku pilotuje sprawę z ramienia służb. – Nikt się nie dowiedział – zapewnił Berggeren.

– No dobrze. Dalsze rezultaty? – Kłodziński vel Jerzmanowski zniecierpliwiał się.

– Odnaleźliśmy jeszcze jedną osobę. Dziewczynę. Mniejsza o nazwiska. Wypłynęła z zapytań partnerów we Francji. Jak tam trafiła, kiedy? Nikt nie wie. Podobno zaginęła, ale Paryż nie wytłumaczył więcej.

Stefan rozsiadł się w fotelu i założył ramiona na piersi. Patrzył po swoich.

– No to macie... mamy cholerny problem.

– Będziemy ich ewakuować, bo to potrzeba chwili. – Stenblock uznał, że sytuacja dojrzała do zarysowania planu działań. – Zaginionych nie odnajdziemy. Być może zwyczajnie zdezerterowali z nauki – Użył wojennego określenia, nieadekwatnego do tematu szkolnej młodzieży. – Znając alfabet, może nieco angielskiego, urwali się na zachód przez któryś szlak migrancki. Może i tak być.

– Ale panów wizyta świadczy o tym, że tak prosto nie jest. – Woit na pewno nie była głupia.

– W rzeczy samej, łaskawa pani. – Stenblock się skrzywił. – Na to wszystko nałożył się ten okropny zamach. Nie mamy pojęcia, co było jego powodem. Nikt nie słał gróźb, sytuacja w szkołach była spokojna i nagle takie coś.

– Dlatego – wtrącił Berggeren – trzeba zamknąć biznes. Wywieźć wszystkich. Szybko, cicho i w miarę możliwości zacząć badać sprawę, ale już tu, w Europie. Posiadamy rejestry nauczycieli, sporej liczby uczniów. Jeżeli natkniemy się gdzieś na jednego z absolwentów, będziemy mogli go przesłuchać. Podejść do tematu z drugiej strony.

– Więc nie ufacie jednak tym waszym społecznikom? – Adam rzucił nieprzyjemne pytanie. – Panowie wybaczą... – Przyłożył teatralnie dłoń do serca. – Byłem kiedyś policjantem. Układam to sobie w całość. Ja, jak i reszta, chcę pomóc. – Nie odmówił sobie popisu przed gośćmi albo kobietami. Kłodziński zacisnął mocniej szczękę i nic nie powiedział.

– Tak, nie ufamy. – Stenblock odpowiedział krótko i nad wyraz szczerze. – Nie mamy obrazu z drugiej strony. Błądzimy. W Afganistanie robi się gorąco, zależy nam, i zapewne wam, bo to wspólna inicjatywa, na minimalizowaniu strat. Trzeba przywieźć ludzi, sprawdzić, czy nie mają niczego za uszami. Potem pytać, długo pytać – skończył, oczekując dyskusji, ale nikt nie spieszył się do zabierania głosu. Nawet Thomal.

Nie wiedział za bardzo, gdzie uchwycić przyczółek. Nie było to jego rolą. Miał nad sobą przełożonego, który nieraz budował śledztwa i wyszukiwał niebezpieczeństwa, opierając się na przecuciu. To ono, wbrew wszystkiemu: metodom naukowym, tradycyjnym zasadom, odgrywało największą rolę. Adam Thomal mógł jedynie podpowiadać, ale nie wiedział jak.

– Wszystko na tę chwilę jest jasne. – Kłodziński zmierzał do końca pierwszego spotkania. – Mamy nieco czasu na wypracowanie metodologii i określenie zakresu kompetencji.

Tak jak przewidział Adam, okrągłe zdania maskowały chęć kupienia czasu.

– Jak panowie już doskonale wiedzą, polska strona bierze na siebie kwestie transportu i osłony naszej misji. Oczywiście w kosztach partycypuje Sztokholm, więc to na pewno wspólna akcja – zwrócił się do swoich podwładnych. – Nie chcemy, by ktoś podchwycił udział naszych partnerów i oskarżył publicznie o szafowanie neutralnością – wyjaśnił. – Przy tym, jak ustalono również, mamy dowolność w prowadzeniu śledztwa w sprawie śmierci naszego obywatela.

Nie usłyszał sprzeciwu, co mocno go uspokoiło.

– No dobrze. – Stefan spojrzął na zegarek. – Nie jest jeszcze późno. Proszę się rozgościć. Jeżeli mają panowie ochotę na wypad na miasto,

jest taka możliwość – zachęcał ostrożnie, a goście wyglądali na chętnych. – Trzeba lepiej się poznać.

Kłodziński szeroko się uśmiechnął. On i Woit czuli się lepiej w „łowieniu” wiadomości bez zbyt dużego audytorium.

ROZDZIAŁ 3

Stefan Kłodziński (legendowany jako Jerzmanowski) pożegnał gości, którzy przenieśli się do swojego pokoju. Mieli odświeżyć się po podróży i przygotować na „wypad”. Pułkownik zniknął na chwilę i wrócił z majorem Mariuszem i jego sporą trzódką. Zdążyli dotrzeć i rozłożyć się na kwaterze, by nie przeszkadzać „dyplomacji”.

Było ich ośmiu, razem z „Monsignorem” i „Muchą” – młodych, wyrośniętych i lubiących siłownię. Pewnych siebie, choć czujących szacunek wobec Kłodzińskiego.

Dziewczyny z zespołu, choć udawały, że tak nie jest, pożerały oczami młody narybek. Operatorzy wcale nie wyglądali jak wojsko. Niektórzy brodaci, w czapkach bejsbolówkach, z koralikami na nadgarstkach. Przypominali studentów idących na imprezową noc w stolicy, a nie wytrenowanych zabójców.

Nim wszyscy się zebrali, Arkady obszedł pokój z niewielkim aparatem mierzącym natężenie fal elektromagnetycznych. Najwięcej czasu spędził przy miejscach Szwedów.

– Czysto! – rzucił, gasząc skaner, a tym samym upewniając zwierzchnika, że nie padną ofiarą żadnego podsłuchu.

– OK. – Kłodziński stanął na środku pomieszczenia w pozie zwycięskiego wodza i kolejno spojrzął w twarz każdego z obecnych. – Proszę państwa... – zaczął z oficjalną uprzejmością. – Czekamy tu z naszymi szwedzkimi gośćmi. Mam nadzieję, że nasze „zbrojne ramię” dogada się z ich obstawą.

– Jasna sprawa! Dogadamy się. – Mariusz zapewnił, unosząc kciuk. – Są od ich „zielonych”. To SOG. – Skinął na Roberta, skracając przydługą i trudną nazwę elitarniej jednostki Särskilda Operationsgruppen.

„Mucha” się uśmiechnął. Przynajmniej kilka razy działał z tymi ludźmi na Bałtyku.

– Mają mieć luz – instruował Kłodziński. – Wiemy, jak to wygląda. Nie chcę, żeby goście czuli presję, że ktoś ich ciągle dociska, czy podsłuchuje. Trzeba się zgrać, bo cholera wie, jak długo przyjdzie nam siedzieć w piaskownicy. Zwinięcie firmy na miejscu to prosta sprawa. Nawet nie będzie wiele roboty. Zostawiamy wszystko, prócz archiwów i komputerów. Ale chodzi nam też o ludzi, współpracowników. My zajmiemy się ich czesaniem. – Wskazał palcem na swój zespół. – Musimy mieć spokój. Na pewno źli domyślą się że przyjechali goście. Cholera wie, czy położą uszy po sobie i dotrzymają umów, czy wprost przeciwnie. Jakaś młodzież będzie się chciała popisać. Wiemy, jak bywa – bryłował doświadczeniem. – Stworzycie nam warunki do pracy. Ale tego chyba nie muszę tłumaczyć. Problemy pojawią się z transportem powrotnym. Jak mówiłem, trzeba będzie ewakuować kilka osób. Mały tłumek. Na miejscu kontyngent szuka transportu, ale jego zabezpieczenie to nasza sprawa. Powinno nas być więcej, ale nie można mieć wszystkiego – zażartował ponuro. – Pomoże armia narodowa. Ale miejscowi to dupy. Mieli chronić fundację i nie zapobiegli zamachowi... – nie dokończył.

Nie powinien był poruszać tego grząskiego tematu. Nie teraz, tuż przed wylotem, gdy jego podwładni jeszcze przyswajali rozkaz wyjazdu na wojnę.

– Będziemy myśleć na miejscu, kiedy nas odbiorą. Panowie, nabieramy sił! – zakończył.

Mariusz wyczuł moment i dał znać swoim, że czas wracać. „Monsignore” skinął na Adama, chyba zapraszając na wizytę w ich komnacie. Jednak Kłodziński powstrzymał Thomala.

– Musimy pogadać – oznajmił.

Adam spodziewał się reprimendy za swoje docinki podczas odprawy, jednak Kłodziński był tylko ciekaw jego opinii.

– I co sądzicie? – zapytał spokojnie, wracając na krzesło. Napił się wody i zaczął gładzić po prawie łysej głowie. Grupa rozsiadła się jak trzódka wokół pasterza, gdzie kto mógł.

– Robimy prace zleczone dla Ikei? – Michał wypowiedział na głos to, co siedziało w głowie wszystkim Polakom.

– Poniekąd. – Stefan nie chciał zaprzeczać. – To też nasz projekt. Straciliśmy człowieka.

– W sumie tak – przytaknął Jabłonowski.

Adam spostrzegł, że Aurelia Woit siedzi z tyłu i taksuje ich uważnym spojrzeniem. Wredny chochlik w głowie Adama uznał za stosowne, aby przerwać pani oficer te psychoanalizy.

– Ten cały Marek był cywilem. A może nie? – zapytał.

Kłodziński drgnął i schylił głowę.

– Ty naprawdę jesteś glina. – Wypowiedział niechętny komplement. – Nie wierzymy w to, co mówią nasi sympatyczni sojusznicy – stwierdził dobitnie. – Powinienem informować o tym wcześniej, ale wolałem poczekać, aż zamkną nas w jednym miejscu. Żadnych przecieków! – Brzmiało jakby pułkownik nie do końca ufał swoim. – No i byłem ciekawy, z czym tamci wyskoczą. Panowie ze Sztokholmu na pewno wiedzą, co się dzieje w Kabulu, albo raczej mają przesłanki, by wiedzieć. Ktoś robił śledztwo na miejscu. A bomba pułapka to tylko potwierdzenie poszlak. Druga strona albo spanikowała, albo popełniła błąd.

– Druga strona? – zapytała kapitan Agata. – Jakie poszlaki mamy?

– W tamtym syfie każdego można załatwić. Wystarczy mieć dojścia i forszę. Bum. – Arkady też chciał pochwalić się przenikliwością. Swoje słowa okraszył imitacją wybuchu.

– A co my wiemy?

– Marek Waliszewski był naszym oficerem – odparł Kłodziński. – Był moim człowiekiem.

Po Kłodzińskim prawie nie było widać, z jakim trudem wypowiada te słowa. Zmieszani podwładni zaczęli uciekać spojrzeniami od szefa.

– Był jednym z lepszych. Świetny oficer oddany pracy. W cywilu mógłby być świetnym aktorem. Marek pracował dla nas, ale oczywiście wspierał kontyngent. Nie łatwo jest wejść w tak zamknięte

społeczeństwo jak afgańskie, a Marek to potrafił. Był wariatem, którego ludzie lubili. Traktowali jak nieszkodliwego czubka, więc akceptowali. Bóg jeden wie, ile spraw załatwił i przed jakimi nieszczęściami ostrzegał. Po to była ta szkoła. Wiadomo jest, że wiele by nie zmieniła w sytuacji miejscowych, ale jako punkt działania służby była idealna. Wyjazdy na prowincję, rozmowy ze starszyzną. Dzieci... Dzieci słuchają dużo, a potem lubią opowiadać, zwłaszcza jeśli są nagradzane.

Opis tych nie do końca moralnych praktyk nikim nie wstrząsnął. Toczyła się cicha wojna, gdzie żadna ze stron nie przebierała w środkach.

– Ale pana kolega, chyba popełnił błąd... – Adam ostrożnie zaburzał wspomnienie o nieskazitelnym oficerze.

– Tak, niestety masz rację. Zapędził się. Był zbyt pewny siebie albo popularność uderzyła mu do głowy. Ludzie tam naprawdę go lubili. Zaciągnął do łóżka tę naszą Czeczenkę. – Zabrzmiało bardziej niż ciekawie.

– Werbował ją? – spytała Agata.

– Nie wiem – odparł Kłodziński i znowu sięgnął po butelkę. – Mówię, chyba... Wszyscy tam byli jego informatorami. Nieformalnymi. On po prostu grał przyjemniaczka, któremu serce leżało na dłoni i można było zaufać. Chciał się zabawić. Podchodził też inne panie nauczycielki. Jednak kogoś nie docenił, bo popadł w rutynę. Tak mi się wydaje. Za mało urlopów i dystansu – tłumaczył nieco chaotycznie. – A Szwedzi ściemniają. Marek meldował, że z ochroniarzem prowadzi dochodzenie. Ten cały Jorg, który z nim zginął, Musiał być na kontakcie, albo to funkcjonariusz. Marek był podchodzony pod werbunek. Chyba się inteligentnie opierał, bo podobno nie zostało to sprecyzowane i dopowiedziane. Grał wolnego ptaka, który nie lubi nadzoru, ale pomoc może. Jorg potrzebował wsparcia, choć krył się z wężaniem. Nie szukali zbyt ostentacyjnie, a każdy zapewne meldował swoim.

– Więc Szwedzi nie odkryli waszego... naszego człowieka? – zapytał Adam.

– Nie. – Podpułkownik Woit wstała i zaczęła przechadzać się po salonie. – Pewnie coś podejrzewają po zamachu, ale na razie udajemy, że chronimy wspólne przedsięwzięcie. Marek poczynił charakterystyki pracowników – dodała. – Wszystkich w Kabulu i kilku na prowincji. Niezłe zbiorowisko. Zwłaszcza w sferze ochrony. – Przystanąła przy opastej miękkiej torbie, z której wygrzebała kilka skoroszytów. Rozdała je zaraz zebranym. Znali osoby pracujące w Fundacji, ale teraz prezentowano papiery z wstawkami oficera wywiadu RP.

Nim Adam zaczął wertować życiorysy, zastanowiło go coś innego.

– A ten nasz oficer przesłał coś ciekawego przed śmiercią? Czy w ogóle coś było? Bo to... – przewertował kartki. – To nic nie znaczy. Możemy wczytywać się, ile chcemy, a sami wiecie, kretem może być każdy. Naukowcy, fantaści, ludzie z problemami psychicznymi, niestabilni, maskujący je niby pracą dla ludzkości. Siedzicie w tym dłużej niż ja. Wiecie, o co mi chodzi.

Aurelia uśmiechnęła się, słysząc ten wyraz uznania. Jednak ułamek sekundy później znów była oschłą profesjonalistką. „Miękniesz?” – zastanawiał się policjant, łowiąc ten krótki przeblysłk szczerości. „Niezbadane są wasze ścieżki, dziewczyny...”.

– Marek wskazywał na dwie sprawy – przypomniał Stefan. – Po pierwsze: brak wyraźnej chęci sprawdzenia tej afery z zaginięciami. Szefowej ani nikogo z personelu specjalnie to nie obchodziło. Zrobili raport, popytali rodziców, jakichś watażków z obsługiwanych wsi i już. Uznali, że nie są śledczymi.

– Słabe zainteresowanie wychowankami – kwaśno spostrzegła Agata, zniesmaczona nowiną.

– No niestety... – Kłodziński podrapał się w czubek głowy. – Co równie istotne, placówki fundacji nigdy nie były atakowane. Nigdy – podkreślił. – Nie było nawet gróźb.

– To nic nowego. – Arkady wzruszył ramionami. – Wystarczało się opłacać.

– To jedno – wtrącił Adam. – Albo wyrobić sobie takie układy...

– Które pozwoliły... – Agata układała sobie wszystko w całość, wpatrzona w Thomalę nieobecny wzrokiem. – Rozkręcić jakiś biznes z dziećmiakami.

– No proszę... – Kłodziński był pozytywnie zaskoczony. – Jesteście dobrzy. Dochodzicie do ważnego punktu.

– Lubię dochodzić z Agatą. – Thomal spaskudził moment triumfu, ale Agata zachichotała jak speszona, ale zadowolona młódka.

– Ty nigdy nie odpuszczasz – mruknął Michał, nieco obruszony i chyba zazdrosny.

– Bez wygłupów! – Kłodziński stanowczo uciął kpiny. W tej sprawie szło o śmierć oficera, kogoś takiego jak oni. Może bardziej wyspecjalizowanego w byciu nielegalnym, ale wciąż ich kolegi.

Adam zaczął przeglądać skoroszyt. Wyłapywał nazwiska, przezwiska, twarze. Zatrzymał się na jednej. Oczarowany egzotycznym pięknem pani dyrektor nie powstrzymał się od wyobrażenia rychłego spotkania.

– A jeżeli to nikt z kadry? Jeżeli to ktoś z uczniów? – zagadnął, nie odrywając uwagi od fotografii Quadiry. Był zafascynowany nawet papierowym wizerunkiem. – Nie... – Zaraz zaprzeczył sam sobie. – Żaden dzieciak, nawet największy fanatyk, nie stworzy rysu psychologicznego innego dzieciaka. – Podniósł głowę i wyłapał ukradkowe spojrzenia Stefana i Aurelii. Momentalnie przerwali, chyba zaskoczeni i zawstydzeni.

– Rys psychologiczny? Co masz na myśli? – Michał zrobił się ciekawy.

– No proszę was. Zakładamy, że ktoś tych gnojków wepchnął do ISIS, Al Kaidy i tym podobnych kumpli.

– Tak, racja. – Brodacz pacnął się w czoło. – Wybranie ludzi do takich organizacji wymaga doświadczenia.

– Nie mamy nic więcej? – zapytał Adam, badając spojrzeniem towarzyszy. W przedziwny sposób poziom zaufania zaczął się w pomieszczeniu obniżać.

– Nic. Dlatego trzeba babrać się w tym tam na miejscu. – Stefan w niemocy rozłożył ręce i wygiął usta w podkówkę. Nazbyt szybko i dramatycznie, jak wydało się Adamowi.

– Ok – zgodził się policjant, wiedząc, że nic więcej nie uzyska. – Co teraz?

– Szperamy w życiorysach i szukamy haków – odpowiedziała Voit. – Szwedzi robią to samo. Jeżeli na coś wpadniemy, będziemy kontynuować przesłuchania w Europie. Oficjalnie szukamy powodów śmierci naszego obywatela, więc mamy prawo prosić o dostęp do ich informacji, gdyby na coś wpadli. Włączymy w to przesłuchania prokuratorskie i będzie podkładka.

– Czyli działamy po omacku? – zapytał retorycznie Arkady.

– Zajmujemy się ewakuacją – przypomniał Thomał, ubiegając szefa. Naprawdę posiadał zmysł analityczny, tylko maskował go żenującymi manierami w stosunku do kobiet. – Śledztwo przy okazji... Nie za ostro, moi mili, bo kogoś spłoszymy i będzie nieszczęście. – Zaryzykował i puścił oko do Aurelii.

Krajobraz był jak wyobrażenie odległej, martwej planety. Pozornie niemożliwy do zamieszkania przez ludzi ani żadne inne istoty. Nieregularne, nagie szczyty gór były obłożone głazami i powycinane skalnymi uskokami. Wyrastały z piaszczystych łańcuchów przecinanych wąskimi liniami ścieżek, oddzielających się od zboczy. Poniżej nich wily się głębokie, długie doliny. Nie było tam dużych drzew, czy jakichkolwiek większych kęp roślinności, tylko góry zalane upałem, smagane podmuchami żółtego powietrza i barwione pyłem. Na nagrzanym horyzoncie majaczyły, jak surrealistyczne omamy, cienie jeszcze większych pasm. Dalekich, zupełnie już nierealnych i odpychających swoim brutalnym wyglądem.

Żyli tu jednak ludzie. Było ich wielu. Przywykli do warunków, pustynno-górskiego martwego otoczenia. Potrafili czerpać z tej nędznej, kamienistej ziemi to, co niezbędne. Nie czuli gorąca, a po

zmroku, kiedy słońce kryło się za największe wierzchołki, potrafili przetrwać chłód.

Tej wiosny, odkąd armie zachodu zaczęły odchodzić, „Duchy” wypełniały pustkę. Po raz kolejny w dziejach skalne bryły oglądały, jak miejscowe ludy, zwane prymitywnymi, zwyciężały nad tym, co nowoczesne. Bez fanfar, okrzyków...

Pod nawisami skał, w suchych dolinach albo rozłożystych wsiach zaczynało roić się od zbrojnych, wytrenowanych, chudych, ale silnych i pewnych siebie mudzahedinów gotowych walczyć za sprawę albo za obiecaną pieniądze. Niektórzy już trzeci albo i czwarty raz zmieniali stronę albo frakcję. By ich dostrzec trzeba było wytrenowanego oka albo czegoś, co pomagałoby ludzkiemu wzrokowi.

Plastikowy samolocik krążył ponad urwiskiem, na południe od wioski Bugh, tuż obok linii wyznaczającej granice prowincji Chost i Paktija. Był jak zabawka, delikatny i niepasujący do potęgi surowej przyrody. Były to pozory, nie był taki delikatny, tak samo jak leżąca pod płatowcem kraina nie była bezludna. Dron dawał wgląd daleko poza najbliższy szczyt. Niewielu go widziało ani wiedziało o jego istnieniu.

Ten egzemplarz jednak nie zagrażał miejscowym. Chronił ich i dawał możliwość swobodnego poruszania się, przygotowania do dalszych walk. Przynajmniej na tym skrawku opanowanego terenu, którego nikt nie miał ochoty podbijać. Czy raczej odbierać na powrót.

Minął czas, kiedy inne, mniejsze i większe maszyny, przeganiały wojowników daleko, za granicę państwa. Zmuszały, by kryć broń pod podłogami kalat, stodół i obór. Przemycać oręż w cywilnych autach, pełnych kobiet i dzieci. Z wiejskich meczetów tworzyć arsenały. Ukrywać się. Zagrożenie z nieba przeminęło, a przynajmniej było znacznie mniejsze. Wojna znów stawała się uczciwa.

Obiektyw przekazywał obraz żłobionych wzgórz i krętych nitek nielicznych dróg. Pośród tych wzniesień czujniki termowizji wyłapywały dziesiątki punkcików przypominających oglądane z góry mrówki. Każdy z sygnałów oznaczał człowieka. Pół roku temu, może i wcześniej, nawet trzy czwarte z tych tam w dole nie odważyłoby się

pokazać w tak odludnym terenie z bronią. Poza cywilnymi przysiółkami byłiby łatwym celem dla myśliwców albo pocisków typu Hellfire, odpalanych z amerykańskich dronów. Ale ten, który patrzył teraz, nie służył Amerykanom.

W jego soczewce zajaśniał korowód punkcików wlewający się wolno od południowego wschodu na teren górskiej fortyfikacji. Mierzył kilkadziesiąt metrów i wzbijał tuman kurzu. Składał się z trzech wozów, odkrytych półciężarówek. Na pace każdej zasiadało po czterech ludzi. Sygnatury cieplne innych widać było przez okna. Zaciekawiony operator skierował uwagę na ten konwój i trzymał się go, póki auta nie zaczęły zjeżdżać w szeroki, płytki wąwóz. Tam, gdzie pośród głazów, które kiedyś zniszczyły wieś podczas trzęsienia ziemi, czekano na przybyszów.

Konwój przebrnął przez zakręty labiryntu skał strzeżonego przez utkwione po okolicy posterunki. Zaprawieni i najwierniejsi wojownicy trzymali warty w umocnionych punktach, uzbrojeni w karabiny maszynowe i granatniki, nasłuchujący sygnałów przez radiostację. Od początku wiedzieli, kto najeżdża, kiedy goście przedstawili się, mijając pierwszą czujkę. Zresztą znano ten orszak. Bywał tu często, odkąd ten skrawek kraju wyrwano z rąk armii rządowej.

Toyoty były żółte od kurzu. Ich załogi osłonięte szalami turbanów i szmatami zakrywały lufy i zamki broni. Konwój przekroczył koryto rzeki, ledwo sączącego się teraz strumyka głębokości kilkunastu centymetrów. Samochody wjechały następnie między mury zniszczonej wsi. Pod ścianami, w oknach domostw stali uzbrojeni mężczyźni pozdrawiający kompanów.

Kierowca pierwszego wozu wiedział, gdzie ma się skierować: w najdalszy punkt osady, w cień kryjący rozległy dom z bramą, przedsionkiem i budynkami gospodarczymi. Obiekt, mimo pozorów zaniedbania, był pełny, zresztą tak jak cała wieś. Gospodarstwa zamieniono na prawdziwe koszary, starając się skrzętnie ukrywać ich nowe przeznaczenie.

Alejki zamaskowano siatkami albo starymi plandekami. Pojazdy kryto w starych oborach albo na dziedzińcach zasłanianych kamuflażem. Dla bezpieczeństwa, zgodnie z założeniami sztuki magazyny broni i materiałów wybuchowych urządzono nieco dalej, w skalnych jaskiniach.

Główna kalata nie była jedynie cuchnącą chałupką pośród gór, „sypialnią” dla kilku dziesiątek „duszmenów”^[6]. Spełniała o wiele ważniejszą rolę. Była wyposażona w kilka długich anten sterczących ponad dachem. Jedyny talerz satelitarny pomalowano na kolor piasku i przysłonięto siatką, by jak najtrudniej było go dojrzeć, zarówno z ziemi, jak i z powietrza. Do środka nie mógł wejść nikt z miejscowych, a na pewno nikt poniżej odpowiedniej rangi, nigdy bez wyraźnego zaproszenia. Każdy w obozie znał zasady i nie próbował ich łamać. Ochrona centrum budziła respekt. Jego mieszkańcy zaś byli potrzebni, mieli wielką władzę i byli niebezpieczni. Nie należało ich drażnić.

Samochody zatrzymały się. Ze środkowego wozu, w obłoku kurzu, w obstawie swojej świty wysiadł „pułkownik Ahmed”. Dumny, zgrywający twardego, w nieodzownej wojskowej kurtce na rodzimym, luźnym i przewiewnym salwar kamiz: luźnych spodniach i długiej sukmanie (choć pogoda nie wymagała ciepłego odzienia). Ochrona obstawiała go szczelnie, jakby coś im wciąż groziło. A przecież tak nie było, znajdowali się u swoich. „Pułkownik” musiał dbać o otoczkę wielkiego komendanta, który budzi respekt u swoich i strach wrogów. Rzekomo był ciągle w niebezpieczeństwie jako wybitny wojownik, który zaszedł za skórę żądnym zemsty wrogom.

Ów wódz machnął teatralnie na podkomendnych, by zostali na miejscu. Ujął mocniej krótki karabinek AKSU i nie prosząc o zaproszenie, wszedł w bramę kalaty. Strzegący wejścia pozdrowili wodza niezgrabnymi pokłonami pasującymi do niezbornego oddziału partyzantów, a nie do regularnego wojska.

Ludzie, którzy wyszli Ahmedowi na powitanie, nie okazywali mu tyle uwagi. Byli roślejsi niż on i połowa jego mudzahedinów. Nie pochodzili spod Hindukuszu, choć na pierwszy rzut oka przypominali tutejszych. Brodaci, opaleni, w pakolach lub czapkach z daszkiem. Lokalnymi

łachami okrywali europejskie koszule albo krótkie kamizelki kuloodporne. I tylko pewne, szybkie ruchy i mniej zniszczone od słońca i ciężkiego życia twarze podkreślały różnice, choć dopiero przy bliższym podejściu. Przeważnie też cała grupa tych przybyszów działała w cieniu, nie wystawiała się na pierwszą linię.

– Witaj, pułkowniku! – Najważniejszy z powitalnej trójki machnął ramieniem, choć nie przykładał się do pokazu uprzejmości. Jego koledzy poprzestali tylko na niemrawym skinięciu głową. Podał rękę wodzowi i ucałował w policzki, jak przystało na powitanie przyjaciół. Ahmed dbał, by przybysze okazywali mu szacunek.

– Jakie pilne sprawy cię sprowadziły? – zapytał młodszy od pułkownika o dobre dwadzieścia lat, ogorzały człowiek z brodą, bez wąsów.

– Robi się źle. Dziękuję, że zgodziłeś się mnie przyjąć. – Pułkownik przyłożył rękę do serca. W obliczu młodszego powaga i pewność Ahmeda topniały.

– Dotrzeć tu nie było prosto. Rozszerzamy nasze terytoria, ale w dystrykcie jest Kandak – tłumaczył spóźnienie nowiną, która winna być dostarczona natychmiast. – Te psy potrafią podnosić morale swoim. Moi zaś boją się, zwłaszcza... – nieśmiało podniósł oko na płachtę ponad nim, kryjącą dziedziniec.

– Rozumiem. – Młodszy udał, że wierzy. Tak naprawdę uważał tego starego trepa za równie leniwego jak większość mieszkańców tej sterty kamieni. Przybył prawie dobieg po tym, jak nadał umówione hasło wzywające do spotkania.

– Porozmawiajmy... – Młodszy wskazał główny budynek.

Wewnątrz było chłodniej, ale i ciemniej. Jedno z pomieszczeń zastawionych stołami i nowoczesnym sprzętem rozjaśniał blask komputerowych ekranów. Ludzie młodego wpatrywali się w widoki z dronów i dostarczane tutaj obrazy satelitarne. Nie było to wielkie, bogate centrum dowodzenia, zapchane wysublimowaną techniką. Ot, zaledwie kilka laptopów, większych ekranów, radiostacje i kodery do nich. Ale na „pułkowniku Ahmedzie”, który żył w półdzikich wsiach,

albo w jaskiniach, robiło to zawsze kolosalne wrażenie. Dodawało pewności, że ma wsparcie którego, zazdrościć mogą wszystkie inne oddziały w Choscie.

Młodszy wskazał pokój, który był przeznaczony na podejmowanie gości. Nie często się to zdarzało, więc urządzono tu pomieszczenie, które w zachodnim świecie nazywano socjalnym. Teraz rozścielono dywany, podano patery z owocami, a jeden z tymczasowych gospodarzy zajął się parzeniem czaju i chłodniejszymi napojami.

– To dla was. – Ahmed nie tracąc czasu, wydobył z kieszeni kurtki przekazany mu przez „Papę” list. Nie bawił się w zbędne grzeczności. Młodszy, zdziwiony, zabrał papier i dopiero wtedy usiadł wraz z przybocznymi. Przeczytał szybko, kilka razy.

– Ryzykowne wozić coś takiego. Ale dziękuję wam, pułkowniku. – Odkręcił małą butelkę coli i podniósł w geście toastu. Oddał list pozostałym.

– Miałem posłać kuriera, żeby to zgubił? – Ahmed udawał fachowca. – To byłoby bardziej nieodpowiedzialne. A tak możemy się naradzić. – Pogładził czarną brodę. – Co o tym sądzicie?

– Jeżeli to prowokacja... – powiedział siłacz po prawej od dowódcy.

Ahmedowi zafalowała grdyka. Nie spodziewał się takiego zarzutu i nie potrafił go odparować.

– Tak mogło by się stać. Ale pułkownik to doskonały strateg. – Młody przyszedł mu z pomocą, z uśmiechem patrząc w oczy. Afgańczyk z właściwą sobie pychą nie analizował, czy to zachowanie to tylko grzeczne pozory, czy prawda. Wolał myśleć, że to drugie.

– Nie wykryliśmy wrogich dronów nad obszarem. Nikt tu nie zagląda z Kabulu. – Młodszy mężczyzna dał tym samym prztyczka Afgańczykowi za jego popędlliwość, ale pułkownik nie zrozumiał.

– Więc co teraz? To musi być prawda, jeżeli „Papa” zdecydował się zobaczyć mnie osobiście. Zrobić tę całą szopkę, zamiast skorzystać z łączności.

– Wszyscy tu, widzę, jesteście ostrożni. – Młodszy uśmiechnął się szerzej. – To się chwali. Dlatego tak dobrze nam się współpracuje.

Miejscowi wiedzieli, jak się kryć przed wścibstwem kontrwywiadów, zwłaszcza kiedy odpowiednio ich się przeszkoliło. Jednak i bez tego potrafili spiskować pod nosem obcych całymi dziesięcioleciami. Jeżeli tylko im się chciało.

– Każdy ma swoich przełożonych. Ja też. – Młodszy złożył kartkę i zapatrzył się w talerz z winogronami. Potem podniósł wzrok na Ahmeda. – Złożę meldunek i poczekam na rozkazy.

– Ale co ja mam robić? – zapytał wystraszony pułkownik.

– Nic. Czekać. Nie stracisz pieniędzy. Przesyłka zabezpieczona i odesłana w świat. Zbiory były udane, zarobiłeś. Do przyszłego roku będziesz tu królem, będziesz działał legalnie i pobudujesz sobie wielki pałac. – Snuł cudownie brzmiące w uszach starego żołnierza opowieści. – Szkołę zlikwidują. Wywiozą wszystkich albo tylko nauczycieli. Przecież nie lubicie obcych, którzy uczą wasze kobiety. – Roześmiał się.

– Nie jestem talibem. – Ahmed zaprotestował, choć bez przekonania.

– Ale ich wspierasz i tolerujesz. Może nie lubisz ich światopoglądu, ale na pewno forszę, jaką pozwalają ci zarabiać.

– Pieniądze mam od was. Za gościnę i osłonę. A ich... – Afgańczyk wypiął dumnie pierś.

– Doprawdy? – Drugi z gospodarzy spojrział na pułkownika, przechylając głowę jak niespełna rozumu. Albo nawet psychopata zamierzający zrobić coś niedobrego. – Ja myślałem, że to transakcja wiązana. Masz nasze drony, informacje. Gdzie wy wszyscy byście byli, gdyby nie pomoc z zewnątrz?

– Dobrze już. To nieważne. – Młodszy uciszył obu gestem dłoni i przymknął oczy. Potarł nasadę nosa i znowu napił się coli. – Nie czas na próżne spory. Wszyscy na tym skorzystamy. My zaś jesteśmy bardzo wdzięczni za gościnę. – Ukłonił się, wiedząc jak zaskarbiać sobie i uspokajać polowych oficerów. – Powtarzam: szkoła to nasz problem.

Bardzo dobrze zrobiliście, że nie kontaktowaliście się ze mną wprost. Telefony, radia, nawet najlepsze, nie są bezpieczne. Zwłaszcza wasze.

Wiedział o tym doskonale. Sam mógł odnaleźć każdy telefon albo radiostację w zasięgu kilku kilometrów. Gdyby miał pozwolenie, mógłby rozszerzyć ten obszar. Wysyłanie kurierów też było ryzykiem. Nawet najdzielniejszy mudżahedin bywał gnuśny. Mógł zmylić drogę, wpaść do rodzinnej wsi i za wiele wygadać. „Pułkownik Ahmed” postąpił słusznie.

– „Papę” i jego ludzi zabezpieczymy – mówił dalej, coraz spokojniej. – Chociaż on wam już nie potrzebny. Fakt, był waszymi oczami i uszami. Jak ostatnio, kiedy ostrzegł przed Kandakiem. I poświęciliście kilku Arabów, Indonezyjczyków... – Wydawało się, że puścił porozumiewawczo oko, niezdrowo zafascynowany okrucieństwem pułkownika. – Nie lubiliście ich, co? Rządowi zaś myślą, że odnieśli sukces.

– Tamci byli krnąbrni i niezdyscyplinowani – warknął Ahmed, marszcząc ciemne brwi. – Nie uznawali zwierzchności mojej i moich ludzi. Żli żołnierze – zawyrokował z całą stanowczością.

– No tak, tak... – Młodszemu pozostało się tylko zgodzić, choć miał odmienną opinię. – Dobrze, pułkowniku. Wszystko jest w porządku. Czekać i odpoczywać. Na razie. Mam swoich przełożonych. Koniec kontaktów z „Papą”. To zwykła ostrożność. Niewskazane jest, by kontrolerzy znaleźli ślady kontaktów szkoły z wami. – Tym samym zdradził, czego się obawia. – Być może będzie trzeba zamknąć placówkę. Zastanowię się. Pozostanie tylko sprawa przerzutu towaru. Na wynajdywanie ludzi też znajdziemy jakiś sposób. Albo w ogóle to nie będzie potrzebne. – Wstał i podał dłoń zamyślonemu oficerowi. – Zostańcie ze swoimi ludźmi do wieczora. A jeżeli chcecie, do rana. Nie musicie się trudzić ze zbyt szybkim powrotem. Nie macie na razie większych zmartwień.

– Prócz psów z Kandaku. – Ahmed zacisnął usta, a jego oczy naszły wściekłością.

– Spokojnie... – Gospodarz się uśmiechnął. – Więc zostańcie tu. Przenieście sztab. Przyczaicie się i pokrzyżujecie plany wrogowi. Niedługo sam pan wypędzi Kandak i będzie rządził dystryktem, albo dwoma, a wtedy inni przyłączą się do was. Muła będzie musiał się z wami liczyć.

Pułkownikowi zaraz poprawił się nastrój. Uściskał dłonie całej trójki, prezentując niekompletne żółte uzębienie.

Młodzik odprowadził pułkownika ze swojej kwatery na sam skraj kalaty. Ahmed obwieścił swoim, że zostają, a ci momentalnie rozeszli się po obejściach, szykując posłania, rozstawiając kociołki i urządzając niewielkie paleniska. Ich kompani, żyjący w tej fortecy, zaczęli znosić oskórowane kawałki kóz na ruszt, chleb i imbryki.

– Nocą będzie pasztuńska impreza – skomentował silnie zbudowany facet o pseudonimie „Raszid”.

– Dzikusy, jebane dzikusy... – Dowódca, do którego mówili „Kapitan Mazar” wyszeptał z obrzydzeniem. Robiło mu się niedobrze od patrzenia, ale i od świadomości, że po raz kolejny musiał kadzić oprychowi, którego tak naprawdę był gościem. Nienawidził miejsca, w którym musiał pracować. – Pierdolona zsyłka! Trzeba pogadać. Byle dalej od tej cuchnącej hołoty.

Przy pomieszczeniu z elektroniką był jeszcze jeden pokój, odremontowany jak lokal z jakiegokolwiek z cywilizowanych miast, choć bez zbędnego przepychu. Jasne ściany, dobre oświetlenie kilka krzesel, łącze satelitarne i zabezpieczenie przed podsłuchami.

„Kapitan Mazar” i wszyscy, którzy nie byli zajęci przy zabezpieczaniu ośrodka albo sterowaniem dronami, stłoczyli się w tej izdebce. Było ich sześciu. Połowa z całej grupy. Mieli słuchać dowódcy na tej kleczonej naprędce naradzie.

„Kapitan Mazar” rozwalił się na krześle, które teraz wydawało mu się niezmiernie wygodne. Podniósł dłoń, opierając łokieć na meblu i zamachał kartką.

– Robi się ciekawie – zaczął, nie hamując złości. – Wakacje idą. Szkoła się kończy – mówił enigmatycznie, ciekaw reakcji ludzi. Nie byli załamani, a może nawet na tych kilku zmęczonych, wychudłych twarzach rysował się ostrożny optymizm. Dawno mieli dosyć tego kraju, tak samo jak dawno już zapomnieli o potrzebie oddania dla sprawy. Cel był tak mglisty i nieokreślony, że przestawał ich obchodzić w tych upałach, mrozach nocy i przy braku rozrywek. Teraz zdawało się, że choć jedna sprawa odpada im z listy obowiązków.

– Szefostwo fundacji się zesrało. – „Kapitan Mazar” nie był tak pozytywnie nastawiony jak jego ludzie. Wiedział, że ma kłopoty, albo wyczuwał ich początek. – Karim kazał nas pilnie poinformować o wizycie gości. Nie będą to tylko cwaniaki od tych zboczeńców, ale ktoś jeszcze. Ich nadzorcy, władza, wojsko. Co drugi będzie z kontrwywiadu i zacznie węszyć. – Zmiał kartkę i cisnął za siebie. Pochylił się zaraz i chwilę tarł głowę w dłonie. Powinien brać przykład z „pułkownika Ahmeda” i zadbać o lepszy wizerunek przed ludźmi, ale teraz miał to zupełnie gdzieś.

– Karim jest sobie winny – pocieszał go „Raszid”. – Mógł lepiej pilnować swoich pracowników. A tak, wstawili mu ucho.

– Ale to ja ich... – Mazar nie potrafił publicznie przyznać się do błędu. – Karim został ostrzeżony. Wygląda na to, że któryś z mądrali ze szkoły coś wyczuł. Zresztą, likwidacja była pochopna. To fakt, pospieszyliśmy się.

– Ale nie mogliśmy ryzykować. To było zagrożenie dla wszystkich. – „Kapitan Mazar” oparł ręce o uda i złożył dłonie, zakrywając usta, wgapiony w skrawek podłogi przed nim. Starał się zachować trzeźwy tok myślenia. – Z początku uważałem, że przyłapanie kogoś na grzebaniu w szafie albo brak znacznika zabezpieczającego na szufladzie to za mało. A jednak Karim umiał to połączyć. Gdyby poczekał i dał się wywieźć, popracowaliby nad nim ostrzej. Przecież nie chciał uciekać, a szefowie nie byli pewni. I tak, mogłem być bardziej stanowczy, uciszyć całą trójkę. To wszystko jest pojebane – warknął. – Zrobi się głośno i tłoczno, a to niedobrze. Karim ma potencjał, ale szefowie pewnie nie

będą tak zadowoleni. Oni mówią, że można go poświęcić. Ja tak nie uważam.

– Spotkasz się z nim? – „Mirgan”, bystry, ciągle młody żołnierz o blond brodzie, odważył się zadać pytanie.

– Absolutnie nie! – „Kapitan Mazar” odparł oschle. – Nie zdążę. Ten cap Ahmed włókł się tu tak długo. A co dopiero ja. Do Kabulu? Mógłbym spotkać się jak zawsze na bazarze albo w kawiarni, ale teraz Karim już może mieć obstawę. Jak każdy w tej cholernej szkółce.

– Więc co? – „Raszid” masował sobie zbitą w kułak prawą dłoń.

– Nie spalę głównej operacji. Nie wystawię nas. A i nikt nie przygotowuje ewakuacji. Za dużo roboty. Jesteśmy ulokowani, niewidoczni. Za wiele zalet po prostu.

Oficer nerwowo podrapał się po brodzie, po czym dodał pewniej:

– Minimalizujemy straty. Są ważniejsze rzeczy. Trzeba pozrywać nitki.

– Chcesz poświęcić łącznika? – „Raszid” był zaniepokojony, ale i zaintrygowany. Szanował odwagę. Dlatego nie osądzał ostro ich człowieka w Kabulu. – Co powie Karim?

– Nic nie powie, bo zamilknie – ponuro stwierdził dowódca. – Od łącznika należy zacząć. Wie najwięcej o nas, stolicy, Ahmedzie. O tych cholernych szkołach, tu i w Paktiji, gdzie nasi też pracują. To, co tam robili, nie da się ukryć. Miejscowi gadali i będą gadali. – Wstał, mrużąc oczy, jak gdyby patrzył o wiele dalej, a nie tylko w jasną ścianę pokoju. – Trzeba działać szeroko. W kilku miejscach naraz.

– Będziemy mieli na to pozwolenie? – drążył blondyn, jakby chciał podkopać autorytet zwierzchnika. – Szefowie mogą się nie zgodzić.

Kapitan podszedł do chłopaka i niby to zabawnie potargał przydługą czuprynę. Zacisnął palce i pociągnął, aż tamten syknął.

– Nikt o to nie będzie dbał. – Pochylił się, cedząc słowa. – Sytuacja jest alarmowa. Trzeba kryć operację. Nic więcej się nie liczy. – Potem zwolnił ucisk. – Chyba dostatecznie wiele zrobiliśmy – powiedział, odwracając

się. – Ile przerzutów było? Ile kilogramów tutejszego przysmaku wywieźliśmy? No więc niech nie narzekają. Gdyby co, zrzuci się na lokalnych watażków. Tak jak zrobił Ahmed, wysyłając sześćdziesięciu zagranicznych ochotników do ataku na miasto. Pod lufy rządowych. Oficjalnie to była ich samowola, za którą zapłacili, czyż nie? – Odpowiedzieli mu, kiwając głowami. Patrzyli, podziwiali i ufali swojemu dowódcy. – Namówię go, namówię jednak Ahmeda, by przejął miasto i szkołę. Za pieniądze zrobi wszystko. Dostanie wsparcie. Będzie myślał, że jest jeszcze silniejszy niż w rzeczywistości. Padalec. – Zachichotał. – Wojna panowie, to jest wojna, a na niej trzeba ograniczać straty. Rozmowy z szefami zostawcie mnie. I bądźcie dobrej myśli, wszystko się uda. No, a teraz: do zadań!

Konstantin cieszył się na wyjazd. Świadomość, że zasięgnięto jego opinii jako szanowanego powszechnie arbitra i ciągle uważano za trzeźwo rozumującego, dodawała mu sił. Mógł udawać, że pasuje mu los pocziwego dziadunia bawiącego wnuki, ale nuda zaczęła mu doskwierać. Może cierpiał na jakąś formę ADHD, którego nigdy nie zdiagnozowano lub po prostu, jak tysiące ludzi przed nim, uzależnił się od tej pracy? Fachu, z którego podobno nigdy nie można było odejść.

Był w dobrej formie, bo o nią dbał od zawsze. Ale klimat Tadżykistanu był jak ostrzeżenie, że może nie dość dobrze. Pobyt w Duszanbe wydawał się piekłem, a nie tylko aklimatyzacją do warunków. Konstantin usiłował ćwiczyć, biegając wokół powierzonego mu przez „firmę” bezpiecznego domu, ale wyglądało to żałośnie. Zalewał go pot, a jogging zmieniał się w niezgrabny trucht. On jednak z uporem szaleńca odbywał swój rytuał.

Uznawał to za najlepszy sposób sprawdzania sytuacji w wokół siebie. Był w państwie gdzie mógł spotkać konkurencję lub raczej nadzór. Każdy nowy w tej dawnej republice sowieckiej był pilnowany. Jeżeli nie przez ludzi z ambasady lub któregoś z garnizonów, to przez miejscowych. Ci ostatni nie przeszkadzali, bo nie mieli siły, ale chcieli wiedzieć, co się dzieje. Kostia obawiał się jedynie mundurowych, wojska. Nie ufał im. Im szczególnie. Uznawał ich za wewnętrzny

wroga, który zbyt szybko urósł w siłę, zwłaszcza ostatnimi laty. On i jego „firma” mieli go poskromić.

Zespół, jaki wybrał Konstantin, składał się z jednej kobiety i sześciu mężczyzn. Nie byli młodzieńcami. Za to wszyscy się znali, lubili i ufali sobie. Spływali do Duszanbe stopniowo, by nie narobić zamieszania, ale Kostia był pewien, że już zwracają uwagę. Zawsze tak było. Życie nie zna przypadków.

W jego dyspozycji był nowoczesny sprzęt, którym mogła poszczycić się placówka niejednej ambasady, albo raczej jej pion wywiadowczy. Dodatkowo grupę i „zabawki” podpierano wielką swobodą Konstantina, którą zagwarantował specjalny list z upoważnieniem. Nie szafował nim. Nie zamierzał.

Zadanie nie dotyczyło Tadżykistanu i lokalnych garnizonów. On miał przedostać się za granicę, za mityczną linię, która chroniła były sowieckie republiki i samą Rosję przed zalewem islamskiego fanatyzmu. Przynajmniej takie było powszechne rozumienie misji „kordonu”.

Prócz plenipotencji Kostia miał prawo wezwać zespół osłonowy, jak nazywał żołnierzy. Właściwie nie żołnierzy, a ...nie wiadomo kogo. Nie nazywał ich najemnikami, choć nimi byli. Byli na państwowym żołdzie, ale nie musieli stosować się ściśle do zasad dyscypliny i sztywnego regulaminu.

Czasu było bardzo mało, ale Konstantin wynalazł czas, by posegregować osoby, które miały go osłaniać albo ratować. Wybrał tych, którzy służyli wcześniej w jednostkach takich, jak Wydział A Centrum Specjalnego FSB, znanego w świecie jako „Alfa”. Lub też wydziału „W”, czyli „Wypiełu”, również z FSB. Emerytów albo przeniesionych rozkazem do firmy, którą w świecie określano mianem Wagnerowców.

Kostia nie życzył sobie żadnych wojskowych. Razili go i denerwowali. Był poukładanym człowiekiem o sporej inteligencji i doświadczeniu. I nic tak nie drażniło go jak wojsko wtrącające się do jego pracy.

Wyznaczone zadanie było delikatnej natury. O jego celu i metodzie przeprowadzenia wiedziało zaledwie tylko kilkanaście osób, choć

Konstantin uważał, że to i tak za wiele. Nie mógł ryzykować utracenia akcji przez popędliwość „trepów”. Ich obiekcje i solidarność mogły eksplodować kryzysem w najmniej odpowiednim momencie jako przeciek albo donos do miejscowych.

Trzeciego dnia pobytu w Duszanbe, kiedy siwy pan wrócił z przebieżki, od swojego oficera otrzymał wiadomość. Rozszyfrowany przekaz mówił, że obiekt, którym miał się zainteresować, zamierza zaprzestać działalności. Kostia nie namyślał się zbyt długo. Wziął telefon i w surowych słowach, które nie pasowały do wyglądu subtelnego dziadka, zażądał przyspieszenia sprawy transportu na miejsce.

Lotnisko w Kabulu tej wiosny wydawało się bardziej zatłoczone niż w poprzednich latach. Kiedyś docierały tu rejsowe maszyny afgańskich i arabskich linii z mniejszych krajów Azji. Lądowały wojskowe samoloty wszystkich państw zaangażowanych w wojnę, choć militarny transport korzystał bardziej z pasów w nieodległym Bagram.

Najwięcej było maszyn transportowych, dowożących zaopatrzenie dla prywatnych firm i instytucji. Wszystkich, którzy pomimo wojny zajmowali się biznesem. Było ich sporo, zwłaszcza w miastach. Prym wiedli Chińczycy, Pakistan i Rosja, która umocniła swoją obecność, a miejscowi dawno zdążyli zapomnieć, że przybysze z Moskwy brutalnie okupowali republikę. Minęło ponad trzydzieści lat, trwała inna wojna, a najważniejsze były pieniądze i postęp, nie historyczne sentymenty.

Airbus, który przywiózł Konstatnina i jego ludzi, należał właśnie do jednej z prywatnych firm. Załoga była pewna, że transportuje grupę pracowników firmy budowlanej. Żałowali nawet pasażerów, sarkając, że trafili na zły czas, by zmieniać turę w Afganistanie.

– Wszyscy stąd uciekają, a wy w drugą stronę – rzucił na pożegnanie zmartwiony kapitan, machając na schodkach.

O taki obraz jego zespołu chodziło Kostii. Nie mieli nic, co mogło zdradzić, że nie są cywilami. Ubrani w jasne ubrania, z turystycznymi kapeluszami, lepiący się od potu. Sprzęt zamknęli w skrzyniach.

Najważniejsze wyposażenie przeszło frachtem dyplomatycznym i miało oczekiwać w umówionym miejscu. Zresztą władze, mimo pozorów, nie przejmowały się już zbytnio szaleńcami, którzy przybywali do Afganistanu tuż przed „burzą”.

– Bardak – szepnął Konstantin, chwytając pospolitą, niewinną walizkę na kółkach, kiedy patrzył, co dzieje się w porcie lotniczym.

Kilka samolotów stało na płycie. Inne przy nowych rękawach świeżego terminalu. Wokół kręciło się pełno służb, wojska i policji. W budynku panował tłok i duchota, połączone z wrzawą rozemocjonowanych ludzi. Także miejscowych, ale głównie zachodnich kontraktorów i dyplomatów.

Wozy, jakie zaordynowali, nie były ani nowe, ani ładne. Pasowały więc idealnie. Dwa busy wyjechały z lotniska i zaraz ugrzęzły w korku. Potok ludzi był podobno znacznie większy, odkąd talibowie rozpoczęli ofensywę. Wlekąc się, ale i sprawdzając ewentualne ogony, ludzie Kostii dotarli do pełnej aut, mechaników i wszelkiego brudu hali garażowej. Tutaj, za opłatą kilkuset dolarów, pobrano inne auta, i opuszczono przybytek tylnym wyjazdem. Tak dla pewności, choć Kostia pogodził się już z tym, że nie umkną obserwacji dronów.

Liczył na zamieszanie w mieście, dyskrecję tych, którzy go tu wysłali i braki w służbach zachodnich niepozwalające na zainteresowanie rosyjskim przedsiębiorcą. Jedyne, czego się naprawdę obawiał, to jakaś wiadomość wysłana przez kogoś z firmy albo innego resortu. Z wojska, od oficera, który domyślił się sprawy albo z samej lojalności chciałby ostrzec swoich.

Lokal dla nowoprzybyłych wynajęto w magazynie na północnym wschodzie miasta, jednak nie na samym obrzeżu. Przybycie nowej grupy do jakiejś ruiny na przedmieściu za bardzo zwracało uwagę. W budynku działała jakaś prawdziwa firma budowlana, natomiast piętro bloku pamiętającego sowiecką inwazję wynajmowano.

Ludzie Konstantina zaczęli sprawnie zapelniać pokoje sprzętem i własnym dobytkiem. Przeskanowali uważnie ściany, szukając pluskiew. Chłopaki od Wagnera zajęli się tworzeniem subtelnego

perymetru oraz punktów obserwacji w budynku i na całej ulicy – głośniejszej, śmierdzącej i zakurzonej, jak całe miasto.

Sprzęt, jaki powierzono Kostii, pozwalał na gromadzenie najważniejszych informacji. Dokładniej, jeżeli główny audytor (jak nazywał Kostia szefów uplasowanych wysoko i ukrytych w cieniu tajnych operacji) zezwolił dołączyć kolejną nitkę do struktury przepływu wiadomości. Technologia, jaką dysponował, była już o niebo lepsza niż to, z czym miał do czynienia dwa lata, temu kiedy działał po raz ostatni. Pozwalała przekazywać otrzymany raport do innych podmiotów, tyle tylko, że w przypadku Kostii bez wykazywania odbiorcy. Oprogramowanie pozwalało korzystać z dostępu do informacji i samo kasowało własne współrzędne, ewentualną lokalizację i adres IP. Potem jego grupa, wyposażona w podobny deszyfrator jak centrala lub zespoły w terenie, była w stanie odczytać meldunki.

Konstantina interesowały te najświeższe, których nie mógł czytać, marnując czas w Duszanbe. Resztę znał, znał nawet dobrze. Co i rusz wracał do zbioru zdjęć i życiorysów. Wertował je i patrzył w oblicza ludzi, których biografii wyuczył się na pamięć. Najświeższe informacje były z lekka niepokojące, choć nie wstrząsnęły seniorem. Były wyzwaniem. Lubił takie zabawy mimo wieku. Pobudzały mózg do wysiłku i utrzymywały w formie mentalnej.

– I jak sądzisz? – Yakow, ciemnorudy mężczyzna w stopniu majora o okrągłej jasnej twarzy, zawsze był ciekaw oceny szefa. Jego przyjaciela i mentora.

Konstantin uniósł siwą brew i westchnął. Ludzie czekali. Lubili, jak popisuje się przecuciem albo tym szóstym zmysłem, a potem wszystko zazwyczaj się sprawdzało.

– Młódzież mamy bezczelną – powiedział. – Ale jak ma być inaczej, skoro szefowie postępują tak samo.

– Więc co w związku z tym? – Kolega z grupy chciał znać plan. – Zajmujemy się nim, czy czekamy?

– Czekamy. – Konstantin potwierdził momentalnie. – To znaczy, na spokojnie.

Wpatrzył się znowu w twarze ludzi, którzy byli zaangażowani w sprawę.

– Chcę zrobić rozpoznanie. Sam – uciął stanowczo szeptu współpracowników. – Zawsze lepiej robić to osobiście – dodał łagodniej z uprzejmym uśmiechem. – Nie możemy siedzieć całymi dniami w tym pałacu. Jesteśmy specjalistami od budowy, więc trzeba poszukać jakiejś roboty. – Zamknął zeszyt. – Chcę przyjrzeć się obiektowi. Wynajdę miejsca na dozór, zapoznam się z terenem. Wolę wiedzieć z pierwszej ręki, kiedy przybędzie grupa ewakuacyjna. Potrzebny będzie wóz – polecił bez emocji. – Na rano, zaraz po godzinie policyjnej. Ktoś mnie zabierze. Wystarczy jeden ochroniarz. Nie róbmy tłoku. Do tego maskowanie. Narzędzia, plany i sporo gotówki. Tak, to najważniejsze. Nie chce mi się tłumaczyć, co będzie, jeśli ktoś nas zatrzyma.

Najbardziej zależało mu, by wyrwać się z nory, jaką objął, i sprawdzić, jak ma się ktoś, kogo pamiętał z dawnych czasów. Tego chciał, ale nie mógł podzielić się tym z resztą.

Jaskrawe, rażące słońce wschodziło nad budzącą się Warszawą. Chłód poranka ulegał narastającemu ciepłu nowego czerwcowego dnia. Nad światem królował błękit nieboskłonu. Samolot, skromny Boeing 737 stał na uboczu terminala lotniska Okęcie. Specjalny samochód ochrony poprowadził dwa rządowe busy bramą na płytę. Zaraz potem zniknął.

Adam Thomal wyszedł z auta i stanął jak wryty, patrząc w lśniącą, dużą bryłę płatowca. Nie przeszkadzał mu nawet dysk słońca, które wyłoniło się zza obłego kadłuba. Widok czarterowego samolotu przeraził go.

– Co, nie przeszło ci? – „Monsignore” z rozbawieniem trącił kolegę, zbierając sprzęt. Kilku innych operatorów nadstawiło uszu, nie rozumiejąc chyba przytyku.

– A żebyś wiedział. – Thomal syknął z irytacją. Wypierał fakt długiego lotu do niebezpiecznego kraju. Im bardziej się starzał i im więcej przeżywał, tym bardziej latanie stawało się traumą.

– „Queen” da ci „głupiego jasia” i nie poczujesz – pocieszył Kamil, widząc, że Adam rzeczywiście to przeżywa.

– „Queen”? – Do Thomala dotarło po sekundzie.

– Nasz doktorek. – Komandos wskazał byczka z dwoma plecakami. Ten pokiwał zabawnie głową.

– „Queen” od doktor Queen – wyjaśnił bez żenady, pogodzony dawno z ksywką.

– Wy to macie wyobraźnię. – Adam pokręcił głową i założył plecak. – A jak coś się stanie...

– Nic nie będzie. – „Monsignore” objął ramieniem przyjaciela i szepnął mu do ucha, wiedząc, że ten argument zadziała. – Trzymaj fason przed paniami.

Sprowokowana ambicja Adama sprawiła, że wyprostował się, napiął i na dodatek zrobił zawziętą minę.

– O to chodziło. – Kamil z trudem zdławił śmiech.

– Pomogę im. – Zapominając o lękach, Thomal postanowił taszczyć skrzynie operatorów, a zwłaszcza pakunki szanownych koleżanek.

Stefan Kłodziński poszedł do samolotu, witany przez uprzejme jak zawsze śliczne stewardessy, nieco zszokowane zestawem pasażerów lotu, w którym miały brać udział. Thomal otaksował tę przy schodach, śląc uspokajający uśmiech ze swojego „arsenału” do łamania kobiecych serc. Z trudem ukrywał wysiłek, ale pomógł wrzucić plastikową, długą skrzynię na pas transmisyjny prowadzący do ładowni.

– Nie tracisz czasu. – Aurelia Woit pojawiła się tuż za nim. Nie odstawała od reszty. Trzymała dwie torby przytaszczone z samochodu i nie pozwoliła ich sobie odebrać Adamowi.

– W jakim sensie? – Udawał głupiego.

– Mógłbyś dopaść każdą babkę? – Pani podpułkownik pytała z pretensją.

Thomal stropił się, ale tylko na sekundę.

– Cóż... – Oczy mu błysnęły, kiedy spojrzeniem głaskał kobietę. – Nabieram apetytu, ale gustuję w wykwintnych dniach.

Teraz Aurelia nieco się wycofała. Zacisnęła wargi, uciekając spojrzeniem.

– Dania... – powtórzyła, niby oburzona. – Traktujesz kobiety jak jedzenie. Tak jak myślałam. – Udała oburzenie. Odwróciła się i pospiesznie ruszyła do samolotu, kłaniając się stewardesie. Thomal łapał jej każdy krok, ruch bioder, wiedząc, że znowu zasiał ziarno zainteresowania. Woit sama go zagadnęła, więc nie mierzył jej kontakt. Naczytała się jego życiorysu, powybrzydzała, ale ta mała część szukała zrozumienia dla tak grubiańskiego zachowania mężczyzny. „Mam cię znowu” – pomyślał zadowolony z siebie Adam, kiedy Woit rzuciła mu ukradkowe spojrzenie przed samym wejściem na pokład.

– Boże, ty jesteś porąbany. – Kamil stał niedaleko i musiał wszystko widzieć.

– Takie hobby. – Adam nie zamierzał się bronić i usprawiedliwiać. – Chyba mnie znasz. – Zdawał się bardziej dumny niż zażenowany.

– Wariat – Kamil wymachnął dłonią. – Biedna Madzia...

– Nie jesteś lepszy – bronił się Adam.

– Ale ja uderzam z perspektywą czegoś fajniejszego i na długo, a ty...

– A ja się bawię! – Thomal zaśmiał się. – No jak, idziesz? – Skinął na kolegę, widząc, jak reszta wspina się do maszyny. Busy odjechały. Silniki samolotu zaczęły szumieć.

– Zapalę na zapas, bo tam zwariuję. – „Monsignore” wskazał paczką papierosów Boeinga. – Walniesz dymka?

Wysunął papierosa, patrząc na kolegę. Adam zrozumiał przekaz. Sięgnął po camela. Ruszyli z dala od ogona maszyny. Nie wolno było palić na płycie, zwłaszcza przy zatankowanym płatowcu, ale komandosowi chodziło o coś innego. O martwy punkt, w którym nie mógł ich podpatrzeć żaden z pasażerów. Zapalili. Thomal zaczął się nieporadnie krztusić. „Monsignore” tylko wykrzywił ubawioną twarz.

– Co myślisz? – zapytał poważnie.

– Pani podpułkownik... mój kaliber. – Adam przymknął oczy, zaciągając już swobodnie dym i patrząc na samolot.

– Czy ty możesz przestać myśleć o dupach? – Kamil nie wierzył, że młody nie zrozumiał. – Skup się, kurde. I pamiętaj o jej stopniu, bo ta Woit naprawdę dobierze ci się do tyłka. Babka udaje silną sucz i taka jest. Sama wszystko osiągnęła. No, ale starczy psychoanalizy. Ten wyjazd śmierdzi. Mariusz opisał nam co nieco. Ja też powiedziałem, co myślę. Naszukacie się, nie wiadomo zresztą czego. – Strząsnął popiół. – Wiesz, jak jest, a pewnie więcej, i już coś wykombinujesz pod tą uczesaną fryzurą. Zazwyczaj masz fiuta za przewodnika, ale jak się ogarniesz, to wiele potrafisz. – Kamil zrugął i pochwalił kolegę w jednym zdaniu. Przybliżył się, jakby szum rozkręcanych silników nie był wystarczającą osłoną dla jego słów. – Mnie i Robertowi kazali pilnować łączności na miejscu. Rozumiesz? Kto, do kogo, gdzie i jak. Nasi w Kabulu są w tym dobrzy. Mają nas wspierać. Mają pytać jankesów, o ile ci znajdą czas w tym syfie, by zajmować się płótkami. – Czekał na reakcję, ale Thomał wyglądał na nieporuszonego. – „Kraina luster” – wspominał niemo starą oklepaną frazę o świecie wywiadów. Każdy tu miał jakieś sekrety.

– To coś więcej niż zwykły zamach. Ktoś tam bruździ. – Adam zastanawiał się głośno. – Sam nie wiem, o co chodzi i co ugramy. Bo nie widzę szans na fanfary i ordery.

Kamil tylko kiwał głową. Na schodach pojawił się Arkady i krzyknął coś, machając ręką.

– Za długo tu sterczymy – uznał „Mosnignore”. – Nic nie wiesz – dodał, biorąc ostatni wdech nikotyny. – Ja ci nic nie mówiłem.

– Ale dasz mi jakiś greps, gdyby szef znowu zapomniał mi czegoś powiedzieć? – Thomał powstrzymał kolegę przed powrotem. „Monsignore” patrzył w beton pod stopami.

– Pewnie. – Odpowiedź nie brzmiała przekonująco. – Wybrali cię nie dlatego, że przeżyłeś w różnych brzydkich miejscach. Ale dlatego, że się z nich wyrwałeś. Bo naprawdę masz do tego smykałkę. Przydasz się im.

Będą ci mówić, o co chodzi. Ale możesz na mnie liczyć. Jeżeli w ogóle będzie czas na pogaduszki. Teraz chodź, bo pomyślą że knujemy coś. Albo i gorzej: że wódkę pijemy – zakończył z uśmiechem, po czym pobiegł demonstracyjnie ku rampie.

Kapitan Yasim Rahmat ocknął się na łóżku swojej kwatery w domu prostych rolników. Było ciemno, przyjemnie chłodno, ale oficer nie odczuwał komfortu. Śnił o czymś strasznym, co wyrwało go ze snu, ale nie potrafił sobie przypomnieć, jaki właściwie koszmar go męczył. Mógłby przeleżeć jeszcze godzinę lub dwie, ale wmówił sobie, że już jest dobrze, że odpoczął.

Miał niepokojącą potrzebę sprawdzenia, co u Hadiji, jego przyszłej żony, która została w Heracie. Co u ojca, starego oficera. Staruszek był z niego dumny, chwalił się osiągnięciami syna, ale ten od dwóch miesięcy nie dał mu żadnego nowego powodu do radości.

Rahmat usiadł na glinianym łożu okrytym kocami i śpiworem. Słuchał szumu wiatru na zewnątrz, dalekiego ujadania psa i pracujących gdzieś miarowo silników. Cały ten zgiełk, hałas wojny pozostał daleko, jak ukryty w innym świecie. „Jestem jak w grobie” – pomyślał Afgańczyk. Postarał się odgonić czarne, niemądre myśli. Uczyli go o tym. Uleganie im przeważnie osłabiało wolę. Dowódca, podoficer, żołnierz musiał być skupiony. Zwłaszcza kiedy miał przed sobą walkę. Ta tutaj nigdy się nie kończyła i trwała, nawet kiedy oficerowi zezwolono odpocząć krótką chwilę.

Rahmat zwlókł nogi na podłogę. Potrząsnął butami, usuwając z nich piach (i nie tylko piach; czasem zdążały się skorpiony). Gdy je zawiązał, ktoś zastukał w drewniane drzwi.

– Nie śpię – powiedział Yasim niemrawo.

– Kapitanie... – Młody komandos stanął w wejściu. – Musi to pan zobaczyć.

– Wiedziałem, po prostu wiedziałem. – Rahmat pokręcił głową, niezadowolony, że wszelkie znaki, jakie otrzymał, zaczęły się ziszczać.

– Słucham?

– Nic, idę już.

Kapitan narzucił bluzę i spod poduszki wyciągnął kaburę z glockiem. Przejście przez podwórze było naprawdę jak przejście do innego świata. Z cichej, trącej stęchlizną, ale spokojnej chałupki Yasim wpadł w bijącą gorącym jasność. Ziemia pod stopami oddawała ciepło. Wydawało się, że dzień nie będzie miał końca. Z każdego zakątka bazy utworzonej w odzyskanym obiekcie policji granicznej dudniło od pracy aut i rozmów. Rahmat rozumiał, że to, o czym zaraz się dowie, postawiło już wszystkich w stan alarmu albo chociaż ekscytacji.

Wszedł do punktu dowodzenia zwanego z amerykańską TOC (Tactical Operation Center). Kilku oficerów plutonu dowodzenia kręciło się przy ekranach laptopów i jednym większym telewizorze wyświetlającym, elektroniczną mapę, na którą nanoszono obraz aktualnej sytuacji.

– Tam, panie kapitanie. – Porucznik „Zahar”, bystry, skupiony mężczyzna z wąskim czarnym wąsem à la Clark Gable wskazał długopisem główny monitor.

– Jasna cholera! – zaklął Yasim, ale w rzeczywistości nie był zaskoczony. – To teraz? No proszę. – Potarł brodę i podszedł bliżej.

Optyka drona przekazywała niecodzienny widok, który musiał kiedyś objawić się ludziom Kandaku. Daleko, w dolinach między wzgórzami, ale też na drogach wijących się wzdłuż grzbietów, zbierały się grupy ludzi. Pełno było uzbrojonych mudzahedinów i samochodów. Pakowano na nie jakieś toboły, skrzynie amunicji. Formowały się pierwsze kolumny. Na kilku odcinkach grupy już ruszyły w trasy, jadąc spokojnie i rozciągając formację na kilkaset metrów.

– Skurwysyny! – Yasim patrzył jak zahipnotyzowany.

– Obszar Z3 – odpowiedział „Zahar”. – Zaczęli tak około trzydziestu minut temu. Pojawili się nagle, choć zaglądaliśmy do nich kilka razy. Rzucili jeden oddział. To była przynęta, ale nie potrafiliśmy przeciwdziałać. Później więc wysunęli resztę. I tak się zaczęło.

- Łączność? – spytał kapitan, nie odwracając głowy.
- Wybitna dyscyplina. Tak daleko nie sięgamy, ale tutejsze komórki milczą albo nic nie wiedzieli.
- Uczą się, chuje. – Rahmat ledwo poruszył ustami. – Coś jeszcze?
- Tak – odparł „Zahar” i polecił technikowi: – Dajcie to wcześniej. – Zaraz odtworzono inne nagranie. – W kilku miejscach rozpalili ogniska. Chyba opony. – Wskazywał na kłęby dymów. – Coś maskowali albo odwracali naszą uwagę. Prędzej czy później wszyscy wyleżą spod takiego parasola i ich dostrzeżemy.
- Tylko co z tego? – zauważył Yasim. – Ilu ich? – Wolał nie wiedzieć, ale musiał spytać.
- Widzieliśmy dwie setki. Ale na pewno jest ich więcej. Małe grupki zaczęły przychodzić ze wschodu. Posterunki z Chostu i Tani ich opóźniają. Może zatrzymają. No i... – Zamilkł i tylko machnął na żołnierza przy komputerze. Ten kliknął ikonę i na monitorze pojawiło się niewyraźne zdjęcie. Coś jak rozmazany szary prostokąt w dole fotografii.
- Dron – spostrzegł od razu Yasim.
- I to nie jakaś chińska zabawka – dodał „Zahar”.
- Mają wsparcie. Gdybyśmy chcieli ich podejść, wiedzieliby... Psie syny! Zaczęli na dobre. Ta banda tam, w wąwozie to było rozpoznanie. – Wreszcie spojrzął na porucznika. Ten nieśmiało kiwnął głową.
- Opracowujemy kierunki uderzenia. Jestem pewien, że będą chcieli... – Podeszedł do elektronicznej mapy. – Mita Sah. To będzie ich propagandowy sukces. Najważniejszy w tej części prowincji. Potem...
- Potem zajmą przełęcze i stary szlak do Gardezu. Albo i nową drogę. – Rahmat dokończył smutną wizję.
- Jeżeli nas wybadają, mogą zacząć jednocześnie – zauważył młodszy stopniem. – Mamy wsparcie generała, ale to tyle. Jeżeli to się rozniesie...
- To się nie ma prawa wydostać. – Yasim zacisnął pięść i pogroził zgromadzonym. – Działamy zgodnie z założeniami. Szybko i bez

zbędnego gadania. Wiedzieliśmy o tym, rozumiecie. Wiedzieliśmy. – Nie mógł pozwolić, by zwątpili nawet na chwilę. Nie oni. Byli elitą, na którą patrzyła reszta armii. Jedno potknięcie i niestabilny system rozsypałby się w kilka dni.

– Dobrze, panowie. Do pracy! Pogadam z generałem. Trzeba ostrzec ludzi, ale ostrożnie. To musi wyglądać na naszą zasadzkę, a nie przygotowania do wielkiej bitwy. Połączcie mnie z Kabulem, z Gardez czy z Chostem. Nie możemy być jedynymi, którzy to widzą. Są tu jeszcze Amerykanie, pewnie zauważyli ruch! Chociaż wcale nie musieli – zaprzeczył sam sobie. – To kilkuset talibów i bandytów, nie wielka armia. – Zagryzł usta, patrząc na czerwone symbole pośród grafiki mapy. – I dlatego mają przewagę. Ale właśnie od tego jest Kandak! – zakrzyknął do reszty. – Żeby walczyć i zwyciężać! Skoro się ruszyli, przywitamy ich. Ogłoście alarm w kompanii. Postaram się ściągnąć wsparcie.

– Co z miastem? – „Zahar” bał się o cywilów. – Zemszczą się. Jak przy granicy z Iranem. Dla postrachu. W Mita Sah jest szkoła z nauczycielami z zachodu. Ostrzec ich?

Rahmat słuchał, myśląc intensywnie.

– Jeszcze nie. Nie chcę wzbudzać paniki. Jeżeli zachodni zaczną uciekać pierwsi, wiesz, czym to się skończy. – Podniósł wzrok na porucznika. – Będziemy patrzeć, gdzie kieruje się wróg. Tak, wiem, potrzeba czasu, żeby ludzie mogli uciec, ale... do cholery, jeszcze możemy zwyciężyć!

Poranki w Afganistanie potrafiły być bardzo chłodne i bardzo nieprzyjemne. Zwłaszcza u progu zbliżającego się lata, kiedy na niebie nie było osłony chmur, jako że wilgoć wczesnowiosennych opadów i górskich roztopów wyparowała w bezlitosnym słońcu. Ziemia wyziębiała się mocno, zwłaszcza nad ranem, i póki kanikuła nie przeszła w najcieplejszy punkt, noce były zimne.

Kostia wiedział o tym. Kim by był, gdyby nie przyswoił sobie podstaw wiedzy o warunkach kraju, w jakim ma działać? Tego poranka ubrał się ciepło, w grubą puchową kurtkę z wytartymi łokciami i plamami na brzuchu. Starszy pan potrafił zadbać o zamaskowanie swojej, nieco za wysokiej, sylwetki i twarzy o nietutejszych rysach.

Dawno już przestał zżymać się na makijaż, jakim go zmieniano. Przyzwyczał się albo zaufał specjalistom. Tego dnia miał średniej długości siwiejącą brodę i wąsy. Nosił odbarwioną czapkę z daszkiem. Cudownie opalił się w ciągu kilkunastu minut, używając specjalnego pigmentu. Stał się zupełnie kimś innym.

Jego obstawa, jeden uzbrojony chłopak, przeistoczyła się w zmęczonego życiem drobnego handlarza w afgańskim stroju i ciepłej kurtce. Broń długą trzymał w aucie. Przy sobie nosił pistolet SIG Sauer. Udawał, że naprawiają wiekowego mercedesa – busa, którego kupił w warsztacie.

Auto stało przy chodniku pustej jeszcze ulicy zasłanej śmieciami. Komunikacyjne arterie ścisnęły ciasno stawiane domy o odstających balkonach, dobudówkach i niezgrabnych budach, które wznoszono bez ładu i ogólnej wizji.

Kostia zostawił goryla. Miał go na łączu przez mikrofon ukryty pod szalem i słuchawkę w uchu. Poszedł się „przespacerować”. Szukał wyższego garażu, jaki znalazł jego analityk na mapie satelitarnej.

Przedostanie się na tyły przybytku było łatwe. Furtka w murze była licha i zardzewiała, podobnie jak łańcuch i stara kłódka. Właściciel nie przykładał się do pilnowania posesji albo nie miał tam nic cennego. Mimo to Kostia upewnił się, że jego włamanie nie rzuca się w oczy. Małym wytrychem zwolnił zamek, osłaniając proceder własnym ciałem, i wszedł na teren.

Bał się psów, ale żaden szczęśliwie się nie pojawił. Na wąskim placu było tylko mnóstwo gratów, choć poukładanych w sterty: stare opony, skrzynie i mnóstwo zwojów jakiegoś rdzewiejącego drutu. Piramida starego ogumienia – którego kolekcjonowanie, jak zdążył zauważyć Rosjanin, musiało być jakimś rodzajem narodowego sportu w tym

kraju – była najlepszą drogą do celu. Senior zaczął wspinać się ostrożnie po usypisku i w kilkanaście sekund był na podwyższeniu. Wysunął głowę, obserwując, czy w okolicznych domach nie ma ludzi w oknach albo na balkonach i czy ktoś nie kręci się po dachach. W tym regionie mieszkańcy lubili spać na powietrzu, kiedy dokuczały im upały, ale ta noc na szczęście dla Kostii była zbyt zimna. Stąpał ostrożnie po dachu garażu, który wydawał się równie solidny jak możliwości obronne Afganistanu.

Było spokojnie, cicho i pusto. Widok na dzielnicę był lepszy tu niż na ulicy. Daleko w centrum od horyzontu wybijały sylwetki budowli, które z przesadą nazywano drapaczami chmur. Hen, daleko tło stanowiły dostojne pasma gór, bo kontrastujące z jasnobordową barwą nieba i pierwszymi promieniami słońca.

Konstantin przywarł do zimnego dachu i z kieszeni kurtki wyciągnął lornetkę. Badał okolicę, szukając kontroobserwacji. Dopiero kiedy ostatecznie uznał, że nikt mu się nie przygląda, skupił się na obiekcie. Nie był daleko. Prostokątny kilkupiętrowy budynek po środku prostopadłej ulicy wyróżniał się jasnością, schludnością na tle nijakich sąsiadów. Otoczony był solidniejszym niż pozostałe murem. Przy bramie znajdowała się niewielka strażnica w formie współczesnej baszty, obstawionej dodatkowo murem Hesco, koszami wyłożonymi wytrzymałą tkaniną, w którą sypało się gruz albo ziemię. Nowoczesna forma dawnych szańców.

Kostia nie mógł dostrzec niczego szczególnego. Nie przenikał wzrokiem ścian. Nie wiedział, co dzieje się w środku. Sztuka nakazywała jednak samemu zapoznać się z obiektem. Spróbować wykryć metody penetracji i słabe punkty. Szkoła i jej pracownicy byli tylko elementem sprawy, którą mu powierzono. Główny problem był daleko stąd, ale to tutaj intrygowało.

Konstantin miał zwyczaj zagłębiać się w temat „do samej kości”, bardziej niż nakazywał obowiązek. Zastanowiło go kilka elementów. Może skojarzyły się z dawnymi czasami, wspomnieniem lepszych dni – może biedniejszych, trudnych, ale kwitnących młodością. Wtedy

wszystko było łatwiejsze, a każda przeszkoda dawała się pokonać dzięki zapałowi.

Trzasnęło w słuchawce.

– Goście są w drodze. – „Centrum” przekazywało nowinę. – Będą za jakieś dwie godziny. W Tadżykistanie lądował wojskowy samolot. „Delegacja” przesiadła się z czarteru. Od dziesięciu do dwudziestu osób.

– Rozumiem. Dziękuję – odparł Kostia. – My też już wiemy wszystko.

Jeszcze raz rzucił okiem na szkołę.

– Szybko się zebrali – szeptał.

Analizował otrzymane możliwości i furtki. Nie było ich wiele. „Ciasno się robi” – przyznał zakłopotany i przygryzł paznokieć kciuka. Żadna z przeprowadzonych w głowie symulacji nie kończyła się powodzeniem.

– Bliac – sapnął zły na siebie.

Gdzieś w pobliżu zaszczekał pies. Rosjanin dostał znak, by kończyć. Sięgnął do kurtki po niedużą kamerę z antenką, mocowaniem na magnes i plastikową opaską. Przytroczył urządzenie do skrawka komina z blachy i włączył. „Centrum” potwierdziło, że ma obraz, chociaż nikt ze współpracowników nie wiedział po co. Kostia też nie wiedział, ale miał nadzieję na olśnienie. Odczołgał się na skraj dachu, zszedł po oponach i wyslizgnął się z obejścia. Znow był pewien, że lubi tę pracę.

Anna Linberg przyglądała się odbiciu w lustrze. Nie zamierzała stroić się jakoś specjalnie. Ponośla klęskę i nic nie mogło tego zmienić. Przybycie ludzi, którzy mieli zakończyć dzieło jej życia, nie było dla niej żadną specjalną okazją. Chciała, by to czuli.

Jak zazwyczaj włożyła luźniejsze, ale dopasowane jeansy, te starsze i mocniej wytarte, z samego dna szafy. Do tego założyła luźną bluzkę z długim rękawem w granatowej, nieomal żałobnej barwie. Szal na głowę też nie był tego dnia pstrokaty, a czarny. Dyrektorka nie malowała się, nie miała siły. Z wolna popadała w depresję, pomieszana

z lękiem. Z trudem powstrzymywała płacz. Rozległo się pukanie. Anna nie miała ochoty nikogo widzieć. Jeszcze nie teraz. Balil Dar wszedł, nie czekając na pozwolenie.

– Nie jesz śniadania? Musisz mieć siłę – pouczał, zdaniem Anny bardzo infantylnie.

– W waszej kulturze nie wolno chyba wchodzić do pokoi obcych kobiet – zauważyła cierpko.

– Od kiedy stawiasz zwyczaje na pierwszym miejscu? – Pakistańczyk nie stracił rezonu. – Ty, wojująca liberałka? Przecież to zabobony godne skansenów – powtarzał hasła Anny. Wszedł głębiej do pokoju i zamknął drzwi. Linberg cofnęła się nieco wystraszona i splotła ręce na brzuchu.

– Cóż za elegant! – powiedziała z obrzydzeniem. Rzeczywiście, Balil wyglądał inaczej tego poranka. Zazwyczaj był zadbany, ale tego dnia upomadał fryzurę, nosił garniturowe spodnie, błyszczące buty i doprasowaną białą koszulę. – Postarasz się, żeby brali cię poważnie, i będziesz prosił o pracę? – zakpiła Anna.

– Przestań! – Dar syknął przez zaciskane zęby. – Nie tym tonem, proszę. – Drzemiący w nim tradycjonalista nie pozwalał, by kobieta z niego kpiła. Zbliżył się gwałtownie i uniósł pięść, grożąc. Anna stanęła w rozkroku i szybkim ruchem złapała nadgarstek Pakistańczyka. Ten syknął.

– Już? – Kobieta pytała, masując boleśnie palcem punkt u nasady dłoni.

– Tak! – wystękał pokornie. – Wojująca feministka! Bić też się nauczyłaś. Wiesz, czego chcesz. – Usiłował dowcipkować, patrząc w ziemię i maskując wstyd. – Chcesz faceta, to go bierzesz. Nie chcesz, to potrafisz zadać ból. Nie tylko fizyczny. – Nawiązał do dawnych spraw, ale Anna nie podjęła prowokacji. – Wybacz. – Zdobył się wreszcie na właściwe słowo. – Martwię się. Ciągle. To dla nas wszystkich problem. Ludzie siedzą w stołówce. Są przybici. Powinni się cieszyć, bo wrócą do domu, ale jakoś nie potrafią. – Grymas zawodu zagościł na twarzy Balila i zaraz zniknął. – I nie, nie chcę pracy na zachodzie. – Zrobił się

sztucznie stanowczy. – Poradzę sobie u siebie. – Wypiął klatkę – Wiele się tutaj nauczyłem.

Anna nie wytrzymała. Podeszła i przytuliła się, kładąc głowę na ramieniu byłego chłopaka.

– Dziękuję i przepraszam. Starasz się, a ja jestem cholerną niewierną bez oglądy. – Zdawała się kpić z rzucanych ku niej półgębkiem kalumnii. Chociażby przez starszych, ludzi ze wsi i biedniejszych rodzin, którzy ciągle nie pogodzili się z postępem.

– Przestań! – Dar pogładził Annę po głowie. – Takich tu potrzeba. Dasz radę, jeszcze wiele można zdziałać. No, ale teraz trzeba coś zjeść. Musisz mieć siłę. To wszystko trochę potrwa. Goście będą lada chwila na lotnisku. Potem maja dzwonić, więc...

– Tak... – Anna odsunęła mężczyznę i podeszła do przysłoniętego roletą okna, z którego miała widok na obstawione namiotami podwórze. – To wszystko może potrwać – powtórzyła. Opamiętała się jednak. Nie mogła pozwolić sobie na sentymentalne bujanie w obłokach. – Chodźmy jeść. – Odwróciła się uśmiechnięta, jakby stała się kimś innym. Balil odetchnął z ulgą. Otworzył drzwi i wskazał na korytarz. Obojgu raz po razie zabrzączały telefony. Wyciągnęli je, sądząc, że nadchodzą ważne nowiny.

– O tej porze – zirytował się Dar. – W taki dzień. – Skasował smsa. Reklamy? Co za chory świat.

– Dramaty z jednej strony, a z drugiej normalne życie. – Anna wcisnęła podeślany link. Należał do jakiejś zagranicznej firmy z tanimi ubraniami. Te już na pierwszy rzut oka wyglądały na tandetne i robione w Chinach. – Niech podeślą to talibom, kiedy tu przyjdą – zadrwiła i schowała telefon do kieszeni. – No już, chodź, bo wszystko nam wyjedzą. – Pociągnęła Balila za sobą i zamknęła pokój.

Widok surowych, niedostępnych gór ciągnących się w bezkresie działał na Adama Thomalę lepiej niż najmocniejsze espresso. Odkąd przesiedli się do amerykańskiego C-130 w bazie w Tadżykistanie, wracał do życia

napędzany coraz większymi dawkami adrenaliny produkowanej przez organizm. Większą część drogi zespół pułkownika Kłodzińskiego (czy raczej Jerzmańskiego, jak wynikało z dostarczonych dokumentów) przebył bez uszczerbku. Ostatni odcinek zapewnił im więcej emocji.

Siedzieli w huczącej ładowni samolotu, napchanej nie tylko grupą Polaków i Szwedów (którzy zniknęli między stosami frachtu), ale też wojskowymi, którzy również lecieli do Kabulu. Ten rzekomy brak poważania dla dyplomatycznej misji ratunkowej był po prostu kamuflażem. Nie napracowano się nad nim z błahej przyczyny. W rozpędzającym się zamęcie, jaki spadał na Afganistan i wszystkich, którzy tam pozostawali, nie udało się zorganizować żadnej lepszej metody transportu.

Adam usiłował spać jeszcze, tak jak po „szprycy” medyka, ale nie dawał rady w ogromnej, głośniejszej ładowni, której hałasu nie tłumili stopery w uszach. Poza wszystkim jednak bał się, okropnie się bał i nie potrafił opanować nerwowych odruchów. Cieszył się, że Agata oraz pani Woit siedziały dalej od niego i odgradzały je spore skrzynie przymocowane pasami do podłogi.

Maszyna najpierw wleciała wysoko w chmury i wyrównała lot na tym kursie. Po około godzinie pułap zaczął się zmniejszać i w dół, w suchym, przejrzystym w miarę powietrzu objawił się krajobraz jak z powieści „Diuna”. Wyglądał jak ogromne morze, pofałdowane bałwanami piaskowych fal, podzielonych cieniami dolin. Później to, co wydawało się pustynią, a nie wzgórzami, zaczęło rosnąć i zmieniło się w czarne, czasem oprószone jeszcze śniegiem, skały Hindukuszu.

Im niżej schodził Hercules, tym widok robił się wyraźniejszy. Mniej uroczy, a bardziej zastanawiający. Pilot zmieniał kierunki, przechylał co rusz płatowiec z lekkością, o którą nikt nie podejrzewałby tak wielkiej maszyny. A jednak C-130 tańczył na niebie, co jakiś czas sycząc wypuszczanymi flary, pułapki termiczne, których jaskrawy rój miał zmylić ewentualne pociski wystrzelone w samolot z ziemi.

– Tak niebezpiecznie? – Agata ocknęła się nieco bardziej skonfundowana niezrozumiałymi wstrząsami samolotu.

– Na wszystko trzeba być gotowym! – Adam krzyknął jej do ucha. – Stare metody się nie zmieniają.

– Te góry...– Kłodziński podjął temat, tłumacząc szwedzkiej części ekipy, która wyraźnie też nie była gotowa na takie niespodzianki. – Niejeden sowiecki samolot albo śmigłowiec był strącony przy starcie albo lądowaniu – wyjaśniał Polak. – W tych górach... – pokazał za siebie. – Do dziś potrafią się kryć duszmeni z przenośnymi wyrzutniami. Jeżeli ich nie wykryją... Po to te flary. Na wszelki wypadek. – Urwał, spostrzegając, że ludzie nie śpią i patrzą na niego, bojąc się, że Polak ma jakieś wiadomości o realnym zagrożeniu.

– Ale to tak dla pewności. – Stefan złagodził przekaz i zmusił się do uśmiechu. – Nam nic nie grozi. Samolotów jest mnóstwo. Alianci pilnują dobrze dużych miast.

Adamowi stanęły przed oczyma chyba wszystkie takie sceny, które oglądał w filmach dokumentalnych na Discovery albo History Channel, zafascynowany za dzieciaka wojną między Mudżahedinami a armią sowiecką. Surrealistycznym starciem sprzętu nowoczesnego z prymitywnym na brutalnym tle orientu. Teraz, im niżej schodzili, zaopatrzona w te wspomnienia wyobraźnia kazała mu widzieć w każdej szczelinie i pod każdym drzewkiem strzelca wyrzutni przeciwlotniczej.

Herlcules zniżał lot, oblatując wzgórza od wschodu, by podejść do płyty lotniska. W dole objawiało się miasto, wyłoniło się zza kurtyny gęstego powietrza. Nieregularna, chropowata powierzchnia zaścielała ogromną, płaską dolinę. Wszystko w oparze brunatno-szarej chmury smogu. To było pierwsze wrażenie, ale kiedy obraz się przybliżył, zarysowały się pierwsze budynki. Małe, duże, ogromne, których Adam nie spodziewał się tu spotkać, choć studiował wizualizację stolicy Afganistanu. Następnie w oczy rzucił się ruch. Ciągły, trwający w każdym kierunku. Dziesiątki pojazdów, małe punkciki ludzi zmierzających w każdej dosłownie linii oznaczającej ulicę.

Samolot zadarł nos, szykując się do przyziemienia na pasie otoczonym ścisłą zabudową. Thomal modlił się w duchu, zaciskając dłonie na konstrukcji niewygodnego siedziska z rurek i plastikowych

taśm. Koła uderzyły o beton, maszyna zaczęła hamować i dopiero wtedy Thomal odetchnął. Silniki przeszły w inny tryb, zwalniały. Za oknami widać było dwa terminale, kilka wielkich maszyn cywilnych, ale głównie cargo.

– Witajcie w Kabulu! – Jakiś młody Amerykanin powitał ich, kiedy wychodzili na upał, smagani podmuchami wiatru. Chyba wiedział, że są tu pierwszy raz, gdyż ich lęk bardzo go bawił. Adam czuł ucisk w dołku. Obawiał się tego kraju, ale jednocześnie ogarniała go przejmująca ciekawość. Na wpół dziki kraj, jedna z ostatnich takich enklaw na mapie świata, był przy tym odwiecznym polem starcia mocarstw. Surowe skały kontrastowały z bryłami terminali, samolotami i wszechobecnym smogiem. Na wietrze łopotały flagi państwowe. Wielkie, dostojne, jakby kraj mógł się chwalić przed przybyszami swoją potęgą. Polak nie był pewien, czy tak wyobrażał sobie pierwsze spotkanie z Afganistanem.

– Adaś, pomóż, co? – Z zapatrzenia i oceny własnych odczuć wyrwał Thomala złośliwy głos Agaty. Taszczyła swoje torby, ale też pomagała panom z Gromu. Amerykanie mieli swoje ciężary i mało zajmowali się „drobnicą” Europejczyków.

Stefan Kłodziński, kiedy tylko wyszedł na płytę lotniska, sięgnął po swój telefon i zaczął gdzieś wydzwaniać. Grupa zbiła się w miejscu, nie bardzo wiedząc, gdzie ma czekać na transport. Polscy komandosi oraz szwedzka ochrona ułożyli swój bagaż w jednym miejscu i obserwowali otoczenie. Trening dawał o sobie znać. Byli w bluzach i spodniach, bez kamizelek i hełmów, jakby przyjechali na krótkie szkolenie, nie na misję.

– Już jadą. – Kłodziński przekrzyczał ryk startującego niedaleko śmigłowca.

– Patrzcie, ruski... – wyrwało się Adamowi, kiedy zorientował się, że z płyty podrywa się biały Mi-17 i to jeden z nowszych modeli, opatrzony wielką flagą Rosji.

– Witaj w domu wariatów! – Michał przygryzł wargę, osłaniając oczy od słońca, kiedy śledził oddalającą się maszynę. – Tłukli miejscowych,

a teraz... Kupili ten kraj pod nosem jankesów. Czytałem. Dużo ich tu. Tacy herosi!

– Arkady, pozwolisz... – Kłodziński był skupiony na pracy i nie miał ochoty rozglądać się po okolicy. Jego oficer podniósł niewielką skrzynkę z grubego plastiku o ściankach wyłożonych czymś w rodzaju pianki.

– Państwo oddadzą telefony – polecił. Każdy z ludzi Stefana potulnie oddał prywatną komórkę. Wiedzieli, jak wiele problemów wiąże się z tymi cudami techniki, które każdy nosił. Namierzanie, zdalny podsłuch rozmów i nie tylko.

– Trzymamy się razem. – Arkady zaczął małą odprawę. – Jakby co, jak już mówiłem, mamy kilka satelitarnych. – Poklepał głęboki kufer. – Jeżeli zaś idzie o fotki, to wiecie...

– Wiemy, wiemy. – Adam wyciągnął z bocznej kieszeni niewielki, ale, jak mu się zdawało, mocno już archaiczny aparat cyfrowy. Trzymał go ostrożnie jak muzealny eksponat, co bawiło resztę, prócz pułkownika.

– Z tym uważaj. – Kłodziński przestrzegł po ojcowsku, nerwowo patrząc w około. – Tu nie wolno fotografować. Absolutny zakaz. – Pstryknął palcami. Thomal nie podejmował zbędnej dyskusji. Schował zabawkę akurat wtedy, kiedy pojawił się ich konwój.

– Szykować się – polecił major Mariusz swoim i operatorzy, jak zdyscyplinowana grupa, zaczęli narzucać kevlary, słuchawki i hełmy. Pojazdy nie zdążyły dowieść się pod rampę, a sekcja była już gotowa i bardzo groźna. Czarne gogle balistyczne, ale przede wszystkim karabinki HK-416 dodawały im aury naprawdę pewnych siebie i znających swoje narzędzia do walki.

Adam patrzył, jak pod samolot podjeżdżają dwa wielkie piaskowe transportery minoodporne typu MRAP^[7]. Między nimi jechały trzy terenowe samochody GMC o srebrnym lakierze. Wyglądały na cywilne, ale każdy z podróżnych był pewien, że zostały lepiej zabezpieczone. Stawkę „cywilnych” aut zamykał bus z zaciemnionymi szybami.

Thomal śledził ruch kawalkady, która wydawała mu się potężna i surrealistyczna. Zwłaszcza kanciaste, wielkie MRAP-y ze swoimi

wieżami i sterczącymi lufami karabinów maszynowych: NKM o potężnym kalibrze 12.7 milimetra i mniejszego erkaemu 7.62 milimetra. Wozy huczały potężnymi silnikami.

Pojazdy były jak niezgrabne żywe roboty, stworzone do walki. I tylko głowy strzelców i migające za szybami twarze kierowców zdradzały, że to tylko iluzja.

Z pierwszego auta wyszedł niski, krzepki Amerykanin w pełnym wojennym rynsztunku. Nosił hełm i wielką kamizelkę, a także karabinek i pistolet przy udzie. Zdawał się nieco zagubiony i skonfundowany. Adam spostrzegł, że jankes ma stopień porucznika. Oficer nie bardzo wiedział, z kim ma rozmawiać, więc Stefan i Stenblock wyszli mu naprzeciw, co bardzo odprężyło Amerykanina. W odsiecz ruszył mu jeszcze ktoś. Cywil w wieku Adama, ale wyglądający jak odbicie lustrzane Kłodzińskiego, tylko w marynarce. Nie pasowała do pustynnego stroju, była wręcz komiczna, ale miała chyba dodawać oficjalnej formy.

Nowy facet był Polakiem. Chyba znał Kłodzińskiego. Cała czwórka rozprawiała o czymś zawzięcie.

– Adaś... – Agata podeszła do policjanta i musnęła palcami jego rękę. Chwyliła mocniej.

– Tak, kochanie? – szepnął ironicznie, patrząc na palce dziewczyny.

– Boję się. – To wyznanie się nie przyszło jej łatwo.

– Tak... – Nie wiedział, co powiedzieć. Nie miał ochoty na żarty. Zresztą żaden nie przychodził mu do głowy. – Te smoki robią wrażenie. – Też odczuwał coraz większą obawę. – A skoro my czujemy respekt... – Maskował się umiejętnie przed koleżanką – Żli też się ich boją. Jeszcze bardziej niż my. – Ostrożnie otoczył Agatę ramieniem i ukradkiem przycisnął. – Będzie dobrze. Zaraz nas tu nie będzie, a za to pozostanie fajne wspomnienie do popisywania się w biurze. – Poglądził dziewczynę po boku. Nie protestowała. Lubiła takie drobne, nic albo prawie nic nieznaczące pieszczoty. Pomagały jej, kiedy nie potrafiła znieść ciężaru narzuconego jej profesjonalizmu.

– Wycieczka! – krzyknął Kłodziński. – Ruszamy. Pan Makielnicki będzie naszym przewodnikiem. Ochronę mamy na czas podróży i przy poruszaniu się po mieście. Resztę czasu obronią nas panowie z Gromu. Zapraszam! – Podniósł torbę i wyciągnął ramię w stronę samochodów.

Konwój jechał całkiem szybko, sprawnie radząc sobie z zatorami w pobliżu lotniska. Ciężkie auta robiły wrażenie. Wymuszały bez pardonu posłuch u miejscowych kierowców, wśród masy aut wszelakiego typu i stanu używalności. Miejska policja widząc amerykańskie kolosy, sama brała się za robienie korytarza.

Ludzie Kłodzińskiego podzieleni zostali w terenowych GMC, jak na urzędników przystało. Byli gotowi do misji, wiedzieli, co i z kim obmawiać na miejscu. Tymczasem musieli przetrwać podróż przez miasto tak dziwaczne i chaotyczne jak Kabul.

Adam robił zdjęcia (a raczej usiłował) wszystkiemu, co było interesujące: straganom na chodnikach, osłom, konwojom dyplomatycznym, kobietom w burkach, jeżeli gdzieś się pojawiły, i pstrokatym, kiczowatym ozdobom na wszystkim, co jeździ lub stoi.

Konwój pchał się przez śródmieście, obierając znaną tylko przewodnikom trasę. Thomal i reszta wiedzieli, że przejazd zaplanował zespół analiz, wybierając najbezpieczniejszą opcję. Miejskowy garnizon też nie pozwoliłby sobie na posłanie nikogo, a zwłaszcza takich podopiecznych, „na żywioł”.

Polakowi zdawało się, że nad mieszkalnymi budynkami, które podobne były do tych z dzieciństwa na bydgoskim Fordonie, leci śmigłowiec. Blackhawk trzymał się ich trasy. Policjantowi od razu zrobiło się różnie, choć na niebie maszyny tego typu nie były rzadkością. W Afganistanie najbezpieczniej jest podróżować helikopterem, nawet na najkrótsze dystanse.

Ruch się uspokajał wraz z każdym przebytych kilometrem. Obrazy za oknami stawały się coraz biedniejsze i mniej hałaśliwe. W miarę dostatnie centrum zmieniało się w niesamowitą wręcz, na wpół dziką z pozoru mieszaninę starych domów i nijakich plomb, które mogły kojarzyć się z ruinami odgrzebywanymi przez archeologów.

Mieszkańcy nie zwracali uwagi na konwój. Przywykli i pogodzili się. Sami ustępowali miejsca. Starych toyot i hyundai – których Adam zauważał najwięcej w mieście – tu, w nijakiej i biednej ciasnocie alei nie było przesadnie dużo.

Tereny, które rozciągały się wokoło, były surowe, odpychające i coraz bardziej monotonne. Wydawało się, że nikt nie może egzystować normalnie w tej mieszance kurzu, brudu i irytującego hałasu. A jednak ludzie tu byli. Inni, obcy – jak z dziwacznej baśni. Żyli, bo nie znali innego świata poza swoją dzielnicą. Zapewne wielu uważało się jeszcze za szczęśliwców, docierając tu z prymitywnej prowincji.

Po kolejnych trzydziestu minutach lawirowania w istnym labiryncie takich samych prawie ulic, domów i murów konwój zaczął zwalniać. Adam Thomal spał mięśnie. Michał i Arkady, którzy mu towarzyszyli, też nie wyglądali na rozluźnionych. W przedniej szybie SUV-a widać było odcinający się od okolicy, wysoki, betonowy mur z wieżyczką. Pierwszy w szyku MRAP minął bramę i ustawił się na środku drogi, blokując ruch od czoła. Drugi pancerny kolos zabezpieczał tył. Reszta czekała z pasażerami tkwiącymi w absolutnym milczeniu, słuchającymi pracy silników i szumu klimatyzacji. Adam chyba rozumiał, że każdy przestój w miejscu, które miało być wojennym piekłem na ziemi, był niebezpieczny. Palce jego dłoni zacisnęły się, kiedy gapił się na wielką bramę, prosząc, by wreszcie się otworzyła.

Wierzeja drgnęła, co Thomal i reszta skwitowali równoczesnym, choć nie planowanym, westchnieniem ulgi. Przeszkoda odsuwała się wolno, jakby ktoś naumyślnie chciał zabawić się z wystraszonymi gośćmi.

SUV-y wtoczyły się za mury, szybko zajmując miejsca na wąskim dziedzińcu przed szkołą. Z wysokości strażnicy spozierały na przybyłych groźne twarze uzbrojonych facetów. Obiekt był wyspą normalności w morzu biedy. Bardzo europejski i zadbany. Miał parking z kilkoma wozami, a na podwórzu stały długie namioty. Nad wejściem lśniło logo fundacji, która zapewniła ten budynek miastu i dzielnicy. Całość musiała wzbudzać zaufanie i dawać poczucie bezpieczeństwa każdemu prostemu Afgańczykowi, który odważył się tu przyjść. Przy schodach u wejścia stawiało się kilkanaście osób. Mieli inne podejście niż

ochroniarze. Przynajmniej powierzchownie wydawali się miłsi. Tłumek składał się z dorosłych i dzieci ubranych w pstrokate, kolorowe stroje, zapewne ludowego pochodzenia.

Stefan Jerzmanowski wyszedł pierwszy i machnął na ochronę komandosów. Chyba rozumiał, że demonstracja siły może wystraszyć dzieci, które od zawsze żyją w cieniu broni i wojny.

– No, to co... Do pracy! – Michał podrapał się w brodę i wysiadł. Thomal zrobił to samo. Od razu zapragnął wrócić do przyjemnie chłodnego wnętrza auta. Otoczył go duszący, suchy upał nagrzanego powietrza. Zaczynał się pocić i nie było mu komfortowo. „Zdechnę tu” – przyznał przed sobą. Klął w duszy na fakt, że nikt nie pomyślał o jakiejś dłuższej aklimatyzacji. Założył czarne okulary.

Ku Stefanowi i jego szwedzkim kolegom podążyła grupka dzieci. Podały zawstydzone jakiś pakunek i jak to bywa na akademiach, zaczęły recytować wierszyk. Zupełnie niezrozumiały, ale deklamowany z werwą i zapałem. Rozległy się brawa. Szczęśliwe i już rozluźnione dzieciaczki odeszły w tył. Teraz do powitania przystąpili dorośli.

Adam przechylił głowę, wylawiając z tłumu kogoś, kogo nie dałoby się przegapić. Pani dyrektor była wysoka i pięknie zbudowana. Zdjęcia paszportowe nie oddawały jej uroku, odpowiednio szerokich bioder i całej reszty pod luźną bluzką dziewczyny, którą Adam tylko sobie wyobrażał. Ich oczy spotkały się na moment, ale Anna była zafrasowana spotkaniem.

– Jest smutna – ocenił od razu Thomal.

– Co chcesz... – Agata wzruszyła ramionami. – Trochę tu pracowała, a my ją zabieramy.

Adam odsunął wzrok od piękności godnej w jego mniemaniu tytułu topowej modelki, by przyjrzeć się reszcie. Pani Linberg miała przystojne koleżanki, choć daleko im było do szefowej. Nie ubierały się też tak gustownie. Także mniej się popisywały, odziane bardziej workowato. „Feministki?” – zastanawiał się z rozbawieniem Adam, wyobrażając sobie podryw wojowniczych na pokaz niewiast.. I wtedy napotkał niemiłe, dosłownie złe spojrzenie. Tuż za Anną stał śniady, krzepki

młody facet. Adam przypomniał sobie jego dane i foto z paszportu. Balil Dar. Obecnie zastępca dyrektorki, Pasztun z Pakistanu. Wyraźnie zachłyśnięty tym, co zachodnie. Bardzo oficjalny i tylko złote, cienkie oprawki okularów dodawały mu zabawnego wyglądu. Adam od razu wyczuł zazdrość i uznał, że z tym jegomościem mogą być kłopoty. Mocowali się kilka sekund spojrzeniami, póki Anna nie skończyła małej części oficjalnej i nie zaprosiła wszystkich do wnętrza.

„Grochy” czekali tej chwili zachęcenia teraz przez Kłodzińskiego. Wynieśli z busów toboły. Dwóch z nich przecisnęło się i weszło jako pierwszych. Zaczęli rozpoznawać osobiście budynek, ich miejsce pracy w najbliższej przyszłości. Władza Linberg dobiegała końca. Ktoś inny przejmował kontrolę i ona musiała się z tym pogodzić.

Rozpakowywanie rzeczy pozostałej grupy odłożono na później. Ich zadaniem było rozeznac się w sytuacji i bez straty czasu zacząć rozpytywać ludzi według zaplanowanego scenariusza. Tu prawie każdy miał określoną pracę.

Anna Linberg i jej współpracownicy podawali im dłonie, zmuszając do uprzejmości. Thomal nie byłby sobą, gdyby odpuścił swoje uwodzicielskie manie. Zbliżył się, uśmiechając stosownie, i czekał na okazję do kontaktu wzrokowego.

Anna vel Quadira miała szorstkie, spracowane dłonie. Polak ujął jej prawicę i przytrzymał dłużej. Nie oponowała, badawczo wpatrując się w zucha, który już przekroczył granice towarzyskiego protokołu.

– Dzień dobry. – Adam zaczął wolno, po polsku, tembrem, który onieśmiał i intrygował kobiety, choć innym wydawał się śmieszny. – Jestem Adam Thomal, polskie MSZ. Wspaniała szkoła. Cudowne dzieci. Zrobiła tu pani wiele dobrego. – Sypał komplementami jak z rękawa. – Przybywamy, by pomóc pani i placówce.

Mówił dłużej niż szefowie, co nie umknęło uwadze Balila. Pojawił się obok z zachmurzoną twarzą i kilkoma poprzecznymi zmarszczkami na czole. Dyszał głośno przez nos. Linberg drgnęła, przytomniejąc.

– To zasługa nas wszystkich. – Zabrała dłoń, chyba zakłopotana, i pokornie spuściła wzrok. – Mam mocny, oddany zespół, który

poświęcił wiele dla tego kraju i jego mieszkańców. A to mój zastępca... – Wskazała na Pakistańczyka, chcąc ukoić jego niezadowolenie i zapobiec jakiemuś nieprzyjemnemu incydentowi. – Balil Dar.

– Ogromnie mi miło – odparł po angielsku Adam. Podał dłoń z beczelnie sympatyczną miną, udając, że nie wychwytał dąsów zazdrosnego Pasztuna. Uścisk był mocny, ale Thomal wytrzymał to niewielkie ostrzeżenie.

Ktoś z boku ostrożnie rzucił jakieś niezrozumiałe słowo, by przerwać niezręczną sytuację. Balil odpuścił, przemieniając się w jednej sekundzie w potulnego i sympatycznego. On również umiał udawać. Anna zaprosiła wszystkich do środka. Thomal z ulgą wszedł w cień, gdyż czuł, jak koszula zaczynała lepić się do pleców.

– Zechcą państwo zapoznać się z naszą pracą. – Linberg zaprosiła ich dalej, bardziej chyba w imieniu personelu niż swoim. Kłodziński vel Jerzmanowski szukał wzrokiem Szwedów i pani „prokurator”, niezadowolony z tych ceregieli. Chyba też źle znosił upał i ciężar zadania. Stenblock kiwnął głową, Woit też miała jeszcze siłę. Ruszyli więc, by zaglądać do sal lekcyjnych, ambulatorium i chłonać dane o absolwentach, liczbie uczniów, jakości sprzętu. Thomal trzymał się z tyłu. Rozdawał uśmiechy paniom nauczycielkom, kiwał do dzieci i patrzył. Patrzył uważnie, czekając, aż jego nos wyłapie jakiś smrodek, przeczucie, za którym podąży.

Kiedy cała spora delegacja przeszła piętro, Jerzmanowski wstrzymał wszystkich.

– Bardzo dziękujemy. – Mówił swobodnie po angielsku. – To naprawdę imponujące, jednak naszą rolą jest dokonanie pewnych czynności... – Użył eufemizmu. Gruby Anglik w tłumie pedagogów kaszlnął nerwowo i głośno przełknął ślinę. Bał się. Reszta też nie była już zadowolona. Przedstawienie skończono.

– Czy są gotowe pomieszczenia, o które prosiliśmy w łączeniach online? – Bergeren przypomniał niedawne ustalenia, robiąc to w bardzo niewinny sposób, jakby chciał ostudzić lęki zespołu. Pocił się przy tym obficie, zdradzając brak przygotowania do klimatu.

– Tak, oczywiście. – Anna przerwała peany na cześć swojej szkoły. – W świetlicy zbierzemy się wszyscy.

– I jeszcze dwa pomieszczenia do rozmów, jeżeli łaska – dodał Jerzmanowski. Usiłował być sympatyczny, tak jak Szwed, ale była od niego powaga. Adam zastanawiał się, czy oficer robi to specjalnie.

– Będziemy z państwem rozmawiać. – Stenblock odpowiedział w podobnym tonie. – Proszę zwolnić dzieci do domów. Szkołę trzeba będzie zamknąć – obwieścił spokojnie i bez emocji.

Skrywana i duszona obawa o taki właśnie los wybuchła i rozbudziła nauczycieli, którzy zaczęli głośno komentować, rzucać pytania.

– Wiedzieli państwo, że do tego dojdzie, prędzej czy później. – Berggeren klaskał w dłonie, by uciszyć ten nagły tumult rozhisteryzowanych młodych ludzi. Zastępca Stenblocka mógł pozwolić sobie na więcej jako członek władz fundacji, która wypłacała pensje. Był kimś bliższym niż nieznajomi urzędnicy. Poza tym Berggeren chciał uchronić szefa i Polaków przed ostracyzmem, przynajmniej na samym początku. Przecież potrzeba było informacji, czyli współpracy i otwartości. Wściekła Linberg wskazała drogę powrotną na parter, a za nią ruszyli pracownicy szkoły. Wydała kilka poleceń i niebawem ze szkoły zaczęły wychodzić dzieci.

Adam przyglądał się temu wszystkiemu, czując, że wzbudza coraz większą niechęć. Sztuczna uprzejmość powitania była wspomnieniem. Teraz zaczynała się prawdziwa praca.

„Papa” wdrapał się na wieżę betonowego schronu. Było tu chłodno i całkiem przyjemnie, gdyby nie sterty pustych butelek na stole i opakowania po chipsach albo orzeszkach szeleszczące pod nogami.

– Tam... – Dłoń w rękawiczce bez palców wskazała kierunek dowódcy. Ukraińiec odebrał lornetkę od kumpla i przycisnął do brwi. Patrzył, intensywnie usiłując wyłowić zagrożenia z falującego gorącem, monotonnego krajobrazu brunatnych skał i pustyni. Dopiero po dłuższym czasie, kiedy oczy przywykły do jasności i nauczyły się

odróżniać ruch powietrza od prawdziwych obiektów, wiedział, z czym ma do czynienia.

– Podchodzili bliżej? – zapytał.

– Nie, trzymają się na dystans. – „Kozak” potarł spoconą brodę, patrząc w dal jak zaprogramowany robot.

– Ciekawe. My ich interesujemy, czy walą na miasto?

– Gdyby było ich więcej, ktoś by ostrzegł. – „Kozak” usiłował układać sobie wszystko logicznie.

– Powinni. – „Papa” oderwał lornetkę od głowy i zamarł zamyślony. Nie był pewien, czy to, co „powinno” się wydarzyć, w ogóle się stanie. Ten kraj potrafił niemiło zaskoczyć w najmniej odpowiednim momencie. – Muszę zadzwonić do miasta. Może coś powiedzą. Jeżeli nie będą chcieli gadać, to ich, kurwa, odwiedzę. – Odwrócił się i spojrzał na szkołę. Słyszał było dzwonek. Pierwsze dzieciaki z tych nielicznych, które jeszcze uczęszczały na zajęcia, wybyły na niewielki plac zabaw.

– Trzeba je stąd zabrać. To niebezpieczne. – Zastanawiał się, jak powiedzieć o tym Ibrahimowi, kierownikowi. – Zesra się, jak każę mu odsyłać dzieciaki. Martwi się o nie jak ojciec.

– Nie ma wyboru. Te pięknoduchy z Europy... Z nimi będzie jazda. – „Kozak” miał mniej wyrozumiałości.

– Kilka pań profesor mogą przytulić.

– Gdyby coś, poproś Kabul – kontynuował „Papa”. – Nie będą ryzykować, a coś się, cholera, szykuje. – „Papa” podrapał się w szyję. – Inkwizycja już jest. Zwijają firmę, więc i tak trzeba kończyć. Ibrahim niech sobie uczy, nic mi do tego. Przyjdą tamci i pozamiatają. – Czarno widział placówki.

Od wschodu gdzieś w zakrytej dolinie coś puknęło. Obydwaj najemnicy spojrzeli po sobie, bez słowa. Rozumieli, co właśnie się zaczęło.

Powietrze przeciął hałas. Sekunda, może dwie, spokoju i od Mita Sah doszło echo eksplozji. Ukraińcy przywarli do ściany przy szparze

obserwacyjnej i szukali dymu.

– Więc jednak... – szepnął „Kozak”. Pierwszy strach miał zaraz ustąpić bojowemu podnieceniu. Nad odległymi zabudowaniami miejsciny rósł pomarańczowy obłok. Od wschodu znów huknęło i kolejny pocisk albo granat moździerzowy poleciał w miasto. Teraz wybuch był donioślejszy. Krótki błysk i przebłysk płomienia.

– W coś trafili – zawyrokował „Papa”. – Idę dzwonić do gliniarzy.

– Oleją cię. Są zeszrani i już wszystko wiedzą. Nie obchodzimy ich – stwierdził „Kozak”.

– Celują w tę dziurę zwaną miastem. Do nas na razie nie strzelają. Póki jest czas, poproszę o wsparcie. Jak się obronimy w kilku? – „Papa” trząsał się z emocji.

„Zresztą tu nic nie powinno...” – zaczął rozpamiętywać spotkanie z lokalnym watażką, który dał mu słowo. Ale jednocześnie bardziej wyczuł, niż usłyszał furkot, który spłynął z przestworzy. Łupnęło przed murem od wschodu i wieża się zatrzęsała. W szczeliny osłonięte pleksą wpadł dym i piasek. Dudniło w głowach od hałasu.

– Kurwa! Walą po nas! – „Papa” siadł ciężko na podłodze i odruchowo chronił zamek i wlot lufy swojego AK-101. – Miało być inaczej.

– Co z tobą? – „Kozak” doskoczył do szefa.

– Nic, zostaw. Kłamcy! – warczał, ale „Kozak” nie rozumiał. Tymczasem drugi pocisk rozerwał się u podnóża ich niewielkiej góry. Poszło nieco piachu i kamieni. Teraz dopiero słyszeli krzyki dzieci i nauczycieli.

– Nie mają cela. – „Kozak” wystawił głowę, wkładając hełm.

– Co? Ach tak. Nie mają cela – zarechotał „Papa”.

„Kozak” odsunął się, mocniej łapiąc broń, przerażony reakcją starego.

– Bardzo dobrze, bardzo dobrze. – „Papa” dźwignął się na kolana i patrzył na rozgrywającą się bitwę. – Stary cap nie może nas pominąć. Musi wyglądać porządnie. – Uspokajał się, zaskoczony zmyślnością „pułkownika Ahmeda”, który w jego rozeznaniu pozorował atak.

Trzeci pocisk przemknął nad fortyfikacją i padł niebezpiecznie blisko muru po zachodniej stronie. Rozległ się hałas bitego szkła, ale „Papa” nie zmienił zdania.

– Zawiadomię Kabul. Niech nas ewakuują. Zaczyna się! – Ukrainiec wstał i ruszył do schodów ciągle pewien, że to tylko realistyczna pokazówka.

ROZDZIAŁ 4

Szkoła była jak obcy byt wbity w połąć biednego slumsu. Ta inność wzbudzała zainteresowanie, przyciągała wszystko, co złe. Tak wyobrażał to sobie Adam Thomal. Teoretyk, świeżak w sprawach środkowego wschodu, ciągle się bał. Nie chciał tu zostawać ani godziny dłużej, niż byłoby to potrzebne. Wydawało się, że są odsłonięci, wrażliwi na atak, który musi nastąpić. Ogrom miasta, dzielnicy i świadomość przewagi tych złych, czających się w cieniach domów i murów, obezwładniały. Strach był potęgowany paniką pracowników i lichością własnych środków. Natomiast praca, jaką mieli wykonać za fasadą idyllicznej europejskiej instytucji, była niewspółmierna do ich możliwości.

Adam i Agata otrzymali salę geograficzną jako gabinet. W otoczeniu map, globusów i różnych plakatów z widokami turystycznych atrakcji z całego globu ta dwójka miała prowadzić coś na kształt wywiadu środowiskowego. Słowo „przesłuchanie” mogło zrażać pracowników.

Stenblock i Jerzmanowski, wsparci przez Berggerena, wygłosili mowę o celu ich przybycia. Tak jak ustalono, przed omówieniem kwestii ewakuacji mieli dowiedzieć się czegokolwiek więcej o sprawie zamachu i o zaginięciach absolwentów. Anna protestowała, podobnie jak jej krewkie koleżanki, ale nie miały przecież wyboru. Wszyscy byli zależni od polsko-szwedzkiej delegacji, która objęła we władanie placówkę. A właściwie od ich sił i możliwości organizowania bezpiecznego powrotu.

Szwedzki ochroniarz (zwany przez Polaków „Kunstem”) miał pilnować sali, skąd na równoległe rozmowy wybierano kilka osób naraz. Adam liczył bardzo na spotkanie z Anną, ale tej przyjemności miał dostąpić kolega pułkownik i pani Woit udająca prokuratora.

Adam i Agata dociskali pedagogów nastawionych wobec przybyszów dość bojowo, a czasem wystraszonych. Już w kilkanaście minut Thomal odniósł wrażenie, że w dużej mierze ma do czynienia z idealistami,

oderwanymi od życia szaleńcami, nawet działającymi z dobrych pobudek, ale nierozważnymi fantastami.

Rzucali życie w spokojnych krajach jak Francja, Dania czy Wielka Brytania, by znieść niewygody tej – jak nazwał to Adam na kartce podsunętej Agacie – „komuny”. Prędko zbudowali roboczy obraz placówki. Nauczyciele mieli cel: uczyć miejscowych, zmieniać ich mentalność. Zarabiali tu niemało, jednak sporo ćpali (jako że narkotyki były tu łatwo dostępne) i intensywnie romansowali. To wszystko niwelowało niewygody mieszkania w Kabulu.

Adam wyłapywał ze strzępów rozmów, życiorysów albo plotek, którymi nauczyciele dzielili się w złości, że skądkolwiek przybywali, nie najlepiej im tam szło. Nie byli w związkach, nie utrzymywali rodzin, a część nawet nie posiadała stałego miejsca zamieszkania. Adam odczekał, aż wyjdzie z sali zgrabna i poirytowana Francuska (a właściwie Algierka) i wyznał:

– Mam dość. – Potarł dłońmi twarz.

– Czemu? Fajna dupa z niej. – Agata stuknęła kolegę łokciem. – Nie poderwałbyś?

– Podróż mnie dobiła. A nasze tempo i słuchanie tych dziwaków... – Zabrał butelkę z biurka i zaczął pić. Zorientował się, że prócz kilku suchych racji, jakie dostali wszyscy, nie jadł niczego porządnego. W upale apetyt mu nie dopisywał, ale...

– Dorzuć coś, jakiś magnez albo oranżadkę – zaproponowała Agata.

– Słucham? – Thomał był rozkojarzony.

– Mówię o wodzie. Czystą będziesz od razu wypacał. To niezdrowe. Czytałam w materiałach medycznych przed misją – pochwaliła się. – Też byś mógł czasem się zapoznać z czymś ważnym.

– Mnie żaden magnez nie pomoże. – Adam wytarł czoło rękawem. – Nawet ta klima tu jakaś słaba. – Wyciągnął szyję w stronę aparatury na ostatnim oknie salki.

– Jeśli słabniesz, nie wyrwiesz żadnej. – Agata nie zdołała się powstrzymać przed kolejnym przytykiem.

– Błagam cię, Aguś! – Adam zgarbił się i złożył ręce jak do modlitwy. – Daj mi spokój. Starczy, że ten kraj mi dowala. – Naprawdę źle wyglądał. Pierwszy raz odkąd poznał się z ekipą Kłodzińskiego, okazywał słabość.

– Pójdź się położyć. Należy ci się – podpowiadała Agata z autentyczną troską w głosie.

– Nie, nie. Jak by to wyglądało? Trzeba trzymać gardę przed tymi dziwolągami. Okażesz słabość...

– Prawda, to prawda – zgodziła się kobieta, patrząc na notatki i skoroszyty z życiorysami. – Co o nich myślisz? Poza tym, że uważasz ich za bandę pokreconych hipisów. – Podniosła głowę i zastukała długopisem w blat.

– Do tej pory... Cóż, nie są zdolni do zabawy w terrorystów, żadne z nich. Zbyt otwarci w zachowaniu. To pięknoduchy niemające wiele pojęcia o świecie. Słyszałaś, co mówił ten Angol. Walczą z zamordyzmem. Kościelnym czy talibskim – dla niego, cholera, to bez różnicy. Nie potrafiliby załatwić Marka i Jorga. Nie wiem, co powiedzą ci najemnicy bawiący się w ochronę. Z nimi może być gorzej. Co do dzieci zaś... to inna sprawa. – Po belfrowsku podniósł palec. – Co niektórych ciągnie w niedozwolone rewiry, tak podejrzewam. Kto siedzi na zadupiu otoczony dziećmi?

– Rozumiem. – Zgodziła się Agata, nie chcąc, by rozwijał tę wstrętą wizję. Wydawała się być pod wrażeniem. – Jako psycholog, powiem ci, że miałbyś u mnie piątkę. Podobnie mi się to układa.

– Aguś, jak jesteś śliczna, tak ci powiem, że opinie psychologów mam... No właśnie. – Puścił oko. Chciał dorzucić coś o niespełnionym psychiatrze, ale zachował to dla siebie. Nie było warto przecinać tak miło układającej się współpracy. Zwłaszcza tak daleko od domu.

– Mam nosa, przeczucie, dedukcję. Trochę doświadczenia z wycierania pieprzonych chodników. – Mówiąc to, wspomniał mroźne noce na patrolach i, o dziwo, zrobiło się mu lepiej.

W drzwiach stanął operator Gromu

– Dawać kolejnego? – zapytał.

Agata spojrzała na Adama.

– Dasz radę?

– Załatw to sama – poprosił, a ona kiwnęła głową. – Powęszę trochę.

Thomal zadowolony, że może odpuścić słuchanie o życiowych zakrętach, wyszedł na korytarz. W budynku nie było dzieci, co nie oznaczało, że było cicho. W świetlicy huczało od podniesionych głosów nauczycieli, którzy teraz wyrzucali z siebie lęki, zapowiadając gdzie i jak będą protestowali przeciw takiemu traktowaniu. W dwóch innych pokojach pracowali Szwedzi i dowództwo polskiej grupy. W sekretariacie ktoś krzyczał, po miejscowemu chyba, do telefonu. Był rozedrgany i wystraszony. Adam zaglądnął chyłkiem i spostrzegł Dara, Berggerena i Michała, który dyskretnym gestem kazał mu spadać.

Ludzie majora stali przy wejściu do budynku i przy jego pokoju. Tam siedział pierwszy z ochroniarzy, czekając na pytania. Nazywał się chyba Turuk. Był Irańczykiem albo Turkiem.

Adam udając, że idzie podziwiać budowlę albo rozprostować nogi, przemknął na klatkę schodową i w kilku susach był na drugim piętrze. Zerknął za poręcz i mignął mu jeden z trójki szwedzkich ochroniarzy. Thomal syknął pod nosem pewny, że tamtemu kazano robić to samo. Szukać.

Miał więc kilka chwil przewagi, której nie zamierzał zmarnować.

Korytarz ostatniego piętra przypominał hotelowy. Dwa rzędy drzwi, w sumie dwanaście pokoi. Thomal skradał się zygzakiem, łapiąc za klamki. Kilka pomieszczeń było otwartych. Zaglądał, ale nie spodziewał się sensacji. Śmiało mógł zgadywać, do kogo należy pokój, zazwyczaj dzięki zastanemu twórczemu nieładowi. Zaśmiecone biurka, komputery przykryte osobistymi szpargałami. Jako ozdoby używano plakatów zespołów, jakichś grup politycznych albo tutejszych pamiątek udających antyki. Nic w tym widoku go nie zatrwożyło.

Inne pokoje, te zamknięte, trzeba było zdobyć. Adam wyciągnął z wąskiej kieszonki przy udzie zestaw żelaznych, mocnych drucików. Wprost łamał prawo lub przynajmniej naruszał prywatność. Każdy miał tu jedno albo i więcej zadań. Rozkaz Kłodzińskiego był jasny. Adam, ze względu na swoją przeszłość, miał dyskretnie zbadać, co się dało. W przypadku znalezienia poszlak ten kierunek miał być pociągnięty przez panią Woit albo Stenblocka.

Kiedy przekroczył próg kolejnego lokum, wiedział, że jest w pokoju Anny. Pomieszczenie było uporządkowane, jasne i pachniało kwiatowymi perfumami, podobnymi do tych, które poczuł przy powitaniu. Panował tu szwedzki minimalizm: małe biurko, wysokie łóżko, lekkie regały z książkami, zdjęciami i płytami. Thomał przyglądał się kilku fotografiom. Były na nich dzieci, jacyś lokalni wodzowie wyglądający jak ze starej baśni. Brodaci, w turbanach, długich strojach. Był premier Szwecji, a nawet były prezydent Afganistanu. Pasja Anny mogła robić wrażenie.

Polaka zaskoczyło też, jakie książki dobiera pani dyrektor. Było nieco o historii Azji, mocno liberalna literatura polityczna, ale przeważały kryminały i kobiece romanse. Thomał rozbawiony pokręcił głową. W muzyce nie było jakichś nowoczesnych, nieskładnych jazgotów. Linberg była tradycjonalistką albo trzymała tych kilka płyt CD jako białe kruki. Muzyka ludowa arabskich krajów. Rock i jazz. Adam uchylił kilka pudełek, ale prócz lśniących krążków nic tam nie było. Nie znalazł nic w szpargałach szuflad i teczek. Nie miał zamiaru dać się przyłapać na przeszukaniu, które w oficjalnej formie winno być robione w obecności świadka.

Zostawił jej pokój i przeszedł do następnego. Ten był bardziej napakowany elektroniką. Było tu też wiele zdjęć i pamiątek. Na biurku znajdowało się to prezentujące Balila Dara i Annę. Uśmiechnięci, niby oficjalni, ale obejmowali się. Adam zaczął przetrząsać szuflady, szukać dokumentów. Nic nie miał na Pakistańczyka, ale napędzała go instynktowna (nawet nieuświadomiona) zazdrość o rywala. Zawsze tak było, kiedy w grę wchodziła kobieta.

W szufladzie biurka, między kopertami listów i pisanymi po angielsku dokumentami dotyczącymi szkoły i personaliów pojawiło się parę kart. Były mniejsze, w kratkę i wyrwane z jakiegoś notatnika. Adam wyciągnął je ostrożnie i próbował czytać odręczne pismo.

– Kurczę... – Treść zaskoczyła Adama. – Q, 9.03, Q, 11.04, Q, 17.05... – czytał na głos dziwny zapisek. Dopiero po kilku sekundach dotarło do niego, że to daty. Druga kartka, uprzednio pomięta, a potem wyprostowana, pełna była bazgrołów, ale znalazły się też na niej czytelne zapiski. Adam musiał się jednak dobrze wysilić, by rozszyfrować pismo.

Zachęcony sukcesem Adam zaczął grzebać dalej. Przewrócił niezbyt ostrożnie inne rzeczy. Rozrzucił kilka książek, rozsypał dokumenty. Nie znał pasztuńskiego. Nie miał czasu, by czytać teksty po angielsku. Było tego zbyt wiele. Materiałem można było obdzielić kilkunastu analityków. Wśród całej tej makulatury znalazło się zdjęcie. Średniej wielkości, kolorowe i tak samo poniszczone, jak zapisek na kartelusku. Na fotografii był nastoletni chłopak. Miał kruczoczarne gładkie włosy sięgające brwi. Stał z niewyraźną miną, osłaniając się od światła. Obok stał mężczyzna, trzymał rękę na ramieniu chłopaka. Był niemal starcem. Miejscowy, w nieodzownym turbanie i z szalem. Wyglądał na zakłopotanego. Chłopak pod pachą trzymał jakiś papier. Chyba świadectwo. Zdjęcie było przekrzywione. Z ostrością też było nie najlepiej. Thomał odwrócił je. Na białym kartoniku ktoś zapisał coś drukowanymi literami.

– Badżram Wazeer – odszyfrował mocno wytarty, zrobiony ołówkiem zapisek.

Nie wiedział, co znalazł. Prócz trzech papierków, było ich jeszcze znacznie więcej, ale teraz Thomał czuł, jak odzywa się w nim instynkt. Niedające się wyjaśnić przecucie narastało w nim, dodając energii i podniecając. Miał poszlakę. Wierzył, że zdobył przewagę nad zapatrzonym w Annę facetem. Usiadł na łóżku. Oddychał głęboko, próbując opanować emocję i nie przestawać myśleć.

Do końca korytarza było jeszcze kilka mieszkań. Pokój Marka był najważniejszy. Został otwarty. Zaraz po przybyciu grupy zabrano z niego wszystko, co ważne. Komputery, nawet ładowarki do telefonów, jakie zostały po poległym. Dlatego też pomieszczenie wyglądało jak obrabowane. Prócz elektroniki wszystko inne było na miejscu. Ubrania, rzeczy osobiste, nawet para butów do biegania, czekały grzecznie na ponowne użycie.

Adam oparł się o framugę i z podpartą o dłoń głową patrzył. Smagał wzrokiem każdy skrawek pokoju. Nie miał odwagi zacząć. To nie było zwykłe przeszukanie, jak u ofiary morderstwa. Był tu potajemnie. Impulsem do działania był dźwięk na schodach poziom niżej. „Konkurencja”. Uzmysłował sobie, że Szwed działa szybko.

Zamknął drzwi i osunął się na czworaka. Zaczął dociskać i macać drewniane panele. Unurzał palce w kurzu pod biurkiem. Podniósł krzesło, taboret i opukał ich nogi. W mikroskopijnej łazience przebadał glazurę, szukając luźnych kafelków, zwłaszcza pod brodzikiem, gdzie powinno być najwięcej przestrzeni. Niczego nie znalazł.

Ostatnim nietkniętym miejscem była podłoga pod łóżkiem. Tutaj brudu było jeszcze więcej. Palec natrafił na poluzowaną, krótką klepkę pod nogą mebla, od strony ściany.

– Bingo! – ucieszył się Adam.

Z siłą, o którą siebie nie podejrzewał, odsunął łóżko. Zadarł deskę, oderwał od podłogi i wcisnął dłoń do odkrytej skrytki. Była dość niewielka, wydłubana śrubokrętem w betonowej posadzce pod panelami naniesionymi podczas przebudowy. Wewnątrz był jeden niewielki czerwony pendrive. Thomal schował go do kieszeni i zamaskował wszystko tak, że kątem wyglądał na nieruszony.

Wyszedł z pokoju, zostawiając otwarte drzwi. Miałby ochotę sprawdzić pokój Jorga, a może i ludzi, którzy byli ochroniarzami szkoły, ale po schodach wspinał się Szwed. Rosły, wielkoręki, choć szczupły facet miał ksywkę „Hard”. Wydawał się zbyt wielki do pracy włamywacza. Robił za dużo hałasu, tłukąc pustynnymi buciorami o stopnie. Był jednak sprytny, choć pozbawiony finezji.

– Szukamy po pokojach? – wypalił z szerokim uśmiechem, jak tylko spostrzegł Polaka i jego zafrasowaną minę.

– Tak – odparował niespodziewanie otwarcie Adam, mieszając szyki tamtemu. – Sprawdzam, czy meble z waszej Ikei trafiły do każdego. – Uniósł kciuk do góry. Minął zaskoczonego „Harda”, który chyba uznał, że niewiele ciekawego znajdzie na piętrze.

– Coś masz? – Nordyk pozostawał bardzo bezpośredni.

– Kilka kartek z pamiętnika. Same romanse... – Adam nie zamierzał się dzielić. To był jego sukces. – U ciebie jak?

– Zdjęcia z plaży – odparł Szwed. Przystanęli, nasłuchując. Rwetes z sali z przetrzymywanymi rozlał się po korytarzach.

Thomal popędził w dół. Było tłoczno. Ludzie byli bliscy paniki, a niektórzy chyba przekroczyli tę granicę. Berggeren, jego dwaj goryle, a nawet Michał, usiłowali uspokoić to zbiegowisko. Adam nie zamierzał się angażować w głupoty. Wyrwał w przeciwną stronę. Szkoła była prosta, podobna do polskich „tysiąclatek” stawianych w czasach PRL. Niełatwo było się zgubić. W pokoiku w piwnicy, tam gdzie zazwyczaj bywały pokoje nauczycielskie, urządził się Arkady i dwaj panowie z Formozy. Komandos z Gromu siedział na krześle z bronią, co już wyglądało przekomicznie i pilnował tego informatycznego towarzystwa.

Ujrzał Adama i wyrwał się w górę, obalając to dziecięce siedzisko. Podniósł broń, jak nakazało wyszkolenie.

– Kurde, bym cię utłukł – wysapał, opuszczając lufę karabinka.

– Niechybnie. Głupia śmierć – stwierdził Thomal i przejechał palcem po kołnierzu koszuli, wiedząc, że właśnie spocił się podwójnie. – Muszę do chłopaków.

– Chłopaki to są w agencjach. – Operator przywołał znany cytat z pewnej komedii i łupnął pięścią w drzwi. Puściła jakaś zasuwka i w szparze pokazał się Robert.

– Coś się dzieje? – Thomal widział, że trzyma broń.

– Na górze się kłóćą. Ale jeszcze nie wypadamy. Kolega do was. – Komandos pokazał Adama.

– O, a ty tu co? – zapytał „Mucha”.

– Mam coś. – Wślizgnął się do kanciapy. Była duszna, mała i nagrzana od kilku komputerów Arkadego, które już chodziły na pełnych obrotach.

– Co masz, stary? – Informatyk AW nie oderwał się ani od monitora, ani od klawiatury. Thomal podał mu pendrive’a.

– No proszę... – „Monsignore” wygiął się na biurowym krześle i gwizdnął. – Zdobycz wojenna.

– Żebyś wiedział. Szwedzi węszą, byliby mnie ubiegli. Chyba też coś mają. W ogóle wiecie, co to za hałasy? Taliban w mieście?

– Prawie. Dzwonili z ichniej szkoły, gdzieś na zadupiu, że zaczęła się jakaś lokalna ofensywa. – Kamil wykrzywił sarkastycznie twarz.

– Przejebane – skwitował krótko Adam. – Mieliśmy sprawdzić tych tutaj i dopiero planować ewakuację reszty. A teraz nieco się pokomplikowało.

– Powinieneś wiedzieć, że zawsze się komplikuje. Zwłaszcza jak ty się zjawiasz – przypomniał „Mucha” i pokiwał głową.

– Nie dopieprzaj mi, tylko mów, co teraz?

– Nic. – Robert udawał obojętnego. – Mamy co robić. – Poklepał komputer w bardzo grubej obudowie. – Niech się inni martwią. Może to nie atak, a tylko ploty. No, co tam masz? – Wychylił się ku Arkademu.

– Zaraz... – Informatyk wsunął pendrive’a do skrzyneczki, na ekranie której wyświetlał się stan zeskanowania zawartości i przede wszystkim wyszukiwania wirusów, trojanów i wszystkiego, czym można byłoby zakazić wewnętrzny system.

– Skąd to? – pytał ciągle skupiony Arkady.

– Chyba od naszego, ale nie wiadomo. – Potem opisał, jak wpadł na pomysł wyszukania schowka.

– Co psiak, to psiak – ocenił „Monsignore”. Wstał i poklepał byłego glinę po plecach. – Maladec, jak mawiają starzy Kaszubi.

– Jest ok? No to dawaj – popędził.

Arkady Ikisu wsunął palec pamięci w komputer i otworzył jego ikonkę. W zawartości znajdował się jeden jedyny folder. Kliknął go i zaczęły pojawiać się zdjęcia. Adam i reszta przywarli do monitora.

– Cappą to on nie był. – „Mucha” skrzywił się, niezadowolony z jakości. Obrazy nie były zbyt ostre, robione z ukrycia albo spod ubrania. Było tam nieco widoków, jakieś przypadkowe śmieci. Kilku cywilów o rozmazanych obliczach. Tylko cztery były lepszej jakości. Widać było na nich Annę i Balila Dara odzianych jak miejscowi.

– To jakiś targ? Bazar po ichniemu – szeptał Thomal. Na zdjęciu para społeczników przedzierała się przez zalany ludźmi rynek. Pełno było handlarzy, stert owoców i wózków z towarami. Po środku tego oni.

– Kochasie sobie zakupki robią. – „Monsignore” był zawiedziony.

– A nasz ich śledził? – Adam usiłował wymyśleć, z czym ma do czynienia.

– Ten Maruś pukał naszą modeleczkę. Ciapaty go wysadził z siodła, to się zrobił zazdrosny. – Arkady błyskawicznie wysnuł roboczą teorię.

– Może tak być... – Thomal prawie się zgodził, ale zaraz dodał:

– Pokaż inne. To byłoby za proste i zbyt trywialne. – Na kolejnych fotografiach zobaczyli Balila i Annę, choć w innym czasie, ale w podobnym miejscu. – I jacy spokojni... – „Mucha” zaczynał też coś podejrzewać. – Tu nam zamachy odpierdalają, a oni we dwójkę... Ostanie – poprosił. – O! – Zaskoczył go obraz samotnej Anny. Tak mu się zdawało, że to była ona. Zasłonięta czadorem, ale poznawał ją po wzroście. Odróżniała się od tutejszych kobiet, nawet kiedy była zakryta.

– Drukuj te cztery. Możesz? – Thomal wiedział, że coś się zaczyna. Nie opowiedział, co miał jeszcze w kieszeni.

– Jasne – Arkady podpiął się do tutejszej drukarki.

– Aha! – Olśniło gliniarza. – Sprawdź daty tych zdjęć. Każdy aparat teraz powinien zapisywać je automatycznie.

– Się robi. Ostatnie jest z początku miesiąca. Ponad dwa tygodnie... – Stuknął w ekran.

– Zapisz i wydrukuj. Coś w ogóle wygrzebałeś z ichnich laptopów? – zapytał Adam.

– Bez większych kłopotów, ale tego jest w pytę. Wysłane maile, historia przeglądarki, fora internetowe. Ja szukam zdjęć. Resztę kopiuję, ale te ludki nie trzymają tajemnic na dyskach. Co najwyżej gołe zdjęcia koleżanki z netu.

– Jasne, to dziwolągi. Ale ktoś od nich może być bystrzejszy. – Na dowód potrząsnął wydrukowanymi zdjęciami. – Wszystko się przyda. Dobra, leczę.

– A ty, co? – „Mucha” perfekcyjnie grał obruszonego. – Pójdiesz szpanować staremu.

Thomal nie zaprzeczył, tylko wykrzywił usta, układając wydruki.

– Możesz pójść ze mną. Pokażesz, co masz – podjudzał, szykując się do wyjścia.

– Fajnie, że się zainteresowałeś. Też ciekawe, choć pełno chłamu. Słucham pogaduszek, ale ta ostatnia... – Wcisnął guzik na klawiaturze i z głośnika popłynął głos potwornie wystraszonego młodego mężczyzny i drugiego, który go uspokajał. – Dukali coś po pasztuńsku. Krzyczeli i jękali się. – Robert wyłączył.

– A to skąd? – Thomal rozdziawił usta ze zdziwienia.

– Czary mary, panie władzo. – „Mucha” poprzebierał w powietrzu palcami dłoni, jakby grał na pianinie. – No, a poważnie: mamy dostęp do „naszych” uszu w kabulskiej siedzibie kontyngentu. Chyba wiesz, że to miasto to gniazdo żmij. Szpieg na szpiegu i szpiegiem pogania. Wszyscy nagrywają, więc korzystamy. Pułkownik wystąpił o „zainteresowanie się” tym adresem. Więc mamy dostęp do połowy kwartału, a właściwie wszystkich aparatów w tym budynku. No

i wcześniejsze studio nagrań... Ot tak, z automatu, bo tu nasz nielegal siedział, choć na mieście oczywiście nikt nie wiedział. Szwedzi pewnie też mają dojsście, mają tu jakąś placówkę i nie dla widoków, więc... Będę szukał dalej. Sporo gadali, zwłaszcza po zamachu.

– Ten panikarz z telefonu to chyba od nich... – zastanawiał się „Monsignore”. – Znaczyłoby, że tam gdzieś na ostro idą. Ta ofensywa to nie plotki.

– Działajcie. Dzięki! – Adam pomachał, kończąc spotkanie.

– Jaki generał... Łaskawie odwiedził i rozkazywać będzie. – „Mucha” chyba naprawdę poczuł się obrażony.

Adam był już lepki od potu. Na ubraniu zaczęły wykwiatać coraz większe plamy, a oczy zalewała drażniąca sól. Energia jednak narastała. Zeskakiwał po schodach na parter, gdzie było już tylko nieco spokojniej. W sekretariacie pani Linberg ktoś krzyczał do słuchawki. Adam zajrzał do środka. Stenblock, Woit i Linberg nie byli uradowani. Coś niedobrego się działo.

– Mam sprawę. – Thomał rzucił półgłosem, patrząc na Polkę, ale został zignorowany. Wparował więc między szefów i ukradkiem pokazał jedno ze zdjęć tak, by nikt inny go nie dostrzegł. Woit drgnęła i wyprostowała się.

– Gdzie? – spytała.

Adam tylko przecząco pokręcił głową. Nie miał zamiaru wdawać się w dyskusję. Pani podpułkownik powinna to wiedzieć, ale upał i natłok zdarzeń musiały i ją zmęczyć. Posłała Szwedowi jakieś wytłumaczenie i wyszła.

– Skąd to masz? – Wyrwała kartki, nie czekając wyjaśnień. Zaczęła oglądać z uwagą.

– Za pozwoleniem... – Adam naraz zrobił się grzecznie usłużny i zakłopotany. – Co tu się wyrabia?

– Burdel. Albo lepiej: pożar w burdelu. Szkoła w Paktiji się rozleciała. Wszyscy uciekli. Uczniowie, nauczyciele... Tam pracowali sami

miejscowi. Starczyła pogłoska. Szukaj wiatru w polu. Jeden problem mniej. Drugą szkołę zaatakowali talibowie i ochrona zaczęła robić w gacie, choć niewiele się wydarzyło. Ci tutaj...

– Może nie na korytarzu – przytomnie zaproponował Adam. Woit sapnęła i wskazała najbliższą klasę.

– Pułkownik rozmawia z PKW – zaczęła wyjaśniać, kiedy tylko zamknęła za sobą drzwi. – Trzeba będzie wyrwać tamtejszych ludzi, a jak wiesz, to nie będzie łatwe w warunkach bojowych. No dobra. Ale skąd to? – Wysunęła materiały przed siebie.

– Ma mnie pani za głupka i bawidamka, a ja znam się na tym, co mam robić. – Adam zaczął od obrony własnej osoby. – A to znalazłem u Waliszewskiego w pokoju. Miał skrytkę. Nie znaleźli jej. A może znaleźli i odstawili. Nie wiem.

– Kto znalazł? – Woit zainteresowała się.

– Nie wiem. Ktoś komuś być może grzebał. Za mało mamy ludzi i czasu, żeby się zagłębiać. Wikingowie też węższą, ale to zapewne pani wie.

– Zginął tu też ich człowiek – przypomniała ostro. – Wszystko idzie do jednego worka. Potem będziemy dzielić.

– Oczywiście. – Policjant nie wierzył do końca, ale chciał być posłuszny i wreszcie zaimponować. Wolno, z namaszczeniem dla budowania napięcia wyciągnął pomięte kartki z notesu i zdjęcie.

Pani Woit patrzyła i czytała z drżącymi rękoma, mlaskając wolno jakieś słowa, których nie dawała rady wymówić. Thomalowi przyszło na myśl, że drażni ją ten mały sukces podłego szowinisty.

Wreszcie oficer opanowała się i zapytała:

– U kogo to znalazłeś? Marek? Chłopaki, jak wiesz, dłubią w łączności.

– Zastępca – powiedział prosto Adam. – Ten Pakistańczyk. Te świstki były w jego rzeczach.

Woit jeszcze raz zagryzła wargę. Spojrzała na okno. Było późne popołudnie. Tu około dziewiętnastej robiło się ciemno. Zerknęła na

sportowy zegarek.

– Wszystko się zjechało – zakłęta jak najprawdziwszy trep. – Kłodziński musi to widzieć. Zdecyduje, ale na pewno podzieli się ze Stenblockiem. No i trzeba pogadać z Darem.

Kadra szkoły straciła siły. Strach przed nieznanym i przerażającym męczył. Zespół miarowo cichł, popadając w apatię. Ludzie podzielili się na podgrupy i szeptali po kątach sal wyznaczonych na ich niewielkie więzienia. Szkoła – miejsce pracy, której oddawali się bez pamięci, wiele ryzykując w niebezpiecznym kraju – była teraz aresztem.

Nie mieli raczej pojęcia, co się dzieje i po co prowadzi się z nimi tyle rozmów. Z początku ostrzegali się o pytaniach, ale szybko uznali, że coś ważnego jest na rzeczy i lepiej zachować umiar. Temat wścibskich śledczych zniknął. Pojawiła się lękliwa podejrzliwość wobec kolegów, z których każdy mógł być powodem nagłej likwidacji szkoły. Ich świat się skończył, co dopiero powoli pojmowali.

Balil Dar przycupnął pod ścianą obok biurka Anny Linberg, dawniej zwanej Quadirą. Czuł się załamany, może nawet bardziej od innych. Teraz, kiedy wszystko się sypało, harmonia i wsparcie wobec koleżeństwa zaczynały słabnąć. Afgańczycy czuli się odstawieni na boczny tor, jak gdyby wszystkie banały o tolerancji, czy nawet internacjonalizmie znoszącym narodowości, nigdy nie były ważne. Były głoszone na pokaz, kiedy działa się dobrze.

Niewiele dzieliło od nadania Darowi miana terrorysty. A może już dawno tak go ochrzcili? Balil obserwował te ukradkowe, spłoszone spojrzenia współpracowników co rusz kierowane ku niemu i miejscowym dziewczynom, nauczycielkom i administratorkom. Równość i domniemanie niewinności stały się wspomnieniem.

Balil nie odzywał się do Anny. Nie chciał jej drażnić. Milczała z głową podpartą o dłonie i patrzyła w podłogę, wymęczona rozmowami ze Szwedami i Polakami. Usiłowała zebrać odsiecz i transport dla jedynej placówki, która pozostała pod jej kontrolą, daleko poza stołecznym

miastem. Na wsi, którą zalewała fala talibskiego ataku. Małe imperium dobra zaczynało się rozsypywać z porażającą łatwością.

Słodkie słówka Balila mogłyby być jak iskra rzucona na proch. Dar nie miał zresztą pomysłu ani siły, by wymyślić coś choć trochę oryginalnego. Chciałby się zdrzemnąć, ale nie wolno im było wchodzić do swoich pokojów. Nikt nie wiedział, że grupa techników włamywała się do wszystkich prywatnych komputerów, korzystając z listy email i podawanych w poczcie elektronicznej adresów IP.

W drzwiach stanął polski komandos. Tuż za nim weszła ładna, krótko ostrzyżona blondynka, która jednakowoż emanowała odpychającą aurą. Jej dominująca postawa zniechęcała do rozmowy. Polska prokurator była zupełnie inna niż Linberg. Nie próbowała rzucać uroku.

Dar z trudem powstrzymał śmiech, zauważając, że pozostali patrzą na niego. Już uznano go za winnego. Miał gorzką satysfakcję, że nigdy nie wierzył w tę hipokryzję, ledwo maskującą rasistowski stereotyp. Polka nie chciała jednak mówić tylko z nim.

– Pani Linberg i pan Balil – odezwała się wyzutym z emocji tonem i wyszła. Dar spojrzał na Annę, szukając wytłumaczenia tego zainteresowania jego sobą. Quadira, jak przystało na szefową, wykrzesła z siebie nieco zapалу i wstała. Balil nie dbał o pozory ani o morale załogi. Ich wspólne dzieło waliło się.

Wyszli oboje, czując oddech żołnierza objuczonego bronią. Zaprowadził ich do sekretariatu, który miał być pokojem „zwierzeń” prowadzonym przez szychy z zachodu.

– Pani tutaj... – Woit wskazała krzesło w pomieszczeniu. – Agata... – wyznaczyła koleżankę do przeprowadzenia rozmowy i na partnerkę zezłoszczonego Stenblocka, który już czekał na miejscu.

– My zaś pójdziemy tam... – Podpułkownik wskazała palcem na koniec korytarza. Balil posłusznie poczłapał w tamtą stronę, zupełnie pozbawiony chęci oporu bez wsparcia dawnej kochanki.

Pokoik był składzikiem przyborów naukowych. Zajmowały go zrolowane mapy, plastikowy ludzki szkielet i kilka stosów krzeseł.

Wszystko pokryte kurzem. Nie było tu okna, a u sufitu jaśniała zwykła żarówka.

– Jeszcze raz witam – powiedział Thomał i wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu. Pakistańczyk był inteligentny, wiedział, że jego rozmówca zrobi wiele, by go zgnoić.

– O co państwu chodzi? – zapytał bojowo, zajmując nieproszony miejsce na krześle po środku. Obydwoje Polaków stało. Adam z przodu, Woit przy drzwiach, by wzbudzić w przesłuchiwanym dyskomfort.

– Musimy zapytać o kilka rzeczy – Sięgnął po dowody leżące na starym biurku. – Proszę powiedzieć, co to jest? – Okazał zdobyczne notatki, ułożone w wachlarz niczym talia kart.

– To... – Balil zawahał się zaskoczony, patrząc w zapiski i zdjęcie starego Afgańczyka. – Nie wiem. – Spuścił wzrok.

– Nie wiesz? – Aurelia pierwszy raz pokazała odpychające oblicze. – Znaleźliśmy to u ciebie. Będziesz mówił prawdę, czy mamy zabrać cię do takich, którzy nie są tak mili?

W tym samym czasie, kilka pomieszczeń dalej Anna Linberg siedziała jak na szpilkach, splecionymi dłońmi masując złączone kolana.

– Czy rozumie pani pytanie? – Stenblock był skupiony i bardzo oficjalny. – Czy podejrzewa pani Balila Dara o współpracę z terrorystami? Talibami albo ISIS?

Anna otworzyła szerzej oczy i tylko rozwarła usta, jakby zapomniała, w jakim języku ma odpowiedzieć.

– Nie wiem. Nie, nigdy bym go o to nie podejrzewała – szepnęła wreszcie.

– Mamy przesłanki, by twierdzić... – Agata mówiła delikatniej, jako ta „dobra” w duecie – ...że pani zastępca mógł kontaktować się z grupami terrorystycznymi. – Zawiesiła głos, obserwując reakcję.

Linberg przelknęła ślinę i po prostu wbiła spojrzenie w ścianę.

– Ale jak? – zapytała wreszcie.

– Co pani wiadomo o sprawie zaginięć absolwentów i uczniów placówek, które podlegają pani jurysdykcji? – Szwed nadawał coraz poważniejszej wagi pytaniom.

– Słucham? – Dyrektor poruszyła się, nieco chyba dotknięta.– Tę sprawę przedstawiłam w raportach dla fundacji. Niewiele się dało zrobić. Tutejszy układ społeczny jest bardzo skomplikowany. Jeżeli policja i starszyzny niewiele pomogły...

– Proszę przypomnieć. – Stenblock dokręcał śrubę.

W pokoju przesłuchań Adama i Woit przestawało być miło.

– Powiesz wreszcie, co to za zapiski? Skąd je masz? I po co ci to zdjęcie? – Adam trząsał kartkami przed twarzą Balila, udając narastającą złość. Tak jak kiedyś, jak na przesłuchaniach „zbójów”.

Balil Dar trzymał głowę nisko i milczał długo. Nie był typem prymitywa jak tamci, których „ćwiczył” Adam. Był otumaniały z emocji i tempa ich występowania, ale potrafił zebrać myśli.

– To... moje. – Wyznanie przyszło mu z trudem. Podniósł oczy i pokornie czekał, jakby spodziewał się fizycznej kary. Thomał stracił czujność i zgubił maskę złego gliniarza.

– Wyjaśnij. – Woit podeszła bliżej, przejmując pałeczkę. Dwójka Polaków gubiła się w domysłach

– To pan... To Mark. – Balil starał się brzmieć spokojnie, ale nie bardzo mu to wychodziło. – Mark i Jorg – uściślił. – Miejscowi obwiniali fundację o zniknięcia dzieci. Nie wiem dlaczego. To szkoła w prowincji Paktija i potem Chost. Próbowaliśmy wyjaśnić sprawę, ale niewiele z tego wyszło. Mark się przejął i zaczął swoje, nazwijmy to, dochodzenie. Tak przypuszczam. – Pasztun patrzył raz na kobietę, raz na mężczyznę. – Nie wiem, jak długo to robił. Wreszcie, jakiś miesiąc temu przyszedł z tym do mnie. To nie było łatwe, bo Anna i on byli parą,

a wcześniej to ja... – Zaciśnął wargi, wiedząc, że to wszystko brzmi żenująco.

– Do celu proszę. Pomińmy telenowelę – zażądał znużony Adam, ale spostrzegł, że Balil nie rozumie idiomu. – Proszę kontynuować.

– OK. Jestem jakby miejscowy. Znam się na pracy naszej organizacji. No i mam pewne kontakty. Ten starzec to... – zaciął się. – On prosił o pomoc.

– Ten młody to jego syn? – Thomal przystawił Pasztunowi fotografię pod nos.

– Chyba tak. Albo raczej wnuk.

– I co dalej? – indagowała Aurelia

– Nic. To znaczy...Co miałem zrobić? Czego ode mnie chcecie? Uczę historii. Albo geografii. Pisać i czytać. Nie jestem policjantem. Nie potrafiliśmy pomóc. Sami wiecie, że służb w tym kraju to nie obchodziło.

– Czemu to ukryłeś? – Thomal postarał się, by być napastliwym.

– Nie. Nie wiem. – Pakistańczyk wzruszył ramionami i znowu patrzył w dół. – To, to stara sprawa. nierozwiązana.

– Kiedy z tobą rozmawialiśmy pierwszy raz, nie mówiłeś nic o Marku i waszej współpracy. – Woit wyczuwała kłamstwo.

– Nie pytaliście – zauważył Dar. – Wiele się działo. Wiele się dzieje, wszystko zwijamy. Szkołę w Paktiji podobno podpalamo. Nie wiem, co z wnukiem tego starca. Co w ogóle z nimi wszystkimi. Czy wy nie rozumiecie, że na zapadłej wsi nikt ich nie obroni? Rodziny, które posłały do nas dzieci... – zawahał się przejęty i wzruszony. – Ten ze zdjęcia już może nie żyć.

W drugim z pokoju szwedzki śledczy w roli urzędnika rozpędzał się w przesłuchaniu, starając się być uprzejmym, ale dociekliwie stanowczym.

– Pani Linberg! – Stenblock przechodził do ważniejszych spraw, znudzony ogólnymi wywodami. – Wiemy, że jeden z ochroniarzy szkoły w miejscowości Mita Sah dzwonił dziś tutaj, informując o ataku na placówkę. Chwilę później podobny telefon wykonał kolejny najemnik. To ciekawe, co mówił, choć był przerażony. – Sięgnął po mały dyktafon i odtworzył nagranie, które zgrano mu z komputera.

Słysząc było jazgot wybuchających pocisków, jakieś szумы, ale przede wszystkim histeryczny monolog młodego człowieka mówiącego w paszto. Krzyczał o ataku talibów i o jakichś złodziejach. O niedotrzymanej umowie, którą mieli zawrzeć. Chciał, by ktoś w Kabulu interweniował: dostał pieniądze albo gdzieś zadzwonił. Odbiorcą rozmowy był Balil Dar, który z przejęciem i bez entuzjazmu kazał się uspokoić tamtemu i na razie nie wydzwaniać.

Anna siedziała wyprostowana, nieruchoma i zaskoczona. Wodziła oczami za telefonem i dłuższą chwilę szykowała wytłumaczenie.

– Co pani o tym powie? – Agata splótła palce dłoni i pochyliła się przy biurku.

– To „Zizi” – odparła niewyraźnie. – Ochroniarz z Mita Sah. Rodak Balila... – Głos jej zadrżał, a oczy się zaszkliły. – Oznaczałoby to, że oni tam...

– Mieli kontakt z talibami? Opłacali się im? – Stenblock dokańczył, nie znosząc tego stękania i niepewności.

– Jak to możliwe? – Uniósł brwi – Pani człowiek...

Anna przełknęła ślinę.

– Zastępował mnie w wielu sprawach. Choćby jeżeli idzie o sprawy bezpieczeństwa. Miałam do niego zaufanie. Byliśmy parą. Ale nigdy bym nie przypuszczała...

– A tutaj? Czy możliwe jest, że w Kabulu pani podwładny mógł dopuszczać się podobnych kontaktów? – Stenblock szedł wyraźnie za ciosem.

– Boże... – Quadira złapała się dłońmi za twarz, jakby nie chciała krzyknąć. Łza popłynęła jej po policzku. – Nie, na pewno nie. Pan uważa, że ten zamach... Że Mark i Jorg...

– Zostawmy to. Sprawdzimy. – Agata zmieniała temat, pochwalona spojrzeniem przez Szweda. – Co pani o tym powie? – Wydobyła spod blatu wydrukowane zdjęcia z pendrive'a. W drugiej ręce miała skan zapisków zaczynających się literą Q.

– To ja i Balil. – Linberg rozpromieniła się, widząc fotografie. Musiały przywodzić jakieś miłe wspomnienia. – To bazar bliżej centrum. Czasem robimy tam zakupy. Dla siebie, dla gości wizytujących...

– Sami, bez obstawy? – zdziwił się Stenblock.

– Z obstawą, zawsze z obstawą. Zresztą, Balil jest jak tutejszy. Mnie też już, powiedzmy, tolerują... – tłumaczyła kobieta. – Ktoś z ochrony zawsze był w pobliżu. Może to on robił te zdjęcia.

– Nie – zaprotestował Stenblock. – Prawdopodobnie są to zdjęcia wykonane przez Marka Waliszewskiego – pośpieszył z wyjaśnieniem.

Anna opadła na oparcie i patrzyła w kartki, błędząc gdzieś we wspomnieniach.

– Nie... nie rozumiem. W ostatnich miesiącach nie jeździł ze mną na bazar. Balil był bardziej pomocny. Nie pamiętam, by Mark był z nami. Nie chcieliśmy robić tłumy, bo jak tłumaczyła ochrona, bylibyśmy łatwiejszym celem. Poza tym w ciągu dnia w szkole było wiele obowiązków.

– Na jedynym ze zdjęć jest pani sama. Jak to się stało? – przerwała Agata.

– Raz się zdarzyło. Musiałam. Wszyscy mieli zajęcia. Skąd te zdjęcia? Nie mam pojęcia.

– A to? – Palec Stenblocka stuknął w zapisek.

– To... to... – Linberg przetarła oczy, nie widząc wyraźnie – To na pewno są daty. Tak, to daty... Ostatnie... Tak, przypominam sobie. Ostatni raz kiedy byłam na bazarze. – Anna wydawała się ucieszona, że

mogła dopomóc i nieco uspokoić tę dwójkę. – Litera Q. Pewnie chodzi o moje islamskie imię, Quadira. Mark musiał to odnotowywać. Po co? – Skrzywiła się i rozłożyła dłonie. – To, co powiem, nie zabrmi profesjonalnie... – zaczęła ostrożnie. Stenblock nadstawił ucha, był pewien, że usłyszy coś naprawdę istotnego. – Mark, Balil – stękała dalej Anna. – Byłam z nimi. W sensie... Rozumiecie państwo... Nie przepadali za sobą. Bywali zazdrośni, ale żeby do tego stopnia? – Wskazała zdjęcie, dając do zrozumienia, o co chodzi.

– Zazdrosny kochanek? – Stenblock się skrzywił. Anna już nic nie odpowiedziała. Za drzwiami zaczął się jakiś szum.

Kamil „Monsignore” wpadł do składziku jak burza. Zastał całą trójkę w połowie rozmowy, ale miał coś pilnego. Przysunął się ucha pani Woit, otaksował spojrzeniem Balila.

– OK. – Zamyślona pani podpułkownik przytaknęła i odpowiedziała coś szeptem.

– Problemy? – zapytał Balil Dar.

– Jeszcze nie... – Aurelia spojrzała na Adama. – Do piwnicy – poleciała. – A pan... Pan musi tu posiedzieć. – Dar chciał protestować, ale szybko został zgromiony spojrzeniem.

Czwórka śledczych zeszła do podziemia, do dawnego pokoju nauczycielskiego.

– Co się dzieje? – zapytał Stenblock w progu. – Dobrze szło chyba?

– Bardzo dobrze. – Kłodziński odwrócił laptopa. Na ekranie widać było pogrążonego w rozmyślaniach Balila Dara, pozostawionego w „celi”. Kamera zamontowana w magazynie, połączona z zabawkami SIGNITU spisywała się rewelacyjnie. Polak odtworzył Szwedowi i Agacie co ciekawsze fragmenty rozmów z Balilem.

– Naprawdę w porządku. – Pułkownik obdarzył Woit i Thomalę pochwałą.

– A ja sądzę, że to bzdura – wszedł w mu zdanie Kamil.

– Poruczniku... – Kłodziński fuknął półgębkiem, choć nie mógł popisywać się szarżą przed Szwedzkim kolegą.

– Proszę to rozwinać. – Stenblock przysiadł na jakiejś komódce z papierami i wyciągnął nogi. Inna opinia z zewnątrz bardzo go ciekawiła.

– Za piękne to... – „Monsignore” tłumaczył, nie zważając na szefa, ku przerażeniu swojego kumpla Roberta, który bladł z każdą sekundą wywodu. Tylko Adam słuchał uważnie. Wiedział, że „Monsignore” ma istny talent do łowienia kłamstw.

– Tyle pracują ze sobą – zaczął wyliczankę Kamil. – Śpią, romansują i co? Nikt nic nie wie. Pani dyrektor daje się omotać.

– Dar to tutejszy cwaniak. – Stenblock uznał wywody za mało potrzebne albo prowokował podstępem.

– Proszę o konkrety!

– Gnojek kłamie. Linberg wypada, jak pan widzi, bardziej przekonywająco. Jej kochaś bawił się w śledczego, ale zapomniał na o tym powiedzieć za pierwszym razem. Przyzna pan, że to powód do podejrzeń.

– Tak. Ma pan rację. – Kamil spoważniał. – Oni tak mają. Udają głupków, sądząc, że inni są większymi. Ale mimo wszystko nie mogę uwierzyć, że nie puścił pary nikomu innemu.

– Żaden z nauczycieli nic nie wiedział, tak? – upewniał się, że nic mu nie umknęło. – Wiem, Marka i Jorga nie spytamy o zdanie. Może trzeba popytać ochroniarzy, może...

– Żadnego „może”! – Kłodziński vel Jerzmanowski zaczął odczuwać narastającą frustrację. – Przyznał, że gadał z ochroną w Mita Sah, żeby przekupywać talibów. To już duża poszlaka, a nawet więcej. Widzieliśmy reakcję tej całej Anny, gównu o tym wiedziała. Jeżeli dogadał się, żeby ofensywa talibów ominęła placówkę w Mita Sah, to mógł równie dobrze załatwić Marka...

– Z zazdrości. – Uratował go Adam, ukradkiem wypatrujący reakcji Stenblocka. Szwed siedział cicho, nie pokazując po sobie ciekawości. – „Dobrze wyszkolony” – przeleciało przez głowę Adama.

– Tak, z zazdrości – powtórzył Jerzmanowski z czymś na kształt wyrazu wdzięczności rysującym się na twarzy. Tak naprawdę zaczynał układać wszystko w jedno. Dar mógł ustalać szczegóły z talibami, gdyż dla nich pracował lub był nawet ich członkiem. Miał zdjęcie człowieka, który domagał się pomocy od zagranicznej fundacji, co nie spodobało się czarnym turbanom. Prośba o ochronę placówki uwiarygadniała to, że Dar mógł zaplanować zamach, kiedy Polak i Szwed podjęli trop.

– A ja wam mówię: to jakaś bzdura, jak z marnej powieści. – „Mosnignore” nie ustawał w podważaniu tak ciekawie układającej się teorii. Wzbudził tym chwilowo niechęć wszystkich zebranych, którzy nieprzyjaźnie tręcali go spojrzeniami.

– Mamy trop. – Stenblock brał na siebie rolę rozjemcy – Tak, nie jest to do końca przekonujące, ale... Może rzeczywiście za łatwo poszło, ale ten cały Dar nie ma gdzie uciec. Jest osaczony.

– Osaczony? – Kamil zrobił minę, jakby chciał rzucić w twarz Szwedowi, że ten zwariował. – To czemu nie uciekł, skoro wiedział, że mamy ich odwiedzić? Czemu nie nawiał zaraz po zamachu – dodał jeszcze jeden argument. Reszta milczała. Nikt nie znał dobrego wytłumaczenia.

– Bo miał takie rozkazy. – Stenblock odezwał się pierwszy po kilku sekundach, gotów bronić swojego. Ale tylko tak, dla zasady. – Może planowano coś jeszcze? Może się nie odkochał w Linberg?

– Albo planowali tu zamach. – Arkady odsunął się od blatu i wskazał palcem na „Muchę”. – Mamy tu coś naprawdę ważnego, proszę państwa.

Robert wdusił klawisz i z głośników komputera dobieły się szumy i trzaski.

– To zarejestrowano podobno wczoraj. W tej okolicy. Powtórzono dziś rano. – Powiódł dłonią po ścianach. – Sygnał, zaszyfrowany sygnał. Ktoś kogoś ostrzega... – tłumaczył wolno, wyraźnie budząc grozę. –

A przed kilkoma chwilami, z nasłuchu dostaliśmy sygnał o zwiększonej ruchliwości aparatów telefonicznych, ale i samych połączeń. Dużo paplaniny, ale to wszystko jakieś szyfry. Teraz sygnały telefoniczne gasną.

– Co to oznacza? – Agata wykrztusiła z wielkim trudem pytanie.

– Zamach... – Woit imponowała doświadczeniem. Stenblock pierwszy raz spojrzął na nią bardziej uważnie, jakby rola prokurator nie współgrała z takimi spostrzeżeniami.

– Tak – potwierdził Robert. – Dla bezpieczeństwa odkładają telefony i zbierają siły. Jeżeli jest tu w okolicy jakaś komórka terrorystyczna...

– Ten kraj to jedna wielka komórka terrorystyczna. – Głos Kamila zadrżał wściekle. Podobnie jak dłonie, które nerwowo oklepywały uda, czekając papierosa.

– Amerykanie poinformowani. Spróbują dać na wzmocnienie. – Kłodziński z miejsca zaczął uspokajać, zapewniając o poszukiwaniach wsparcia.

– To teraz priorytet. Drugim jest przygotowanie ewakuacji nas wszystkich i...

– Mita Sah? – zaciekawiał się Adam.

– Niestety. – Kłodziński nie był zadowolony.

– A Dar? – Woit ten człowiek interesował najbardziej, jakby nie usłyszała o grożącym niebezpieczeństwie.

– Pod klucz – zarządził Stenblock, szukając poparcia u polskiego „dyplomaty”.

– Pod klucz – Kłodziński vel Jerzmanowski zgodził się momentalnie. – Trzeba go odizolować i posłać do więzienia w Kabulu albo Bagram. Tam niech się spowiada dalej. Jeżeli zaś idzie o nieściskości – spojrzął zażenowany na Kamila – wężymy dalej. Ale coś mi się wydaje, że Balil to jest strzał w dziesiątkę. Może chcą go odbić, zanim go wywieziemy. Uderzyć na szkołę będzie łatwiej niż na bazę wojskową. I to jest dowód, że z nim coś jest na rzeczy.

- Nie odważą się – prychnął Arkady, ukrywając panikę.
- Kto wie... – „Monsignore” sięgnął po kamizelkę, co było bardzo wymownym gestem.
- Ciężka noc, proszę państwa... – Stefan Kłodziński wstał. – Pan major będzie dowodził obroną. Trójka ochroniarzy ma go wspomagać, ale należy uważać. Uspokójcie jak się da nauczycieli. Potem zjedzcie coś. Śpimy na zmiany, jak w harcerstwie. – Żart mu nie wyszedł, bo i nikt nie miał ochoty na dowcipy. Agata, Thomal i reszta Polaków wydawali się obrażeni. Prosta misja, jak opowiadał Kłodziński, właśnie taką przestała być.

– Są! Jadą!! – „Papa” zawołał wesoło, machając do reszty swoich z „baszty” nad bramą. W szarym wieczorze, rozjaśnionym na horyzoncie pomarańczową luną, widać było pięć pojazdów. Kanciaste, z wieżami na dachach trzymały dystans między sobą i wzbijały mnóstwo kurzu. Obładowane dobytkiem załóg, skrzyniami amunicji i tubami granatników przywodziły na myśl mechaniczne wielbłądy. Przystosowane do trudów, ciężaru i jednocześnie mogące walczyć.

Pierwszy Humvee zaczął wspinać się przez szanice szkoły. Pozostałe osłaniały perymetr. „Papa” zbiegł prędko na podwórze, za nim auto przejechało przez bramę. Wóz wtoczył się daleko pod przeciwległy mur i przystanął.

Kiedy dojechała cała kolumna, by zgrupować się na placu, z zakamarków zaczęli wylaniać się ludzie. Wydawało się, że wychodzą z każdego otworu, a nawet szczeliny zaciemnionego obiektu. Mężczyźni i kobiety. W hełmach, kamizelkach. Brudni, osmoleni, niedowierzający. W szoku. Sierżant sztabowy Kamal Wardani chwilę meldował dowódcy przybycie do celu i to, co w nim zobaczył.

„Papa” zbliżył się do wozu, zachowując czujność, tak by nie sprowokować strzelca na wieżyczce. Wiedział, jak łatwo przejść granicę między przyjacielem a wrogiem.

Ukrainiec poprawił oporządzenie. Odruch jak z inspekcji. Niewiele mu pomogło. Był brudny, potargany, w niezapiętym hełmie na głowie.

Opancerzone drzwi rozwarły się i wielkolud, którego „Papa” widział na checkpointie w mieście, stanął na piasku. Machnął dłonią i zamarł. Nie spodobało mu się to, co widzi.

Osmolony budynek szkoły. Kilka wypalonych oczodołów okien na piętrze. Na podwórzu śmieci. Kawałki mebli, mnóstwo kartek. W pobliżu placu zabaw straszyl płytki lej po pocisku.

– Dopadli was. – Afgański podoficer podszedł z wyciągniętą dłonią do „Papy”.

– Salam alejkum – przywitał się uroczyście najemnik. – Prawie. Rąbnęli kilka razy.

– A to? – Rozemocjonowany Wardani pokazał dziurę w ziemi.

– Dzieci uciekły – uspokoił go „Papa”. – Rodzice rzucili się, by je odbierać. Tylko kilkoro rannych nauczycieli. Nic poważnego. Zadrapania. Nie chcieliśmy puszczać młodzieży, ale... – Umilkł, ciągle poruszony wybuchem strachu i wspomnieniem zapłakanych oczu.

– Widziałem, jak wieją do miasta. Ale, że pozwoliliście im tak bez... osłony?

– Bez. – Ukrainiec spuścił dłonie, nie mając nic na usprawiedliwienie. – To miejscowe dzieciaki. Kazałem spalić rejestry uczniów. Nie powinni dojść, kto i gdzie. Chodzi mi o talibów. Przynajmniej dzieci mają czas się ukryć albo wynieść.

Wardani lustrował go podejrzliwie, nie mając właściwie argumentu do reprimendy. Zresztą nie było na to czasu.

– Tamci i tak nie przestali strzelać. – Lufa karabinka wskazała opalony strop szkoły. – Ugasiliśmy, ale tamtym mało.

– Chcą broni, pieniędzy – ocenił Afgańczyk.

– Zapewne, zapewne... – zgodził się „Papa”. – Albo ich... – Popatrzył za siebie.

Noc zrobiła się nieomal czarna. Klekoczące silniki wozów mąciły ciszę wieczoru. W tej mrocznej dekoracji, zasłaniającej nawet dymy pożarów, trwali ludzie. Jak bezwolne upiory wpatrzone w zbrojnych, tyle że nie żadne krwi, a czekające ratunku.

– Chcą zemsty na nauczycielach. I na nas. – „Papa” przytknął kciuk do kamizelki. – Na mnie i chłopakach. Po co by tak walili?

– Tak... – Wardani zrobił kilka kroków ku budynkom. – Przybyliśmy, by was chronić! – rzucił w tłum po angielsku. – Sama nasza obecność ich wystraszy. – Machnął bronią. – Do świtu nie podejda. A jutro... Jutro ich pobijemy!

Optymizm tadzyckiego zapaśnika padł na podatny grunt. Zbieranina kilku osób zafalowała. Jedna z kobiet pojaśniała od uśmiechu na brudnej twarzy. Uwierzyła, inni też.

Podoficer rzucił do radia przy ramieniu kilka rozkazów. Robił to tak, by udowodnić, że nie łże. Z samochodów wysypali się jego ludzie. Uważni i opanowani. Zaczęli oczyszczać plac z cywilów. Grzecznie, lecz zdecydowanie. Dwóch innych targało erkaemy, skrzynki i taśmy naboju. Rozchodzili się po obiekcie, jakby doskonale wiedząc, gdzie mają się kierować.

„Papa” patrzył tylko, zachodząc w głowę, po co zawczasu przygotowano plan obrony. Wojska specjalne nie zawsze wchodziły w nieznany teren bez dokładnej analizy. Choć były oczywiście przygotowane mierzyć się z tym co nieznane. „Papa” ciągle wierzył, że nic naprawdę złego nie może się im przydarzyć.

Wardani niespodziewanie ujął Ukraińca za biceps i odciągnął w kąt podwórza.

– Słuchaj... – zaczął poważnie, bez wstępów, wolno wypowiadając słowa po angielsku. Zmienił się na twarzy. Wyglądał na zażenowanego. – Kapitan kazał mi zabrać do was przynajmniej jedną drużynę. Tak, to prawda, co powiedziałem, sama nasza obecność może wystraszyć tamtych. Policja z naszym wsparciem odrzuciła ich zwiad. Zniszczyli zbiornik paliwa w mieście, kilka domów. To nie talibowie, to ludzie „pułkownika Ahmeda”, starego komunisty i handlarza heroiną.

Ma pod sobą kilkudziesięciu najemników z zagranicy. I kilka setek miejscowych. Technologię, drony...

– Zaraz... – „Papa” odsunął się jak oparzony. – Po co mi to mówisz? – Sierżant nie zwrócił na uwagi na retoryczne pytanie i mówił dalej:

– Mamy meldunki od wywiadu, że grupy bojowe tych zagranicznych mają przyjść po was. Rozumiesz, co mówię? Po was...

– Skąd wiesz? – „Papie” momentalnie zaschło w gardle. Przechylił się, kiedy wydawało mu się, że słabnie w nogach.

– Dobrze się czujesz? – Afgańczyk wystraszył się. Podał najemnikowi butelkę wody i patrzył chwilę, jak tamten wypija duszkiem wszystko. – Złapaliśmy kilku rannych skurwieli. Sam z nimi rozmawiałem. – Uśmiechnął się krzywo. – Przyciskamy ich. Mówią. – Na to określenie „Papie” jeszcze mocniej zakręciło się pod czaszką. Bał się. Wiedzieli, co zrobił, czy jeszcze nie? Dlaczego Ahmed i jego szefowie nie dotrzymali umowy. Te wszystkie wątpliwości spadły na niego w jednej chwili.

– Co... co teraz? – bąknął, nie mając pojęcia, co ma więcej powiedzieć.

– Zamykają was, tak? – Sierżant usiłował to wszystko zrozumieć – Więc was zabiorą.

– Możliwe. Na razie kazali czekać i nic nie mówili o ewakuacji. – „Papa” zagapił się w mrok, szukając w nim ludzi, którymi dowodził, i tych, których miał ochronić.

– Ty dowodzisz? Załatw to! – krzyknął ostro. – Ta banda biedaków robi pod siebie. – Wskazał na szkołę – Mają dosyć...

– Tak, tak. – Najemnik usiłował złożyć myśli w jeden logiczny ciąg i wymyślić coś. Skronie i nasada nosa naszły niespodziewanie pulsującym, dotkliwym bólem. Zrzucił broń na ramię. – Daj mi chwilę. – Wykonał niezrozumiały gest dłonią i drobiać małe kroki ruszył w stronę „bunkra”.

– Wyczyścić broń i na górę – warknął z daleka do patrzących na niego najemników. – „Ziziemu” też dajcie karabin. – Łaskawie zezwolił dołączyć młodemu Pakistańczykowi, który śmiał poza jego plecami

skomleć do szefostwa szkoły w Kabulu. Jednym telefonem naraził układ, jaki istniał z rebeliantami. – Rano, o świcie czeka nas bitwa. Rozumiecie?! – Groźny pomruk niosło echo pomiędzy budynkami. – Oni lubią atakować o świcie – dodał ciszej po rosyjsku, opętany wstrętnym wspomnieniem z młodości. – Ruchy!

„Papa” zapiął hełm. Odwrócił się do Wardaniego, który ciągle stał w miejscu. Zasalutował mu. Afgański komandos oddał honor już bardziej spokojny, że Ukraińiec nie stracił głowy.

Wardani wrócił do swoich zadań. Przeszedł się po podwórzu, pilnując budowy punktów ogniowych i orientując się w słabych punktach fortu, jak nazywał szkołę. Miał zamiar pochwalić „Papę”, bo do niewielu rzeczy mógłby się przyczepić. Staął, szukając Ukraińca, ale ten zniknął mu z oczu.

Coś przerażającego natchnęło podoficera. Nie zdążył zgadnąć, czego dotyczyło to przecucie, kiedy usłyszał dźwięk odpalanego silnika. Był donośniejszy niż inne. Ktoś mocno przygazował. Zaszumiał żwir pod oponami i zza szopy przy północnej części placu wypadła terenowa toyota. Wardani spostrzegł, że brama jest otwarta.

Rzucił się biegiem, unosząc karabinek.

– Stój!!! – wrzasnął.

Przystawił kolbę do barku i pociągnął spust. Kilka pocisków pewnie posłał w tylną szybę i koła. Szkło rozsypało się z brzękiem. Samochód zatańczył, ledwo mieszcząc się w otworze półprzymkniętej bramy. Odbił się od niej i skosem zaczął zjeżdżać w dół.

W szkole krzyknęła jakaś kobieta. Dwóch komandosów Kandaku rzuciło się w pogoń, też usiłując strzelać, kiedy naraz ich sylwetki objawiły się na tle kuli ognia. Huk wypełnił plac i otępił zmysły Wardaniego.

– Mamy rannych! – rzucił do radia, pędząc ku swoim. Minał ich biegiem. Dźwigali się z ziemi, poturbowani, oszołomieni, ale żywi. – Jeden wieje, mamy zbiega. – Ulżyło mu, że nie stracił ludzi, ale nie było czasu świętować.

Za murem, w dole podjazdu, jak tylko sierżant skończył meldować, wybrzmiał miarowy, ciężki tętent karabinu maszynowego. Wardani znał ten głos. Należał do celowniczego piątego, który osłaniał wjazd na górę. Chłopak był pewien swego.

Kiedy sierżant wyszedł poza mur, jego ludzie na posterunku przy drodze podchodzili do dymiącego auta. Byli ostrożni, ale zdecydowani w działaniu. Z wysuniętymi karabinkami, z oczami przy celownikach byli gotowi dokończyć robotę.

– Czekajcie... – powstrzymał ich dowódca. Sam nie wiedział dlaczego.

Zbiegł w dół schylony, obchodząc wóz. Zwolnił, torując drogę lufą broni, i wsunął ją od tyłu przez boczne drzwi z potłuczoną szybą. Stał tknęła głowę „Papy”. Z ust kierowcy wydostał się syk bólu. Wardani doskoczył do klamki i szarpnął przednie drzwiczki. Najemnik zsunął się w bok, opadając ramieniem na ziemię.

– Mam skurwysyna! – Sierżant wezwał swoich do odboju. – Żyje – dodał i zaczął wyciągać kolosa zza kierownicy.

Noc zapadała tutaj szybko. Miasto cichło. Wydawało się, że ktoś panuje nad aglomeracją i w odpowiednim dla siebie momencie przekręca gdzieś klucz, a wszystko zamiera. Hałas i bałagan gorącego dnia po prostu zniknęły. Nie było widać ludzi ani aut. Nawet psy nie szczekały. Cały ten spokój był podejrzany, zwłaszcza dla takiego paranoika jak Konstantin.

Rosjanin stał przy oknie, usiłując wyczytać coś z półmroku rozświetlanego kilkoma latarniami. Pił kawę, pił dużo kawy, by trzymać fason i móc dowodzić. Rozumiał, że najcięższy element misji dopiero przed nim.

– Już jadą. – Yakow zameldował, odkładając przenośną radiostację.

– Dobrze – skwitował Kostia krótko. Odstawił kubek, poprawił nieświeżą już lekką koszulę. Przygładził fryzurę i zaraz sprawdził, czy dobrze się ogolił. Musiał wyglądać bez zarzutu. Przynajmniej próbować, jako oficer, dawać przykład. Tak go nauczono, tak działał. Za

uporządkowaniem kryło się jeszcze coś: szacunek, jaki wzbudzał u swoich i wrogów. To deprymowało, zwłaszcza tych drugich, i dawało kilka chwil więcej na działanie.

Tymczasem od południa doleciał szum silników jadących dość szybko aut. Zwolniły przy placówce Konstantina. Pierwszy SUV mrugnął światłami. Żołnierz przy bramie potwierdził coś przez radio i odsunął bramę z blachy falistej. Oba wozy wjechały prędko w obręb placówki i zgasiły silniki. Bramę zamknięto i chwilę czekano, czy wydarzy się coś nieodpowiedniego.

– Czas do gości... – westchnął Rosjanin, wiedząc, że połowa zadań, jakie miał zaplanowane na tę noc zakończyła się sukcesem. Pozornie nic nieznaczącym, a jednak doniosłym.

Kiedy zszedł na parter, do brudnego garażu na końcu posesji, obiekt był obstawiony. „Cywile” z bronią, ze słuchawkami połączonymi z ukrytymi pod codziennymi ubraniami radiostacjami, trzymali się w cieniu. Milczeli, bacząc na powierzone im odcinki, wrażliwi na każdy ruch i gotowi w każdej chwili wejść do walki. Kostia wszedł do cuchnącego pomieszczenia. Było słabo oświetlone przenośną ledową lampą.

Człowiek, który go odwiedził, był dziesięć lat młodszy od Konstantina. Prawie łysy, z resztką krótkich włosów na bokach czaszki. Był okrągły na twarzy. Miał długi lekko haczykowaty nos i blisko niego osadzone oczy. Był wysoki, krzepki, dbał o siebie. Na nocne spotkanie założył dżinsy, koszulkę polo, ciemną marynarkę oraz dobre, eleganckie buty. Konstantin od razu wychwycił tę lekką nutę elegancji, tak pasującą zawodowemu dyplomacie.

– Dobry wieczór. – Kostia położył dłoń na piersi. – Bardzo się cieszę, że znalazł pan czas, byśmy mogli wymienić kilka słów.

– O ile się orientuję, nie małem wyboru. – „Towarzysz Anilew” (gdyż takiego pseudonimu używał w strukturze ambasady) odwdzieczył się uszczypliwością. Wcale nie chciał tu być i nie lubił spraw, o których miał mówić.

Kostia wskazał stare, tanie biurowe krzesło, by gość spoczął. Sam zamierzał stać. Dyplomata usiadł i założył nogę na nogę.

– Słucham, towarzyszu generale. Kogo macie... sczyścić? – wypalił bezpośrednio.

Konstantin wykrzywił teatralnie twarz i sapnął:

– Dobrze. Pójdzie szybciej. Z rozkazu prezydenta federacji mam zamknąć – brzmiało to bardzo delikatnie – operację „Batalion”. Wschód kraju. Granica z Pakistanem.

– „Batalion”? – „Towarzysz Anilew” zmarszczył brwi.

– Grupa zadaniowa GRU prowadzi działania w kontakcie z grupami zbrojnymi współpracującymi z talibanem w ramach ochrony naszych interesów. Mają też kilka innych pomniejszych zadań.

– Tak. Inne sprawy. – Dyplomata uśmiechnął się złośliwie. Brzmiało to zagadkowo i wymownie zarazem. Wiedział, że chodzi o nadzór nad kontrolowanym przerzutem heroiny, ale jego zawód wymagał powściągliwości w osądach i dzieleniu się prawdą.

– Rozumiemy się? – Kostia nie był tak finezyjny. Na pewno nie w tym momencie.

– Tak, rozumiemy się – potwierdził „Towarzysz Anilew”. – Czy te inne, pomniejsze sprawy – powiedział z naciskiem – zaważyły na wygaszeniu operacji? – Czekał chwilę na tłumaczenie, patrząc, jak generał SWR zastanawia się, jak dobrać słowa. – Muszę wiedzieć. Mam prawo. Jestem zobowiązany przekazać to panu ambasadorowi. Rezydent GRU będzie interweniował, kiedy wszystko wyjdzie na światło dzienne. Postara się namieszać.

– Proszę, niech próbuje! – prawie krzyknął Kostia z rozbawieniem. Ta naiwność doświadczonych funkcjonariuszy go śmieszyła. – Pan ambasador oraz pan jesteście jedynymi „czystymi” pracownikami, którzy mają dostęp do wiedzy i są ponad obydwoma rezydenturami. SWR i GRU. Pan, proszę wybaczyć szczerą, nie powinien znać szczegółów, ale ogólnie o nich opowiem. Jestem pańskim gościem na tym terenie. – Splótł dłonie na plecach i pochylony zaczął dreptać

wzdłuż ściany. – Nadzorcy operacji, tak to nazwijmy, posunęli się daleko poza wyznaczone ramy. Po pierwsze wykryto nieścisłości w raportach otrzymywanych od ludzi w terenie, po drugie sprawozdawczość kuląła. Krótko mówiąc, są to poważne błędy. To prowadzi do wniosku o braku dyscypliny. Jeżeli dodam do tego podejrzenia o działanie „na boku” z miejscowymi, robi się poważnie. To grozi dekonspiracją, a o konsekwencjach wolę nie myśleć. Wyjście na inne odnogi działalności służby... – Zrobił gest, jakby przechodził go dreszcz. – Wiemy również, że to rozprężenie sprawiło, iż prócz oficjalnie zabezpieczonych kanałów powstały prywatne. Ktoś zarabia naszym kosztem. To tyczy ludzi w terenie a także ich nadzorców. Rozumie pan? – Kostia przystanął, patrząc dyplomacie w oczy.

– Tak jest, towarzyszu generale. – Dyplomata potwierdził i wyprostował się. – „Kradną, nie dzielą się. Kogoś zdenerwowali” – uprościł zarzuty, znając system bardzo dokładnie.

– Cieszę się. – Konstantin był zadowolony. – To nie wszystko. Niestety! – Kopnął jakąś pustą puszkę w kąt garażu. – Brak dyscypliny oznacza brak poważania dla przełożonych i złudną świadomość, że nikt nie kontroluje terenu. Że w dzikim kraju można więcej. Tyle tylko że kwintesencją operacji „Batalion” było pozyskiwanie albo raczej wyznaczanie kandydatów dla nas. – Wskazał palcem na siebie. – Powiedzmy, do przyszłych operacji specjalnych. Dezorganizacja i wielkopańskie gesty przyzwyczyły ludzi do nieporządku. Zaczęli popełniać błędy. Sprawy doboru kadr – kolejny niepasujący eufemizm – zaczęły niepokoić tubylców. Zwąchały to prawdopodobnie zachodnie wywiady i zaczęło się robić nieciekawie. Kilka tygodni temu uznano, że należy zlikwidować zagrożenie. Zneutralizowano osoby podejrzane o wtykanie nosa w nieswoje sprawy, co przeważało szalę.

– Pierwszy jest przyjacielem ministra obrony – wtrącił bezczelnie dyplomata. – Wytłumaczy jakoś koledze, że nie wszystko mu wolno – zakpił śmiało. Mógł, był nietykalny w tej konstelacji. Poza tym miał być posłańcem, a ci zawsze w historii posiadali immunitet. Poza wszystkim nie lubił służb. Ani wywiadu zagranicznego, ani wojskowego GRU. Uważał ludzi tam służących za nastawionych na szantaże, podstęp,

a ponad wszystko oderwanych od życia, błędzących w świecie spisków i paranoi.

– Ma pan rację – potwierdził niespodziewanie Kostia. – Wojskowych trzeba nauczyć moresu. To, co tu było tworzone, miało głębszy sens, pewną perspektywę. Nie jest to może jakaś skomplikowana i wybitna misja, ale łącząc dwa wątki... Zrobiło się źle.

– Załatwi to pan? – „Towarzysz Anilew” przechodził do części najważniejszej.

Konstantin wrócił do krzesła, usiadł i uśmiechnął się z lekka, bardzo tajemniczo.

– Kłopoty się zdarzają, ale robię wszystko, by minimalizować hałas. Kontrolujemy ich poczynania, ale oni nawet o tym nie wiedzą. Mamy dostęp do ich łączności. Można powiedzieć, że podsłuchujemy podsłuchujących. Takie mam prerogatywy nadane w Moskwie. Wyczyszczę temat. Grupa terenowa zostanie zmieniona, choć nie ja będę o tym decydował. Chodzi o to, by okiełznał pan swoich „brudnych” dyplomatów. Zwłaszcza jego ekscelencję, pana ambasadora. Proszę tylko zapewniać, że to decyzja góry i wszelka samowola jest niewskazana. Wojskowymi zresztą, gdyby się ciskali, też będzie można się zająć. Sczyścić ich.

– A sprawa szkoły? Zachodniej szkoły... – Dyplomata przeszedł na prowokacyjny temat. Promieniał przedziwnie uskrzydłony małym zwycięstwem nad szpiegiem. Kostia był gotów przyznać, że dał się podejść. „Towarzysz Anilew” w jakiś przedziwny sposób, zdobył jakąś wiedzę o operacji „Batalion”.

– Drugorzędna – zapewnił Kostia, choć nie przyszło mu to łatwo. – „Gaspadin Ministr”, który był pomysłodawcą tajnych działań wojskowej rozwiadki, uznał, że komponent informacyjno-personalny jest ważny. Najważniejszy, choć ja się z tym do końca nie zgodzę. Szkoła ma charakter doradczy.

– Ale jeżeli ktoś dotrze do roli, jaką odgrywa cała ta fundacja... – Dyplomata nie odpuszczał. Konstantin patrzył długo, rozważając, czy nie poddaje się prowokacji, a przybysz nie jest tak zupełnie „czysty”.

– Na razie nie ma zagrożenia.

– To pewne? – „Towarzysz Anilew” pochylił się, opierając łokcie o uda.

– Tak. – Kostii nie drgnął żaden mięsień. Blefował z pełną powagą i przekonaniem, poddając się niezawodzącemu go przeczuciu. Poza tym nie mógł już wiele zrobić. Wiedział, że ludzie z „Bastionu” podejmą próbę likwidacji szkoły, ale on nie wierzył w powodzenie. Miał jeszcze jeden dowód na niedokładność oficerów skierowanych do tej misji.

– Skoro tak twierdzicie... – Dyplomata nie miał ochoty ani powodu rozwlekać dyskusji. – A nas też słuchacie?

– Spokojnie. – Kostia pozostawał opanowany. – Tylko tamtych. Nie mam prawa ani środków, ale także ochoty wchodzić w wasze działania. – Wydawało mu się, że dzięki jego opanowaniu i niezmażonej szczerości „Towarzysz Anilew” wierzy. Nie miał interesu w emocjonowaniu się rozgrywkami służb. – Sprawa jest poważna – kontynuował ze spokojem Konstantin. – Mam zamknąć operację, ale muszę uważać, by to było kontrolowane wyburzenie. Inaczej odłamki ugodzą wszystkich naokoło. „Batalion” to zadufani w sobie partacze. Mogą zrobić błąd.

– W porządku. Rozumiem – zgodził się dyplomata. – Na coś muszę być wyczulony?

– Nie chcesz wiedzieć – ostrzegł łaskawie generał. – Lepiej żebyś nie wiedział – poprawił się. – Ludzie z prowincji zaczęli próbę likwidacji szkoły, tu w Kabulu. Mówiłem, są zbyt pewni. Zamach na dwóch panów w ciasnej ulicy to jedno. Uderzenie na placówkę to poważny temat. Nie tak łatwy do przygotowania. Zwłaszcza z odległości, kiedy rywal przysyła posiłki. Druga placówka w Paktiji podobno wyłączona. Jest daleko od centrum, pełna miejscowych pracowników.

– Dojdzie do zamachu? – „Towarzysz Anilew” teraz poważnie się zaniepokoił, zatrwożony przyszłością wydarzeń w stolicy.

– Tak, do jakiegoś dojdzie. Doskonale wiesz, że placówki kabulskiej nie można połączyć z waszą rezydenturą. To akurat bardzo roztropne. Tylko co z tego? Z budynku fundacji poszedł sygnał alarmowy. Podjęli go

i uznali, że załatwią sprawę. Miast odpowiedzieć, poruszyli znane im miejscowe komórki zbrojne. Tak są nieporadni ci... – nie dokończył, bojąc się własnej szczerości. Nie miał obowiązku zajmować się Future world, ale coraz bardziej chciał i wyczekiwał okazji, którą „Batalion” miał uczynić niemożliwą.

– Proszę przekazać ambasadorowi, żeby się nie martwił. – Oficer wstał, dając znak, że kończy spotkanie. – Musi pan uważać po drodze. – Podał dyplomacie dłoń.

– To nie jest proste. – Gość uścisnął rękę generała. – Idą bardzo ciężkie czasy. To lato będzie bardzo gorące.

– To prawda. Dlatego trzeba utrzymać porządek. W przeciwnym razie wszystko się rozleci. W chaosie, jaki spadnie na tę kupę skał, wiele może z tego, co powinno zostać w ukryciu, niepotrzebnie objawić się światu.

– Długo pan zamierza tu zostać?

– Do zakończenia sprawy. Zaledwie kilka dni. Nie znoszę upałów. Jutro opuszczę Kabul. Działam bezpośrednio. Nie lubię zostawiać najgorszego innym. Załatwię to i znikam z waszego radaru – zapewnił Kostia. – Proszę powiedzieć to ambasadorowi.

Dyplomata odczekał chwilę, jakby miał jeszcze coś do powiedzenia.

– Powodzenia – rzucił tylko i zapiął guzik marynarki. Jeszcze raz uścisnął rękę generałowi i pospieszył do auta.

Konstantin stał chwilę, patrząc jak auto dyplomaty i ochrona wyjeżdżają z podwórza. Nieco zazdrościł ambitnemu pracownikowi ambasady. Miał prostą pracę. Już nic go nie interesowało.

Kostia szybko odgonił wątpliwość. Urodził się po to, by robić to, co robił. Miał jeszcze siły. Wierzył w zasady, które były niezmiennie. Co najbardziej jednak go motywowało do działania, to fakt, że ciągle w nim pączkowały nowe pomysły. Byli też ludzie, z którymi można było je realizować.

– Adam... Adam... Wstawaj. – Subtelny głos Arkadego wyrwał Thomale z głębokiego snu. Były policjant otworzył oczy i drgnął wystraszony. Nie wiedział, gdzie jest.

– Co... co się dzieje?

– Twoja szychta.

– Która... która godzina? – Adam nie potrafił się odnaleźć. Siadł na posłaniu z karimaty i śpiwora, wetkniętym w róg świetlicy.

– Czwarta. Posuń się. – Arkady dosłownie padł na swój barłóg. – Spokój jest. – Mamrotał wciśnięty twarzą w zrolowany polar robiący za poduszkę. – Śpią wszyscy. Pakistan też nie wytrzyma. Pracowali nad nim.

– Coś sprzedał? – Adam zaciekawił się, powracając na dobre do żywych.

– Pieprzy to samo. Szwedzi nad nim siedzieli i nasz boss. – Zamilkł, poddając się zmęczeniu. Thomał okrył go połą śpiwora i wstał. Przetarł jeszcze raz oczy i napił się wody, choć marzył o kubku czarnej kawy.

Budynek był cichy. Rozesłana do pokoiów kadra spała (albo raczej próbowała, rozbudzona niepokojem). Komandosi Mariusza snuli się na zmianę po górnych piętrach, pilnowali pokoju łączności i bramy wraz z ochroną. Thomał podejrzewał, że operatorzy mogliby w ogóle nie przemykać powiek, napędzani jakimś tajnym narkotykiem. Reszta menażerii trwała osowiała, usiłując wyciągnąć jakieś wnioski z materiałów, jakie zdobyli.

Adam zaszedł do pokoju socjalnego, niewielkiej kuchni. Wabił go zapach kawy. Prawie gwizdnął, widząc porządny ekspres.

– Bar można by otworzyć – zażartował po angielsku do Berggerena, którego zastał siedzącego przy stoliku. Głowę miał opuszczoną, wpatrywał się w czarny płyn w kubku i nie reagował na słowa Polaka.

Ten zaserwował sobie dużą porcję i osłodził porządnie. Napar był jak życiodajny lek.

– Dobra, naprawdę dobra – pochwalił.

Uwaga uleciała w próżnię. Szwed nie miał ochoty rozmawiać. Thomal nie wiedząc, czego jeszcze mógłby spróbować, wstał gotowy iść do swoich obowiązków. Miał pilnować „celi” Balila Dara i od czasu do czasu, niby to przypadkiem, przejść się po piętrze mieszkalnym.

– Pan wybaczy, ale to cholernie frustrujące. – Berggeren odezwał się po niewczasie. – To, co budowaliśmy tyle lat, okazało się siedliskiem zła.

Adam chciał coś powiedzieć, może nawet pocieszyć, ale nic mądrego nie przychodziło mu do głowy. Było za wcześnie na intelektualne popisy. Zrobił więc tylko zatroskaną minę i wolno wyszedł z kuchni.

Poczłapał pod magazyn. Wszystko wyglądało w porządku. Balil nie próbował uciekać. Korytarze były puste, nic się nie działo. Jakby tempo poprzedniego dnia było sennym majakiem. Adam chciał zejść do piwnicy, sprawdzić, czy „elektronicy” nie wywęszyli czegoś jeszcze ciekawego albo może potrzebowali wsparcia. Dopadła go wtedy diabelska pokusa. Podniósł głowę na sufit, przypominając sobie o Annie Linberg. Była sama. Coś szeptało mu, by przespacerował się na ostatnie piętro.

Były gliniarz nie wiedział, ile przyjdzie mu tu siedzieć i jak szybko Kłodziński zorganizuje ewakuację. Mogli tu tkwić wiele dni, więc zbliżenie się do pani dyrektor zdawało się jedyną rozrywką dla rogatej duszy Adama.

Owładnięty tym popędem, nie namyślał się długo. Niby to od niechcienia zaczął przemierzać korytarz i wspinać się po schodach. Ostrożnie stawiał kroki, nie chcąc przeszkadzać i zwracać uwagi. W swoim afekcie wobec pięknych kobiet potrafił jeszcze zachować resztki profesjonalizmu.

Wdrapał się na piętro unurzane w mroku. Los mu sprzyjał. W końcu korytarza, przy oknie wychodzącym nad bramę stała kobieta. Tej sylwetki nie mógł pomylić. Anna Linberg opierała się o parapet i oświetlona łuną papierosowego żaru patrzyła na miasto.

Thomal zakradł się cicho.

– Nie powinna pani tak tu stać – odezwał się w ostatniej chwili.

Quadira drgnęła, z trudem powstrzymując krzyk.

– Wystraszył mnie pan, do cholery! – W jej głosie strach przeszedł we wściekłość.

– Przepraszam. Nie chciałem – skłamał. – To nieroztropne wystawać w oknie. – Wskazał na widok rozciągający się ponad murem otaczającym szkołę. – Pani pali? – Zaraz zmienił temat, patrząc na papierosa.

– Nie – zaprzeczyła niespokojnie. – To znaczy... tak. Czasem muszę. – Miała smutne, napuchnięte i zmęczone oczy. – Za dużo ciosów jednego dnia. A i sporo ich ostatnimi tygodniami. – Obróciła twarz ku szybie. – Tak, wiem, że nie wolno mi, ale mam to gdzieś. – Zrobiła się napastliwa i to bez wyraźnej prowokacji Adama. – Chcę popatrzeć na to miasto. Ostatni raz zapewne. Zabierzecie mnie stąd. Zabierzecie wszystkich. Spędziłam tu kawał życia i wychodzi na to, że niepotrzebnie. Myślałam, że mogę ufać im wszystkim, a tymczasem miałam pod bokiem czarną owcę. Człowieka, który to, co tu tworzyliśmy, miał za nic. Rozumie pan, za nic. Rozmawiał z ludźmi, od których uciekałam całe życie. Od przemocy, wojny... – Rozkręciła się, znajdując słuchacza, nawet obcego. Upuściła papierosa i ukucnęła, kryjąc twarz w rękach. Łkała i wstydziła się tego. Adam długo pozostawał zakłopotany, nie przewidziawszy takiej erupcji emocji. Dał się wygadać dziewczynie, ale chciał też ugrać kilka punktów dla siebie.

– Proszę się uspokoić... – zaczął delikatnie. Schylił się i ostrożnie objął ramieniem Annę. Nie zaprotestowała. Przysunął więc Linberg do piersi. Potulnie położyła głowę na jego barku i płakała cicho. Trwała tak kilka minut, uspokajając się z wolna.

– Prze... przepraszam – powiedziała zażenowana, pociągając nosem. – I dziękuję.

Thomal zamarł, nie znajdując odpowiedniego słowa. Pogładził Annę po barku. Odważył się na przeczesanie kosmyka włosów opadającego na jej czoło. Wydawała się najpiękniejszą kobietą świata. Nawet cała we łzach, w nieładzie dramatu, jakiego doświadczała. W spojrzeniu okrągłych oczu skupił się teraz jego cały świat.

Przestał dziwić się Markowi i Balilowi. Ta kobieta, te oczy, ten zapach jej ciała – obezwładniały zmysły, jednocześnie je porażając. Hipnotyzowała.

Najlepszy oficer wywiadu czy terrorysta musieli uznać, że są nikim, kiedy brała ich w ramiona.

– Proszę tak nie myśleć – powiedział Thomał. – Nic jeszcze nie jest pewne.– Mówił coraz szybciej. Dźwięk własnego głosu przywracał mu trzeźwość osądu.

Wyprostował się i pomógł wstać dziewczynie, uciekając przed tym, do czego mógłby się posunąć. Nieodpowiedni, zbyt już zuchwały gest rodził się w buzującej chuci.

Anna przysiadła na parapecie, znowu opuszczając oczy, choć Adam mógłby w nie patrzeć do samego rana. Podał wygrzebaną z kieszeni chusteczkę.

– No, proszę już nie płakać. – Otarł łzę z jej policzka. Quadira znów nie oponowała, co poddawało Thomali najradośniejsze wizje ich przyszłej relacji.

– Pan Balil może nie jest w nic umoczony. – Zaryzykował słowa pociechy.

– Więc po co to wszystko? – Anna znów się nastroszyła. Stała się napastliwa. – Te zdjęcia, notatki. Mark był zazdrosny, ale wszystko wskazuje na to, że Dar sprowokował zamach. Jak to nazwiesz? Przypadkiem? – Zacisnęła szczęki. Wyszukała w spodniach paczkę papierosów i chciała zapalić kolejnego.

– Ja tylko... – Adam znów został zepchnięty do narożnika niemocy. Stracił już rytm podrywacza. – Chciałem tylko pomóc. Będzie dobrze.

– Głupie. Jakie to banalne!

Adam tylko ruszał bezgłośnie ustami.

– Przepraszam – wybąkał wreszcie i sam spuścił wzrok. Nie odszedł jednak. Nad miastem czarne niebo przemieniało się

w ciemnoniebieskie, a ostatnie gwiazdy gasły, uciekając przed zbliżającym się dniem.

– To naprawdę ciekawy widok – dorzucił pojednawczo. Anna zaciągnęła się dymem i tylko pokiwała głową. Znow była gdzieś indziej.

Ulicą zaczął zbliżać się jakiś ciężki pojazd. Dudnienie jego motoru dało się słyszeć z daleka. Pojawiły się ogniki dwóch reflektorów. Potem kolejne i kolejne.

– Co się dzieje? – Anna spojrzała na Polaka, zdziwiona i obruszona, że nie wie, co dzieje się w jej jeszcze szkole.

Adam przybliżył się do szyby. Chwilę łowił kształty w ciemności.

– Amerykanie... To Amerykanie. – Zawyrokował spokojnie, był pewny że widzi wojskową ciężarówkę. Płaskonosy, wieloosiowy oshkosh jechał w obstawie dwóch MRAP-ów.

– Przecież nie Marsjanie. – Anna była zirytowana. – Co tu robią? Czemu nic nie wiem? Po co im to... – Zamilkła, sama nie wiedząc, co widzi na pace wielkiej ciężarówki.

– Trzeba się schować! – Thomał zrozumiał. – Proszę do pokoju. Jeżeli ma pani kamizelkę i hełm, proszę mieć je pod ręką.

– Co ty chcesz? – Wciąż parła do kłótni.

Thomał uchwycił jej nadgarstek. Próbowwała się wyslizgnąć, ale nie potrafiła, co jeszcze bardziej ją wściekło.

– Mów, co robicie?! – krzyknęła, a echo poniosło po korytarzach.

– To dla bezpieczeństwa. – Adam w zakłopotaniu prawie nie otwierał ust, szepcząc. Zerkał w bok, czy rwetes już obudził resztę. – Posłuchaj... – Złapał Annę w dwa silne uściski. Syknęła, ale nie obeszło go to. Nie chciał ryzykować wybuchu paniki. – Mam zamiar wrócić z tego cholernego kraju w jednym kawałku. Tobie też nic nie będzie, tylko się ucisz! – syknął, wpijając palce w ciało kobiety. – Mamy sygnały, że mogą nas zaatakować. Terrorysty, rozumiesz? – Potrzasnęła Quadirą. – Amerykanie będą budowali zaporę na ulicy, żeby jakiś szaleniec nie mógł wbić się tu ciężarówką pełną trotylu. Nie widzisz,

czemu tak spokojnie na dzielnicy? Bo miejscowi coś wiedzą i albo się ukryli, albo zwiali. I nikt cię, siostrzo, nie ostrzegł.

– Czemu by mieli...? – Nie pojęła.

– Bo tak mają. – Teraz Adam się irytował. – Jakbym gadał do pięciolatki. Jesteśmy w odwrocie, więc jak zdmuchną kilkoro z nas, myślą, że będą mieli chody u Allaha. – Ramię dźwigu ciężarówki zaczęło tłuc betonowymi szykanami o asfalt. – Musimy wytrzymać, póki nas wszystkich nie zabiorą. – Dźwięk piłowanego silnika na dalekim krańcu najbliższej prostopadłej ulicy przerwał Adamowi. Oboje popatrzyli w tamtą stronę. Nic nie było widać.

Wojsko na posterunku, Amerykanie – a może i miejscowa policja – wiedzieli, co się dzieje. Niespodziewanie zafurkotały długie serie karabinów maszynowych. W szkole po pierwszych strzałach podniósł się rwetes i tłumione krzyki wybudzonych strachem ludzi. Ulica pojaśniała pomarańczowym światłem pocisków smugowych. Hałas był dosłownie upiorny. Przeważnie w momentach erupcji lęku wydaje się, że wszystko trwa długo. W rzeczywistości jednak wszystko zajęło kilka sekund. Ostrzał nasilił się. Samochód pchał się dalej, choć kule gruchotały karoserię.

– Padnij – rozkazał Thomal i pociągnął dziewczynę na twardą posadzkę. Nie miał powodu, ale coś w środku podpowiedziało taki ruch. To coś się nie pomyliło. Na ulicy wyrósł słup ognia i dymu. Hałas wlał się w każdy zakątek ciała Adama i sprawił nieomal fizyczny ból. Budynek zatrzęsło. Podmuch wypchnął szyby, które rozleciały się w chmurze drobnych kawałków, zasypując obydwój. Budynek dudnił od wrzasków i klątw.

– Żyjesz? – spytał Thomal, ciągle przyciskając twarz Anny do siebie. Otrzeptał jej włosy z odłamków szkła. Sam krwawił z rąk, kilku zadrapań na czole i szyi, ale wiedział, że wielkiej krzywdy nie doznał.

– Tak. Puść! – Odepchnęła Polaka i nieporadnie wstała, ślizgając się na odłamkach i krwi. Pobiegła pchana paniką albo chęcią sprawdzenia, co z innymi.

– Nie, nie ma za co – wykrztusił Adam, siadając pod ścianą. Złapał porzuconą paczkę papierosów i zapalniczkę. Zapalił, usiłując opanować strach i bijące zbyt szybko serce. Nie powinien odczuwać wielkiego dyskomfortu, ćwiczył przecież takie sytuacje. Dźwignął się, wpatrując w pożar na ulicy i postacie krzątające się przy rannych na dole.

Pierwszy raz od dawna pomyślał o Matyldzie. Przez sekundę czuł wstyd, że wrócił do niej wspomnieniem dopiero teraz. Było mu głupio, że podrywał Czeczenkę. Musiał jednak okiełznać rzadki przyływ wyrzutów sumienia, aby skupić się na sobie.

– Pięknie – mruknął, ocierając stróżkę krwi z czoła. – Znowu to samo. – Cisnął papierosem za okno i pobiegł na dół. Do reszty.

ROZDZIAŁ 5

Krzywe drzwi piwnicy zaszurały po betonowej podłodze. W pomieszczeniu cuchnęło brudem. Snop światła czołówki prześlizgnął się po śmieciach wypełniających przestrzeń, by zatrzymać się na jedynym lokatorze. „Papa” siedział pod ścianą, osłaniając się od blasku. Zza poświaty widział tylko jedną sylwetkę. Zaraz pojawiła się jednak kolejna. Ukraińiec spał się i przywarł plecami do muru. Osłonił bolącą szczękę. Napiął mięśnie, ale nie zamykał oczu. Chciał wszystko widzieć. Każdy kolejny cios. Powinien był wstać, ale wiedział, że nie utrzyma się długo, a i tak zaraz wyląduje na podłodze.

– No! Zaczynacie?! – ryknął, zgrzytając z bezsilnej złości zębami.

– Zamknij się, skurwysynu! – Żołnierz z latarką odpowiedział łamanym angielskim. Druga sylwetka weszła w stożek światła. Człowiek kucnął, opierając się o kolbę karabinka AK. „Papa” rozpoznał niewyraźne oblicze Kamala Wardaniego.

– Dam ci spokój, tchórze. – Czuć było wstręt afgańskiego podoficera. – Chociaż powinienem ci jeszcze raz obić twarz.– Splunął w bok. – Nie chcesz opowiedzieć, czemuś spierdolił? Walić to. – Pokręcił głową. – Mam nowe pytanie. Czy chcesz tu zdechnąć? – „Papa” nie zrozumiał. – No, pytam! – Wardani pogrywał wstrętnie. – Zdechniesz tu albo nam pomożesz. Chciałeś, żebym obronił twoich ludzi i tę bandę wystraszonych belfrów, a sam co? Gdzie byś uciekł, idioto? Oni zaraz tu będą. Zamiast na Mita Sah idą tu – powiedział dobitnie. – Chcą nas odciąć, odciąć tę małą nitkę, która łączy nas z miastem.

Zamilkł. Wstał, przerywając niepokojącą opowieść, w najbardziej emocjonującym momencie.

– Od ciebie zależy, czy pomożesz nam, ale i sobie. – Sięgnął gdzieś w mrok i zaraz wyciągnął ramię, machając karabinem „Papy”. – Nie masz szans uciec. Już nie.

Jakby na dowód, że to, co mówi, nie jest pustą deklaracją, gdzieś nad stropem zadudniło echem rwących się pocisków. „Papa” zadarł oczy.

Nie namyślał się długo. Opierając się dłońmi o ściany, wstał z trudem, posykując. Rana na łydce, spowodowana rykoszetem ciężkiego pocisku, bolała. Po wściekłym przesłuchaniu, albo raczej zemście ludzi Wardaniego, nie wyglądał najlepiej. Siniaki na twarzy otrzymał jako dodatek do zadrapań od szkła i odłamków porwanej kulami karoserii auta.

– Trzeba było uciekać, kiedy była szansa. No dobra, cień szansy. – Ukraińiec jeszcze się stawiał, próbując przekonać strażników, że znaczy więcej niż w rzeczywistości.

– Nie pierdol... – Żołnierz Wardaniego nie wytrzymał. Podoficer tylko kwaśno się uśmiechnął i zapytał:

– Durniu, chciałeś się z nimi układać? Myślałeś, że to jacyś honorowi Indianie? – Krew zawrzała w Kamalu. – To bandyci, których prócz forsy nic nie obchodzi. – Znow splanął, nie chcąc bawić się w niepotrzebne dywagacje. Był inny niż zwyczajni Afgańczycy. Bardziej rozsądny, a może liberalny, i dużej mierze pozbawiony szacunku dla starych zwyczajów. – Byliście głupi, ale daję wam szansę. Tobie. – Potrząsnął bronią i dodał łagodnie: – I twoim ludziom.

„Papa” oddychał głęboko i pocierał twarz, w nerwowym odruchu. Wiedział, że nie ma pola manewru. Wyszarpnął karabin i złapał w obie dłonie, głaszcząc chwyt, jakby widział go pierwszy raz.

– Doskonale... – Wardiniemu jakby ulżyło. – Idziesz ze mną. Ale nie myśl, że nie będę cię obserwował. – Zrobił krok w przód i zamachnął pięścią przed samym nosem „Papy”. Mierzył rannego surowym spojrzeniem oszalałego mordercy, póki znowu coś nie wybuchło w pobliżu. – Idziemy!

Kiedy tylko wygramolili się z budynku szkoły, w słuchawce radiostacji zabrzmiały meldunki ludzi Kamala.

Zawiadomili o nieprzyjacielu, który parł na szkołę od wschodu, kryjąc się w rowach na pustych polach. Od pierwszych wzgórz do szkoły dzieliła napastników szeroka nieomal płaska równina. Meldunki schodzące z obserwacji przedpoła, ale przede wszystkim od „ptaków” dających o wiele większe możliwości wglądu w teren, mówiły, że inny

oddział usiłuje atakować z południowego zachodu. Od strony głównej bramy, gdzie pagórków i wąskich, płytkich dolin było więcej. Drony zlokalizowały kilka punktów ogniowych, moździerzy i dział bezodrzutowych, które nękały miasto i szkolną fortyfikację sporadycznym ogniem.

– Ruszą, jak tylko zrobi się jaśniej. – Kamal przysunął mikrofon bliżej ust. Trzymał się ściany muru, kontrolując co rusz, czy „Papa” grzecznie idzie za nim, albo zerkając na jaśniejące niebo. – Ci od wschodu to bluff. Ci od frontu to zagrożenie – ostrzegał ludzi, choć dobrze wiedzieli, jak przepatrzyć plan terrorystów.

– Słuchaj. – Klęknął zmęczony od noszenia ciężaru oporządzenia kilkanaście godzin bez przerwy. „Papa” zrobił to samo. – Nie wiem, z kim gadałeś. Ale może coś wiesz o tych talibach. – Był gotów skończyć z brutalnym nastawieniem i prosić. – Oni są naprawdę dobrze wyposażeni. Oni mogą nas oglądać, tak jak my ich. Znasz ich siły, środki? Powiedz cokolwiek. – Uznał naiwnie, że skoro najemnik zgodził się bić, zmięknie.

– Nic nie wiem – „Papa” rzucił hardo, niezainteresowany. – Co mamy robić? – zmienił temat.

– Kurwa, człowieku! – Wardani wybuchł po raz kolejny. – Nie mamy, jak im dokopać. Tu już prawie nie ma Amerykanów. Całego tego NATO! Nie dostaniemy wsparcia z powietrza. Na pewno nie teraz, nie nocą. – Złapał „Papę” za kołnierz bluzy i przyciągnął do siebie. – Rozumiesz, co do ciebie mówię, palancie? Nie będzie kawalerii. My nią jesteśmy. My i kilku miejscowych.

Ukrainiec odepchnął Afgańczyka, hamując wielką ochotę, by dać mu w twarz.

I on zapatrzył się w jaśniejące niebo.

– Mogliśmy wszyscy zwiać.– Znów popatrzył na Kamala. – Jeżeli chcesz, żebym coś powiedział – wycelował palcem – masz ściągnąć kawalerię. Mają nas wyciągnąć. Jeżeli coś wiem, powiem komuś bardziej cywilizowanemu niż ty! Teraz ty mnie rozumiesz, szuszfolu?

Nie ufam tobie ani nikomu z tamtej, ani z twojej strony. To za duży kaliber na ciebie.

– Pierdol się! – Wardani machnął ramionami, wściekły i zrezygnowany. – Marnuję czas. Zdychaj, jak chcesz. – Zostawił „Papę” samemu sobie, naprawdę rozsierdzony. Pierwszy raz od dawna zaczynał tracić pewność siebie. – Zabierzcie te ścierwa do szkoły – kazał jednemu z kaprali. – Niech pilnują cywilów. Trzymamy ich jako odwód, ale jak zaczną kombinować, to odstrzelcie im łby.

Wdrapał się na wieżę. Dwóch z jego ludzi usytuowało się tu z dalmierzem laserowym, którym mieliby nakierowywać artylerię.

– Wierzymy w cud? – przywitał się sarkastycznie, gdyż wiedział, że dużego wsparcia nie dostaną. Nie odpowiedzieli. Mieli pełną świadomość, że są tu tylko jako żołnierze Kandaku, którym przyjdzie strzelać do nieprzyjaciela.

Kamał usiadł pod ścianą na pokrzywionym krześle i rozpiął kamizelkę. Musiał złapać głębszy oddech. Polał twarz wodą z wężyka z bukłaka na plecach. Była ciepła, nieświeża i wstrętna. Musiała jednak wystarczyć.

Wardani przełączył częstotliwość w radiostacji.

– Czarny 1, tu Niebieski 1 – wywoływał sztab zgrupowania w mieście.

– Niebieski 1, tu Czarny 1. Co u ciebie? – Kapitan Rahmat czuwał przy radiu, jak zawsze kiedy przeczuwał walkę.

– Nic nowego. – Sierżant sztabowy nie owijał w bawełnę. – Najemnik czegoś się boi. To grubszy temat. Ale z kontekstu wyczułem, że w górach mają sprytnych facetów. To nie banda pastuchów.

– Rozumiem.

– Jesteś tam... Czarny 1? – Kamał przywołał go po niebezpiecznie długiej pauzie. – Jakies nowe, ale dobre wiadomości? – zapytał z ironią. – Pewnie nie?

– Może za dnia coś będzie.

– Inshallah – skwitował Wardani starym porzekadłem znaczącym „Gdy Bóg pozwoli”.

– Inshallah – powtórzył Yasim w radiu i ludzie Wardima obok poczuli, że toczona rozmowa nie przyniosła dobrych wieści.

– Ruszają się. – Obserwator wzdrygnął się, patrząc w nieduży płaski ekran. Jego mikrodron, helikopter z kamerką mniejszy niż paczka papierosów, wisiał przy niewielkim wzgórzu od strony drogi.

– Mamy chyba jednak jakieś atuty. – Kamal próbował podnosić morale. – Są, Czarny 1... Rzućcie okiem na szosę od strony szlaku na Gardez. – Zasugerował wysłanie większych bezzałogowców. – Taliban powinien zaraz.... – Nie dokończył, bo od wschodu spod gór dotarł stukot odległej salwy.

– Panowie, kryć się! – rzucił podoficer i wszyscy, nie tracąc czasu, polecili pod ściany. Terkot w chłodnym jeszcze powietrzu był krótki. Przeszedł w okropny hałas, kiedy cztery pociski zaczęły rwać się wzdłuż ogrodzenia. Kamal ledwo dosłyszał wystrzał drugiej salwy. Spadła w środek podwórza, wrywając leje i zasnuwając wszystko pyłem. Krótkie plaśnięcia pomieszane były z głuchym dźwiękiem eksplozji.

– Czarny 1! – Afgańczyk usiłował przekrzyczeć hałas. – Macie nas na obrazie. Nakryli nas. Tłuką salwami, żebyśmy nie podnieśli głowy.

Budowlą zatrzęsło. Strop zdawał się trzeszczeć i skrzypieć, kiedy w okolicę lupnęła trzecia salwa. Spod belki u wzmocnionego sufitu sypał się kurz. Trudno było oddychać.

– Trzymajcie się! – Yasim darł się w eterze. – Długo tak nie mogą. Skończy im się amunicja. – Wiedział wiele o wojowaniu w tym kraju. Miał rację; po wzgórzu przesunęły się wybuchy jeszcze dwóch nawał i ostrzał się urwał. Ostał się jakiś przedziwny syk, dźwięk sypiącego się piasku i kamieni i kilka sekund idealnej, cudownej ciszy. Jednak Wardani i każdy z jego ludzi wiedzieli, że radość nie będzie trwała długo.

– Meldować się. Co z wami? – rzucił w wewnętrzny kanał, z niepokojem czekając meldunków. Na czworakach dowlekł się do

szczeliny i spojrzął na podwórze. Był świadkiem cudu. Prawdziwego cudu. Pociski obtłukły kilka ścian budynków, wyrwały doły w piachu, ale oszczędziły szkołę i pojazdy jego drużyny. Ludzie zgłaszali się kolejno, udając, że dziarsko się trzymają.

– Kaszim dostał w rękę. – Dotarła gorsza nowina. Wardani spostrzegł, jak jego medyk wielkimi susami (choć objuczony sprzętem) biegnie środkiem placu na pozycję rannego.

Kamal dyszał. Kręciło mu się w głowie.

– Czarny 1! – Znow wywoływał centralę. – Zaraz zaczną nas podchodzić. Co na nich mamy?

– Sierzancie – twarde i spokojne słowo Rahmata, przywracało zmysły. Choć był młodszym kolegą z kursu w Stanach, okazał się urodzonym dowódcą. – Kontrolujemy sytuację. – Mogło to zabrzmieć jak dowcip, ale Wardani ufał kapitanowi. Z kierunku Mita Sah dobiegł ich świst. Był bardziej donośny niż to, co przed momentem spadało na obiekt.

– Artyleria, artyleria – zawył jeden z obserwatorów, wciskając oczy w dalmierz. – Zostało im jeszcze kilka pocisków. – Cieszył się jak dziecko.

– Nie – poprawił go Wardani. Generał czekał, aż tamci odsłonią pozycje. Odczuł nawet wzruszenie z powodu przenikliwości starego Maluwiego, któremu podlegał on i cały tutejszy Kandak.

Na wschodzie błyskało od żółtych kul ognia, wykwitających i gasnących zaraz. Ziemia mruczała i trzęsła się, a wiatr niósł huk.

Z kilku posterunków przyleciały wiwaty i przekleństwa. Potem coś grzmotnęło mocniej i pod górami wyrósł grzyb ognia. Wśród obrońców przetoczyła się kolejna fala radości. Ale odwet był krótki. „Już po wszystkim” – Kamal usiłował się pocieszać.

Wszystko trwało w zawieszeniu jakieś pięć minut, kiedy na szkołę znow zaczęły spadać granaty moździerzowe. Spadały od strony drogi, rzadziej i mniej celnie. Uderzały poza murem, czasem w podwórze.

– Nękają nas, nękają... – Sierżant był pewien, że to początek prawdziwych kłopotów. – Pójdą za wałem ogniowym. Dobrzy są, naprawdę dobrzy.

– Mam ruch! – Kamal rozpoznał w słuchawkach głos snajpera, który zajmował pozycję na ostatnim piętrze szkoły i nie uciekł, nawet mimo ostrzału. – Dwa, dwa i pół tysiąca metrów – opisywał. – Na północny zachód. Wzgórze i stary dom.

Wardani szturchnął operatora, by przesunął drona w tamten rejon. W kilka minut, które wydawały się niemożliwie długie, na ekraniku pojawiły się białe cętki oznaczające ciepło ludzkiego ciała.

– Trzydziestu. Moździerze i piechota. Samochody. – Chłopak od „ptaka” opisywał to, co dowódca doskonale widział.

– Czarny 1, tu Niebieski 1. Mamy gości. Idą do nas. Poradzicie coś na to? – Pytanie padło w próżnię martwego eteru. – Czarny 1! – powtórzył ostrzej komandos.

– Niebieski 1... – Za Yasima odpowiedział jego łącznościowiec. – Gości jest więcej. Obchodzą łukiem. Kilka grup, również po południowej stronie drogi, tylko trzy kilometry od was. Postaramy się przekazać obraz.

– Jest... Mam. – Chłopak przy tablecie wcisnął wyświetlającą się ikonę na ekranie. Kamal wyrwał mu urządzenie i z niedowierzaniem przysunął do twarzy. Na ogólnym obrazie pagórkowatej kamienistej okolicy widać było rzeczywiście kilka zespołów wroga. Rozkładali się na długiej linii, ale podzieleni na mniejsze pododdziały.

– Skurwysyny! – wyrwało się komandosowi.

– Nie rozwalą ich – powiedział to, co powinien zostawić dla siebie.

– Jak to? – Chłopak obok nie zrozumiał.

– Skurwiele dzielą się. Wiedzą, że mamy kłopoty z amunicją. – Głowa Kamala zaczęła nachodzić bólem. – Kapitan musi zdecydować. Bo kiedy tamci ruszą, to wtedy będzie przejebane.

Od Mita Sah znów zamruczała złowrogo artyleria. Łoskot pocisków zagrział ponad szkołą i drogą. Nie było ich wiele, za to były dobrze celowane. Padały blisko, niecałe dwa kilometry; ponad wzgórzami wyrosły strzępiaste biało-żółte obłoczki.

– Przynajmniej ich odstraszą – uznał Wardani.

– Niebieski 1, chyba coś się rusza. – Sztab wlewał mu w umysł hiobowe wieści. – Pozostali jadą do was. Trzymajcie się. Będą za kilka minut.

Od wschodu zaczęła się nieśmiała pukanina. W blasku przedświtu widać było czasem krótkie błyski wystrzałów. Prócz hałasu i tych ogników niewiele można było dostrzec.

– Do wszystkich! – nadawał sierżant. – Atak przyjdzie od południa. Ignorujcie tych fiutów na polu. Próbują nas wkurzyć. Szkoda na nich amunicji. – Nie miał ochoty ani pomysłu na przemówienie i wielkie słowa. Walka na śmierć i życie była normalnością w jego ukochanym zawodzie.

– Panowie... Trzymajcie się i ostrzegajcie, gdyby coś się zmieniło. – Wyciągnął broń. Odpiął magazynek AKMS-a i sprawdził zawartość. – Idę na południową ścianę.

Wraz ze wschodzącym słońcem po okolicy zaczęły krążyć czerwone punkty i linie smugowych pocisków. Wszystko w miarkowanym, metalicznym trzasku broni. Ręczne karabiny maszynowe „rządowych” Afgańczyków i cięższa broń omiatały każdy pojawiający się cel w ich zasięgu. Grupy napastników wyrastały na horyzoncie, raz z prawej, raz z lewej, usiłując przyciągać uwagę i mylić obrońców.

Talibów nigdy nie było wielu. Usiłowali ściągać ogień i utrudniać ocenę kierunku, a przede wszystkim zmusić ludzi Kandaku, by marnowali amunicję. Drony nie były już wyzwaniem. Mogły tylko przekazywać obraz, ale nie pomagały. Artyleria milczała, czekając na główny szturm, który winien spaść na miasto i tych kilkuset przerażonych mieszkańców, którzy wierzyli, że siły rządowe obronią dystrykt.

Palba obrony uspokajała się, cichła i znów narastała, kiedy wróg pojawiał się na pick-upach. Wypuszczane z bliska pociski moździerzowe zaczęły wstrzeliwać się w obiekt. Kandak wreszcie zamilkł na rozkaz sierżanta Wardaniego, by tamci uznali, że zyskali przewagę.

Kamał walczył długie lata i znał charaktery polowych dowódców. Swoich współrodaków albo przybyszów zza granicy. Zapalczywych, słanych na pierwszą linię, aby się wykazali. Chcących zyskiwać sławę. Krótka chwila oddechu, jaką zarządził komandos, odebrana została jak dar niebios. Wzdłuż szosy ruszyło kilka grup. Były szkolone, znały się na taktyce, ale przeceniły swoje umiejętności.

– Pospieszili się. – Wardani wykrzywił usta w uśmiechu. – Nie strzelać bez mojego rozkazu. – Komandosi słuchali, jak na elitę przystało. Wiedzieli, że mają coś jeszcze w zanadrzu: własną małą artylerię.

– Działaj. Niech się bawią. – Wardani wydał rozkaz do mikrofonu i machnął na człowieka przy czymś zakrytym płachtą po środku podwórza. Czymś, co dowódca kazał wynieść z Humvee w ostatniej chwili, by drony nie ostrzegły przeciwnika.

Kamał wziął lornetkę i, jak potrafił, zaczął wyliczać odległość, jaka dzieliła tę unurzaną w kurzu grupę od jego stanowiska.

– Dwa pięćset... – ocenił. – Strzelaj, kiedy będziesz gotowy.

Ci w dole odsłoniли oręż. Automatyczny granatnik Mk19. Jak powiększony karabin maszynowy, na solidnym trójnogu, który mógł seriami posyłać ładunki kalibru 40 milimetrów. Celowniczy podniósł wysoko lufę i zaparł się nogami o podstawę. Wcisnął spust a granatnik zaczął miarowo i głuchawo stukać. Z jego lufy w białym dymie zaczęły wylatywać pociski. Szły szybko. Najpierw trzy, cztery na próbę. Wardani czekał zniecierpliwiony. Reszta podobnie.

Wiatr rozniósł granaty, które rozsypały się szeroko i zbyt daleko przed atakującymi. Ale zaskoczyły ich i spowolniły.

– Poprawka. – Wardani zaczął wprowadzać korektę. Zaciskał dłonie na lornetce tak mocno, że czuł, jak w rękawiczkach trzeszczą kości.

Celowniczy zmienił elewację broni i tym razem poprawił solidnie. Granatnik zasyczał, rozgrzany. Wardani patrzył, jak granaty skupiają się w jednym niemal miejscu, rozpraszając wroga. Ludzie zaczęli pierzchać, przeganiani odłamkami i hukami. Sierżant chciałby wiedzieć, ilu dostało i przestało zagrażać jego ludziom. Ale nie miał czasu sprawdzać obrazu drona, nie miał też ochoty. Zbyt wielką miał przyjemność i satysfakcję ze strzelania. Kolejna seria rozerwała się nad tyralierą. Jęzor ognia wyrósł ponad pustynią, znacząc miejsce trafienia samochodu. Rozniósł się czarny dym i atak rozsypywał się.

– W dziesiątkę! – Wardani uniósł dłonie i zaklaskał. – A teraz spieprzać. Już pewnie szukają naszej tajnej broni. – Starał się wypatrzeć wrogi drona.

– Cofają się, wszyscy się cofają. – Operator małego zwiadowcy cieszył się, jakby już było po wszystkim. Grupy szturmowe odchodziły, co raz tylko strzelając z wyrzutni granatów przeciwpancernych RPG, ale chyba tylko na postrach i z bezsilności.

– Tak łatwo się nie wykurza Kandaku. – Wardim roześmiał się. Komandosi podchwycili entuzjazm, choć każdy był świadom, że to wszystko na wyrost. – Czarny 1, odparliśmy ich. – Siadł ociężale na ziemi i skrzyżował nogi. Miał dość, potrzebował snu. Przymknął oczy. A kiedy je otworzył, ujrzał przyglądającego się mu „Papę”. Ukraińiec był spokojniejszy i zdradzał coś na kształt niewypowiedzianego szacunku wobec Afgańczyka. Kiwnął głową, ruszył na swoje stanowisko.

Dym z dogasającego wozu-pułapki płożył się pomiędzy ludźmi, budynkami, wdzierał do wnętrza. Wypełnił ulicę, posterunki wojska i policji. Osnuwał ruchliwych mundurowych, wyczekujących z lękiem ciągu dalszego.

Dym dodawał scenerii obrzydliwej wymowy. Nikt nie gasił pożaru. Uznano to za niepotrzebne. W mieście, w którym od kilku lat regularnie

dochodziło do o wiele poważniejszych wypadków, taki atak był czymś pospolitym.

Na ulicy przed szkołą zatrzymały się opancerzone wozy ewakuacyjne, które zabierały kilku rannych Amerykanów. Afgańska policja zatamowała ruch, stawiając blokady na zaułkach wokoło. Tyle tylko że wystraszeni wybuchem mieszkańcy nie pałali chęcią wychodzenia poza swoje domy. Nad dzielnicą amerykański blackhawk kreślił szerokie kręgi i wyszukiwał podejrzanych.

Adam Thomał skończył opatrywać rany kilku nauczycieli. Nie były poważne, prawie nikt nie doznał większego uszczerbku, ale sam fakt ataku zniszczył resztki pewności u szkolnej kadry. Bardziej się bali, niż cierpieli fizycznie. Tłoczyli się w korytarzu, ubrani w wydawane im obowiązkowo po przyjeździe do Afganistanu krótkie kamizelki i granatowe hełmy z kevlaru. Mówili dużo, próbowali się kłócić ze Stenblockiem i Jerzmanowskim, oskarżając o ten wypadek. Inni zaś pograżyli się w zupełnej apatii.

Anna Linberg krążyła pomiędzy kolegami. Znow się wyróżniała. Była opanowana, skupiona i grała silniejszą, niż była naprawdę. Zadziwiała Adama zmiennością nastroju. Przed chwilą wredna, zaraz potem ociekająca czułością, teraz była jak wódz między wojskiem w okopach. Pochylała się na koleżeństwie, pocieszała, zagadywała albo tylko podawała wodę lub chustki.

– Taliby wkurwieni. – Głos „Monsignore” pozbawił Adama przyjemności podglądania pani dyrektor. Komandos Formozy był błądy, niewyspany i buchał dymem camela, którego trzymał w kąciku ust. Odciągnął Thomalę na bok. – Jak się ogarną, to uderzą jeszcze raz – szepnął, patrząc mu w oczy z niepokojem.

– Chyba ich pojebało. – Adam otarł zakrwawione dłonie w jakąś szmatę. – Tacy jesteśmy dla nich ważni? – Usiłował ułożyć sobie wszystko logicznie. – Zaryzykują ujawnienie struktur? Po co? – Zwykła logika wojny zawodziła go.

– Nie wiem, czy to chodzi o nas. – Kamil stał się drażniąco tajemniczy. – Chcą dopaść nas albo uciszyć kogoś w fundacji.

- Czyli Balil Dar jest wtyką. Ktoś się go boi – uznał Adam.
- Ale chuj wie. Ktoś na nas patrzy, donosi, bo nie wierzę, że szuszfol wysłał jakiś greps. Bo jak? Ale zamiast go ratować, postanowili... Sam nie wiem. – Przetarł twarz dłońmi. Potrzeba mu było regeneracyjnego snu. Zbyt wiele myślał, przeżywał temat.
- Zabiorą go do więzienia w Bagram – dodał szeptem Adam, dzieląc się najnowszą nowiną.
- No ja, kurwa, myślę – obruszył się „Monsignore”. – Niech tam z nim zatańczą i wyśpiewa, co wie. Bo o to tu chodzi. O tego fiuta albo kogokolwiek, kto maczał w tym palce. Ten atak miał zatrzeć ślady, ale spierdolili.
- Tak sądzisz? – Thomal z przekory nie dowierzał
- Właśnie tak, kurwa, sądzę. – Sięgnął po kolejnego papierosa. Wydawał się przejęty i rozdrażniony. – Wdepnęliśmy. – Adam skrzywił wargi, patrząc na wystraszoną tłuszcę, jaką stanowili teraz pracownicy szkoły.
- Wyglądają jak armia spod Stalingradu – wyrwało mu się zabawne w jego ocenie, acz nieuprzejme porównanie.
- Aha, żebyś wiedział. – „Monsignore” podzielał jego pesymizm. – Ale trzeba uważać. Są jak łachudry, ale to wszystko zmyłka. Mieliśmy tak myśleć, a co się robi...
- Syf. – Thomal pogładził brodę. – Ten nasz Marek coś wiedział?
- Tak. – Kamil był pewien swego. – Nie tyle wiedział, co przekazał naszym, a oni nie powiedzieli prawdy. Przez to ta cała wyprawa.
- W rozbitych drzwiach hallu pojawił się pułkownik Kłodziński. Drugi Polak, człowiek, który koordynował przyjazd z lotniska, został na zewnątrz przyklejony do telefonu i zawzięcie palił papierosa.
- Proszę o uwagę! – Stefan krzyknął gromko po angielsku. Stanął na szczycie schodów i złapał się pod boki. – Zarządzamy ewakuację. Będą państwo wywiezieni do centrum, do zielonej strefy. Tam poczekają na loty do Europy. Strona polska oraz amerykańska organizują transport

oraz eskortę. Nie potrwa to dłużej niż godzinę. Proszę się spakować. Tylko najbardziej potrzebne rzeczy. Pozostawiamy obiekt – zakończył, spodziewając się protestów, ale nikt nie oponował. Zebrani kiwali głowami. Nieśmiało zaczęli dźwigać się z posłań i ruszać do pokojów.

– Dziękuję za współpracę – skwitował nieco zaskoczony Polak. Przywołał Stenblocka, majora GROM-u, panią Woit i Thomalę.

– Balila wywozą teraz – obwieścił bez wstępów. – Tu jest zbyt niebezpiecznie. Wyprowadzicie go tylnym wejściem. Dacie jankesom. Wiedzą, co i jak – rozporządzał komandosami. – Potem szybko wracajcie. Polacy i Amerykanie z nim porozmawiają. – Miało to zabrzmieć ogólnie i obojętnie, ale Thomal wychwytał u Stenblocka nutkę satysfakcji. „W pizdu z legendą” – pomyślał, sam ciągle z zatroskaną miną. Szwed rozumiał, że możliwości Stefana sięgają o wiele dalej aniżeli jego oficjalne tytuły.

– Później ruszamy dalej – wykrztusił pułkownik.

– Do Chostu.

– Kurwa... Po co? – wysnęło się Adamowi. Przecież obiecywał Matyldzie, że nie będzie ryzykował, że to tylko rutynowy wyjazd. Dawno przestał takim być, ale wizja dalszej eskalacji po prostu wyprowadzała Thomalę z równowagi.

– Musimy, takie jest nasze zadanie – stwierdziła Aurelia z marsową miną, niezadowolona, że nowicjusz stawia się w obliczu obcokrajowca.

– Proszę dysponować moimi ludźmi i mną. – Stenblock nie był zadowolony, ale nie narzekał.

– Dziękuję. – Kłodziński vel Jerzmanowski zgromił Adama wzrokiem. – Wywozą nas na lotnisko. Amerykanie i PKW szukają jakiegokolwiek transportu.

– Jadę oczywiście z wami. – Anna Linberg wepchnęła się w krąg wtajemniczenia, rozpychając łokciami, jakby była tu najważniejsza. – Jadę z wami – powtórzyła oschle i nieprzyjemnie.

– Przepraszam... – Woit usiłowała być opanowana i powściągliwa, lecz szło jej to z trudem. – Jak to sobie wyobrażasz? – Przeszła na ty.

– Zwyczajnie. – Linberg nie dawała się zagonić do narożnika. – Przypilnuję wyjazdu tej grupy. – Pokazała na tłum pod ścianami. – A potem upewnię się, że reszta moich pracowników jest bezpieczna.

– Dziecino... – Aurelii przeszła ochota na okrągłe słówka. – Tam trwa bitwa. To nie wyjazd na wspinaczkę po górach albo rozdawanie pluszowych misiów. To jest wojna.

– Wiem, kochana... – Anna odpowiedziała kąśliwie, opuszczając dłonie i mimowolnie zaciskając je w pięści. – Jestem na tej wojnie ładnych parę lat i znam ten kraj!

Między paniami zaczynało iskrzyć.

– Nie mogę się zgodzić. – Kłodziński był uprzejmy i stanowczy, dla załagodzenia napięcia. – To naprawdę niebezpieczne.

– Życie tutaj było i jest niebezpieczne! – Linberg straciła opanowanie. – Nie zostawię swoich. Jedna placówka przestała istnieć. – Jej oczy naszły niespodziewanie łzami. – Z dnia na dzień wszyscy uciekli. Nawet nie wiem, czy to prawda. Gdzie mam szukać tych ludzi? Byłam za nich odpowiedzialna. – Z trudem hamowała szloch. Moment zajęło jej opanowanie drgającej z emocji wargi. – A wy teraz zabronicie mi dopilnować ewakuacji tych kilku osób, które zostały? Jak ja będę wyglądała? Jak tchórz. Jak zdrajca. – Wydawało się, że na chwilę ucichło wszystko wokoło. Gderający nauczyciele, hałas na ulicy i polsko-szwedzki zespół.

– Pani wiele przeżyła. – Poruszony Adam sam przejął rolę rozjemcy. – Lepiej będzie, jak poczeka pani w Kabulu. – Wskazał palcem na podłogę. – My się wszystkim zajmujemy.

– Zajmiecie – prychnęła Anna, gromiąc Polaka spojrzeniem. – Nie potrafiliście zapewnić nam bezpieczeństwa. Znaleźć... Właśnie, kogo? Szpiega talibów? Kim do cholery jest Balil Dar? Wiem, byłam głupia. – Otarła oczy. – Powinnam być bardziej uważna. Ale zakochałam się – wyznała z wysiłkiem. – Nie dostrzegłam sygnałów, ale to nie była moja

rola. – Machnęła w złości pięścią. – Miałam pomagać dzieciakom. Thomal podsunął butelkę wody, którą miał w kieszeni, ale Anna odmówiła.

– Teraz w Mita Sah rozgrywa się dramat – oświadczyła nazbyt ceremonialnie. – Muszę tam być. Muszę być pewna, że uratujemy wszystkich. Pan musi to zrozumieć. – Uniosła swoje duże śliczne oczy na Stenblocka, który słuchał zakłopotany.

– To ryzyko – powiedział, ale miękko.

– Ocieramy się o skandal. – Linberg oznajmiła bardzo wolno i poważnie. Zmieniła taktykę. Z osobistej przeskoczyła do zagrywki politycznej. – Pracownicy fundacji porzuceni przez dyrektorkę? Jak to będzie wyglądać? W Szwecji? W Polsce? – Zawiesiła w powietrzu trwożące wszystkich pytanie. – Media nie dadzą nam spokoju. – Surowo określała grożące konsekwencje.

– To jest argument. – Thomal zadziwił samego siebie wygłoszoną opinią. Linberg nagrodziła go krótkim, ciepłym spojrzeniem wdzięcznych oczu. Uśmiechnął się tak wyróżniony.

– To szybka akcja. – Anna nie odpuszczała, widząc, że wzbudziła refleksję u reszty. Prawie całej. Tylko „Monsignore” lustrował ją spod przymkniętych powiek, puszczając kłęby dymu.

– Tam nie ma ich wielu. Zabierzemy i wracamy do Kabulu, a potem róbcie ze mną, co chcecie – godziła się na ewentualną karę.

– To nie działa ot tak – uznał Kamil.

– Ale można spróbować. Jeżeli nie chcemy medialnego skandalu... – Teraz już ewidentnie groziła przeciekami ze swojej strony lub któregoś z pracowników. Adam powiódł oczami po zbieraniu belfrów. Przyjął za pewne, że w tym rozgardiaszu któryś z nich dostał zadanie specjalne od Anny. Być może też pani dyrektor miała taki plan od dawna przygotowany. Mały przeciek, który ściągnąłby na ekipę huragan krytyki.

Jerzmanowski rzucał pytające spojrzenia Stenblockowi. Również musieli pojmować, co znaczą te aluzje. W obliczu ewakuacji zachodnich

sił i instytucji, o której wiedziała garstka wybrańców, skandal byłby poważny. Niejeden dziennikarz dałby wiele za mocny temat o ucieczce, podejrzanym pracowniku szkoły, którego nie prześwietlono dostatecznie. Do tego dochodziłyby nazwiska przybyłych kontrolerów, sprawa zamachu na pracowników. I nawet jeżeli dane były fałszywe, kłopot mógłby być wielki.

– Musimy się nad tym zastanowić. – Stenblock odezwał się pierwszy. Oddał jednoznaczną decyzję, ale chyba nie miał wyjścia.

– Z całym szacunkiem... – przerwał oburzony „Monsignore”. – To akcja wojskowa. Pani dyrektor jest nam niepotrzebna. Za wiele jest do zrobienia, by martwić się o cywila.

– Sama martwię się o siebie – zaprotestowała Anna, dając sygnał, że Kamil będzie od teraz jej wrogiem. – Poza tym mnie znają na tamtym terenie. Mogę wyprosić wsparcie. Jednak coś zawdzięczają fundacji.

– Zawdzięczają. – Kamil udał rozbawionego. – Stratę kilku dzieciaków, których zgubiliście? – zapytał złośliwie.

– Jak pan śmie! – Anna prawie skoczyła do niego.

– Poruczniku! – Kłodziński próbował upominać.

W hallu na potłuczonym szkle zaszurały kroki pana Makielnickiego.

– Transport będzie za kwadrans – ogłosił po angielsku. Ludzie jak na rozkaz zaczęli wstawać z podłogi. Nawoływania rozniosły się po budynku i z wyższych pięter zaczęli zbiegać inni. Spoceni, objuczeni mizernym dobytkiem, ale chyba zadowoleni z ewakuacji. Polski dyplomata podszedł bliżej.

– Co do transportu na wschód... Będzie samolot. Śmigłowcami trudno jest przelecieć do Chostu. Za wysokie góry. Maszyna to czarter. Nic więcej nie da się zorganizować – tłumaczył zawstydzony. – Na miejscu trzeba szukać szczęścia u prywatnych firm albo armii afgańskiej. Przez strefę walk nie wywieziemy tych ludzi autobusami.

– I co? – „Monsignore” skinął na Annę. – Takie to proste.

– Proszę poruszyć niebo i ziemię. Koszty nie powinny grać roli – zapewniła, raczej na wyrost. – Wiedzieliście, że trzeba ich wywieźć.

– Spokojnie, spokojnie. – Kłodzińskiemu ból zaczynał pulsować pod czaszką. – Najpierw więzień. Potem personel tej placówki. Jak będziemy na lotnisku, zobaczymy, co da się zrobić.

Pstryknął palcami na Mariusza. Ten zabrał dwóch ludzi i przeciskając się przez tłum, ruszył po Balila.

– Więc postanowione. Pani dyrektor jedzie z nami? – Oficer zaczął szukać paczki cameli, by zapalić po raz trzeci w ciągu kilku drażniących minut.

– Uspokój się – szepnął Adam.

– Bo co? – „Monsignore” miał wszystko gdzieś. – Odeślą mnie do domu? – Spojrzał na Annę z odrazą i odwrócił się.

– Gdzie idziesz? – Woit zapytała, obruszona popisem niesubordynacji, choć jej też nie podobało się, jak traktuje ich Linberg.

– Szykować wyjazd. – Kamil odbąknął, nie odwracając się. – Trzeba sprawdzić teren. Lądowiska, ewentualne miejsca zasadzek...

– Ok, za piętnaście minut zbieramy się przy wejściu. – Kłodziński spojrzał na zegarek i krzyknął do wszystkich.

Adam podreptał po swoje rzeczy, nie spuszczając spojrzenia z Anny. Imponowała mu po raz kolejny. Intrygowała. Nęciła w tym uporze, a nawet podniecała. Kiedy zebrał swój majdan, upychając, jak leci, wszystko w plecaku, wyszedł na korytarz. Przystanął w drzwiach, wychwytyjąc, jak Linberg oparta o ścianę patrzy w pustą część hallu. Tam, gdzie miał pojawić się Balil. Czekająca. Chciała go zobaczyć, a może coś powiedzieć.

Kiedy więzień pojawił się w obstawie uzbrojonych osiłków, wyprężyła się. Przejęta wpatrywała się, w bezruchu. Dar stanął. Kilka sekund wydawało się, że rozmawiają ze sobą za pomocą telepatii. Balil niemrawo się uśmiechnął, spuścił wzrok, kiedy major GROM-u pchnął w kierunku wyjścia.

– Słabo, nie... – Agata patrzyła Adamowi zza ramienia.

– Słabo, słabo... – powtórzył, wzdychając. Linberg obróciła się, wylapując uwagę Thomali. Wzdrygnęła się zaskoczona, że ktoś na nią patrzy. Albo tak się tylko zdawało chłopakowi. Jednego był pewien: ujrzał w jej oczach ślad triumfu. Sukcesu, który był tylko jej i którym nie chciała się dzielić. Wychwyciła jego spojrzenie i zaraz ruszyła na piętro do swojego pokoju.

Bitwa trwała, przeradzając się w serie lokalnych uderzeń i odskoków. Jednostki „pułkownika Ahmeda” i jego sojuszników nie potrafiły wedrzeć się w mury Mita Sah, ani też przejąć budynku zachodniej szkoły. To frustrowało. Zwłaszcza że Ahmed był pewien swojej przewagi liczebnej, ale też technicznej, zapewnianej przez „doradców”.

W dolinę, gdzie ulokowano punkt dowodzenia, spływały co rusz zdezelowane auta wiozące albo rannych, albo ciała i nieliczną broń. Poległych zawijano w sukno i grzebano w dołach tak szybko, jak tylko się dało. Wyposażenie się nie marnowało.

Ciągle mieli do dyspozycji ochotników, którzy przybyli z serca prowincji. Nadchodzili również z Pakistanu, nęceni chwałą wojowników oraz sporym żołdem. Ahmed i jego sfanatyzowani imamowie co rusz wykrzykiwali bojowe przemowy, wyznaczając kierunek wymarszu ku rychłemu (jak obiecywali) zwycięstwu. Tylko dzięki sprawnemu ukrywaniu efektów niepowodzeń „nowi” wierzyli płomiennie w ostateczne zwycięstwo.

Jedynie ich wódz, miejscowy komendant, popadał w coraz większą chandrę. Miotał się po namiocie, wsłuchując w rozmowy swoich podwładnych w radiostacji. Wykrzykiwał rozkazy, rozkazywał zdecydowany i nieustanny nacisk na „rządowych”.

Obrazy dostarczane przed dwójkę „doradców” rozłożonych ze swoim sprzętem na niewiele mu się zdawały. Najlepszej jakości szaro-biały widok na monitorze mówił o kolejnych klęskach grup bojowych. Ahmed znał zdolności dowódcy obrony niewielkiego Mita Sah. Jak donosiło mu

rozpoznanie, był nim wiekowy Ulfat Maluvi, weteran zmagania z armią ludową, którą porzucili sowieci. Potem trudził się, wojując z talibami. Za młodu zaś, jako zwykły mudżahedin, walczył z najeźdźcami z północy.

„Pułkownik Ahmed” nie podejrzewał, że siwogłowy oficer będzie miał jeszcze tyle krzepy i rozumu, by stawiać opór. Był w tym cały czas dobry. Rozważnie dzielił i używał dostępnych mu oddziałów i zapasów amunicji.

Jego postawa zyskiwała mu szacunek ludności i władz prowincji, które ciągle trwały w uporze i gotowe były stawiać go dalej albo, kto wie, przejść do ofensywy. O nasilającej się stanowczości wojsk rządowych świadczyły obrazy, jakie Ahmed widział z perspektywy dronów. Dwie tłokowe, jednosilnikowe maszyny (zdawałoby się zbyt archaiczne na współczesne wojny) przemknęły nad centrum Mita Sah. Te szybkie, zwinne płatowce, uzbrojone w karabiny maszynowe i wyrzutnie rakiet mogły z łatwością paraliżować ruchy oddziałów Ahmeda.

– Ale skąd? – Wyrzucił ramionami w powietrze, nachylając się nad ekranem.

– Długo się bronią. Wyprosilili u swoich wsparcie – stwierdził Czeczen przy komputerze.

– Jeżeli ich nie złamiemy... nie złamiecie, okrzepną i Kabul wyśle tu kogo się da.

„Pułkownik” wydał z siebie niewyraźny potok pasztuńskich przekleństw. Nienawidził tak daleko posuniętej impertynencji, zwłaszcza przy ludziach z jego sztabu.

– Złamiemy ich. Zniszczymy! – Przeszedł na łamany rosyjski. – Mielicie nam pomoc. A teraz ta cała technika... – Klepnął w monitor jak w popsuty telewizor. – Umiecie robić biznesy i zabierać młodych do siebie za nędzne drobniaki. Ale ja potrzebuję broni, nowoczesnej broni. Teraz!

– Potrzebujecie zgody – odszczeknął doradca. – Gdybyś podporządkował się mulle Ahundzahedowi...

– To wy i wasi szefowie – pułkownik cedził słowa, zaciskając szczęki – mieliście gwarantować mi niezależność od talibanu. Bycie równorzędnym wobec nich, żeby zaprosili do rządu, ale bez tych wszystkich fanatyzmów.

– Więc zdobądź miasto. – Bezcelny Czeczen stracił nagle zainteresowanie brodaczem.

– Jak śmiesz... – Ahmed dyszał, pocąc się pod pakolem. Upuścił radiostację, złapał za swój karabinek i zamachnął się, gotowy trzasnąć impertynenta.

– Nie radzę... – Kompan operatora podskoczył z miejsca, trzymając pistolet na wysokości nosa Afgańczyka. Obstawa Ahmeda podniosła w krzykach swoje kałasznikowy. Komendant zawahał się i zamarł jak porażony. Nigdy wcześniej nie spotkał się z oporem tych, którzy byli mu powierzeni jako pomoc.

– Nie wiesz, co robisz, chłopcze – syczał, opuszczając jednak broń. Kiwnął na swoich, żeby też odpuścili.

– Wiem, wiem. – Młodzieniec był pewny swego. Nie opuścił pistoletu.

„Pułkownik” nabrał powietrza i niezadowolony powolnie zawiesił karabinek z powrotem na ramię. Musiał przełknąć zniewagę, ku konfuzji jego przybocznych.

– Nie powinno się tak traktować się gości! – zakrzyknął z udawaną beztroską. Dwaj doradcy popatrzyli po sobie, jakby mieli do czynienia z szaleńcem.

Operator drona nagle spał się cały i pochylił nad ekranem. Wykonał ruch dżojstikiem na panelu. Ahmed zdążył tylko ujrzeć rozmytą, ciemną sylwetkę samolotu w soczewce bezzałogowca. Za ułamek sekundy coś zniekształciło obraz. Ten zaczął śnieżyć i wreszcie zniknął.

– Kurwa! – Czeczen złapał się za głowę.

– Co... co to znaczy? – Komendant wskazał lufą broni na monitor. Był wystraszony i niepewny.

– Rządowi zestrzelili drona – wyjaśnił operator. – To znaczy, że wiedzieli o nas. Szukali i znaleźli. A może to przypadek? Musimy skontaktować się z „Kapitanem Mazarem” – powiedział ponuro, rozumiejąc, że szef nie będzie zadowolony. Tym bardziej, że będzie musiał o tym meldować górze, która od pewnego czasu nie wystawiała jego misji najwyższych ocen.

Żołnierz sięgnął po spory telefon satelitarny z wbudowanym systemem kodowania. Zaczął wybierać numer, kiedy aparat zadzwonił. Chłopak zamarł. Zbyt długo pracował na tajnych frontach, by nie zrozumieć, że zaszło właśnie coś niespotykanego. Wystraszony odebrał połączenie.

– Słucham – rzucił oschle w mikrofon. Twarz poddała się napięciu po pierwszych słowach, które usłyszał. Chłonał je bardzo uważnie i potulnie. Prawa dłoń ostrożnie wspinała się po udzie ku kaburze. Na polecenie dzwoniącego Czeczen oddał telefon Afgańczykowi. Zrobił to drżącą dłonią, szukając ratunku u kolegi. Ahmed wyczuwał ten nagły przyływ niepokojącego napięcia. Też się bał.

– Tak? – syknął nieśmiało. Słuchał spokojnego głosu człowieka po drugiej stronie, który przedstawił się, potem opisał „pułkownika Ahmeda”, jego doradców i wszystko, czym zajmowali się od wielu, wielu miesięcy. Był świetnie poinformowany. Z wypowiedzi wyzierało, że jest kimś ważnym. Nadrzędny nad tymi chłystkami z Kaukazu. Mógł ingerować w ich pracę, dowiadywać się o postępach o każdej porze. Dysponował niemal boską mocą, której niestraszne były zabezpieczenia łączności i cała nowoczesność, o której skuteczności zapewniał „Kapitan Mazar”.

Najlepsze przyszło na koniec. Jedno surowe, krótkie polecenie. Ahmed podniósł usatysfakcjonowany głowę. Uśmiechnął się, bacząc na doradców przez na wpół zamknięte powieki.

Odsunął telefon od głowy. Stojący naprzeciwko Czeczen chwycił za pistolet w kaburze. „Pułkownik” uskoczył i wrzasnął komendę w paszto. Jeden z mudzahedinów podciągnął kałasznikowa pod biodro i momentalnie strzelił. Krótka seria omiotła Czeczena, a któraś z kul

trafiła, obalając. Operator drona nerwowo zadrgał, ale nie mógł nic zrobić. Zaraz też leżał na ziemi, brocząc krwią, z miną człowieka, który nie rozumiał, co właściwie zaszło. „Pułkownik” spokojnie chwycił swój AKSU. Odbezpieczył i z zimną krwią dobił obydwu młodych. Triumfował wdzięczny Allahowi, że pozwolił mu wymierzyć sprawiedliwość za zniewagę. Powtórnie podniósł telefon.

– Gotowe. Słyszałeś? – zameldował. – Co z resztą? – Starał się być gorliwy przed nowym „panem”. – Rozumiem – potwierdził i połączenie przerwano.

„Raszid” nerwowo krążył po pokoju chaty, nie odpuszczając broni nawet na chwilę.

– Nic? – dziwił się, pytając z wyrzutem człowieka przy radiu.

– Nic. – Ten, zrozpaczony, pokręcił głową. – Coś nas zakłóca. Komendant nie odbiera – wykrztusił potok złych nowin.

– O co tu, kurwa, chodzi? – Chorąży potarł twarz.

– Robi się syf. – „Kapitan Mazar” stał w wejściu na rozstawionych szeroko nogach, z rękoma założonymi na brzuchu i dłonią skubał wargę. Gdyby nie ten tik, wydawałby się całkiem opanowany i skupiony.

– Rządowi czy Amerykanie? – Jego zastępca oddałby wiele za jakąkolwiek ocenę dowódcy, która wyrwałaby go z męczącej niepewności.

– Nikt z nich. Obawiam się... – wysapał oficer. Doskwierało mu dziwne, wstrętne przecucie. Sięgnął po krótkofalówkę. – Jak okolica? – zadawał kolejny raz pytanie swoim ludziom na zamaskowanym dachu kalaty.

– W normie. Kręcą się. – Żołnierz wojsk specjalnych nie widział w zachowaniu Afgańczyków niczego podejrzanego.

– OK. – „Mazara” to jednak nie uspokajało.

– Mamy gości. – Żołnierz przy module drona postukał w monitor. Od północy w dolinę ciągnęło kilka pick-upów.

– Nasz watażka wraca – ocenił.

– Ale jak? – Teraz kapitan zaczął niepokoić się zupełnie poważnie. Podszedł bliżej i pochylił się nad komputerem – Miał zająć miasto. Załatwić szkołę... – myślał na głos.

– Żeby ich pojebało! Sprzedali nas! – obwieścił rozjuszony. – Komuś nas sprzedali! – prychnął, choć nie miał ani dowodu, ani pomysłu, kto mógłby zapłacić więcej za uległość Ahmedowi niż oni, niż ich cała struktura. – Zbierajcie się! – krzyknął bliski paniki. Ludzie zamarli. – Na co czekacie?! Jadą po nas, trzeba się ulotnić. – Trzepnął w ramię łącznościowca – Kabul. Informuj Kabul alarmowym kodem. Powinni nam przygotować transport. Na co czekasz?!

– Według instrukcji to potrwa ze dwanaście godzin. Nie zdołamy się urwać.

– Musimy spróbować. – Kapitan spuścił nieco z tonu. – Żaden z tych pastuchów nas nie ruszy.

Od wejścia doszedł potworny hałas. Szybko przemienił się w odgłos strzelaniny.

– Powaliło ich?! – Chłopak na dachu krzyczał do mikrofonu, niedowierzając. – Próbują dostać się do... – Słowa zagłuszyła eksplozja.

– Szlag! – Kapitan popędził po długą broń. – Wszyscy na dach. Na dach! Idą po nas. – Rozkazywał gnającym na pozycje komandosom.

Zbita masa ludzi przelała się przez wierzeje na dziedziniec. Bramę rozsadzono kilkoma trafieniami granatników. Obrońcy przy wjeździe zginęli najpewniej. Ludzie „Mazara” próbowali odpędzać napastników, zajadle tłukąc seriami w tłuszczę. Kilka ciał w obwisłych sukmanach zaścieliło piasek. Inni dopadali ścian, osłaniając towarzyszy. W każdą stronę zaczęły frunąć granaty. Budowlą trzęsło od wybuchów. Wszystko zaczął pokrywać nieprzenikniony obłok kurzu. Cuchnęło kordytem i spalenizną. Spokój poranka w kilka chwil zmienił się w zupełny chaos.

„Mazar” wypadł na pokrycie swojej części gospodarstwa. Była jak ostatni szaniec, zalewana przez morze wrogów. Tylko wystawił głowę, a kilkanaście kul zaświstało mu nad nią. Jego ludzie w obronie okrężnej,

przyszpileni do glinianego podłoża, usiłowali odpowiadać ogniem, celując uważnie i pewnie, tak jak szkolono wojska specjalne.

W błyskawicznym oglądzie oficer spostrzegł, że na niewiele się to zda. Dał się zaskoczyć i otoczyć. Cisnął w dół granat i nie czekając na wybuch, pognął z powrotem, czołgając się i kuląc. Miał jedno podstawowe zadanie: nie dopuścić, by cały sprzęt wpadł w niepowołane ręce.

Wytaszczył z niewielkiej zbrojowni skrzynię granatów. Sięgnął po dwa obronne. Upewnił się, że w pokoju dowodzenia nie ma już nikogo. Złapał ładunek, chwycił zawleczkę i wtedy wielka eksplozja wyróciła go. Nieodbezpieczone granaty poturlały się pod stoły. „Mazar” chciał je odnaleźć, ale nie miał szans.

Stracił świadomość. Nie wiedział, ile czasu był nieprzytomny. Kiedy się ocknął, czuł ucisk na klatce piersiowej. Piekącymi oczyma przez dym spostrzegł człowieka, który dociskał go nogą, przystawiając lufę pod samą twarz. Mówił coś, ale „kapitan Mazar” nie rozumiał. Za kilka sekund rozpoznał znajomy głos. „Pułkownik Ahmed” był w budynku. Zbliżył się. Kucnął i odgonił mudzahedina znad poranionego ciała Czeczena.

– Mamy gości – odezwał się po rosyjsku, bardzo spokojny i tajemniczy. „Mazar” skrzywił głowę. Nie rozumiał albo wydawało mu się, że traci zmysły.

– Przyszli po was. – Ahmed wstał i wymachnął na swoich, by unieśli doradcę.

Wielki śmigłowiec Mi-8, w neutralnych biało-czerwonych barwach prywatnej korporacji lotniczej, zatoczył krąg nisko nad doliną. Na ten surrealistyczny widok z górskich szczelin, dróg i jaskiń wyszli prawie wszyscy, którzy służyli w osłonie sztabu komendanta zwanego „pułkownikiem Ahmedem”.

Nieczęsto latająca maszyna odważała się lecieć tak nisko u stóp gór tej części Chostu. Bez zezwolenia strzegących tej kamiennej fortecy nikt nie mógł tu lądować. Narażał się na huragan ołowiu ślanego z ukrytych

stanowisk albo namierzenie jedną z kilkudziesięciu cennych wyrzutni typu QW-2 chińskiej produkcji.

Gdzieś nad szczytami krążyła podobna maszyna nienosząca żadnego znaku, który określałby ją jako uzbrojoną albo przewożącą uzbrojonych pasażerów. Czuwała nad tym, co mogło się przytrafić, będąc w razie kłopotów ostatnią deską ratunku.

Potężny wirnik lądującego śmigłowca wzbił tuman kurzu i kamieni, chłoszcząc ziemię podmuchem. Ludzie nie odważyli się zbliżyć, osłaniając oczy albo raczej pilnując trzeszczących namiotów i całego dobytku, który mógł być porwany w powietrze.

Silniki zaczęły wreszcie zmniejszać obroty. Piach opadał, kiedy z ładowni zeszła czteroosobowa grupa mężczyzn zamaskowanych pustynnymi chustami i arafatkami. Odróżniali się od wszystkich wokół. Byli groźni, skupieni. Ubrani w luźne stroje nie przypominali wojska, a jakąś firmę kondotierską. Każdy, prócz jednego, nosił długą broń obudowaną celownikami, latarkami w piaskowej barwie.

Najwyższy z nich, w czarnych okularach i zielonej arafatce i przeopconej czapeczce na głowie, przyglądał się uważnie wgapionym w niego tubylcom. Biła od niego pewność i siła. Wydawał się zstępującym do maluczkich władcą, któremu nie wolno się sprzeciwić.

Łopaty śmigieł zwalniały, co rusz rzucając powolniejsze cienie na piasku. Bez wznieszanego wichru znów było gorąco i duszno. Pozostali z zespołu Konstantina wynosili plastikowe skrzynie z elektroniką i kilka toreb wypchanych gotówką.

Sam generał parł pewnie do celu. Nie okazał lęku. Nie mógł sobie na to pozwolić. Jego ludzie byli w mniejszości, otoczeni dziesiątkami okrutnych i nieufnych mudzahedinów, gotowych zabijać niewiernych, zwłaszcza obcych, za każdy przejaw wrogości.

Kostia wiedział, gdzie iść. Rozpoznanie było dokładne i szczegółowe. Dobierał zawsze najlepszych analityków, którzy wyłuskiwali ze zdjęć satelitarnych i materiałów lotniczych najdrobniejsze szczegóły.

Z potężnego budynku, wbudowanego w podnóże pionowej kamiennej ściany, wyszedł orszak bojowników. Przewodził im stary, pulchnawy brodacz noszący się bardzo dumnie z karabinem w dłoni.

Obydwaj dowódcy stanęli naprzeciw siebie, w bezpiecznej odległości. Patrzyli uważnie, wyszukując po sobie objawów napięcia, nerwowych ruchów. Potęgowali przy tym stan ogólnego napięcia wśród obserwujących tłumów.

– Witam wielkiego wodza! – Konstantin odezwał się pierwszy. Był przezorny. Wiedział, że musi odegrać teatr uległości, godny zadufanego w sobie komendanta, jakim na pewno był „pułkownik Ahmed”. Położył dłoń na sercu i pokłonił się. – To zaszczyt stanąć przed obliczem wielkiego pułkownika!

Kłamstwo ledwo przecisnęło się mu przez gardło. Wiedział, kim naprawdę był ten cały Ahmed: dawnym dezercerem w stopniu porucznika, który zbiegł z szeregów wojska, kiedy to straciło wsparcie Moskwy. Konstantin skinął głową i jeden z jego ochroniarzy podał czarną sportową torbę. Generał rozpiął ją i wydobył dwa pliki dolarów, którymi potrząsał jak przynętą, przed wszystkimi.

– To mały dowód wdzięczności za przyjęcie – mówił, obserwując, jak szeregi mudzahedinów chwieją się w nerwowym podziwieniu. Ahmed patrzył z wyrachowaną satysfakcją, że jego imię i zasługi wychwalane są przed oddziałami.

Konstantin złapał sakwojaż i podszedł do gospodarza, nie obawiając się już zupełnie niczego. Wręczył torbę, którą pułkownik zważył w rękach i wyraźnie ukontentowany oddał któremuś z przybocznych.

– Ceremonię mamy za sobą? – zapytał Konstantin retorycznie, półgłosem.

– Myślę, że tak – odparł Ahmed, nie przestając się uśmiechać wobec swoich ludzi.

– Jestem „generał Piorun” – przedstawił się banalnym pseudonimem przybysz.

– Miło mi. – Afgańczyk uklonił się. Przeszedł kilka kroków i wznosząc ramiona wykrzyknął do swoich ludzi po pasztuńsku. – To nasi goście! Będą nas wspierać w walce z uzurpatorami w Kabulu! Nic nie może się im stać! – Echo poniosło polecenia, które przyjmowano jak niepodważalne rozkazy. Nawet jeżeli miało się okazać, że zwyczajowa gościna potrwa tylko do przyjazdu następnych przybyszów. Jeszcze silniejszych i jeszcze bogatszych niż ci. Przecież „kapitan Mazar” też miał być otaczany opieką.

– Czekają. – Ahmed wskazał na podniszczoną w walce kalatę.

Kilkunastu ludzi pułkownika wywlekło na rozgrzany dziedziniec domu ciała martwych i rannych – tych szczęściarzy, którzy przeżyli nagłe zerwanie sojuszy.

Sprawnych było jeszcze tylko trzech jeńców. Klęczeli z rękami skrępowanymi na karkach. Ludzie Ahmeda nie szczędzili razów, chyba odreagowując wyższość, z jaką odnosili się do nich przybysze. Teoretycznie bracia w wierze, choć traktujący ją bardzo pobieżnie.

– Ty jesteś „kapitan Mazar?” – Konstantin przystanął przy byłym dowódcy placówki, pytając bez wstępów. Chłopak ociężale podniósł napuchniętą, oblepioną zakrzepłą krwią i piachem głowę.

Generał polecił, by miejscowi oddalili się i wnet został tylko on i jego grupa.

– „Mazar” albo właściwie Hassan Nuardijew. Kapitan. – Zdjął czarne okulary i patrzył, usiłując przeniknąć myśli Czeczena. – Jestem Konstantin Rabstein – przedstawił się niby to mimochodem. – Generał. Przysłała mnie do was audytor specjalny. – Na te niepasujące do okoliczności słowa chłopak otworzył szerzej oczy i usiłował wstać. Przeraziły go, tak jak postać wysokiego, starszego oficera. Dłoń generała powstrzymała Hassana przed żalosnymi próbami poderwania się z ziemi.

– Z rozkazu prezydenta federacji – Konstantin był bardzo oficjalny, a przez to antypatyczny, jak przystało na kata deklamującego wyrok – zamykam waszą operację. Nadużyliście zaufania przełożonych. Jesteście oskarżeni o defraudację i brak kontroli nad powierzonymi

wam operacjami. – Kucnął, dysząc chłopakowi w twarz. – Jesteście głupi. Pewni siebie i głupi. Mieliście pozyskiwać towar jako element finansowania specjalnego. Mieliście przerzucać heroinę – stwierdził wprost. – A poprzez agenturę w sieci szkół waszym zadaniem było dopilnować przerzutu wyselekcjonowanych kandydatów do szkolenia w kraju. Wy natomiast obcinaliście dostawy. Byliście tak tępi, że sądziliście, że to się nie wyda? Że nikt nie doniesie o waszym osobnym kanale przerzutu? – syczał bliski pasji. – Pozwoliliście, żeby miejscowi zaczęli dopominać się o zaginione osoby i robić szum. A na koniec ten zamach w Kabulu. Usunięcie Polaka i Szweda bez wiedzy oficera na miejscu. Jak go zwaliliście? Karima... – Wstał. – Tego nie można wybaczyć. Kto z was zajmuje się łącznością? – rzucił pytanie, licząc, że specjalista od komunikacji żyje. Miał szczęście. Człowiek obok „Mazara” podniósł nieśmiało dłonie.

– Od teraz robisz dla mnie – nakazał. – Jak się nazywasz?

– Salambek – wyjąkał operator.

Generał sięgnął po pistolet przy pasku, przeładował i wypalił kapitanowi w głowę. Potem zrobił tak z jego towarzyszem.

– Zajmujemy budynek i postaramy się posprzątać to gówna – mówił do roztrzęsionego łącznościowca, który ze strachu zwinął się w kłębek, patrząc, jak krew kolegów rozlewa się po piachu.

Oddział Konstantina zaczął taszczyć skrzynie do wnętrza i porządkować zdemolowane sale.

Rabstein wyszedł przed bramę, witany ciekawskimi spojrzeniami mudżahedinów, którzy wyczekiwali ciągu dalszego skutków wizyty. Strzelanina za murami musiała ich przekonać, że na ich ziemię zstąpił ktoś bezwzględny, kto gotów jest mordować swoich za tajemnicze przewiny.

– Załatwione... – Konstantin westchnął, przerywając Ahmedowi gorączkowe liczenie sutej łapówki.

– Co każe pan robić? – spytał usłużnie, nie bacząc na zbyt wielu świadków jego poddaństwa.

– Wszystko zostaje po staremu – uspokoił go Kostia. – Prawie po staremu. Na razie tu pomieszkam ja... – wyjaśniał. – Wiem, że otrzymał pan propozycję likwidacji problemu pewnej zachodniej placówki w Mita Sah. – „Pułkownik” przytaknął bez słowa. – Nie będziemy przeszkadzać. Nawet wspomozemy te wysiłki. Nikt nie może ujść z życiem. To element mojego zadania, tak to określe. Za pomoc otrzymał pan... premię – zaznaczył Rosjanin, wyciągając głowę w stronę torby. – Dobrze się nam z panem współpracuje. – Konstantin był uprzejmy, ale i szczery. – Za jakiś czas, kiedy ruszy wielka ofensywa na Kabul, sprawy się skomplikują.

– Co znaczy „skomplikują”? – Ahmed poczuł wielkie zaniepokojenie.

– Wszystko się zmieni. – Kostia mówił spokojnie. – Taliban będzie zapewne rościł sobie prawa do wszystkich terytoriów, ale... – uprzedził protest Afgańczyka – dopilnujemy, by miał pan swoją autonomię. Po tylu latach współpracy jesteśmy to winni. Przybędzie tu nowy rezydent. Z mniej liczną grupą i będziemy robić *business as usual*, jak mówią Amerykanie. – Wyciągnął dłoń, by przypieczętować umowę. Ahmed poderwał się, by uściskać prawicę.

– Bardzo podobają mi się takie... zmiany. – Jego oczy lśniły z radości i ulgi.

– Ale najpierw musicie załatwić szkołę – przypomniał nieugięcie Konstantin. Z kalaty wyszedł jeden z jego oficerów. Nieśmiało przerwał rozmowę ważnych i pochylił się nad uchem dowódcy.

– Jak wiele ofiar?

– Nie ustalono. Chyba nie było tak źle. Z podglądu wynika, że najbardziej ucierpiała ochrona placówki – Oficer odpowiadał tak dokładnie, jak mógł.

– Zbierają się, więc straty minimalne. Skierowali większość do strefy chronionej albo na lotnisko. Mają samolot. – Generał spoważniał i łowił każde słowo. Popatrzył w góry, analizując wszystko. – Wiadomo, kiedy ruszają?

– Samolot jest wyczarterowany na dziś. Nasze źródło na lotnisku nie wie jednak, czy załatwili coś tu w Choscie. Duże zamieszanie...

– Tak. – Generał potarł brodę. – Więc lecą tu. Postaraj się ustalić liczbę. Stan uzbrojenia. I co z Karimem? – zapytał. Zdjął czapkę i otarł szalem rosący czoło pot. – Pułkowniku, trzeba się spieszyć. Mita Sah ma dostać wsparcie.

Powierzony grupie pokój był ciasny, upstrzony reprodukcjami zdjęć afgańskich widoków i samolotów. Klimatyzacja niedomagała. Ludzie rozmawiali gorączkowo albo przesuwali przygotowywany sprzęt. Anna Linberg wystawała przy szybie starego terminalu lotniska w Kabulu

Quadira wyłączyła się z rozgardiaszu. Obserwowanie zwyczajnie pracujących pozwalało stłamsić stres, wyobrazić sobie, że świat jest zupełnie bezpieczny. Odpocząć. Po płycie przejeżdżały wózki z bagażami, autobusy z pasażerami, których coraz więcej zmierzało poza granice Afganistanu. Na zacienionym fragmencie płyty parkował samolot, jaki im powierzono. Niewielki, przysadzisty Fairchild Dornier 328JET – komercyjna maszyna transportowa, górnopłat z niewielkimi silnikami odrzutowymi w dziwnie wąskich gondolach. Obsługa naziemna krzątała się, pompując paliwo i dokonując ostatnich przeglądów.

Samolot wylądował nie tak dawno, kończąc kurs zaopatrzeniowy do któregoś z miast na północy. Nowy czarter musiał być zaskoczeniem dla jego właścicieli, niedużej firmy pochodzącej z którejś z byłych republik sowieckich.

– Może się rozmyślisz? – Adam Thomal stanął obok dziewczyny i podsunął jej papierowy kubek z kawą. Nie pogardziła, potrzebując dopingu przed ciężkim dniem.

– Chcesz mnie zniechęcić? – Piła, patrząc spod długich rzęs. – A może to twoi szefowie? Nie uda się.

– Nie śmiałybym – Thomal oponował bardzo ekspresyjnie. – Ale to naprawdę nie jest dobry pomysł. Sam nie mam ochoty lecieć.

– Tak, tak, ale poczucie obowiązku... – parodiowała mające zaraz wybrzmieć banały, które Polak musiał mieć przygotowane do przemowy.

– Brakuje ludzi. Każdy się przyda. – Adam powiedział tylko tyle. Naprawdę nie chciał opuszczać w miarę bezpiecznej stolicy. Drażniło go to, że Linberg co rusz uciera mu nosa, a on nie umie jej zaimponować. – Wiesz, powiem ci prawdę. – W ostateczności zdobywał się na odkrycie słabości, wiedząc, że kobiety lubią to w niewielkich dawkach. – Od pewnego czasu nie za bardzo dobrze znoszę latanie. Złe doświadczenia... A do tego kiedy pomyślę, że mamy latać czymś takim? – Zastukał palcami w szkło.

– Nie przejmuj się. To dobry kamuflaż. – Anna rozumowała nad wyraz przytomnie i na dodatek nie opuszczała jej odwaga. – Wojskowy rzuca się w oczy, a przy czymś takim talibowie pomyślą, że ktoś wozi pocztę. – Była opanowana i naprawdę gotowa.

– Wiesz lepiej. Żyjesz tu długo. – Thomali przyszło tylko się zgodzić. – Naprawdę zależy ci na pracownikach – dodał ostrożny komplement.

– To moi przyjaciele. Znam ich długo. Mam wobec nich obowiązki. Nie zostawię ich. Wiem, że baba wśród samców z pistolecikami to kłopot – dodała gorzko. – Ale sumienie by mnie zjadło. Za wielu zginęło albo zniknęło. Mam okazję zapanować nad tym. Być pewną, że ten horror da się powstrzymać. – Jej palce błędziły po kubku. – Może rozmawiasz ze mną z własnej woli. Ale gdyby ktoś cię nasłał, to powtórzę raz jeszcze: jeżeli nie trafię do Mita Sah, a tam coś pójdzie nie tak, prasa pożre nas wszystkich. Uwierz mi. – Uśmiechnęła się wrednie.

– Spokojnie, spokojnie... – Adam podniósł dłonie na znak, że się poddaje. – Wszystko załatwione z górą. Masz zielone światło. Wojskowi są źli, ale nic nie poradzą. Dlatego ja się zgłaszam na wycieczkę. Mam pewne doświadczenie.

– Dziękuję. – Przysunęła się i ucałowała Thomalę w policzek. Drgnął zaskoczony. – Jutro, najdalej pojutrze będzie po wszystkim – pocieszała się. – Wrócimy szczęśliwie i wywiozę swoich z tego przeklętego kraju. –

Spochmurniała, obracając się w stronę gór na dalekim horyzoncie, w gęstym powietrzu. – Nie wszystkich, ale większość...

– Licz się z tym, że nie ci odpuszczą. Za te popisy odpowiesz w Europie – ostrzegł.

– Wiesz, co? – Gorzki uśmiech skrzywił jej usta. – Mam to w dupie. – Napiała się kawy.

Dla Adama Anna Linberg była wyzwaniem. Imponowała siłą, by walczyć, o co chciała i robić, na co miała ochotę, nawet jeżeli zdawała sobie sprawę z konsekwencji.

– Ludzie! – Wrócił major GROM-u. Stał po środku poczekalni i zaklaskał. – Zbiórka! Startujemy za pół godziny. – Zaczął krótką odprawę zebranych. – Lot potrwa sześćdziesiąt minut. Cel: miasto Chost. Oczy otwarte. To nie cholerna zabawa. – Wprost kierował te przestrogi do Anny. – Kamizelki i hełmy zawsze na sobie. Słuchacie się mnie, ewentualnie chłopaków ode mnie, Formozy albo szwedzkich kolegów. – Wskazał kciukiem na „Harda” i jego skandynawskich wielkoludów. – Co do reszty, zechce pan... – Oddawał pałeczkę przybyłemu właśnie Kłodzińskiemu.

Pułkownik zrobił krok, patrząc w ziemię, jakby dobierał słowa. Był zmęczony i równie niepewny jak wszyscy wokół.

– Lecimy do Chostu. To spore miasto. Nie trwają tam walki. Grożą może zamachy, ale garnizon i okolica trzymają się. Taliban i różni bandyci mają przewagę na prowincji. W kilku górskich ostępach, gdzie tworzą swoje bastiony. Armia Narodowa i policja trzymają swoje terytoria, ale bez wsparcia NATO i lotnictwa nie będą mogli przejść do ofensywy. – Wykrzywił usta zakłopotany, że zapędził się tak daleko w szczegółach. – Mita Sah i szkoła. To nas interesuje. Tam walki są zajadłe. Staram się wraz z panem Stenblockiem zabezpieczyć transport do miasta i z miasta dla personelu tamtejszej placówki. To skomplikowane. Trzeba koordynować wojskowych, MSZ i naszą ambasadę w Indiach. Odzew jest jako tako pozytywny. Całkiem szybko udało się załatwić ten samolot. Miejscowe władze podobno też chcą pomóc. Mamy przychylność Amerykanów, ale ich środki są już teraz

ograniczone. Zwłaszcza na tamtym terenie. Jak powiedział Mariusz, to on dowodzi i odpowiada za nas. Ja, Adam, pan Stenblock oraz pani Anna odpowiadamy za ewakuację i przygotowanie powrotu. Musimy działać sprawnie i szybko. – Jego głos nabrał surowości. – Nie chcę marudzenia! Załatwiamy sprawę i wio, powrót do Kabulu. – Starał się, żeby te słowa zabrzmiały entuzjastycznie. Nie wyszło. – Pani Aurelia – odwrócił się do koleżanki – wspiera nasz PKW w staraniach o nasz szczęśliwy powrót do kraju i transport dla wszystkich, których wywieziemy. Za łączność odpowie kolega Arkady. Wspierają go Agata i Michał. Sprawy rozpoznania spadają na nasz kontyngent. Robią nam przysługę, bo sami są zajęci. Głównie zwijaniem interesu, a my dorzucamy im coś na końcówkę. PKW szykuje jakieś wsparcie od sojuszników. Choćby minimalne, ale to już kwestia decyzji politycznych. Nie nasz szczebel. Tak oto, jak zdołaliście się przekonać, działamy, improwizując – przyznał zupełnie otwarcie. Zapadła nieprzyjemna cisza, pełna ukradkowych i zmieszanych spojrzeń.

– Pytania? – zachęcał Jerzmanowski. Kamil „Monsignore” podniósł rękę.

– Podsumowując – zaczął złowieszczo – na miejscu nie mamy nic pewnego. Nikt nam nie obiecał tak naprawdę wsparcia. Prócz szybkiej analizy zagrożeń, robionej na kolanie, nie mamy nic więcej. – Oceniał planowanie akcji. Z natury był uporządkowany i precyzyjny, przynajmniej w pracy. Nie lubił odstawiać fuszerki. – Za rozpoznanie odpowiada Kabul, więc nie będziemy mieli swoich dronów – kontynuował ponurą wyliczankę. – Od stolicy będzie dzieliło nas prawie trzysta kilometrów i to gór. Spieprzy się łączność i... – nie dokończył. Kłodziński wzruszył ramionami.

– Mniej więcej tak to wygląda. Polegamy na miejscowej armii, naszych tutaj i zdolnościach waszych satelitarnych zabawek. – Wskazujący palec celował w torby ze sprzętem radiowym i wzmacniacze sygnału.

– Co może pójść nie tak? – Kamil pokręcił ciężką od wątpliwości głową.

– Pozostali czekają tutaj. Zajmują się cywilami ze szkoły – dokończył Kłodziński. – Czas się zbierać – zarządził, zerkając na Stenblocka, niepewny, czy ten nie chce czegoś dorzucić. Szwed tylko uśmiechał się ponuro i uniósł dwa kciuki w górę.

Kłodziński zaklaskał i grupa zaczęła sprawdzać sprzęt w prawie zupełnym, napiętym milczeniu. Pułkownik zapiął kamizelkę, włożył hełm. Przy pasku nosił kaburę z pistoletem. Miał już gdzieś obawy o naruszenie swojego image. Miał się pilnować i wrócić cało. Tak jak oni wszyscy.

Zaczął przechadzać się po salce, doglądając ludzi, jak na przełożonego przystało. Gdy stanął obok Adama, szeptał, patrząc gdzieś indziej.

– Musimy pogadać. Za pięć minut wyjdiesz z pokoju.

Samolotem rzucało od turbulencji nieznanymi w rejsowych lotach. Piloci nie uważali za priorytet dbania o komfort lotu. Nie byli lotnikami linii lotniczych. Wozili ładunki, a jeżeli ludzi, to pasażerowie rzadko myśleli o składaniu skarg.

Dornier nie wzbił się zbyt wysoko ponad chmury, tak jak „zwykłe” samoloty, nawet najtańszych linii. W okienku widać było poszarpane obłoki, a potem pojawiały się złowrogie, czarne łańcuchy gór. Mieszanka gorących podmuchów znad równin, wznoszących się po tych surowych zboczach i zimne powietrze wysoko w przestworzu ciskały samolotem jak zabawką.

Masyw Hindukusz, piętrzący się od centralnej części kraju, wznoszący na północ aż poza granice Pakistanu, odcinał południowo-wschodnie prowincje. Przez grzbiety gór prowadziły pradawne szlaki. Zawile, niebezpieczne, zwłaszcza w ostatnich dekadach, kiedy w Afganistanie królowała wojna.

Góry stawały się pułapką dla sowieckich dywizji, tak jak dla wielu rozrzuconych po zboczach posterunków natowskich armii. Nawet miejscowi mudżahedini, „Duchy” – jak kiedyś ich nazwano – nie mogli

walczyć, żyć i poruszać się w tej gigantycznej stromej krainie, poza krótkim czasem bez śniegu, który odpuszczał w okolicach czerwca. To łaska tutejszej natury w dużej części wyznaczała terminy wiosenno-letnich ofensyw albo zawieszenia broni.

Adam Thomał poddał się wstrząsom, by ukołysały zmęczone ciało i umysł do snu. Ten nie był głęboki, raczej nerwowy. Co chwilę Adam przekręcał się na fotelu, łypiąc półotwartym okiem na przerażający go widok w dole.

Chciałby być daleko. W przyjemniejszym miejscu z Matyldą albo i Anną przy boku, gdyby tylko zechciała przestać być niedostępną. Nawet byle jaki bar w Kabulu wydawał się przyjemniejszym miejscem niż ten ciasny samolot ponad takimi krajobrazami.

I jeszcze to polecenie Stefana, zadanie wyszukania w Mita Sah dowodu, czegokolwiek, co rzuciłoby światło na ten cały cyrk, w który zamieniło się to „zwyczajne zadanie”.

Nikt nie rozmawiał. Reszta też próbowała nieco odpoczywać albo nie myśleć o przeklętej podróży i piekielnej kamiennej krainie pod stopami.

W pół godziny wszystko za oknem zaczynało się zmieniać. Normalniało. Zbocza gór malały, przechodząc w łagodne płaskowyże i pagórki. Dzielili je szerokie doliny, pokreślone pasami zieleni, wzdłuż wąskich rzek i kanałów. Widać było kwadratowe kontury rozległych miast, dawnych baz, teraz opuszczonych przez zachodnie armie. W gorącym powietrzu, tam daleko w dole pośród jasnych piasków pustyni, wyrastały brunatne, samotne masywy skał przywodzące na myśl sceny ze starych amerykańskich westernów. Adamowi spodobało się to dyktowane podświadomością porównanie. Wśród tych krajobrazów kryją się (albo udają, że są kimś innym) tutejsi „Indianie”. Równie brutalni, nieprzejednani i niedający się pokonać.

Na jasnej połaci pustyni zarysowała się prosta (jak odmalowana od linijki) kreska drogi numer jeden, głównej arterii komunikacyjnej, która oplatała Afganistan wielką elipsą.

Teren stawał się pofałdowany, dzielony cieniami tarasowych poletek podtrzymywanych murami. Te granice było widać nawet z tak wysoka,

na wielkiej przestrzeni. Prócz tego żadnych objawów znanej człowiekowi zachodu cywilizacji. „Biblijna kraina” – wydało się Thomali, kiedy kręcił głową w oknie, zapominając o śnie. Przypomniał sobie, że cały czas nosi w kieszeni niewielki, stary aparat cyfrowy. Miał okazję zrobić kilka zdjęć tego horrendum, w jakim się znalazł, inaczej nikt w kraju by nie uwierzył, że cofnął się prawie do czasów kamienia łupanego.

Maszyna skręciła na wschód, potem północny wschód i kapitan nienaganną angielszczyzną poinformował, że zaczął schodzić na lotnisko w mieście Chost. Pasażerowie rozbudzili się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Właściwie w ogóle nie mieli szansy odpocząć. Czuć było ich podenerwowanie. Niezgrabne ruchy i niepewne spojrzenia za okna sugerowały strach. Niczym na prawdziwej wojnie, ubrani ciągle w kamizelki i hełmy, czekali, prosząc w duszy Boga, by nie zafundował gorszych przygód.

Dornier obniżał miarowo pułap z delikatnością, o którą Adam i nikt inny nie podejrzewaliby pilota tak małej firmy. Na dodatek wożącego fracht jak powietrzna ciężarówka.

Adam cykał fotografie, im więcej szczegółów można było dostrzec. Wyobrażał sobie, jak zamecza znajomych i rodzinę tymi pokazami. Wtedy jego oczom ukazało się miasto. A właściwie wielka, ciemna plama dymiąca dziesiątkami czarnych słupów. Po maszynie rozszedł się szept: „Pożar!”. Szybko okazało się, że Chost jest Kabulem w mniejszej skali, ale ze wszystkimi uciążliwościami stolicy. Bałaganem, brudem i smogiem przemysłowych oparów, który wyróżniał miasto z krajobrazu. Pilot ustawił samolot pod wiatr, zachodząc od wschodu na pas startowy. Lądowali na afgańskiej prowincji.

Powietrze nad płytą lotniska było mocniej rozgrzane niż w Kabulu. Przesiękło odorem paliw, smarów i spalin. Aura wydawała się jaśniejsza, bardziej oślepiająca. Światło słońca było nieomal białe. Adam dziwił się temu, usiłując tłumaczyć ów cud o wiele mniejszym smogiem niż w stolicy.

Góry też wydawały się inne. Bliższe, bardziej złowrogie, prawie kłaniające się ku równinie. Majaczyły od południa i wschodu. Zdawało się, że poza nimi nie ma już nic, świat się kończy, a Polak dotarł na legendarny kres wszystkiego.

W porównaniu ze stołecznym aerodromem, to miejsce było ubogie. Terminal był betonowym barakiem z wieżą kontroli. Nie panował tu porządek międzynarodowego portu. Nie stacjonowało tu zbyt wiele samolotów.

W blaszanych hangarach, wystawionych chyba już za zachodnie pieniądze, widać było kilka maszyn wojskowych. Śmigłowców rosyjskiej konstrukcji i wiropłatów amerykańskich. Samolotów cywilnych prawie nie dało się dostrzec. Prócz Dorniera w końcu pasa parkowały kanciaste, dwusilnikowe śmigłowe górnopłaty, do których Adam nie zdecydowałby się wsiąść za żadne skarby. Nieco w bok od tych „trumien”, pod szarą halą obstawioną betonowymi ścianami, stały niskie szare samolociki przypominające drugowojenne myśliwce. Wszędzie coś szumiało i burczało w złowieszczym echu. Przemykały wojskowe samochody, ale generalnie nie było tu wiele zamieszania.

– Zapomnieli o nas. – Stenblock poprawił hełm na czole, rozglądając się wkoło. Członkowie wyprawy rozeszli się szerokim łukiem wzdłuż samolotu. Chłonęli ten prymitywny widok, to miejsce, którego wygląd nie zgadzał się z żadnym wyobrażeniem, jakie ze sobą przywieźli.

– Mad Max. Jebany Mad Max. – Robert „Mucha” nie potrafił wyjść z szoku.

– Zapomnieli, skurwiele! – szepnął Jerzmanowski i sięgnął po telefon, wybierając gorączkowo jakiś numer. Chciał przypomnieć komuś w Kabulu, że „wycieczka” dotarła, ale nikt na nią nie czeka.

– Szok kulturowy, co? – zapytała złośliwie Anna. – Afgańska prowincja to nie francuska riwiera.

Tylko operatorzy wojsk specjalnych nie robili uwag. Potrafili się dostosować, jak nakazywało wyszkolenie, poza tym niektórzy przecież bywali w tych rejonach. Kamil „Monsignore” splunął soczyście, dając znak, że opinie jakiejś tam panienci go nie obchodzą.

– Po to mnie macie. Żeby nie zwariować od atrakcji. – Dziewczyna nie przejęła się pokazem złego wychowania i mrugnęła okiem do Stefana. Ten zignorował ją, zajęty rozmową. – Musicie wiedzieć jedno – wykladała dalej swoją naukę. – To nie jest stolica. Miejscowym rzadko kiedy coś naprawdę się chce. Zazwyczaj jak mają w tym biznes. Tu każdy urzędnik jest królem, więc – zdjęła hełm cisnący ją w głowę – możemy czekać długo. Oni tu prowadzą wojnę. – Kucnęła jak miejscowi mężczyźni, których Adam widywał pod sklepami na ulicach Kabulu. To była forma oszczędzania sił. Anna schowała się w cieniu samolotu.

– Prowadzą wojnę? – zapytał Adam, robiąc kolejne zdjęcie. – Właśnie widać. Aż się kurzy... – Schował aparat i poprawił kaburę z pistoletem. Przydatną rzecz, oddaną mu w ajencję, co wymownie świadczyło o tym, że lepiej było nosić tu broń. Zwłaszcza jeżeli potrafiło się z niej korzystać.

– Dobra. – Kłodziński vel Jerzmanowski zakończył połączenie. – Pani Linberg ma rację, ale mamy tu jeszcze pewne możliwości. Kabul przypominał się miejscowym. Już ktoś po nas jedzie. Mamy spotkać się z zastępcą gubernatora i jakimś oficerem.

– Zaczyna się – syknęła Anna. – Mamy coś na łapówki? Myślałam, że to załatwione.

Dopominała się o, w jej pojęciu, rzeczy elementarne. Kłodziński coraz bardziej podenerwowany jej przemądrzałością unikał dialogu, bojąc się, że zmieni się w konfrontację.

O północy na niebie pojawiły się dwa ciemne punkty. Rosły szybko i przeistoczyły się w dwa płatowce. Takie same, jakie stały za betonowymi murami przeciwodłamkowymi.

– A29 Super Tucano. – Żołnierz o ksywce „Piącha” popisывał się znanstwem.

– Amerykańskie? – Thomal zaciekał się i usiłował uchwycić obydwie śmigłowe maszyny w ujęciu aparatu.

– Tak, ale latają nimi miejscowi. Są dobrzy, są naprawdę dobrzy. – Za fascynacją komandosa musiało podążać jakieś wspomnienie związane

z tymi pozornie słabiutkimi maszynami. Szturmowce przemknęły nisko, jakby piloci chcieli się popisać. Szare samoloty niosły pod skrzydłami puste pylony po bombach i wyrzutnie rakiet. Okrążyły lotnisko i zaczęły podchodzić do lądowania.

– Pilotów mają dobrych. – Inny z Polaków, łysy jak kolano „Golas”, dołączał do pochwał.

– Komandosi Kandaku i piloci. To im wyszło – podkreślił z całym autorytetem dowódca major polskiego oddziału.

– Miejmy nadzieję – dodał ponuro „Monsignore”.

Samoloty usiadły parą w jednej chwili i zwalniały, mijając zapatrzoną w nie grupę, mknąc do hangarów.

– Coś jedzie... – „Hard” osłonił oczy od słońca, patrząc na betonowy budynek hali terminala. Ku przybyłym włókł się konwój kilku różnych wozów.

Jeżeli ktokolwiek sądził, że zapewnienia Afgańczyków się sprawdzą, to bardzo się pomylił. Jedynie Anna Linberg przewidziała wszystkie kłopoty.

Wysłane po polsko-szwedzki zespół pojazdy były pick-upami i SUV-ami miejscowej władzy i policji. Nikt nie kłopotał się wyszukaniem choćby autobusu. Ludzi rozstawiono po niewygodnych pakach i przewieziono środkiem miasta. Nikt nie bawił się w osłonę przed zamachowcami. Byle dzieciak mógłby obrzucić ich kamieniami. Miejscowi nie przejęli się zbytnio. Chost był cuchnący, zapchany i głośny. Zupełnie inny niż ospałe, a podobno wojujące, lotnisko.

W budynku gubernatora nie czekał główny lokator, a jego sekretarz czy ktoś podobnie niskiej rangi. Gubernator podobno zajmował się sprawami walki na froncie. Młody, w miarę bystry, a nawet zbyt bystry urzędnik o rozbieganym, obłudnym, ale pozornie miłym spojrzeniu pozował na angielskiego biuralistę. Mimo upału nosił ciemnograny dwurzędowy garnitur i kłaniał się z powierzchownym szacunkiem, a przy tym badał gości. Nazywał się Ridżani i tytułował się doktorem.

– Doktorem własnej dupy chyba. – Linberg nie wytrzymała, dzieląc się opinią po polsku z nienagannym politycznym uśmiechem wymalowanym na twarzy. Zdjęła hełm, przywdziewając szal na głowę. Podporządkowując się zwyczajom, i tak czuła, że jest traktowana prawie jak powietrze. Jak przeważnie bywało w tym kraju. Tylko obecność tylu mężczyzn i jakaś forma protekcji z góry sprawiała, że ją (aż!) tolerowano.

Narada z niechcianymi gośćmi miała odbyć się w jednym z gabinetów, pełnym nowych lśniących mebli, które świadczyły o statusie urzędu. Podano kilka butelek wody i cukierki. Żadnego przepychu albo hojności nawet pasującej do formy roboczej zjazdu. Linberg upewniła się, że Stenblock i Jerzmanowski mają teczkę na laptopa wypchaną sporą częścią budżetu misji. Sama pokornie trzymała się końca korowodu, puszczając przodem nawet Thomalę, który znaczył niewiele i nie znał zwyczajów.

Ridżani, jak przystało na gospodarza i zgodnie z obyczajem, rozpoczął od pogadanki o niczym. Mówił o pogodzie, potem o postępach na każdym polu administrowania prowincją, która wyglądała przecież jak skrawek pustyni nakrapianej kilkoma oazami niezgrabnej infrastruktury. Ciągle się przy tym uśmiechał, wstawał, by kreślić dłonią okręgi na mapie obszaru, jakim po części władał. Znów wracał na miejsce i zmieniał temat. Mamił zebranych rzekomymi postępami w zwalczaniu talibów i ich sojuszników nadciągających z zagranicy. Był w tym bełkocie niezachwiany jak schizofrenik, pewny bujdy, którą opowiada światu. Adamowi nawet robiło mu się żal człowieka. Rozumiał, że to element wyparcia, którym maskuje strach; w końcu spostrzegł, jak mocno Afgańczyk się boi.

Thomal próbował wyszukać w spojrzeniu Anny jakieś potwierdzenie, ale dziewczyna, potulnie siedząca na krześle pod ścianą, udawała cierpliwą, choć powieki stawały się jej coraz cięższe. Po kwadransie tego dziwnego przedstawienia pojawili się wojskowi. Dwaj oficerowie w nowych pustynnych mundurach. Starszy, wyższy wąsacz o słusznej posturze miał stopień generała. Nazywał się Dżianahan. Jego towarzysz był kapitanem. Wydawali się znacznie bardziej szczerzy niż Ridżani.

A doktor zerwał się z miejsca, by pokornie zaprezentować oficerów, których wyraźnie się obawiał.

Wszyscy trzej byli Pasztunami, ale wojskowi wyraźnie nie przejmowali się zbyt tytułami Ridżaniego. Adam zwrócił uwagę na zmęczone, półmartwe oczy, co wskazywało, że walczyli wiele. Nakaz stawienia się w gmachu odrywał ich od czegoś, co uznawali za ważniejsze. Od wojny. Nie silili się na komplementy. Byli źli i nie ukrywali tego.

Kłodziński i Stenblock zaczęli wreszcie się odzywać, opisując cel misji. Trwało to kolejne długie kwadranse, bo miejscowi niewiele wiedzieli lub tylko tak udawali. Powoływanie się na wsparcie w Kabulu i w zachodnich ambasadach wzbudziło jedynie na twarzy Dżianhana politowanie i jeszcze większą irytację. Pił wodę, rozsiadając się wygodnie z rozprostowanymi nogami, w ewidentnie lekceważącej pozycji. Polak i Szwed tracili pewność siebie w obliczu tego wrednego milczenia Afgańczyka. Skończyli mówić, a generał patrzył na nich długie sekundy, bez krzty woli, by włączyć się w dyskusję.

– To wszystko jest trudne – odezwał się wreszcie Dżianhan i przysunął do stołu. – Mamy tu wojnę. Coraz ostrzejsze walki, a wy – zwalczyli w sobie chęć użycia jakiegoś niemiłego słowa – chcecie wleźć w ogień? Po to, żeby ratować kilku waszych i uciec. Zostawiając nas z niczym, na pastwę tamtych.

– Chcemy tylko, by zechciał pan generał nam pomóc. – Jerzmanowski najpierw ostrożnie łamał opór, który zapowiadał się na ciężki. – To cywile. Nauczyciele. Pani Linberg – wskazał gestem na Annę – poświęciła wiele, by pomóc Afganistanowi.

Błąd. Generał nawet nie spojrzał na dziewczynę.

– Na co się nam to zdało? – odparł Dżianhan. – Wy się wycofujecie i prosicie mnie o wsparcie? Chcecie lotu do Mita Sah i ewakuacji cywilów.

Stenblock zaczął od początku wyłuszczać plan, kładąc nacisk na przyszłą wdzięczność rządu w Sztokholmie, ale to nie docierało do generała. Linberg udała, że kaszle. Stenblock zrozumiał i położył na

stole teczkę. Rozpiął zamek i okazał trzem miejscowym kilkanaście plików dolarów

– Jesteśmy gotowi pokryć koszty.

Ridżani poruszył się, pochylając nad stołem, jakby z odległości chciał policzyć wszystkie banknoty. On już był ich.

– To żart – burknął Dżianahan, odkręcając gwałtownie butelkę. – Przez takie zagrywki jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

– Panie generale! – Linberg złamała niewypowiedziany nakaz niewtrącania się i wstała, podchodząc bliżej. – Chcę ratować ludzi, którzy robili wiele, by wypłenić w Afganistanie to, co złe. – Mówiła wolno i delikatnie. Złość generała stopniowo ulatniała się, kiedy tonął we wzruszonych oczach piękności. – To absolutnie nie jest łapówka! – Ułożyła dłoń na piersi, gestem niwelując pejoratywny dźwięk słowa. – Niech Allah broni. To zadośćuczynienie za wysiłek i koszty, jakie poniesie pan i pańskie oddziały. Wspieramy was z całego serca w walce z tymi, którzy wypaczyli zasady islamu i sprowadzili na kraj niezliczone nieszczęścia. – Jej przemowy w paszto słuchali wszyscy mężczyźni, bez względu na to, czy rozumieli ten język. – Wiemy, jak wygląda sytuacja na miejscu. Pańskie oddziały opierają się rebeliantom. Nie chcemy przeszkadzać. Nie żądamy, by powierzał nam pan swoje jednostki. Chcemy, by nam pan pomógł.

Generał poprawił się w fotelu. Chrząknął, nie wiedząc, jak odpowiedzieć. Adam Thomal z niedowierzaniem widział, jak hardy oficer mięknie pod subtelnymi ciosami argumentów łechcących najwyraźniej jego próżność.

– To wsparcie to dopiero pierwsza część. – Anna płynnie przeszła z powrotem na angielski, żeby szefowie rozumieli. Stefan chciał coś wtrącić, może nawet zaprotestować, ale poprzestał na samym zamiarze. – Mamy możliwość wniesienia wniosku do naszych przełożonych o dotację dla pana. – Linberg szła dalej z niezachwianą pewnością – Prócz tego...

Dodała coś jeszcze. Stenblock nieco zbladł. Mało subtelnie i zbyt często zaczął słać polskiemu partnerowi wymowne spojrzenia, szukając

wsparcia w przerwaniu kobiecie.

– Nasze możliwości nie są aż tak wielkie – zaproponował ostrożnie Kłodziński, z wysiłkiem zachowując spokój.

– Jest jednak możliwość wsparcia sił narodowych przez Amerykanów. – Anna jakby nie słyszała ostrzeżenia i mówiła dalej, zapędzając się w fantazji.

– W jaki sposób? – Teraz afgański kapitan zrobił się ciekawski.

– Otrzymaliśmy obietnicę wsparcia od kontyngentu amerykańskiego. – To, co powiedziała Linberg, ocierało się o wyjawienie tajemnicy misji ludziom, którzy w teorii mogli być na usługach drugiej strony. – Drony, satelity, a więc dane wywiadowcze.

Znów zmyślała, bo oferta sojuszników była bardzo ogólna i ograniczała się najwyżej do rozpoznania bezzałogowców. Annie nie drgnął żaden mięsień, ale oczy patrzące na szefów wzywały ich do opanowania. Ona naprawdę wiedziała, jak rozmawiać z miejscowymi.

– Każdy nowy szczegół może przydać się wam w walce, prawda? – zwracała się do oficerów z powagą. Potakiwali, umyślając sobie jakieś nowe wizje zwycięstw. Na tym poziomie ogólności Quadira mogła mówić cokolwiek. Pamiętała z odprawy w Kabulu, że armia narodowa nie ma sił, by dokonywać kontruderzeń, więc dane wywiadowcze, które zapewne już miała, niewiele by jej pomogły.

– Bardziej interesuje nas wsparcie lotnicze. – Kapitan łatwiej opanowywał emocje i postawił bardziej racjonalny warunek.

– To byłoby złamanie postanowień z Kataru – wtrącił niepewnym głosem Stefan. – Między USA a talibami.

– W Mita Sah nie walczyłyby z grupami religijnych fanatyków – dorzucił przytomnie oficer, sądząc, że punktuje. – Można ich bombardować. – Zastukał placami po lakierowanym blacie, czekając, czy druga strona wyjdzie z kontrą. Polacy i Szwed poddali się konfuzji, ale Linberg była czujna.

– Najważniejsza jest ewakuacja cywilów i pracowników mojej fundacji. Jeżeli Amerykanie zorientują się, że armia narodowa pozostaje wierna zasadom nowoczesnej, cywilizowanej wojny, nie jak tamci barbarzyńcy. – Z nieudawanym obrzydzeniem wskazała gdzieś za okno. – Jeżeli wskażemy, że potraficie, panowie, ewakuować cywilów w obliczu niebezpieczeństwa, to kolejny raz zapewnicie o swoim świetnym wyszkoleniu. Przyznacie, że to jest argument, by skłonić amerykańskich wojskowych do pomocy wam. Kto wie – udało, że widzi już to, o czym mówi – być może to będzie punkt zwrotny i Amerykanie zmienią politykę. Wszak bronicie dzielnie Mita Sah i całej prowincji. Moja fundacja przy wsparciu rządów panów – spojrzała ku Kłodzińskiemu i Stenblockowi – jest znana i szanowana. Liczą się z naszym zdaniem.

Afgańczycy zaczęli szeptać, nachylając się ku sobie nad uszami i zezując na Annę i resztę. Facet w garniturze miał najmniej do gadania, a jego zdanie nie za bardzo obchodziło oficerów.

Dżianahan odwrócił się do mapy, mamrocząc coś i gładząc po wąsie. Nie chciał, by bezczelna kobieta zrozumiała za wiele. Znow poświęcił uwagę gościom i z całym opanowaniem i autorytetem wskazał na dolary.

– Jeżeli chodzi o wsparcie misji – patrzył wszystkim w oczy – to poważne przedsięwzięcie. Kosztowne w chwili niedostatku.

Thomal wyłapał mikroskopijny uśmiech na ustach Anny, która zaraz znow była opanowana. On i ona wiedzieli, że generał złapał przynętę. Mógł bajdurzyć o walce, ale najbardziej interesowała go gotówka.

– Jeszcze teraz będziemy rozmawiać z Kabulem o kolejnej transzy. – Kłodziński podłapał gierkę z pełną mocą. Sięgnął po telefon satelitarny i pokazał na dowód dobrej woli.

– Dobrze... – Afgański generał uśmiechnął się promiennie, pierwszy raz na tym spotkaniu. Jego rodacy podchwycili ten stan, chyba radzi, że mogli zarobić na boku dzięki obcokrajowcom zesłanym przez los.

Generał szybko ściągnął torbę ze stołu. Zapiął ją troskliwie i położył na kolanach.

– W kilka godzin nie mogę zorganizować ewakuacji – oznajmił, obawiając się reakcji. – Ale – uprzedził protesty – mogę przerzucić was do Mita Sah. To sześćdziesiąt kilometrów na południowy wschód. W górach. Nie mamy odpowiedniej ilości lotnictwa. Kabul przysłał tylko kilka śmigłowców i samolotów wsparcia. Wiele jest jednak bez części i techników. Amerykanie zabrali instruktorów. Do miasta jednak od kilku dni latają maszyny z amunicją i posiłkami. Wyrzucają desanty na tyłach wroga – kłamał, budując sobie prestiż. Polski pułkownik wiedziałby o tak śmiałych akcjach. – Z powrotem biorą rannych do tutejszych szpitali. Możecie zabrać się w strefę walk, skoro tak wam zależy. Na osobną misję nie mam zwyczajnie środków. Ale... – podniósł wyprężoną dłoń – na miejscu dowodzi mój kolega, generał Maluvi. To dzielny wojownik. Twardziel. Pomożemy wam zorganizować całą akcję. Najdalej pojutrze będzie można zabrać waszych ludzi tu, na samolot – wykladał plan działania jak rasowy oficer.

Kłodziński omówił coś ze Stenblockiem i Linberg, którą wreszcie zaakceptował jako pełnoprawną partnerkę.

– To chyba optymalne rozwiązanie – zgodził się. – Zawiadomię Kabul.

– Liczę na to. – Dżianahan wstał, pokazując zęby w uśmiechu. – Kiedy będą państwo na miejscu, proszę ustalić wszystko z Maluvim. Poinformuję go swoim kanałem. Mają tam naprawdę dobre oddziały. Liczę później na wsparcie. – Miało to dotyczyć chyba działań wojskowych, ale mimowolnie wzrok oficera prześlizgnął się znów po teczce.

– Bardzo, bardzo panu dziękujemy – Anna przejmowała na koniec inicjatywę, do ostatka pompując ego generała. Dżianahan poczuł przyływ satysfakcji, po czym zignorował bezczelną niewiastę, łaskawie podając dłonie samym mężczyznom. Nawet Thomali, który nie odezwał się ani słowem.

– Jesteście gośćmi. – Oficer wykazywał się wspaniałomyślnością, za którą zainkasował kilkadziesiąt tysięcy. – Transport powinien być gotowy w ciągu godziny. Może dwóch. Jednak – naszło go na chwilę być naprawdę szczerym – Mita Sah to pole bitwy. Uważajcie na siebie. Nie

chce, by góra rozkazywała mi ratować was z kłopotów. – Pogroził operetkowo palcem, krzyknął do kapitana, choć ten stał obok, i wyszedł z pokoju.

Facet w garniturze ulotnił się za oficerami, niby to zaordynować herbatę, ale zapewne chciał już odzyskać swoją część gotówki. Pozostali rozsiedli się w milczeniu.

– I co? Jestem zagrożeniem? – rzuciła bezczelnie Anna.

– Tak. – Kłodziński wydał sobie przeciągły odgłos. Czuł się zakłopotany. – Słowo „dziękuję” na pewno się pani należy.

– Nie boisz się. Zupełnie się ich nie boisz. – Thomal chwalił bez zbędnej otoczki dyplomacji.

– Daj spokój. – Linberg machnęła dłonią, jakby odganiała muchę. – Oni mają nas... was gdzieś. Bez bata nad tyłkiem albo dobrego powodu – potarła palcami, jakby liczyła pieniądze – już nic nie zrobią. Was mogli szkolić, przygotować, ale to nie to samo, co znać ich tu. Wybaczcie, proszę, ten popis, ale panów oficerów nie interesują amerykańskie drony i broń. To bujda. Zresztą widzieliście. I tak wyślą nas tam jak stertę skrzyń z nabojami. Bardzo drogą stertę. I tego się boję. Bo coś mi mówi, że będzie ciekawie. Zresztą, to Afganistan. – Nieśmiało się uśmiechnęła, obracając ku mapie. – Tu zawsze jest ciekawie.

ROZDZIAŁ 6

Dwa rozłożyste wirniki, napędzane potężnymi silnikami, rozkręcały się z każdą minutą coraz bardziej. Im szybciej się przesuwały, tym więcej unosiły piachu i pyłu, tnących po odsłoniętych fragmentach skóry. Niektórzy przywykli do tych smagań i nie zwracali nań uwagi, jakby omiatał ich zwykły zefirek.

Szef załogi robiącego wrażenie CH-47 Chinook był zmęczonym, leciwym weteranem o mocno ogorzałej – nawet jak na standardy urody tutejszych mężczyzn – twarzy. Był przy tym szczupły (czy raczej żyłasty), za to krzepki. Jego mundur lotniczy był wytarty, tak jak kamizelka kuloodporna i taktyczna, do których przytroczył kaburę z bronią. Pod pachą trzymał okrągły lotniczy hełm z wymalowaną na amerykańską modłę zawadiacką czaszką, którą chciał pewnie straszyć wrogów. Wicher miotał skrawkiem papieru w jego rękach. Facet zupełnie nie był zadowolony z rozkazu, jaki otrzymał. Entuzjazm oficerów, którzy obiecywali Polakom i Szwedom wsparcie, nie przemawiał do niego.

Ludzie z obsługi naziemnej i kilku liniowych żołnierzy armii narodowej uwijali się przy pakowaniu do brzuszyska mechanicznego kolosa skrzyń, baniaków i kanistrów.

Zagraniczna grupa, którą znów przepędzono z powrotem na lotnisko, czekała grzecznie, chroniąc się za goglami i okularami, osłaniając dłonie i twarze. Nikt nie odzywał się słowem – w tym hałasie nie było sensu. Kilka zdań surowego nakazu wydanego przez przewodnika – afgańskiego kapitana, który dopilnowywał sumiennie, by usługi za łapówkę wykonano – musiało starczyć lotnikowi.

Adam zaczynał się zastanawiać, czy ten opór to nie jakaś forma tortury dla całej ich grupy. Zwyczajnej zemsty, którą zadawał nawet tak pośledni trybik wojskowej maszyny, również wściekły na rejteradę zachodu. Pewnie Anna określiłaby to bardziej zwyczajnie jako wrodzony upór i nadzieję na bakszysz. W tym przedziwnym kraju wszystko zdawało się kwestią ceny. Ta rosła z każdym dniem, a nawet godziną.

Adam był nieomal pewien, że cała ta misja ratunkowa, w którą go wciągnięto, staje na głowie. Z jakiegoś względu przygotowywano ją za szybko, jakby w panice i nie potrafiąc doszlifować szczegółów, takich jak transport. Prosty lot z punktu A do punktu B. Wszystko opierało się na humorach poszczególnych oficerów i żołnierzy, którzy stawali się ważni niczym watażkowie. Zastanawiał się, czy jest szansa, choćby cień szansy przynajmniej, by zremisować tę wojnę. I czy nie lepiej uciekać jak najszybciej z tej piaszczystej krainy niemożności. Tylko cel wycieczki pod Hindukusz interesował go coraz bardziej. Pośpiech był wskazany, by ratować cywilów i uniknąć skandalu, gdyby coś im się stało. Ale teraz wyprawa przypominała amatorszczyznę. „Być może tak miało być?”. Rozważał różne za i przeciw, coraz bardziej wkurzony na hamletyzującego Pasztuna z hełmem lotniczym pod ramieniem. „Ciche, chropowate i oficjalnie improwizowane akcje nie zostawiają tyle śladów”.

Szef załogi wreszcie przełamał obawy. Wcisnął hełm z czarną szybką na swoją wątłą głowę. Kask był za duży i nadawał mu wygląd pieczarki. Lotnik zmiął papier rozkazu, wciskając w kieszeń, i machnął na znak, by zespół ładował się do środka.

Afgańczyk nabrał wigoru i zmienił podejście. Stał się szybki, ale i opryskliwy. Osobiście wskazywał miejsca w zawałonej ładowni. Ludzie ścisnęli się na taśmowych siedziskach pod burtami razem z drużyną afgańskiego wojska. Przynajmniej oni, frontowi żołnierze byli uprzejmi, naiwnie myśląc, że otrzymują wsparcie od sojuszników. Jeden z nich, szczupły strzelec erkaemu M240, podał Adamowi dłoń i podniósł kciuk. Gestem wskazującym na uszy przestrzegł, żeby je zatkać. Dudnienie silników zmieniało się wewnątrz w monotony, ciągły metaliczny szum. Operatorzy GROM-u i szwedzcy komandosi budzili respekt i dodawali nadziei umęczonym Afgańczykom, którzy pozdrawiali ich unoszonymi i zaciśniętymi pięściami. Nawet pojawienie się odzianej w wojskowe oporządzenie Anny przyjęto jak dobry znak. Miejscowi usiłowali gwizdać i uśmiechać się, pozbawieni rytualnych oporów przed obecnością niewiasty.

– Biedaki! – Linberg krzyknęła do siedzącego obok Polaka z GROM-u, ale on i tak niewiele słyszał. Odwzajemniła pozdrowienia błazeńskim ruchem ręką, niczym gwiazdka jakiejś reklamy.

Szef załogi sprawdził mocowania ładunku i depcząc po nogach siedzących, prześlizgnął się na czoło maszyny. Rampa ładunkowa zaczęła się podnosić. Silniki zwiększyły moc i zaraz śmigłowcem szarpnęło. Zaczął się prędko i nieprzyjemnie wznosić, kołysząc się niczym jojo na sznurku. Adamowi zrobiło się niedobrze. Starał się utrzymać podchodzący pod gardło lunch, jaki wydano w Chosćie. Chyba podświadomie coś go ostrzegło, bo nie najadł się do syta. Kamizelka cisnęła, było mu duszno, choć przez okna strzelców i rampę do środka wdzierało się chłodne powietrze. Rozpiął rzep kamizelki i dopiero ustabilizował oddech. Reszta drużyny też źle znosiła tę torturę. Ludzie zwieszali głowy, wiercili się albo udawali skupionych z zamkniętymi oczyma. Linberg na skraju ładowni oddychała głośno, nadymając policzki i ostrożnie łypiąc w dół, na krajobraz pod śmigłowcem.

„Monsignore” błady jak prześcieradło, pocił się, ale też z satysfakcją obserwował niedolę kobiety. Lot przeistaczał się w cholerną, straszną huśtawkę. Thomal modlił się, by trwał jak najkrócej.

Gruby kadłub śmigłowca przemknął nisko ponad dachami, sypiąc wzniecany przez siebie kurzem. Pilot zgrabnie wyhamował i zrobił ciasny zwrot. Przebył wolnym tempem dobre pięćset metrów, jak na podniebnej paradzie. Obrócił maszynę, która bez oporu poddawała się jego woli.

Chinook zaczął lądować, skierowany idealnie rampą w stronę czekających na lądowisku żołnierzy. Kolos dotknął ziemi z gracją i jeszcze kilka chwil w tym miejscu trwała istna piaskowa burza.

Lotnisko urządzono na zachodnim skraju miasteczka, na rozległej płaskiej przestrzeni, tuż za murami ostatnich domów. Piaszczystego placu pilnowało kilka wozów miejscowej policji granicznej: zielonych toyot z zamontowanymi na dachach karabinami PK. Bliżej domostw ustawiono prowizoryczne, plastikowe zbiorniki paliw, obłożone

workami z piaskiem na wypadek ostrzału. Wokoło zaś parkowały wojskowe Humvee, ciężarówki oshkosh oddawane armii narodowej i zwykle pick-upy. Przy jednym z tych aut czekał kapitan Yasim Rahmat. Wpatrywał się w maszynę, zwalczając rosnącą w nim z wolna irytację. Na domiar wszystkiego był nieładnie zmęczony, czego nie mógł już maskować różnymi „wspomagaczami”, jakie zapewniała armia.

Z brzucha śmigłowca zaczęli wychodzić ludzie. Połowa nie pasowała do zwyczajowych posiłków. Byli wyżsi od reszty afgańskich pasażerów. Nieco tylko zdezorientowani, karnie pomagali przy prędkim rozładunku towarów, które zaraz zaczęły być noszone na podjeżdżające auta. Afgańska drużyna powędrowała na ciężarówkę, machając do zachodnich gości. Zza kalat podjeżdżały pick-upy, z których wynoszono nosze albo podprowadzano rannych.

Rahmat i jego trzyosobowa grupa wsparcia podreptali przejąć ludzi, których miał pilnować. Kilku osiłków z pomalowaną na barwy ochronne bronią wyglądało krzepko i profesjonalnie. W czarnych goglach, objuczeni sprzętem i o zaciętych minach chronili okręgiem tych kilka toreb jakiegoś dobytku na pryzmie.

Rahmat z szacunkiem skinął głową do polskich kolegów. Odpowiedzieli tym samym, rozumiejąc, że mają do czynienia z elitą afgańskiej armii.

– Witam w Mita Sah! – krzyknął kapitan do reszty z daleka, nie potrafiąc wymyślić nic oryginalniejszego. Kłodziński i Stenblock popatrzyli po sobie, czując się wywołani do rozmowy. Musieli wyglądać nietuzinkowo, jak jakiś rodzaj kolektywnego dowodzenia.

– Mamy zadanie wywieźć pracowników... – zaczął Stefan, ale uniesiona ręka afgańskiego komandosa mu przerwała. Śmigłowiec zaczął znów hałasować. Poszarzało od kurzawki i Chinook wystrzelił z lądowiska, prawie pionowo.

– Wiem, po co tu was przysłano. – Yasim przemówił, kiedy zrobiło się ciszej. Taksował wszystkich, usiłując wyłowić coś z ich mimiki i wyglądu. Najwięcej czasu poświęcił oczywiście Annie, która fascynowała go, ale była też zapowiedzią kłopotów. – Tu nie będziemy

rozmawiać. – Pokiwał palcem i popatrzył wokoło, na biedny skrawek pustyni w palącym słońcu. – Lubią strzelać w miejsca, gdzie lądują śmigłowce – wyjaśniał, nie dookreślając, kim są „oni”. – Generał czeka. – Pochylił się, stając bokiem i wskazując na kilka amerykańskich Humvee.

Pomieszczenia operacyjne dowództwa obrony Mita Sah były rozległe i bardzo głośne. W przypominającym rudere, niepozornym piętrowym domu z pustaków zamaskowano sztab.

Tymczasem pokoje jakiejś niedużej firmy zastawiono ekranami i innym sprzętem łączności. W największym, centralnym punkcie stał prowizoryczny stół z plastyczną mapą, stworzoną z gliny i jakichś zabawek.

Wejście było zamaskowane kilkaset metrów dalej, na sąsiedniej posesji, z której docierano piwnicznym korytarzem. Oficer Kandaku wyjaśniał pobieżnie, że obawiają się tu snajperów, ale także dronów, które wróg rzekomo miał w użyciu.

Sztabem dowodził stary, zmęczony życiem generał o bystrym, wściekłym spojrzeniu. Jego przybocznicy wyglądali na równie wycieńczonych. Chcieli jednak trzymać fason i równać w górę, by nie zawodzić dowódcy. Pozornie był staruszką, ale budził szacunek.

Niewielu przejmowało się delegacją, ale nie z wyrachowania, a z braku czasu. Ktoś rozmawiał bez przerwy przez radiostację z afgańską nerwowością, jaką obdarzało się podwładnych. Kto inny stuknął w klawisze komputera, chyba tworząc szyfrowane raporty dla wyższych szczebli. Adam Thomal miał zaszczyt być jedną z czwórki osób dopuszczonych przed oblicze generała. Znowu zaczęło się tłumaczenie powodów przybycia i prośby o wsparcie.

Siwy wojskowy o nazwisku Maluvi i jego niewielki sztab mocno się niecierpliwili. Generał słuchał, bawiąc się jakimś długopisem i co rusz chodząc po sztabie. Wreszcie przerwał i sam zaczął mówić. Mocno, dosadnie, dobrą angielszczyzną, wskazując mapę. Thomal słuchał kilkanaście minut oparty o ścianę, z każdą mijającą sekundą rozumiejąc

lepiej, że jest niepotrzebny. Nic od niego nie zależało, nikt nie pytał go o zdanie. Dla oficerów sztabu, którzy co chwila taksowali go badawczo, musiał uchodzić za jakiegoś urzędnika (którym w istocie był). Nikt nie przyznawał się, gdzie służył. Tyle tylko, że Adam nabierał pewności, iż każdy z tych Afgańczyków przejrzał ich od początku i nie wzrusza ich kamuflaż grupki białych. Zwłaszcza że nie przywieźli dosłownie nic, co mogliby zaoferować w zamian.

Thomal czuł jak odpływa, słabnąc od emocji i wypacając wszystko, co miał wartościowego w organizmie. Dochodził do tego brak porządnego snu i ciągle wielki deficyt kawy. By nie skompromitować wysiłków negocjacyjnych, równie jak on zmordowanych Kłodzińskiego, Stenblocka i majora GROM-u, zaczął przesuwac się do drzwi. Tak jak sądził, nikt nie spostrzegł jego „angielskiego wyjścia”. Nie wołali za nim, nie żądali opinii na jakiś strategicznie ważny temat.

Thomal wypatrzył w korytarzu wielki termos i stertę papierowych kubków. Polakowi zdawało się, że to jakieś porzucone śmiecie. Bardzo miło się pomylił, wciskając przycisk. Zapach czarnej kawy był cudowny. Wypełnił kubek, a po namyśle drugi. Kofeina rozchodziła się po ciele, dając choć nieco wrażenia, że mocy przybyło. Przyjemnie pobudzony zszedł na parter do ciasnego pokoiku z betonową podłogą. Anna była w środku pilnowana przez „Golasa” z GROM-u. Pozostali obstawili budowlę, jak to mieli w zwyczaju, nie ufając przesadnie nawet, albo zwłaszcza, miejscowym.

– Znalazłem to – Adam rzucił wesoło, przymilając się do Anny. „Golas”, który też bajerował dziewczynę, spochmurniał, widząc konkurencję. Ale to były gliniarz miał atut, gorącą kawę.

– Proszę... – Podał naczynie kobiecie, uradowanej tak, jakby dostała garść pereł. – Na górze mają więcej. Zmienię cię – zaproponował komandosowi z miną niewiniątka. Operator przygryzł wargę, patrząc na Annę i oczekując z jej strony jakiegoś protestu, ale nic nie nastąpiło. Adam z trudem powstrzymał śmiech. Żołnierz wyłapał w mig, że jego bajery na niewiele się zdają. Babka traktowała go jako tylko zabijacza nudy. Uznał swoją porażkę, ale tylko chwilowo, bo surowe spojrzenie w stronę mijanego Thomali obwieszczało ciąg dalszy starcia.

– Dzięki za kawę. – Linberg z rozkosznym wyrazem na buzi podniosła kubek, jak tylko zostali we dwoje. – Korzystasz z okazji, by mnie wyrywać, czy tak nudzą? – Nie przestawała być bezpośrednia i zdecydowana.

– Stanowczo to pierwsze. – Adam rozumiał, że zyskuje w jej oczach, więc szedł za ciosem. – Nie ma lepszej miejscówki na podrywanie babeczek niż jakaś nora w ruinie po środku afgańskiego niczego. – Zaśmiali się oboje.

– Będzie coś z tego... – Anna podeszła bliżej i zsunęła się przy ścianie, by usiąść. Adam dołączył. – Jesteśmy tak blisko. – Zamglony wzrok powędrował na zabite deskami okno. – Znam to miasto. To nie Paryż, ale... kiedyś było ładniejsze.

– To robota tych skurwysynów – Adam szukał w głowie czegośkolwiek, by się przypochlebić. – Znaczą talibów...

– Tak, talibowie. – Kobieta sposepniała. – Wiesz, kiedy zaczynałam i przekonywałam tutejszych, że szkoła im się przyda... Boże – złapała się za czoło. – To była terra incognita. Pustynia, mroczne wieki. Mało mnie nie ukamienowali. Gubernator w Choscie też nie chciał gadać. Jak dziś z nami. Ale byłam uparta.

– Jesteś wojowniczką. – Adamowi przyplątał się pierwszy prawdziwy komplement. Wiedział, że się spodoba, bo nie komplementował jej ciała, czego chyba tak nowoczesna osobka nie lubiła.

– Dzięki. Nie lubię wojować. Pamiętam to z dzieciństwa... – Zacisnęła powieki, chyba powstrzymując nadchodzące łzy. – No i udało mi się. Jest szkoła. To znaczy była... Ale są absolwenci, było wiele uśmiechów. Ludzie się przekonali.

– A te zaginione dzieci? – Adam nie wiedział właściwie, dlaczego zepsuł wszystko. Gliniarska ciekawość była jak nałóg.

Anna milczała. Zaskoczył ją. Nie chciała patrzeć mu w oczy. Wstydziała się wpadki. Kojarzyła się z aferami, które wybuchły w kabulskiej siedzibie. Ciągłe sprawiały ból.

– Przepraszam... – Adam usiłował się wycofać. Quadira uśmiechnęła się prawie niezauważalnie.

– Daj spokój. Nic się nie stało. – Przesunęła się, odłożyła kawę na beton i z idealnie nieruchomą twarzą patrzyła. – Kazali ci mnie o to pytać, prawda? – Zdanie w jej ustach w tym miejscu i czasie huczało nieprzyjemnie. – Wiem, że nie jesteście tymi, za kogo się podajecie – ciągnęła temat, widząc zakłopotanie Polaka. – Ty i cała reszta. Cały ten zamęt u nas... Ktoś się wystraszył. Zwolnią mnie, prawda? Nie spisałam się. – Przesunęła się bliżej. – Mark... Mark mówił, że są jacyś ludzie, którzy szukają dzieci. Tych co zniknęły. Chciał pomóc. Jeździłam do Mita Sah, kiedy było to o wiele prostsze. Ja, Balil i moi nauczyciele. Pytałam ludzi. Pytałam w Paktiji. Było tylko kilka plotek o ucieczkach za chlebem. Albo zwyczajowym handlu dziewczynami na żony. Mark grzebał głębiej. – Sposepniała nagle – Teraz rozumiem, że Balil wiedział wszystko i sabotował. Czemu chodził za mną? Z zazdrości czy z podejrzenia?

Podparła głowę o dłonie i poddawała się wolno apatii. Thomal zareagował instynktownie, jak mówiła mu natura łowcy. Przytulił dziewczynę, jak wtedy, w szkole przed zamachem.

– Jakie to wszystko skomplikowane. Mówiłaś o tym na przesłuchaniu? Nie, oczywiście że nie. Będę musiał o tym powiedzieć.

– Jeżeli musisz. Którejkolwiek służbie służysz – dodała po chwili. – To nic nie znaczy. Nic. – Zmieniła temat. – Później na pewno zrobicie śledztwo. Jakies komisje... Wyjaśnię wszystko. Oni wyjaśnią, bo ja się gubię. Kabul, zamachy. Szkoła w Paktice, która... jakby jej nie było. Wszyscy tam uciekli. – Położyła głowę na ramieniu Polaka. Przeszedł go przyjemny dreszcz.

– Tak, opowiesz... Opowiesz wszystko – mówił ciepło, jakby siedzieli nad brzegiem jeziora w parku, a nie w ruderze pełnej wojska. – Może to lepiej? Wszystko ułoży ci się w głowie. – Musnął jej głowę dłonią, a ona potarła zarośnięty podbródek faceta.

– Dzięki za zrozumienie.

Adam nie spodziewał się pocałunku z jej strony. Podobało mu się. Zmęczenie uleciało. Chciał więcej, ale nie było na to czasu. Odsunął ją wbrew woli.

– Trzeba ratować ludzi.

– Tak, tak... – Anna poderwała się na równe nogi, przeczesując nerwowo dłonią włosy – Ja... ja cię przepraszam. – Ciężko znosiła tę chwilę zapomnienia. – Co ci mówili? Będą nas wspierać? Mamy jeszcze forszę, żeby się opłacić.

– Uspokój się – Thomal wstał i potrząsnął ją za ramiona. – Nie myśl tyle... – Żałował jej. – Sporo osób chce ratować twoją trzódkę. – Pogładził wierzchem dłoni policzek kobiety. Spodobało się jej. Przymknęła oczy i zastygła.

– To miłe – szepnęła.

– Miasto jest na w pół okrążone. – Adam zmusił się, by mówić o poważniejszych kwestiach i nie poddać instynktowi. Nie tu, nie w otoczeniu wojska, nie w tym brudzie. – Generał nie wie, czemu taliban wziął za cel tę miejscinę... Miasto i szkołę. – Anna odsunęła się instynktownie. – To ciekawe, nie? Mamy zadanie a jego powody... No ale... Naprawdę mają braki. Nie wyobrażam sobie, jak nas wszystkich stąd zabiorą. Na pewno nie dzisiaj. Diabli wiedzą, czy nawet jutro. – W korytarzu, na schodach zrobiło się głośno. Ktoś biegł szybko. W drzwiach przystanął zaaferowany komandos GROM-u. Upewniał się milcząco kilka sekund, czy aby nie przerwał czegoś, co sam chciałby robić z dziewczyną na osobności.

– Powiesz, co się dzieje? – Linberg warknęła jak zawsze bez pardonu, łapiąc się pod boki.

– Skończyli – powiedział, patrząc na korytarz.

– Ruszamy? – Thomal chciał wiedzieć więcej.

– Musimy. Szuszfale coś knują... – Rozgardiasz rozmów i korków przerwał wyjaśnienia. W drzwiach przystanął wianuszek ludzi z generałem Maluvim na czele. Stał w progu i zatopił długie spojrzenie w Annie. Nie promieniował tym samczym pierwiastkiem

pychy, która cechowała wielu tutejszych mężczyzn. Quadira wyczuła sympatię. Uprzejme, pogodne wsparcie, jak u dziadka troszczącego się o powodzenie wnuczki.

– Salam alejkum. – Anna stanęła na baczność, czując potrzebę okazania szacunku autorytetowi. Narzuciła prędko chustę na głowę. Maluvi przewrócił ucieszonymi oczami i wszedł podając dłoń.

– Witam panią – mówił uprzejmie. – Dzięki takim jak pani udało się choć trochę zmienić w mojej ojczyźnie. Jestem wdzięczny. – Skłonił się. Przyglądający się temu Adam zachodził w głowę, czy to popis wystudiowanej dyplomacji, czy szczerza opinia. Obserwował swoich szefów, którzy też wyglądali na zaskoczonych.

– Chciałam pomóc tak, jak mogłam. – Anna zapewniła gorliwie.

Maluvi ujął jej dłoń w dwie ręce i pogłaskał.

– Ja też postaram ci się pomóc, dziecko. Jesteś odważna, a to wielki wyczyn dla kobiety w tym kraju. Nie byłaś w centrum operacyjnym. – Dopiero teraz zabrzmiało jak wyrzut. Chyba chciałby mieć Annę przy sobie, wbrew zwyczajom. Różnił się mocno od innych oficerów. – Miasto jest w potrzasku. Imponuje mi, że sama stawiałaś się, by ratować przyjaciół. Twoi towarzysze wszystko mi opowiedzieli. – Wskazał na Stenblocka i innych. – Musimy się spieszyć. Odepchnęliśmy wroga, ale on się przegrupowuje. Może uderzyć jeszcze przed zmrokiem. – Z łatwością wchodził w myślenie swoich przeciwników. – Wieści o was na pewno się już rozchodzą. Tamci nie wiedzą, kim jesteście i jak liczna jest grupa przybyszów. Zapewne zakładają, że macie nas wesprzeć. – Wyraźnie żałował, że to nieprawda. – Ale to nie takie proste, prawda? – Obrócił się do zachodnich gości. – Najważniejsze, że oni nie wiedzą i zrobią wszystko, żeby uderzyć, zanim będziemy gotowi. Dobrze więc. – Wyprostował się, kładąc dłoń na kaburze przy pasie. – Ruszycie konwojem. To niedaleko. Pani sama wie. – Znów uśmiechał się do Anny. – Proszę wybaczyć, że nie zabraliśmy nauczycieli tu, do miasta, ale proszę wierzyć: są tam bezpieczniejsi. To dawny posterunek. Jest naprawdę dobrze ufortyfikowany i umiejscowiony. Wolę go trzymać jako element obronny. Blokuje podejście z południa. Wysłałem tam

kilkunastu najlepszych ludzi. Żołnierzy Kandaku. – Dłoń generała wskazała Rahmata trzymającego się tyłów zbiegowiska. – Zabierajcie swoich. Przeczekajcie w szkole, póki wasi nie wymyślą, jak was wszystkich stąd zabrać.

– To znaczy, że... – Linberg odważyła się przerwać starszemu. Bardzo wolno docierała do niej smutna prawda.

– Utknęliśmy tu – podsumował po polsku major GROM-u.

Linberg opadła z sił, prawie osuwając się na ścianę.

– Kwadrans... – Generał spojrział na zegarek. – Zabierzemy was w kwadrans – rozkazał już znacznie surowiej i wyszedł bez słowa pożegnania, tracąc zainteresowanie.

Zespół pozostał sam. Milcząc. Stefan przetarł twarz i kręcąc głową, jakby usiłował wyrwać się z koszmarnego snu na jawie, syknął coś niezrozumiale. Ruszył za generałem zgarbiony, bez siły i pomysłu.

Generał Konstantin Rabstein nie lubił miejsca, w którym przyszło mu działać. Cuchnęło i było ciasno. Najbardziej jednak brzydził się nieporządku i aury, jaka pozostała tu po partaczach z czeczeńskiej komórki GRU. Po ludziach szkolonych w nowym ośrodku w Gudermesie, zwanym „Uniwersytetem”.

– Bardak – powtarzał pod nosem, przechadzając się po pokojach. Sam znalazł kilka skrytek z pieniędzmi i kostkami sprasowanego opium. Nie przebywał w wysuniętej placówce wywiadu, ale w cholernej mafijnej dziupli. Uważał, że „góra” oddała ze strachu zbyt wiele swobody kaukaskim podwładnym, którzy byli i pozostawali w jego ocenie bandytami, nieważne jak mocno by ich trenować. Rabstein dałby wiele, żeby zakończyć zadanie i odlecieć byle gdzie. Do najbliższego miasta a potem do kraju i zamknąć wszystko.

Łyknął jeszcze jedną pigułkę. „Legalny” narkotyk dodający sił i wyostrzający zmysły. Jak reszta swoich ludzi był wycieńczony, ale nikt nie mógł pozwolić sobie, żeby stracić ostrożność. Jednak, pomimo znużenia tłumionego chemią, chciałby wyjść, odetchnąć i przebiec kilka

kilometrów. Marniał w zamknięciu, otoczony przez fałszywych sprzymierzeńców, którym nie ufał za grosz. Był za stary i zbyt doświadczony, by pozwolić sobie na naiwność.

Przeszedł przez pokój dowodzenia, pochylił się nad operatorem drona i szturchnął go. Ocalony z kaźni Czeczen wiedział, że nie ma tu żadnych praw.

– Są już? – Kostia zadał retoryczne pytanie, wpatrując się w ekran.

– Za jakieś pół godziny. Może mniej. – Młody meldował przez opuchnięte, poranione usta.

– U rządowych coś nowego? – Generał stanął po środku, pytając innego oficera, jakby więzień przestał go interesować.

– Nic... – Yakow, funkcjonariusz SWR, popatrzył na szefa przez ramię. – Transport, tłum ludzi i nic więcej. Wywieźli ich do centrum i zniknęli. Nie wylązą.

– Zaczną jutro coś przygotowywać. – Konstantin podrapał się po brudnej głowie. – Pokaż nagranie.

Wciąż męczyło go wspomnienie obrazu, który wyłowił jego dron. Reszta ludzi pozostawiona w Kabulu spisywała się świetnie, potrafiąc podejrzeć monitoring prawie każdego cywilnego miejsca na trasie przelotu polsko-szwedzkiej grupy. Kostia wiedział o niej wiele. Miał obraz z zamachu, dzięki kamerce, którą sam zamontował, i wiedział, że nie doszło do wielkich zniszczeń. Poprzedniego dnia uzyskał potwierdzenie tego, co sugerowali mu podwładni hakujący kamery albo kontaktujący się z agencją na lotniskach.

Na filmie o szaro-czarnej barwie, przesuwanym się po okręgu kamery widać było obłok kurzu, wielki śmigłowiec Chinook i tłum ludzi wychodzących z brzucha maszyny. Większość była uzbrojona. Pomagała rozładować zaopatrzenie. Tylko jedna osoba stanęła z boku i niecierpliwie przestępowała z nogi na nogę. Była zbyt wiotka, by taszczyć ciężary. Konstantin patrzył na kobietę jak wilk na ofiarę. Na jej filigranową sylwetkę i delikatną głowę, niepasującą do zbyt dużego hełmu.

– Starczy. – Odwrócił się. Generał musiał objaśnić samemu sobie kilka zagadnień, które stawały przed nim całkiem niespodzianie. Ta praca rzadko kiedy była nieskomplikowana i prosta do wykonania.

– Pewnie jutro ruszą do szkoły – przewidywał na głos. – Pilnujcie ich. Ciekawe, ile im to zajmie? Czy w ogóle się wydostaną. W Choscie pozostał samolot, muszą tam wrócić.

– A Ahmed ściąga posiłki... – ktoś z zespołu mężczyzn dokończył.

– Właśnie, ściąga posiłki – powtórzył Kostia. Niepokoilo go coś. – Teraz. Nagle. Porozmawiam z nim jeszcze.

Wyszedł przed kalatę i machnął na kilku zbrojnych, by mu towarzyszyli. We czterech przeparadowali na plac, gdzie stały śmigłowce, gdzie kręcili się bojownicy Afgańskiego watażki. Jak zawsze patrzyli z mieszanką podejrzliwości i szacunku. Zwłaszcza że wysoki, siwy gość nie nosił kamizelki ani hełmu. Demonstrował ufność wobec miejscowych.

Wieść, że nowy „sojusznik” w swojej łaskawości opuścił schronienie rozeszła się lotem błyskawicy. Rozsiadający się po namiotach i chałupach mudzahedini zbijali się w gromady, ciekawi co wyniknie. Pułkownik Ahmed wybiegł na spotkanie. Był zaspany, spocony i mocno zaaferowany.

– Generał miał się nie pokazywać – warknął. – Nie chciał pan z nimi rozmawiać? – Wyciągnął ramię z bronią w stronę drogi i pytająco przekręcił głowę. Obawiał się czegoś. Najbardziej tego, że Rosjanie zmienili zdanie i chcieli wejść mu w paradę, umniejszając jego status przed gośćmi z za granicy.

– Mamy czas. – Siwy nie bawił się w uprzejmość. Pokazał namiot „wodza” i nie czekając na niego, sam wszedł do środka. Ochrona została na zewnątrz, ciasno blokując przejście.

– Po co to wszystko? – Kostia prawie krzyknął. – Dostałeś pieniądze, wsparcie. Nie potrafisz dokończyć prostego zadania. Przestaliście atakować? Dlaczego?! Teraz Mita Sah dostało posiłki, będzie jeszcze trudniej.

– Dlatego potrzebne jest mi wsparcie. – Ahmed rozłożył ręce w żalostnej pozie. Tylko oczy go zdradzały. Śmiały się i drwiły z Rosjanina.

– Ty śmieciu.... – Konstantin podszedł bliżej, grożąc pięścią. – Myślisz, że możesz dość wszystkich wokoło!

– Spokojnie, spokojnie. – Ahmed pozwolił sobie odepchnąć oficera. – Usiądziemy. – Wskazał jeden z dywanów. – Napijemy się czaju....

– Nie usiądziemy i nie napijemy się czaju! – krzyknął Rosjanin. – Nie jestem tumanem jak tamci... – Palec wskazał w stronę domu. – Z nimi mogłeś pogrywać.

– Nie pogrywam. – Ahmed spuścił oczy, niby zatroskany. – Ich prośba była prosta. Pozornie prosta. Miałem zabić wszystkich w szkole, ale nie daję rady. Muszę zdobyć miasto, osłabić wolę walki, wtedy się uda.

– A ludzie ze szkoły znikną! Przygotują sobie transport! – Kostia znów podniósł głos, tracąc wygląd opanowanego profesjonalisty. – Wziąłeś pieniądze. Masz z nami pracować.

– Z wami... – „Pułkownik” zaśmiał się bezczelnie – Ilu was jest? Garstka. – Rozłożył place dłoni, jakby coś mu się z niej wymknęło. – Pan wie, kto tu przybywa? Z kim rozmawiamy od tygodni? Wodzowie połowi plemienia Lohani! – oświadczył uroczyście. – To wielkie plemię, po tamtej stronie gór. Wadziliśmy się z nimi. Ja, talibowie i ci, którzy byli po stronie Kabulu, ale teraz... Teraz, generale, idą nowe czasy. Zaczyna się wielki marsz.

– Wiedziałeś! – Kostia zaczynał rozumieć. – Od dawna wiedziałeś... Knęłeś z nami i Pakistańczykami. – Zakręciło mu się w głowie. – Jak długo? – Pytanie zadał bez nuty złości, która i tak na nic by się zdała.

– Czy to ważne? – Ahmed zawiesił karabin na ramieniu, splótł ręce na plecach i odwrócił się. – Kazaliście śłać młodych za góry. Musiałem dogadać się z Lohani. Z różnymi innymi plemionami. Twoi poprzednicy wiedzieli. Albo raczej się domyślali, przynajmniej części planu. Za to nie zorientowali się, kiedy dostałem stu zagranicznych ochotników do ataku na Mita Sah. Twoi poprzednicy byli zbyt skupieni na sobie. Może

czegoś nie dopilnowali. Teraz już to wiem, bo przyjechałeś. Bo ich zlikwidowałeś. Ale ja – przyłożył dłoń do serca – jestem w porządku. Zadanie wypełniłem.

Generał prawie go nie słuchał. Starał się ułożyć sobie w głowie wszystko po kolei. Scenariusz klęski i zdrady. „Pakistańczycy...” – rodziła się w jego głowie przerażająca wizja. „Kapitan Mazar” nie tylko robił na interesy na boku, ale wszedł w kooperację z obcym wywiadem. Potężnym, zwłaszcza na pograniczu pakistańskim, Inter Services Intelligence. Tak, to logiczne. Pakistańczycy musieli wiedzieć. Musieli akceptować wszystko za jakiś układ z górą, ale i tak omotali ludzi z Gudermesu, może i wmawiając, że wszystko jest w porządku. Potem wszystko już się samo toczyło, póki ktoś nie zaczął sprawdzać. W końcu kołdra przychodów zrobiła się w kraju tak krótka, że trzeba było przyjrzeć się każdemu źródłu.

– Pakistańczycy idą po władzę. Wesprą talibów, nas i kogo się da. Ich są tysiące. – Ahmed, niewzruszony tym, że Rosjanin odpłynął w rozmyślania, opowiadał bez ustanku. Jego pewny siebie głos był irytujący. – Walki zaczną się tu, na północy i wschodzie. Z pomocą sojuszników przejmemy Mita Sah i tę waszą szkołę w kilka godzin. – Wyprężył pierś pewien wiktorii.

Konstantin spoglądał na brodacza, wyobrażając sobie, jak skręca mu kark. Powinien był to zrobić, choćby tylko dla własnej przyjemności. Usunięcie watażki nic by już nie zmieniło. Pół granicy wiedziało o rosyjskiej misji, o przybyciu grupy czyszczącej, o szkole i przerzutach młodych na wschód. „Ile jeszcze?” – to pytanie gniotło Rosjanina. Bał się o inne tajne projekty w tym kraju.

– Chcesz nas wydać? – zapytał wprost.

– A po co? – Komendant wyszczerzył zęby. – Walczymy po tej samej stronie. Chcę tylko, żebyś porozmawiał z wielkimi wodzami. To wszystko. Zaproponują ci układ, coś, co przekażesz swoim na górze. Politycy, wielcy mułowie mogą dyskutować, ale na nizinach. Bywa różnie. Widać już koniec rządów w Kabulu. Musimy się układać. Ty proponujesz mi bycie waszym wasalem, a taliban – wreszcie

przyznawał, że był w kontakcie z fanatykami – być może jakieś stanowisko! O wiele ważniejsze i dochodowe. Rozmawiasz więc... Kto wie, z gubernatorem, ministrem? – Teraz nadymał się jak balon. Gdyby nie okoliczności, Kostia parsknąłby mu śmiechem w twarz. – Masz jakieś sprawy w tej przeklętej szkole? Kosztowało mnie to wielu ludzi, wiele środków i pieniędzy. Ale zdobędziemy ją. Zdobędziemy, bo ja dotrzymuję obietnic. – Zapewniał bojowo, ale Rosjanin już mu nie wierzył. – Ograłem cię? – Bezcelne pytanie huknęło jak strzał. Generał nie zdołał odpowiedzieć. – Uświadom sobie... – Teraz palec Ahmeda tykał pierś Rosjanina. – Jesteś w Afganistanie. Na naszej ziemi i musisz działać tak, jak my chcemy!

– Mam ich. – Starszy sierżant Wardani opowiadał o tym, co wszyscy widzieli. Stał w potrzaskanej baszcie z betonu, śledząc przez lornetkę sznur kilku pojazdów, które wyruszały z miasta, znacząc szlak warkoczem kurzu.

Zasapany „Papa” kuśtykał po schodach, podpierając się bronią. Przecisnął się przez niewielką grupkę komandosów tkwiących na wysokości najlepszego punktu, choć ściągał on jak magnes wszystkie ostatnie ostrzały.

Ukrainiec otarł czoło i też patrzył. Wzbierała w nim nadzieja.

– Co jest, „Papa”? – „Lach” wyrósł tuż za nim, pytając z ekscytacją.

– Dom, rozumiesz?! – Stary najemnik szczerzył zęby. – Zbieraj graty, zabiorą nas. – „Papa” objął kumpla i przytulił w napływie radości.

– Bez wiwatów, ludzie... – Wardani nie rozumiał tej szeleszczącej mowy Słowian, ale nie podobał mu się zachwyty. Trącił kolanem swojego komandosa, który bez ustanku gapił się w zakurzony już monitor.

– Mam zamiar. Będzie ze trzydziestu. – Chłopak spokojnie opisywał to, co widział w oku niewielkiego drona. – Od południa kilka samochodów.

– Wiedzą o konwoju z Mita Sah. – Wardani zawyrokował. Nastawił radio na łączność z dowództwem i zaczął opisywać sytuację taktyczną,

uparcie szukając w okolicy objawów innych zagrożeń.

– Mówże wreszcie. – „Lach” nie zdzierzył długiego wyczekiwania w niepewności. – Co to wszystko oznacza?! – Afgańczyk uciszył go gestem, chcąc dokończyć meldunek.

– Naiwny jesteś? – zbył go, nawet nie patrząc. – Będą próbowali nas dopaść.

– No, ale oni... – Palec Polaka wskazał na rosnący w oczach konwój.

– Nie. – Komandos od razu zaprotestował, wiedząc doskonale, do czego zmierza kondotier. – Improwizują. Nie ma śmigłowców, amerykańskiej armii, batalionu komandosów. Są tylko oni. – Drżące ramię wskazało na tuman na drodze. – Kilkunastu ludzi. A z drugiej strony – wskazał przeciwny kierunek – są źli. Wiedzą, widzą i zaraz się ruszą. Więc – Wardani podszedł, zgrzytając zębami w bezsilnej złości, podrasowanej drażniącą naiwnością obcych – macie być gotowi. I ani słowa cywilom, bo nie opanujemy paniki! – Nikt ze słuchających nie miał zamiaru wdawać się w spór. Wszystko było obrzydliwie proste.

– Już wiedzą. – Młody komandos wychylił głowę za parapet.

– Kurwa! – wypnęło się Wardaniemu. Na dziedziniec wychodzili pojedynczo albo grupkami pracownicy szkoły. Ostrożni, zabezpieczeni kevlarem, ale ewidentnie wyczekujący odsieczy, w radosnym napięciu.

W rozwierającej się bramie widać było nadjeżdżające samochody. Terenowe Humvee i półciężarówki Kandaku. Aż sześć z nich wiozło gości i całe sterty zaopatrzenia, którego nigdy nie było dosyć. Gdy tylko pierwsze wozy wtoczyły się na plac, rozległy się brawa i gwizdy.

Adam Thomal kulił się na fotelu ciasnej, skrzypiącej terenówki. Pod nogami miał worek z piaskiem, który podobno miał jakoś chronić przed wybuchami min. Na środku kabiny „tańczyły” nogi sterczącego na swoim obrotowym stanowisku strzelca. W hałasie, kurzu i smrodzie spalin Polak usiłował zorientować się, gdzie właściwie się znalazł.

– Chyba żartują... – wycharczał, patrząc na betonowe ogrodzenie. Wianuszek cywilów otoczył samochody. Afgańczycy, nie bardzo się

przejmując, zaczęli rozkładać skrzynie amunicji i prowiantu. Zachodni personel poczuł falę radości.

Komandos GROM-u i ludzie Stenblocka nie mogli opędzić się od uścisków, poklepywań i całusów nauczycielek. Usiłowali zepchnąć grupę z otwartej przestrzeni, ale nie było to łatwe. Uradowanych cywilów nie było wielu, ale za to mocno potrafili okazywać radość, pewni ocalenia.

Thomal wydostał się na zewnątrz. Nic tu nie przypominało szkoły z jego dzieciństwa. Budowle w Kabulu wyglądały jak wojskowa baza, ale tutaj było po prostu strasznie.

Piętrowa konstrukcja uczelni nie miała chyba żadnej szyby. Elewacje znaczyły mniejsze i większe ślady po pociskach i odłamkach. Kilka okien było wypalonych. Z innych sterczały resztki okiennic i pozrywane żaluzje. Podwórze było zdemolowane i nakropione lejami, pełne śmieci oraz papierów. Kilka budynków gospodarczych spłonęło. Osmolona czerwona zjeżdżalnia w niedużym parku jordanowskim symbolizowała dramat ostatnich dni. Wszystko to w cieniu betonowych ścian osłonowych robiło przygnębiające wrażenie. Z wysokości przyglądały się mu nie mniej złowieszcze postacie. W hełmach i pancerzach, ciemni od brudu i dymu, nie odpuszczający oręża. Niemi wojownicy, jakby żywcem przeniesieni tu z wieków średnich, gdzie chronili podobnych twierdz. Adam Thomal dotarł do najczarniejszego etapu tej okropnej wyprawy. Na sam front.

Dowodzący w osłonie komandosów precyzyjnie się, niezgrabnie usiłując zachować uprzejmość wobec zebranych. Rosły drab w amerykańskim polowym mundurze czekał u wejścia czegoś na kształt wieży. Nie był wylewny, tylko zmęczony i obojętny. On też miał z tym wszystkim tylko kłopoty. Mówił szczerze, nie ukrywał niczego. Był sam z garstką ludzi, wystawiony na ostrzał. Nie przewidywał, by teraz miało być lepiej.

Anna Linberg wysiadła z ostatniego auta. Nie interesowały ją aspekty wojskowe, plany i taktyka. Miała inne zadania. Z początku nikt chyba

nie zauważył jej obecności. Upłynęło kilka sekund, nim uwaga nieszczęśników spadła na ich szefową.

Wpierw umilkli, gapiąc się jak na zjawę. Upewniali się, że to nie przewidzenie. Efekt upału i zmęczenia. Pierwszy ocknął się kierownik, wątpy Tarik.

– To Anna! – krzyknął i skoczył z radości. Pognał witać zwierzchniczkę. Reszta poszła w jego ślady. Potok ludzi dosłownie porwał dyrektorkę. Otoczyli ją kręgiem, tuląc i płacząc nerwowo, chcąc odreagować strach ostatnich dni. Linberg rozchwytywano, jakby ona była powodem całej akcji, posiadała sprawczość ratowania ich wszystkich. A to nie było przecież prawdą.

Anna, wzruszona tym wybuchem, łowiła zszokowane spojrzenia Jerzmanowskiego, „Monsignore’a” i całej reszty, nie kryjąc satysfakcji. Ludzie docenili jej trud. Miała ich po swojej stronie i była pewna, że po takim entré nie pozwolą zarządowi wyrzucić jej na bruk. Była przecież tak odważna, zaradna i troskliwa.

Kobieta uśmiechnęła się szerzej. Napawała się triumfem, choćby był maleńki, chwilowy, a nikt nie wiedział, jak właściwie cała ta przygoda się skończy. W rzędzie spoglądających na ten wiec poparcia Linberg spostrzegła jedno marsowe oblicze. Sprawilo, że i ona spoważniała. Szła mozolnie, klepiąc po ramionach i głaszcząc niby to dobrotliwie głowy, ale straciła zainteresowanie koleżeństwem. Patrzyła tylko na niego.

– Szefowo... – „Papa” wydukał, ciągle lustrując piękność, jakby była zjawą. Podał niepewnie dłoń. Anna wyczuła, jak mocno ma spocone ręce. Rzuciła się na szyję ochroniarza. Scena była ujmująca dla wszystkich obserwujących. Zaskoczony „Papa” uścisnął chudą koleżankę, nie wiedząc, gdzie uciec oczami od tych wszystkich patrzących na niego.

– Nie bój się – wyszeptała niespodziewanie. – Wszystko jest dobrze – mówiła wyraźnie po rosyjsku. Odskoczyła od mężczyzny, ocierając najprawdziwszą łzę. Patrzył na nią. Chyba zrozumiał, bo był bardziej opanowany. – Boże, „Papciu”, jesteś ranny? – Zauważyła opatrunki na nodze i postrzępione ubranie. – Co... co tu się dzieje?

– Miejscowi... – Ukraińcowi zrobiło się głupio. Głowa drgnęła w kierunku ludzi Kandaku.

– Czemu? – Anna zrozumiała w lot, powód mocno ją rozzłościł.

– Małe nieporozumienie – odparł „Papa”, patrząc w ziemię. – Poza tym chcieli wiedzieć...

– Wyciągniemy was – powiedziała głośniej, przerywając rozmowę na niebezpieczny temat. Poklepała dowódcę i raźnie ruszyła mówić z resztą mężczyzn. – Jestem Anna Linberg... – oznajmiła z daleka Wardanemu. – Miło mi. – Nie wiadomo było, czy się zgrywa, czy mówi poważnie. – Generałowie obiecali nam wsparcie. – Quadira ostro zaznaczała swoją obecność, protestując wobec pomijania w dyskusji, nawet po tym, gdy pokazała swoją przydatność.

– Pan sierżant właśnie tłumaczy. – Mariusz tonował jej nastroje uprzejmością. – Robi się późno. Musimy ruszać natychmiast. Inaczej...

Wardani złapał za słuchawkę przy głowie. Odpowiedział coś, wyraźnie niezadowolony.

– Zaczyna się – wytłumaczył po angielsku. Anna cofnęła się z uczuciem zimnego strachu rozlewającego się po ciele. – Cywile do piwnic! – rozkazał podoficer, jakby świadomość zagrożenia napływała z opóźnieniem.

Anna poczuła jak silna dłoń Kamila chwyta ją za ramię i zaciska.

– Musisz się schować. – Włókł kobietę, pozwalając sobie na upust niechęci w tym bolesnym geście.

– Puść, nie chcę. Co się dzieje? – Zaparła się nogami.

– Talibowie. Znaczący bandyci – odparł Wardani. – Idą od południa.

„Monsignore” złamał opór Anny i pchnął przed siebie.

Radosny hałas na podwórzu teraz zmienił się w niespokojny szum uciekających ludzi. Nie robili kłopotów, nie oponowali. Rozumieli sytuację. Przeżyli wiele podczas ostatnich dni. Szli karnie do budynku.

– Co z nami? – Kłodziński vel Jerzmanowski stał, jak mu się zdawało, w samym środku wojny i nie wiedział, jak może się przydać.

– Pan idzie do podziemia! – Mariusz rozkazał podekscytowanym głosem. – Wy też. – Pokazał na Adama i Stenblocka. – Nic tu po was! No już!

Thomal nawet się ucieszył. Miał dość takich „zabaw” w życiu.

– Panowie... – poprosił po angielsku szefów, nieskory rejterować sam i to jako pierwszy.

Kiedy dobiegali do wejścia, ponad dachem rozległ się jeden wystrzał. Był przedziwnie doniosły. Za moment hałas eksplodował z pełną mocą. Szańce ożyły błyskami ognia kierowanego na nieprzyjaciela. Ten był szalony, zdesperowany albo zwyczajnie odurzony. Być może zadziałały wszystkie trzy czynniki.

Zza osłon wzgórków wylaniały się białe i zielone pick-upy obłożone uzbrojonymi cywilami. Siedzieli upakowani, z lufami kałasznikowów sterczącymi z każdej strony. Strzelcy erkaemów na dachach usiłowali razić dobrze ukrytą obronę, choć w tym pędzie i zygzakach było to bez sensu.

Smugowe pociski z murów wzbijały niezliczone fontanny piasku na dalekim przedpolu. Całe ich kępy wyrastały w jednym miejscu, by zaraz objawić się gdzieś indziej, gdzie cele wydały się atrakcyjniejsze. Pierwsze dwa wozy zamarły roznoszone gradem ołowiu, już w kilka chwil po objawieniu się na równinie. Dymiły rozrywane na strzępy blachy. Zaskoczeni i spłoszeni bojownicy skakali na ziemię, jeżeli mieli okazję, albo ginęli w środku. Ciemne ciała zaczynały znaczyć miejsce wariackiej szarży. Czarny dym buchał z rozpalających się wraków. Ludzie w turbanach przypadali do osłon i jeżeli opanowali strach lub szok, usiłowali strzelać na oślep. Kolejny wóz wyleciał w powietrze. Płonący ludzie tarzali się po piasku.

Bojowy sprzęt walał się po ziemi, porzucony przez rannych i umierających. Wkoło kolumny zaczęły syczeć wybuchy pocisków automatycznego granatnika. Kandak zaczął używać naramiennych wyrzutni, usiłując dopaść kolejne wozy.

Szturmujący szaleńcy odgryzali się z RPG-7, ale pod tak skoncentrowanym ogniem trudno było przymierzyć. Granatniki talibów skupiały się więc na posterunku u podnóża góry, na opancerzonej amerykańskiej terenówce. Humvee obrósł dymem wybuchów, ale jego strzelec wciąż pruł ogniem, usiłując odpędzić natrętów.

Ostrzał z twierdzy zaczynał słabnąć. Celów ubywało i każdy przeszkolony operator, Afgańczyk czy Europejczyk, nie miał w co bić. Szarża wyhamowała, aż wreszcie załamała się, zmieniając w chaotyczną strzelaninę kilkunastu ocalałych, skrytych za skałami. Można ich było ostrzeliwać tylko w tych momentach, gdy podnosili się zza osłony. Obydwie strony cichły niebardzo wiedząc, jak zażegnać impas.

– Nie mają artylerii? – Robert „Mucha” wycharczał do radia, przeładowując karabinek na wypalonym piętrze szkoły.

– Mówili, że biednie. – „Monsignore” nie poprawiał nastroju. Kulił się na tym samym piętrze, ale w kolejnym pokoju. Był bezsilny jak wszyscy, którzy tu walczyli.

Oficer GROM-u przebiegł skrawek muru i wpadł do wieży.

– Wsparcie... Nie macie nic? – wykrzykiwał Wardanemu pytania w twarz.

– Wy nim nie jesteście? – odparł Afgańczyk.

– Kurwa... – Mariusz zaklął po polsku.

– Może i tak. – Podoficer wzruszył ramionami. Skądś znał to przekleństwo. – Dziś już się nie wyrwiemy. Będą nas nękać. Sprawdzają nas, to znaczy was, albo chcą szybko załatwić. Jeżeli nic się nie zmieni, jutro wezwę lotnictwo.

– Czemu nie dziś? – zażądał Polak – Widziałem samoloty w Choscie... – Wardani machnął dłonią, nie chcąc się tłumaczyć. Lotów było niewiele, tak jak paliwa, a i o pilotów trzeba było dbać. Lubili być wypoczęci.

– Wiele celów, wiele pracy – odparł spokojnie. – Wasi powinni szukać transportu. Śmigłowiec, rozumiesz? – Zakręcił dłonią nad głową.

– Śmigłowiec. No tak, nikt nie da nam waszych – przypomniał sobie. – Zbyt cenne, tylko na wojskowe transporty. Normalnie, czeski film – występował. Zmienił nastawienie radia – Stefan... – zaczął wywoływać Kłodzińskiego, żeby opisać, jak źle było z ich sytuacją.

– Nadchodzą następni! Wzmocnić posterunek za bramą! – Wardani syczał w eter najpierw po swojemu, potem po angielsku. Mariusz dał sobie spokój z opisywaniem sytuacji szefom. Pognał wąską ścieżką z piasku po grzbiecie muru hesco do swoich, którym wyznaczył stanowiska od zachodu.

Stąd dobrze było widać, jak spomiędzy palących się wraków wyrastają kolejne auta. Jechały szybciej, w większej odległości od siebie i bez zgrai naćpanych fanatyków. Jechał jeden, potem ujawniły się dwa. Major rozumiał, co zamierzają kierowcy. Teraz wiedział również, po co była ta straceńcza misja ludzi z pierwszej fali.

Oparł się o ścianę i wystawił karabinek, celując w samochody przez kolimator.

– Chcieli nas wystrzelać z amunicji – tłumaczył swoim. – Teraz to samobójcy! Pierdoleni Kamikadze! – przeszedł na angielski, żeby wszyscy rozumieli na radiu. Na ostatnie hasło znowu gruchnęła głośna palba. Gdzieś odpalono pocisk z wyrzutni. Ognik prześlizgnął się przy ziemi, minimalnie mijając pierwszy wóz, i rozerwał się w obłoku piasku.

Szofer popisał się reflekssem, unikając kuli ognia, ale szczęście nie trwało długo. Otoczony padającym ołowiem i wykwitami kurzu, skupiał na sobie cały ostrzał. Samochód zadymił, gwałtownie hamując. Czarne cętki rwanego lakieru zaczęły wypełniać blachy. Całe płyty metalu poczęły odpadać i wtedy rąbnięto tak, że mury się zachwiały. Auto rozpadło się na tysiące części, ginąc w pomarańczowym słupie ognia, który wyrósł z leja otoczonego gnającą otoczką piaskowej fali. Rozległy się krótkie krzyki satysfakcji, ale walka się nie skończyła.

Objuczony „Papa” ciągnął za sobą „Ziziego”, który ledwo powłóczył nogami i dygotał.

– Nie... nie chcę – marudził po swojemu. Ciężar taśm z amunicją, jakie obwieszały mu kark, prawie wduszały go w ziemię. Sam Ukrainiec,

ranny i wycieńczony, miał podobne problemy, ale dawał dobry przykład.

– Ruszaj się, tchórze, bo cię zastrzelę. – Ukrainiec szarpnął chłopaka za pasek hełmu. „Lach” dał solidnego kopa Pakistańczykowi. Tak jak i reszta nie miał ochoty wylazić za mur, ale nie było wyjścia. Cała grupa była jak ruchomy odwód Wardaniego. Ten wyszkolony rosty zabijaka nie przewidywał tchórzostwa. Nie tutaj i nie teraz. Upokorzył „Papę”, ale to było ostrzeżenie. Za kolejną przewinę mógł rozstrzelać resztę ochrony, nawet jeżeli uszczupliłoby to zasoby obrońców.

W dodatku teraz byli tu ich chlebodawcy, a misja zaś była daleka od ukończenia. Podobnie jak przelewy za robotę w tym obrzydliwym państwie. Więc musieli brać się w karby i walczyć.

Uchylili furtę w bramie i pognali w dół zbocza, sapiąc i prychnając pod wagą niesionej amunicji i własnej broni. Afgański Humvee był jak wyspa po środku drogi, osłonięta tylko kilkoma workami z piaskiem. Strzelec pruł ostatnimi pociskami, dokładnie celując. Ponad głowami przelatywały setki strzałów, a „Lachowi”, i chyba reszcie, zdawało się, że wróg upatrzył sobie ich jako najłatwiejszy cel.

Pod nogami zatrzęsło się od drugiej eksplozji. „Zizi” padł na ziemię, myśląc, że już po nim.

– Wstawaj!!! – „Lach” chciał pomóc, ale tylko spojrział w stronę zakrętu drogi. Grzyb dymu po eksplozji wciąż rósł w miejscu, gdzie rozerwał się drugi z samochodów pułapek. Z brunatno-szarej chmury wynurzył się jeszcze jeden wóz. Wydawał się szybszy, gnany desperacją ostatniego szahida.

– Rusz się, kurwa! – mówił „Lach” po polsku. Uniósł chłopaka za skrawek kamizelki, co kosztowało go wiele wysiłku. Doturlali się do auta, w którym załoga otwierała drzwi, żeby przyjąć drogocenne pasy z połyskującym mosiądzem pocisków. Ostrzał z murów jeszcze się nasilił. Powietrze wypełnił warkot silnika.

– Jest blisko! – Chłopak na wieżyczce auta zaparł się teraz, już łupiąc ciągłą serią z ciężkiej broni. Inny żołnierz Kandaku porzucił myśl o dostawie, zgrabnie podciągnął swojego M4 pod ramię i zaczął pukać pojedynczo w rosnący w oczach wóz.

– Paszli! – zawył „Papa”, ciskając taśmami i łapiąc karabin. Chwilę zastanawiał się, co ma właściwie ze sobą robić. Kryć się przy samochodzie i czy szukać schronienia na górze i wlec się po sypkim piachu. Noga bolała, pot lał się po plecach. Nie miałby szans. Zaczął strzelać z biodra, chyba tylko po to, żeby dodać sobie pewności. „Lach” i „Zizi” robili tak samo, przesuwając się za Humvee.

– Jest blisko – szepnął Polak przerażająco spokojnie, zniżając lufę. Usłyszał tylko kilka strzałów Browninga na wieży i najmniej kilkaset metrów przed nimi wyrosła ściana ognia i piasku.

Grzmot był tak potężny, że z sufitu zaczął sypać się pył. Skuleni pod ścianami ludzie zawyli, jak na rozkaz unosząc głowy. Echo mruczało po gmachu, odwiedzając każdy pusty pokój, świszcząc i rycząc, kiedy mury jęknęły. Szum eksplozji przechodził w niebyt i znowu słychać było strzały. Ta potworność się nie kończyła. Adam Thomal z rozdziawionymi ustami wpatrywał się w drzwi, jakby zaraz miało przez nie wlać się całe zło świata. Głaskał odruchowo broń w kaburze. Poczciwego glocka, który zdawał się zabawką na wodę w obliczu chaosu bitwy. Pogłos wystrzałów odbijał się od ścian na piętrze i pulsował w skroniach Adama. Nie bał się ich. Bywał już w takich sytuacjach. Rozumiał, że póki słyszy strzelaninę, nie jest tak bardzo źle. Ciągle się bronili.

Zaszumiało od hałasu na parterze przy drzwiach. Kilka osób wbiegało do budynku. Krzyczeli. Ktoś jęczał. Zbiorowisko cywilów zamarło, nasłuchując. Anna Linberg wstała, żeby podejść bliżej.

– Nie! – powstrzymał ją Thomal. – To twoi ludzie. Ja pójdę. – Wspaniałomyślnie wziął na siebie ryzyko.

Przeskoczył schody i ujrzał stróżkę krwi ciągnącą się od potłuczonych drzwi na pierwszą kondygnację. Podążył upiornym śladem do pierwszej z brzegu klasy. Pod ścianą na ustawionych w czworokąt ławkach leżało trzech ludzi. Ledwo się ruszali. Dwaj byli miejscowymi żołnierzami. Ich medyk oraz ratownik z grupy majora Mariusza, zwany „Queen”, uwijali się jak w ukropie. Ściągali hełmy, rozpinali kamizelki i rwali mundury.

Adam wiedział, że hałas, który słyszał nie tak dawno, był eksplozją jakiegoś ciężkiego ładunku. „W coś trafili” – uznał.

Trzeci z rannych leżał na plecach, choć oczy miał otwarte. Był w szoku, zapatrzony w sufit. Może czekał cierpliwie na swoją kolej? Dopiero po sekundzie Adam dopatrzył się czwartego nieszczęśnika. Wił się w rogu, nakrywając głowę dłońmi. Był osmolony i brudny, nie widać było krwi. Thomał chciał wracać, nie przeszkadzać, kiedy skurcz bólu spadł na jego nadgarstek.

Otępiały pozornie wielkolud z ławki stał tuż obok. Adam poznał go. To na jego widok ucieszyła się Anna. Z ostępów zmęczonej pamięci wygrzebał biogram Ukraińca. „To ‘Papa’” – pomyślał. „Danyło, jakoś tam. Stary wyjadacz” – wspomniął prędko.

– Człowieku... – Ciemna od sadzy, pokaleczona odłamkami twarz gapiała się wybałuszonymi, kontrastującymi bielą oczyma. Zęby zaciskały się, tworząc szeroką jasną linię. – Zabierzcie mnie. – Głos Ukraińca drżał. Pochylił się. – Zabiją nas wszystkich – szeptał – Mnie najpierw. Ja wiem... Ja dużo wiem. Oni tam... – Przerażone spojrzenie powędrowało za zbite okna, gdzie królował hałas bitwy. „Papa” się zawahał, ale zmógł targającą nim wątpliwość. – Idą tu bo... Bo chcą nas... mnie uciszyć – mówił coraz prędzej, jakby zaczynało brakować czasu.

– Spokojnie, do cholery. – Adam wysunął dłoń z uścisku. – Odpocznij człowieku, jesteś ranny. – Zaczął rozglądać się za jakimś opatrunkiem, butelką wody, czymkolwiek. Drugi fakt zaczął wylaniać się z mgły krótkiej niepamięci. Ktoś z tej placówki wydzwaniał do Kabulu. Rozmawiał z Balilem Darem o jakichś niezrealizowanych umowach. Dar urwał temat, już wiedząc, że jest podsłuchiwany.

– Chcieliście przekupić talibów! Robiliście tak od początku, żeby dali wam spokój. – Thomał stawał się nieprzyjemny. – Byliście tak naiwni, a oni...

– Posłuchaj, człowieku! – „Papa” padł na Polaka całą siłą i ciężarem, łapiąc za kołnierz. – To coś więcej! Rozumiesz? Coś więcej! – Adam usiłował wykręcić ręce najemnikowi. Zajęci ratowaniem życia medycy nie mogli porzucić rannych i tylko darli się na wielkoluda, żeby przestał.

Wzywali kogoś przez radio i prędko cały hałas zlał się w jedną kakofonię, w której niewiele dało się zrozumieć.

– Macie mnie zabrać. Ukryć. Dopiero powiem. Szukaj w pokoju. Mam dowód na początek. Telefon... zdjęcia... – „Papa” się nie poddawał. – Karim... Wiecie?! – Potrząsł głową Polaka.

– Wiemy, do cholery. – Adam zastosował wreszcie jeden z policyjnych chwytów. Ukrainiec syknął, zgarbił się złapany za zagłębienie pod dłonią. Adam założył mu dźwignię na gardło i zaczął podduszać. – Wiemy wszystko. Uspokój się. – Napierał wiotczającym ciałem do posadzki.

– Gównu wiecie, co robił Karim – zacharczał Ukrainiec i ucichł, przeszyty strachem. Naprzeciw nich stała roztrzęsiona Linberg. Przesuwała wzrok raz na Adama, raz na „Papę”.

– Co ty mu robisz? – Naskoczyła na Polaka, bijąc pięściami. – On jest ranny! – Adam osłonił głowę od razów, a potem podniósł ramiona.

– Ok, ale to on...

– Nic ci nie jest? – Anna usiłowała objąć Ukraińca. – Krzyczycie tak, że... – Kobieta dygotała. – Pomogę... Pomogę mu. – Spojrzała na Adama. – Przynieś wodę ze schronu. Trzeba go umyć. Oczyszczyć – komenderowała, gładząc brudną głowę „Papy”. – No na co czekasz?! – warknęła.

Thomal nie miał ani siły, ani ochoty na tłumaczenia, kto był winien scysji. Zrezygnowany powłóczył nogami. Jeszcze w progu dojrzał, jak śledzi go nieustępliwy, wystraszony wzrok wielkiego faceta.

Słońce gasło powoli, zniżając się ponad kanciaste wierzchołki dalekich gór. Ich szczyty rzucały coraz dłuższe cienie. Światło robiło się łagodniejsze, bardziej pomarańczowe, naiwnie nastrajające do odpoczynku. Długi, niebezpieczny dzień chylił się ku końcowi.

Wiatr szumiał po podwórzu. Było słyhać tylko ten niepasujący do demonicznego otoczenia odgłos. Bitwa się skończyła. Albo raczej

nastąpił w niej antrakt. Przygotowanie do kolejnego, nie wiadomo którego już aktu.

W tym ulotnym momencie pozornego spokoju prawie każdy miał tu coś do roboty. Strzelcy erkaemów wymieniali lufy albo te kilka chwil poświęcali na czyszczenie broni. Samochody, którymi przywieziono zachodnich, przebazowano pod ściany, by nie tak łatwo było je zniszczyć przy ostrzale.

Właściwie nikt nie podjął decyzji, jak ma wyglądać odwrót, więc każdy samochód był na wagę złota. Polscy komandosi donosili amunicję, zgrzewki wody. Wymieniali się informacjami z afgańską załogą. Okazywali szacunek. Kandak był naprawdę elitą armii narodowej. Przed bramą główną, na drodze wymieniono Humvee na nowe. Z poprzedniego została pokaleczona odłamkami bryła z oderwaną wieżą. Zewsząd dobywał się hałas, podniesione, ale zmęczone głosy. Nieustępliwy kurz wypełniał wszystko przy każdym manewrze aut i ludzi. To nieuporządkowane zamieszanie stawało się dla Adama Thomali wymarzoną kamuflażem. Nie był tu po to, by walczyć. Przynajmniej jeszcze nie teraz. Wojsko dawało sobie radę, a on nie dopuszczał myśli, że wróg wdrze się na tę górkę, zanim Kłodziński zmontuje ewakuację. Były glina, obecnie aspirujący do grona tuzów wywiadu, miał co innego do roboty. Przemykał teraz wzdłuż ścian baraków i zrujnowanych szop. Starał się doczyścić ręce z krwi „Papy”. Starał się pomóc przy opatrunkach, ale i w tym był do niczego. Więc wyszedł.

Korytarz baraku dla najemników był stary i cuchnął chyba pleśnią. Przypominał piwnicę w starym bloku. Pokoje kryły się za prostymi drzwiami z dykty. Adam uzbroił się w kawałek pręta. O śmieci nie było trudno w tym całym rozgardiaszu. Szedł ostrożnie i cicho, choć przypuszczał, że nie zastanie nikogo. Ochroniarze tkwili na posterunkach albo na prowizorycznej izbie chorych.

Thomal przeszedł korytarzem aż do samego końca, przyglądając się blokadom, zamkom i czym tam zabezpieczono wejście. Ostatnie było solidniejsze, obite blachą i zamknięte na niedużą kłódkę. Miał swoje

przecucie, swój trop. Wsunął pręt w metalowe ucho kłódki i zaczął je wyginać z całych sił.

W ciasnym pokoju z długim stołem i wnęką na kuchnię tłoczyła się cała zgraja ludzi. Miejscowi, Polacy i Szwedzi. Nie odzywali się wiele. Głównie jedli w pośpiechu. Montowali do hełmów noktowizory, szykując się na nocną służbę. Czyścili broń albo dzielili się amunicją, jeżeli było to możliwe. Mieli tylko kilka chwil na tę przerwę od wystawiania głów ponad mury. Inni też chcieli mieć jakąś odmianę. Ludzie Kandaku trwali na pozycjach i dopiero niewielkie posiłki dały im chwilę wytchnienia.

Pułkownik Kłodziński vel Jerzmanowski wszedł do pokoju, od razu skierował się do dzbanka kawy. Nalał sobie, wypił i wykrzywił się. Była wstrętna i rozwodniona. Stenblock czekał przy drzwiach, nawet nie próbując owego specyfiku.

– Wieści? – Major GROM-u przełknął kęs suszonej wołowiny i odsunął się od stołu. Polacy i Szwedzi słuchali. Wardani i inni Afgańczycy zajmowali się swoimi sprawami.

– Wieści są takie, że jesteśmy w dupie – stwierdził Stefan po angielsku. – Na północy kraju talibowie zaczęli ruch. Idą na posterunki graniczne. Tam trwa bitwa. Do tego wschód... ISIS tłucze się z talibami, ale ci mają przewagę. Tu od strony Pakistanu lezie ich coraz więcej.

– Ok, sir... – przerwał Szwed „Hard”. – Ale co o nas, do cholery. – Był mało taktowny. Stenblock chciał go upomnieć, ale Jerzmanowski pokręcił głową, by dał spokój.

– Tak, wszyscy jesteśmy zmęczeni, a ja bredzę o polityce – tłumaczył, choć niepotrzebnie. – Ja i pan Stenblock szukamy pomocy. Kabul, polska i szwedzka dyplomacja usiłują wymusić przysłanie nam transportu albo nakłonienie miejscowej armii – zakłopotany, ściszył głos, widząc ciekawską reakcję afgańskich komandosów – żeby nas wywiozła. Tyle tylko, że tu naprawdę robi się gównianie. Atak na Mita Sah to początek. Nasi dzielni przyjaciele obronili miasto i tę szkołę, ale o tym starciu robi

się głośno. Pakistańska granica już płonie. Idą na nią potoki rannych z centrum kraju, bo tam uzyskają pomoc. Z przeciwnego kierunku nadchodzą posiłki tamtejszych plemion. Można spodziewać się wznowienia wielkiej ofensywy. Ci, co nas atakują, mają cholernie dobre wsparcie i rozpoznanie. Pakistan? Może ktoś inny? – Bał się wypowiedzieć na głos swoje przemyślenia.

– Uważam, że przy takiej postawie armii narodowej talibowie nie mają szans. – Stenblock próbował pochlebić Afgańskim operatorom, ale robił to jeszcze bardziej niezdarnie niż Polak.

– Damy radę... – Miejscowy komandos furknął pod nosem, nie patrząc na nikogo. Rzucił rozkaz w paszto i wyszedł ze swoimi kolegami, zostawiając zachodnich gości samych. To była bitwa Kandaku. Afgańczycy wiedzieli, o co się biją i jak trudno im będzie zwyciężyć. Nie potrzebowali tyrad i tanich pochlebstw.

– Kurwa... – Major GROM-u opadł w krzesło i wyciągnął nogi. W tych warunkach, w nadchodzącym bałaganie trudno było lawirować w niuansach – Pani Aurelia, co wie? Ambasada w Indiach? – zapytał Mariusz. – Wy, panowie, zajmujecie się polityką, my do niej dostosowujemy taktykę. Ale widzę, że w tym kraju wszystko przestaje działać i trzeba improwizować.

– Wytrzymamy do rana? – Stenblock zasiadł przy stole, podpierając się łokciami. Zadał straszne pytanie, bojąc się jeszcze gorszej odpowiedzi.

– Do rana, tak. – Major wykrzywił twarz w grymasie politowania. – Afgańcy podzielą się amunicją. Stary generał przewidział tę sytuację i nawalił w samochody tyle naboju i granatów, ile się dało. No, ale dzień albo półtora takiej „zabawy” i będzie źle. – Popatrzył po swoich operatorach. – Więc i ja zapytam... Macie, panowie, jakiś pomysł? – Utkwił spojrzenie niechętnych oczu w Kłodzińskim.

– Kabul szuka nam prywatnego transportu – powiedział Stefan wprost, wiedząc, że nie ma już manewru, by kluczyć. Nawet Mariusz wiedział, że oficer AW się boi. – Amerykanie nie mają tu nic i nikogo nie przyślą. W Gardezie mają drony, ale...

– Na razie są nie przydatne – wtrącił major.

– No właśnie. – Jerzmanowski wykrzywił wargę w nerwowej ilustracji swojej niemocy. – Wisieć na łasce generałów upadającej armii nie zamierzam. Negocjowanie z nimi to koszmar. Musimy się wyrwać jednym manewrem. Niech sobie walczą, ale nas nie spisują na straty. – Upił kawy. – W prowincji są podobno jakieś helikoptery. Latają jako transport zaplecza logistycznego armii, jakichś przedziwnych firm wydobywczych czy budowlanych. To przeważnie są Rosjanie. Ale wygląda na to, że nie mamy wyboru. Zresztą... tutaj animozje NATO – Rosja chwilowo są nieważne. Wszyscy mamy podobne problemy – ocenił. Chcieli uciec, bez znaczenia było, kto miał im to umożliwić.

– No, to trzymam kciuki. – Mariusz skrzyżował palce i wstał. To było jak ostrzeżenie, ale Kłodziński udawał, że nie wyłapał aluzji.

– Panowie, idziemy. – Major nałożył hełm z przytroczonym noktowizorem. Operatorzy posępnie wyszli z kuchenki, wracając na chłód stanowisk. Thomal przepuścił ich w drzwiach.

– Panie Jerzmanowski! – Adam zastukał we framugę, powstrzymując się w ostatniej chwili, by nie użyć stopnia.

– A myślałem, że mam spokój. – Kłodziński wstał ociężale. Wyszedł prędko, nie chcąc tłumaczyć się Stenblockowi, którego zostawił samego. Przypuszczał, że Szwed wyczuwa już wszystko i wie, co robi dla niego Thomal.

Stefan i Adam przeszli pod wejście do schronu. Były policjant sprawnym, szybkim ruchem podał szefowi jakiś przedmiot. Znał zasady improwizowanej konspiracji i nie zamierzał zajmować zbyt wiele czasu.

– Co to? – Kłodziński szepnął, wpatrując się w płaski przedmiot, którego nie rozpoznał w mroku.

– Telefon, stary telefon. Znalazłem w pokoju u „Papy”, tego szefa ochrony. Facet kontaktował się z talibami. Namiar dał mu ten cały Balil Dar, tak sędzę. Pani dyrektor też wiedziała, choć może nie w szczegółach. – Wybielał ją, choć wiedział, że to niewiele da. – Mamy nagranie ich człowieka, tego drugiego Pakistańczyka. Najemnika.

Wypłakiwał się Darowi po pierwszym ataku na tę dziurę. Ale... – zrobił pauzę dla efektu. – Tu jest coś jeszcze. Ten telefon był schowany pod meblami, tak jak skrytka u Marka. „Papa” się boi. Chciał, żebyśmy go zabrali. Chce coś powiedzieć, ale nie tu, nie przy tym tłoku. Telefon powinien przeglądać Arkady. Zostawiam tobie. Pilnuj go. Szwedzi tym razem nie węszyli. Może dopiero na to wpadną. Co do telefonu i Ukraińca, przepytajmy go nocą, jak ludzie będą spali.

– Nie ma szans. – Pułkownik podniósł oczy i spojrzał gdzieś ponad Thomalą. – „Papa” nie żyje. Zmarł jakąś godzinę temu.

– Jak to? Przecież rozmawiałem z nim. Podrapało go trochę. Miał pełno krzepy.

– Nie wiem, nie wiem. – Stefan opadł ramieniem na ścianę i zaczął przeczesać włosy. – Miał jakiś zator. Chyba krwotok. Tam była wielka eksplozja, chuj wie, gdzie dostał. Zabili im tego gnojka z Pakistanu. Afgańcy też stracili jednego. Jest kilku rannych. Wywiozą ich nocą do Mita Sah, a potem do Chostu. Śmigłowcem. To są priorytety, a nie banda przygłupów z Europy – szeptał z wyrzutem i schował wreszcie telefon do kieszeni spodni. – Dzięki, Adaś. Napij się kawy albo prześpij. Podobno te fiuty nie podchodzą nocami. Będzie spokój, „groszki” i Kandak nas przypilnują. Ja muszę jeszcze poszukać transportu. Może Aurelia coś znalazła. – Ziewnął przeciągle. – Musimy wiać, Adaś, wiać w podskokach. Wszystko inne schodzi na drugi plan. – Odszedł przygarbiony, zostawiając zszokowanego Thomalę samego w ciemności.

Przebiegłość miejscowych mogła imponować, ale nie zapewniała automatycznego sukcesu. Pewność siebie i niechęć do obcych napełniały rebeliantów zbytnią pewnością.

Przybycie pakistańskich plemion zakończyło autonomię generała Konstantina Rabsteina. Obóz „pułkownika Ahmeda” zalała fala nowych bojowników. W większości odzianych na czarno, przepasanych taśmami amunicji albo dźwigających na piersiach chińskie ładownice. Byli inni, jak ze starego filmu. Nie pasowali nawet do biedaków, którymi

dowodził tutejszy komendant. Szczupli, uważni, silni. Wydawali się półdzicy, całe miesiące w roku odcięci w górach i schodzący tylko po to, by walczyć.

Te „czarne koty” obsiadły kalatę Rosjan z niejakim Magsim. Trzydziestolatek nosił zwyczajowy strój, turban i ciemną brodę. Był przy tym uprzejmy, bystry i skryty. Interesował się całą techniką, jaką posiadali Rosjanie, wcale się przy tym nie zachwycając, a żądając raportów z obserwacji odcinków, jakie mieli atakować mudżahedini. Konstantin i cała jego grupa domyślali się, że to człowiek ISI. Wyszkolony, zadaniowany i tylko odgrywający ludową szopkę.

Tej nocy „nadzorca” spał na posłaniu przypominającym legowisko pasterza w górach. Opiekę nad centrum pozostawił kilku swoim ochroniarzom. Silnym, krzepkim, wyszkolonym w nowoczesnej walce. Jeden strzegł pokoju z elektroniką, kilku spacerowało po dachach. Inni strzegli wejścia i pokoi rosyjskich operatorów.

Rabstein miał wiele zalet. Był inteligentny, jako że posiadał zdolność analitycznej syntezy i jakiś dar wyobraźni. Był ciągle sprawny fizycznie, ale też był dobrym aktorem, jak przystało na oficera jego służby. W tej sytuacji dostosowywał się do warunków i odgrywał potulność wobec nowych panów. Nie potrafił przewidzieć, co mu zafundują. Najgorsza wizja, jaką rozpostarł przed swoim oddziałem, mówiła o tym, że Pakistańczycy zaproszą na rozmowy, porwą ich i zaczną handlować za suty okup i punkty u Moskwy. A może raczej u Waszyngtonu. Centrala przecież nie podejrzewa nic. Przynajmniej nie wszystko. Utrata rosyjskiego generała i groźba pokazania go światu razem z „biznesem”, jaki prowadzili Rosjanie, byłaby propagandowo kompromitująca. Nikt z tutejszych nie zgodziłby się pracować więcej z „razwiedczykami”, nieważne, czy byliby z wojska czy SWR.

Kostia włókł się któryś raz tej nocy po kompleksie, doglądając losu podwładnych. Nikt mu nie przeszkadzał. Był tu najważniejszy, choć jako pół-więzień i cenny skarb. W spokojnej ciszy nocy generał mógł myśleć, układać puzzle całej łamigłówki. Przerazały go teorie o tym, że „góra” uczyniła przeciek. Ktoś tam czerpał procent z handlu tutejszą heroiną. Druga możliwość była niemniej wstrętna. Pekin mógł maczać tu palce,

by utrzyć nosa biedniejszemu sąsiadowi. Ktokolwiek by za tym nie stał, Konstantin tracił. Dał się ograć, obezwładnić i pozostawał w matni. Powstrzymywał się przed wysłaniem sygnału ratunkowego. To byłby koniec. Poza tym to nie był jego styl. Nie mógł skomleć o wsparcie, udowadniając, że naprawdę jest za stary. Któż zresztą miałby przyjść mu z odsieczą? Ambasada? Mogłaby, ale nie robiłaby tego z oddaniem, jako że urzędnicy nie lubili wszechwładzy służby, szczególnie kiedy ta powodowała kłopoty na ich terenie. Przede wszystkim zaś nie ratuje się „specjalnych audytorów”. Oni są najmocniejsi, nietykalni, niepokonani. Zwyciężają albo giną.

W ciemnym korytarzyku między izbami rozsiadł się Pasztun z kałasnikowem. Usypiały go ta cisza i spokój, ale na odgłos kroków generała podniósł głowę i przysunął bliżej broń. Kostia pozdrowił go uspokajająco i szedł przed siebie. Wolno, zwyczajnie odliczając kroki, których teraz wydawało się niesamowicie dużo. Jeszcze pokonywał tęzęcą w umyśle wątpliwość, czy dobrze robi. Naturalny odruch obronny, który nie pozwala na czcze zaryzykowanie życia.

Dłoń siwego generała powędrowała na udo, gdzie w wewnętrznej, długiej kieszeni spoczywał płaski, wyważony nóż. Generał wyciągnął go dwoma palcami i ukrył w dłoni tak sprawnie, że ospały wartownik niczego nie dojrzał. Później wypadki potoczyły się błyskawicznie.

Ostrze wtopiło się w tchawicę. Raz, drugi, trzeci. Krew chlusnęła na ziemię i Kostię. Chłopak nie zorientował się, co się wydarzyło. Z rozerwanego gardła świszczowało powietrze, a otwarte szeroko oczy patrzyły bezrozumnie na Rosjanina.

Konstantin pchnął go ostrożnie, żeby jego upadek nie narobił hałasu. Potem złapał klamkę, wszedł do pokoju i już nie czekając, by się upewnić, skoczył na Magsimiego. Dosiadł go okrakiem, kiedy ten, wyrwany ze snu, zaczynał się podnosić. Dłoń Rosjanina zakryła mu usta, docisnęła go do posłania. Pakistańczyk usiłował się wyrwać, ale zbroczone krwią ostrze przeszło mu mostek. Spieniona czerwień bulgotała, opuszczając ciało przez kolejne rany.

Konstantin wyskoczył na korytarz. Przeszedł, jakby nigdy nic, do pokoju dowodzenia i potraktował nożem strażnika przy drzwiach. Trzech operatorów zerwało się na równe nogi.

– Kandahar... – Rabstein palnął nazwą, którą rozumieli jego ludzie. Dawno temu, kiedy talibowie przejęli Afganistan, zmusili do lądowania samolot transportowy, a jego załogę pojмали. Lotnicy jednak wydostali się z potrasku

Rozbudzeni oficerowie zaczęli nakładać sprzęt i szykować się do walki. Nawet pozostawiony przy życiu Czeczen nie zamierzał zostawać tu sam.

– Dach, sypialnie, brama, helikoptery... – spocony Kostia krótko wyłuszczył prosty, ale ambitny plan. Yakow uczynił trzy razy znak krzyża.

Noc robiła się jaśniejsza i widać było rysującą się na wschodzie nieć poranka. Pośpiech był wskazany. Mrok maskował ruch. Rosjanie dysponowali czymś, co pozwalało im widzieć lepiej, noktowizorami. Ludzie Konstantina znali układ budynków. Musieli się ich nauczyć przed przybyciem tu, szykując się na takie właśnie wypadki: na oblężenie, atak terrorystów albo, co gorsza, sił specjalnych NATO. Nowa zimna wojna – trwająca między mocarstwami, a objawiająca się w Afganistanie najmocniej – przybierała czasem najprzeróżniejsze formy, prawdziwie gorące starcia, na które trzeba było się przygotować.

Operator wychylił się ponad schody prowadzące na dach. W zielonkawej poświacie gogli bez trudu wyłapał sylwetkę taliba. Pistolet SIG-Sauer z długim tłumikiem oparł się o ostatni stopień. Strzelec czekał cierpliwie na odpowiedni moment. Wreszcie wcisnął szybko spust. Trzaski wystrzałów wydały się głośniejsze niż zazwyczaj. Cel padł jak długi. Operator wyskoczył na dach na przykurczonych nogach. Za nim szedł jego kolega uzbrojony w taką samą broń. Na dachu sąsiedniego budynku znajdowały się jeszcze dwa cele. Chyba niczego nie zauważyli. Komandosi rozeszli się prawie bezszelestnie po płaskiej powierzchni.

Ten z lewej ukląkł przy murku okalającym kondygnację. Drugi łowił talibów w dole. Pistolety zaczęły huczeć tłumionymi wystrzałami. Tym razem nie szło tak gładko. Dwaj wrogowie padali na dachu ścigani pociskami, które zamiast od razu ich powalać, najpierw raniły, zwiększając ryzyko alarmu. Jeden nawet coś krzyknął, ale nikt nie zwrócił uwagi. Może nie zdążył. W kilka sekund podwórze też było wolne.

Kostia usłyszał w radiostacji przy uchu dwa szybkie szумы. Wiedział, że ma wolną drogę. Trzymając się ściany, wyskoczył na chłód nocy. Podszedł pod bramę największego budynku gospodarstwa z zaciemnionymi oknami.

Strzelcy na dachach ubezpieczali go, mierząc w wejście i główne wejście na dziedziniec. Generał odsunął drzwi. Skrzypnęły. Zląkł się i zamarł. Nic się nie wydarzyło. Odchylił skrzydło i wsunął głowę, wypatrując niebezpieczeństwa przywykłym do ciemności wzrokiem.

Tylko przekroczył próg cichej izby, a coś zimnego przywarło mu do głowy. Zastygł w pierwszej chwili pewny, że dostał się w pułapkę. Wtedy ujrzał, jak ludzie rozłożeni pokotem wzdłuż ścian powstają. Ktoś zaświecił płomieniem zapalniczki i przed generałem podświetliła się uśmiechnięta twarz.

– Czysto, towarzyszu generale... – powiedział „Fighter”, żyłasty komandos. Poza służbą był hobbystą walk MMA. Stał przy głowie opadła i zebrani zaczęli chichotać zadowoleni, że pierwszą część planu mają za sobą. Konstantin wstał, uścisnął „fighterowi” rękę i zaraz przystawił palec do ust. Ucichli.

– Obiekt czysty – siwy mamrotał do radia. – Teraz musimy się stąd wydostać. – Nie był już tak pewny swego.

Dolina wypełniona była tłumem nowych przybyszów. Spokojne kiedyś, opuszczone miejsce zmieniało się w obóz, w bazę mudzahedinów. Dużą i silną, której nikt nie odważyłby się zaatakować. Kilka setek bojowników z Pakistanu rozeszło się po zakamarkach górskich szczelin, ufortyfikowanych gospodarstw i po wąwozach. Twardzi górale potrafili się dostosować. Żyli w przyjaźni z surową

naturą i niewiele im było potrzeba do szczęścia. Nie bano się nalotów, obserwacji. Każdy tu czuł, że następuje przełom, w którym to ta armia w całym kraju zyskuje przewagę i pewność wygranej.

Obozowisko w cieniu gór spało. Ogniska dopalały się. Bojownicy nabierali sił przed kolejnymi wyzwaniem, upchani w chałupach, w szałasach i namiotach. Drzemali, dygocząc z zimna. Ubrani w kurtki, obłożeni kocami nie potrafili przezwyciężyć chłódów, które dokuczały tutaj nawet u progu lata.

Paru strażników przechadzało się, dmuchając w dłonie i podrygując, by rozgrzać nogi. Strzegli wielkiej bazy „pułkownika Ahmeda” i jego nowych sojuszników.

Furta w bramie otworzyła się i z kalaty zajętej przez Rosjan wyszło dwóch mężczyzn. Byli w długich sukmanach sławar kamiz, w turbanach. Z bronią. Szli zmienić kompanów.

Minęli dwa śmigłowce i gasnące paleniska. W delikatnym szumie wiatru było słychać skrzypienie ich butów. Nim dotarli do swoich kolegów, z budynku zaczęło wychodzić więcej postaci. Wolno, przy ścianach z plecakami szykowali się do skoku wpatrzeni w poprzedzającą dwójkę. Ryzykowali, opuszczając w miarę bezpieczne mury, wydostając się na prawie otwartą przestrzeń pełną uzbrojonych mężczyzn.

Ubrani na czarno zbliżyli się do pierwszych wartowników. Nim tamci zorientowali się, z kim mają do czynienia, upadli pod ciosami bojowych noży. Kolejni dwaj przysypiali, więc zabicie ich nie było wielkim wyczynem. Żołnierz wymachnął dłonią, zrzucając turban. Pozostali ruszyli biegiem do najbliższej maszyny, gramoląc się głośno, ale sprawnie przez otwartą ładownię. Przebierańcy wsparci jeszcze trzema operatorami rozwinęli się w półokrąg z bronią mierzącą w skupiska śpiących mudzahedinów.

Załoga śmigłowca rozsiadła się w fotelach i drżącymi dłońmi zaczęła wykonywać procedurę kontrolną.

– Jest w porządku. Niczego nie dotykali. – Pilot obrócił się do generała. – Góra! – rozkazał i poprawił hełm. Ściśnięci ludzie przywarli

podłogi, celując lufami w okna maszyny, gotowi odeprzeć atak talibów, który powinien zacząć się lada moment.

Załoga włączyła ssanie, silnik i wielki rotor zaczął się przesuwac z coraz głośniejszym klangiem. Sunął, unosząc łopaty, coraz wyżej i wyżej. Obroty silników nabierały hałasu. Wytężone oczy wyszukiwały ruchu, próby ataku, ale, o dziwo, nic się nie działo. Ludzie spali albo dopiero się budzili, źli, ale przekonani, że wszystko jest tak, jak powinno. Nikt nie przewidywał, że stąd, z tej fortecy można uciec. Prawie nikt.

„Pułkownik Ahmed” wysunął się z polowego łóżka. Otepiały dochodził do siebie i tarł oczy. Złapał karabinek i nie nakładając kurtki ani butów, wyszedł z namiotu.

Dostrzegł warczący śmigłowiec wzbijający tuman kurzu. W pierwszej sekundzie umyślił sobie, że wodzowie z Pakistanu zarządzili wymarsz, jakąś misję, o której nikt nie raczył go poinformować. Ale wokoło było za spokojnie. Kilku mudzahedinów obudziło się i przysiadło, patrząc na szykujący się do startu śmigłowiec. Coś nie grało komendantowi. Ruszył biegiem, potykając się o kamienie. Machał ramionami, potrząsał bronią i krzyczał, ale niewielu go słuchało. Był w połowie drogi, smagany kamieniami, kiedy ujrzał podnoszące się sylwetki ludzi zalegających wkoło maszyny.

– Uciekają? Uciekają! – Prawie się zadławił. Odciągnął suwadło broni i wypalił długą serię. Była jak grom padający z jasnego nieba. Echo mieszało się z warkotem silników. Kule wznieciły szereg obłoków piasku. Dosięły jednego z zachodnich i powaliły go. Odpowiedź nadeszła momentalnie. Kilka błysków i ponad głowę „pułkownika” zaczęło gotować się powietrze. Afgańczyk stracił zapał. Skulił się, rozglądając za schronieniem. Zapłacił za chwilę wahania. Krótkie serie ołowiu zaczęły ryc piasek tuż obok niego, a potem pierwsza kula dosięgła watażkę.

Rosjanie zaciągnęli rannego towarzysza. Teraz ścigało ich więcej ognia narastającej palby budzących się mudzahedinów. Z maszyny przemówił cięższy PK, a z okien karabinki komandosów. Kalaty

i namioty pokryły się odłamkami skał, rykoszetami i fontannami dobrze celowanego ognia zaporowego. Każdy szaleniec, który chciał zaatakować, padał ścięty albo musiał kryć się przed pociskami.

Huk kanonady i hałas unoszącego się śmigłowca splotły się w jeden wielki chaos. Ludzie dogorywającego Ahmeda strzelali w legowiska nowych towarzyszy. Smugowe linie rozbiły porzucony helikopter, jakby na nim brano odwet za zaskoczenie i gwałtowność bitwy. Niedługo cała dolina rozpalila się w nieuporządkowanej strzelaninie. Zaczęły rwać się granaty, podpalano zbiorniki z paliwem, samochody. I tylko kilka serii uleciało w niebo, by trafić odlatujący prędko Mi-8, pozostawiający w dole pomarańczowy blask pożarów.

ROZDZIAŁ 7

Szkoła w Mita Sah pogrążona była w ciszy. Prawie wszyscy jej mieszkańcy i obrońcy spali, nadrabiając zaległości po ciężkim dniu. Teren wokół dozorowali wyznaczeni na kolejne warty Afgańczycy, Polacy i Szwedzi, zgrywając się sprawnie w działaniu. Wspólne doświadczenie szkolenia i zachodnich procedur wojsk specjalnych tworzyło w tej bitwie coś na kształt braterstwa broni.

Anna Linberg należała do tych nielicznych, którzy nie odpoczywali, choć mieli taki przywilej. Poruszała się prawie bezszelestnie pośród legowisk swoich przyjaciół i pracowników. Wdrapała się na pierwsze piętro, uważając, żeby nie zwracać uwagi wojskowych, którzy obsadzili wyższe kondygnacje, pilnując okolicy.

Quadira wybrała środkową izbę. Ławki i biurko były zaścielone potłuczonym szkłem i resztkami framug. Ściany podziurawiły odłamki i rykoszety pocisków. Kule poniszczyły globusy i kilkadziesiąt książek rozrzuconych jak w furii po całym pomieszczeniu. W słabym powiewie porannego wiatru kartki szeleściły złowrogo.

Anna kucnęła pod jednym z okien, tak by nie dać się dojrzeć z ziemi ani z korytarza. Wyciągnęła spod bluzki nieco większy telefon i wykręciła jakiś numer. Czekwała w napięciu na sygnał, a potem liczyła je długo. Nikt się nie odzywał. Ponownie wybrała abonenta, ale znów mocno się zawiodła. Trzecia próba była już rozpaczliwa. Zgasiła telefon i schowała.

– Co ty tu robisz? – Głos Thomasa zabrzmiał w jej uszach jak wrzask. Wstała zmieszana, chwiejąc się przerażona. Milczała kilka sekund, usiłując wyobrazić sobie, czy Polak widział ją z telefonem. Adam stał w drzwiach, trzymając klamkę, i tylko zdziwiony patrzył.

– Ja... – dziewczyna przełknęła ślinę – nie mogłam spać. Tyle emocji. Ta walka. – Przycupnęła na parapecie, odwracając wzrok. – Trudno przywyknąć do myśli, że za twoje dzieło giną ludzie, a ty nie możesz

temu zapobiec. – Przezornie ucichła, by nie przesadzić w odgrywaniu roli.

Thomal podszedł do niej ostrożnie, jakby chciał się upewnić, że może zaufać dziewczynie.

– „Papa” zmarł. Współczuję. – Było mu żal, ale też chyba chciał ją sprowokować.

Anna uniosła głowę, zwalczając nadchodzący płacz, i opadła na ramię Adama. – On był tu od początku. Chciałam go ratować, a jego nie ma – łkała cicho, wciskając usta w bark Polaka.

– Już, uspokój się... – Thomal lubił ją tulić, czuć jej jędrne ciało w swoich ramionach. – Musisz być silna. Będzie dobrze, ale jeszcze trochę drogi przed nami – pocieszał sztampowymi deklaracjami. Był tu po coś innego niż zabawa w psychologa i powiernika. Męczyło go to i drażniło. Wolałby zwyczajnie, tak jak umiał, oczarować dyrektorkę. – Nie można się załamywać. – Odsunął Linberg. – Posłuchaj... Wiem, że rozmawialiście z talibami. – Spodziewał się reakcji obronnej, ale dziewczyna słuchała potulnie, pogodzona z ujawnieniem tajemnic firmy.

– On się czegoś bał. „Papa” czegoś się bał – drażył Thomal. – Wiedziałaś? Tamci wam grozili. – Czekał na reakcję, jakąś podpowiedź. Anna nie odpowiedziała. – Balil... czy on miał kontakty z drugą stroną? Groził „Papie”? Groził tobie albo wciągnął kogoś w handel ludźmi? – Adam improwizował, usiłując znaleźć jakikolwiek, najmniejszy choćby punkt zaczepienia.

– Nie wiem. Balil... On tylko mówił, że jest taka możliwość, że tamci dadzą nam spokój – wyznała na jednym oddechu. – Trzeba było się opłacać.

– Skąd mieliście pieniądze? – Adam szedł za ciosem. – Szwedzi i nasi nie pozwoliliby na jakiś fundusz łapówkowy.

Anna nie podnosiła wzroku, ale odpowiedziała:

– Balil umiał przekonać księgowę. Robił różne sztuczki. – Jakby zapadała się w sobie, ściśnięta wstydem. – To miało być raz, może

zapłaciliśmy dwa razy. Potem się uspokoiło. – Otarła łzę.

– A może handlował dziećmi? Uczniami. – Thomał użył najcięższego kalibru oskarżenia. Linberg drgnęła jak przeszyta prądem.

– Nie! – obruszyła się i zarazem zmieszała. – To znaczy, nie wiem. – Znów sposepniała. Adam zrozumiał, że coś jeszcze czuła do Balila. Przynajmniej wspomnienie wspólnego romansu musiało budzić emocje. – Nie wierzę w takie potworności. Zapłacę za to wszystko. Za swoją głupotę. Zamachy, handel ludźmi, talibowie...

Thomał był nieustępliwy.

– Trzecia szkoła. – Tego tematu Anna zupełnie się nie spodziewała. – Paktija. Niewiele o niej wiadomo. Tam też mieliście układ? Wszyscy stamtąd uciekli? Nie pozostał nikt z... zachodu.

– Nie – Linberg zaprzeczyła ostro. – To był nasz sukces. To znaczy: na początku – uściśliła. – Uczyli tam miejscowi, Pakistańczycy, Afgańczycy... Ludzie, którzy wychowali się w dużych miastach albo mieszkali na zachodzie i wrócili. Potem wzięły ich pod skrzydła zachodnie instytucje. Mieli szersze horyzonty.

– Ale zniknęli... – Thomałowi coś nie pasowało. – Wybuchł pożar?

– Ktoś ich napadł. Zrozum, ludzie się bali. Talibowe zaczęli podnosić łby, kiedy Ameryka ogłosiła odwrót.

– Wiec czemu nie chcieli pomocy od nas? – Były glina nie lubił, gdy obrażało się jego inteligencję babskimi podchodami. – Ty, dyrektorka, nie wiesz? – Złapał kobietę za łokieć.

– Puść, boli! – Popatrzyła na niego z wyrzutem. – Nie wiem, do cholery! Wszystko było dobrze, póki świat nie zaczął się sypać. Tak, to w Paktice zaginęło najwięcej naszych uczniów. Ale nie wiem, do cholery, jak i gdzie. Czy winny jest Balil? „Papy” nie ma, zginął. Rozumiesz, panie... urzędniku? – Linberg domyśliła się już dawno, po co tu jest Adam. Podrywał ją, ale i wypytywał. Nie była głupia. – Zginął, broniąc nas wszystkich. To chyba coś znaczy? – Umilkła zrezygnowana. Niezręczna cisza trwała i nikt z tej dwójki nie wiedział, jak odbudować to, co zburzyła ta rozmowa.

Ocalenie nadeszło z najmniej oczekiwanej strony. W jaśniejącym powoli brzasku zaczęło dudnić za horyzontem. Najpierw raz, potem znów. Od strony miasta. Świsty były krótkie i odległe. Znikały w szumie wiatru, ale tylko na moment. Potem ciemność przesywały trzaski rwących się pocisków albo granatów. Echo potęgowało te urywki hałasów, niosąc je aż do szkoły.

– Nowy dzień się zaczął... – Adam westchnął. W klótni nawet udało mu się zapomnieć o niebezpieczeństwie, które czyhało w okolicy.

– Powiedz, jak się stąd wydostać? – Anna dygotała ni to z zimna, ni z prawdziwego przestachu.

– Spokojnie... – Thomal wsłuchiwał się w ostrzał i sam musiał dodawać sobie otuchy. – Szefowie coś wymyślą. – Jeden pocisk przemknął od wschodu, tuż ponad dachem. Wybuch nastąpił w dole wzgórza, za posterunkiem na drodze. Obydwoje padli na ziemię. – Biegnij do piwnicy! – Thomal pchnął kobietę przed siebie, w stronę drzwi. W tej dopiero chwili zorientował się, że kilka godzin spokoju stepiło instynkt: nie zabrali hełmów. Jeszcze raz coś uderzyło w pobliżu szkoły. Annie nie trzeba było więcej tłumaczyć. Ruszyła w dół.

Thomal wpadł do niedużego pokoju pod betonową basztą, gdzie „Mucha” i jakiś Afgańczyk usiłowali dowiedzieć się czegokolwiek, by zaspokoić ciekawość Jerzmanowskiego i Stenblocka. Obydwaj byli bladzi, podminowani.

– Idą po nas?! – Niemądre pytanie Adama, nie służyło poprawianiu nastroju.

– Jak zawsze. – Komandos Kandaku burknął, nie odrywając słuchawki radia od uszu. Zaraz zaczął szwargotać niezrozumiale po swojemu. Gorączkował się przy tym, pokrzykiwał na kogoś w mieście, by zaraz spotulnieć pod komendami sierżanta Wardaniego.

– Nasłuch melduje, że wśród talibów ruch. – Obrócił głowę, przechodząc płynnie na angielski, rozpromieniony przy tym dziwnie.

– W porządku. – Stenblock skwitował to krótko i bez zapału. – Ustalcie co, ale i załatwcie nam transport!

– Masz coś? Jest odpowiedź... – Polski pułkownik spoglądał na Roberta jak na święty obraz, czekając na pół słowa dobrej nowiny. „Mucha” nadał policzki i przygryzł wargę, kręcąc przecząco głową.

– Zginiemy tu, zginiemy! – Stenblock zaczął bić pięścią w stół, gapiąc się nieprzytomnie w szarą ścianę.

– Wszystko będzie dobrze... – Pułkownik przytrzymał go za barki. Potem przesunął Szweda w stronę Thomali. – Adam, zabierz go stąd – rozkazał. Chciał pozbyć się Skandynawa jak niepotrzebnego mebla. – Ja pogadam z Mariuszem i z Wardanim. Trzeba być gotowym. Nawet jeżeli trzeba schronić się w mieście i tam czekać. Coś wreszcie trzeba zrobić, do cholery.

Równina była pusta, prawie naga. Nie było tu nawet jednego drzewa, a połać piachów, zazielenionych wysychającymi trawami, ciągnęła się po sam horyzont oznaczony górami i strzelistymi skałami. W zasięgu wzroku nie widać było najmniejszej wsi ani nawet pasterskiego szałasu czy muru okalającego czyjeś włości.

Nie było lepszego miejsca na posadzenie tak wielkiej maszyny jak Mi-8. Śmigłowiec wylądował gwałtownie i gdy tylko jego motory zaczęły gasnąć, przez wyjście z ładowni wysypała się obstawa generała Rabsteina i jego kilku pomocników. Załoga wyszła z latarkami, przeglądając pokiereszowaną ogniem z ziemi maszynę.

Nie było poważnych uszkodzeń ani wycieków. Awaria nie była przyczyną tego przystanku. Konstantin musiał zebrać w spokoju myśli, wyjść na powietrze zimnego świtu. Trudno mu było myśleć w ładowni z prawie dwudziestką komandosów, oficerów i pilotami porzuconej maszyny.

Szedł daleko, patrząc po dziwnym, bezludnym krajobrazie idealnej równiny. Dygotał, choć miał teraz kurtkę i nieodzowną czapkę. Trząsał się z emocji. Stał. Jego niewielki sztab również. Milczeli, wsłuchani w delikatne pomruki jakby burzy nadciągającej z nieokreślonego kierunku.

– Psia mać! Było blisko, cholernie blisko... – dzielił się wspomnieniem walki. Tak niebezpiecznej jak nigdy w jego karierze. Przetarł skronie i sięgnął po butelkę wody z kieszeni kurtki. Patrzył na nią jak na skarb. Była jedną z niewielu rzeczy, jakie zdołali ocalić.

– Doktorze... – zwrócił się do grupowego sanitariusza. – Co będzie z „Bizonem”? – Chciał wiedzieć, czy ranny naprawdę jest bezpieczny.

– Opatrzyłem. Wyżyje, ale powinien być w szpitalu... – Żołnierz meldował wprost. – Silny jest jak jego ksywka – dodał jeszcze dla rozładowania wiszącego nad wszystkimi napięcia.

– Dobrze, bardzo dobrze. Yakow, sprzęt straciliśmy?

– Drony polatają, póki nie padną akumulatory. Bez paneli, które rozbiliśmy, nie zdadzą się potem na nic. Mamy radia osobiste oraz jedną radiostację ze wzmacniaczem sygnału i szyfrowaniem. Nieco baterii. Aparaty w śmigłowcu. Można by łączyć się awaryjnie z Kabulem. Z amunicją jest lepiej.

– Wystarczy – przerwał generał. Przystanął, splatając dłonie na plecach i zapatrzył się w ukazujące się w blasku słońca góry. – Prawie nas dopadli. Te pierdolone dzikusy z nami pograły. Jak myślicie, co teraz zrobią? – prowokacyjnie zapytał o opinię.

– Burdel... – „Fighter” zdobył się na śmiałość.

– Będzie trochę zamieszania. – Yakow, jak na oficera SWR przystało, wygładził jednowyrazową teorię kolegi z grupy bojowej. – Nie będą nas ścigać. Nie mają czym. Zresztą chyba nie jesteśmy im potrzebni. Przynajmniej na razie. Wyczuli krew i słabość Kabulu.

– Słusznie... – Konstantin podszedł bliżej. – A my co mamy? – Zapadła martwa cisza. – Jesteśmy garstką straceńców w morzu nieprzyjaciół. Poza tym zadanie się posypało, moi drodzy młodzi przyjaciele... – Wyczekał reakcji, którą spodziewał się dostrzec. Nie pomylił się. Ludzie łypali po sobie, uciekali spojrzeniami. Nie lubili, nie mogli poddać tyłów i wrócić do kraju. Konsekwencje nie byłyby może śmiertelne, ale służyć w specjalnej grupie pod weteranem wywiadu w misji na zlecenie „góry” było wyróżnieniem. Niewskazane było zawieść. Konstantina koily te

oznaki lęku. Był bezpieczny, bo wszyscy znaleźli się na tym samym wózku.

– Wrócimy, ale z asem w rękawie. To nasz plan B, jak mawiają Amerykanie. – Skupiał już teraz uwagę wszystkich wokół, jak jedyny zbawca. – Po pierwsze uciszymy tego gnojka od „Mazara”. – Wskazał na „Fightera” palcem, jakby udawał pistolet. Operator przytaknął bez słowa. – Nie jest nam potrzebny, a mieliśmy pozbyć się wszystkich świadków tej partaniny. A potem przejmę tę operację. Pociągnę ją dalej. – Znowu czekał objawów buntu. Nic nie nastąpiło. Zbyt go szanowali, ufali mu albo po prostu nie mieli wyjścia. – Trzymajcie się mnie, dzieciaki! – Pierwszy raz pozwolił sobie na dobroduszne, infantylne określenie. – Wyjdziemy stąd, tak jak wyszliśmy z tej cuchnącej kalaty. Lecimy do Mita Sah. Potem Chost. Na tyle na pewno starczy nam paliwa. Zabierzemy ze szkoły cywilów... – Dopiero teraz zaczęły się niezgrabne ruchy i jakieś szeptane dopytywania. – Zaufajcie mi. Nie wszystko się spieprzyło. Mamy w służbie naprawdę mądrych i dzielnych ludzi. Takich jak wy, takich jak... – Umknął myślą daleko w przeszłość, ale szybko oprzytomniał. – Szkoda czasu. Nie sądzę, by do nocy znaleźli kogokolwiek, kto zechciałby im pomóc. Na pewno wiedzą o naszych maszynach, że lataliśmy nad prowincją. Musimy się zgłosić, a już będą wdzięczni. Szuszfole dostaną szau i albo zaczną wzajemnie się gryźć, albo poszczególni dowódcy pójdą na całość, bez nadzoru z góry. Każdy będzie chciał być sławny. No towarzysze! Wypełnić rozkaz! – Stał na baczność. Reszta z szacunku powtórzyła ten gest. Ruszyli truchtem do śmigłowca. W kilka minut rotor znowu zaczął się okręcać, silniki wyć. W hałasie nie słychać było strzału egzekucji na ostatnim nieszczęśniku z grupy „kapitana Mazara”.

Im mocniej na horyzoncie zaznaczała się linia pomarańczowego światła, tym bardziej narastał huk ostrzału. Pociski nadlatywały od wschodu, ale i południa. Odgłos kanonady słychać było od strony miasta, na drodze prowadzącej do niego. Wielka przestrzeń znaczone była obłokami unoszonego piasku, który zbijał się w kominy brudu i utrudniał obserwację i oddychanie.

Adam Thomal (jak większość innych, drżących pod stropem piwnicy) nie przeżył jeszcze czegoś takiego: stanu permanentnego obłączenia i świadomości przewagi wroga. Jednak pierwszy szok mijał.

Przyzwyczajali się, coraz mniej wrażliwi na pojedyncze grzmoty i krótkie echo powtarzające dźwięk.

Tego poranka ostrzały zdawały się nieskoordynowane, bardziej chaotyczne. Pociski ruchomych baterii mózdzierzy, wożonych pick-upami po pustyniach i wąwozach, ślano w jakiejś furii, bez namysłu i koordynacji. Leciały rojami, rozsypując się szeroko. Tylko kilka z nich padło na teren szkoły, wybijając nowe leje w podwórzu albo krusząc skrawki murów.

„Coś się u nich dzieje...” – myślał Thomal, z zadartą głową śledząc kolejny świst. Usiłował wyobrazić sobie, co zburzyło opanowanie napastników.

Czymkolwiek by nie był spowodowany bałagan w szeregach rebelii, strach przed kolejnym dniem w tym złowieszczym miejscu, nie przemijał zupełnie. Rządowa artyleria w Mita Sah przestała odpowiadać metodycznie. Od dostawy zaopatrzenia, z którą przybyła misja ratunkowa szkoły, nie było więcej lotów do miasta. Logistyka zaczynała szwankować.

Kanonada ustała nagle. Zebrani w piwnicy zaczęli siadać w legowiskach, pewni tego, co teraz nastąpi. Dopiero teraz schron wypełnił się szeptami, wyobrażeniami pewnego ataku. Uderzeń samobójców, oszalałych mudżahedinów obawiano się najmocniej. Zwłaszcza ich okrutnej zemsty.

Mało kto przyjmował zapewnienia Wardaniego czy nawet Polaków, że wszystko jest pod kontrolą. Najmniej zorientowany cywil potrafił liczyć i słuchać. Każda intensywna strzelanina pozbawiała obrońców cennych zapasów amunicji, a prócz dostaw z miasta, po odesłaniu rannych, nie było wsparcia.

– Gdzie są, do cholery, Amerykanie? – Ibrahim wybąkał ze strachem i złością, bijąc dłonią w podłogę. Był niczym rzecznik reszty nauczycieli,

którzy bali się zapytać wprost. – Nie pozwolą na to. Nie mogą dać nas wyróżnić!

Thomal chciał nawet coś powiedzieć, ukoić panikę, ale milczał. Dla Ibrahima liczyła się potęga USA, która miała być wieczna i zdejmować z barków miejscowych wszelką odpowiedzialność. Nagle jej zabrakło. Przez lata działali jako pomoc dla imperium, które właśnie zniknęło z tego kraju. Przedziwna polsko-szwedzka grupa nie była przez nauczycieli traktowana poważnie.

Na murach wokoło zaczęła się strzelanina. Adam wygrzebał się ze śpiwora i poprawiając ciężący coraz bardziej hełm, zaczął gramolić się ku wyjściu. Rozkazał, by inni zostali na miejscach i nie próbowali wychodzić z ukrycia.

Powietrze było zimne i pachniało kordytem. Od południa stukały dalekie serie nadchodzącego wroga. Podwórze spowił dym niedawnych eksplozji. Wszystko było jeszcze bardziej posępne, odpychające. Widok scalał się z coraz większym uczuciem beznadziei, fizyczną słabością i strachem.

Adam przemknął kilkoma susami do pomieszczenia socjalnego ochrony, w którym urządzono najprawdziwsze centrum dowodzenia. Byli tam oficerowie i kilku operatorów z GROM-u i Commando Kandaku.

Stenblock na wpół drzemał albo zemdlony z emocji siedział na krześle pod ścianą. Kłodziński vel Jerzmanowski kręcił się w kuchennej wnęce, wpatrzony w ziemię, z brodą podpartą o palce. Wyglądał zabawnie, jak jakaś nakręcona zabawka. Wardani pokrzykiwał coś w paszto do słuchawki, chyba konsultując się z miastem. „Mucha” gadał do swojego radia, ale po angielsku. Polski major czekał, zmieniając co chwilę obiekt zainteresowania, raz jeden, raz drugi. I tylko Kamil „Monsignore” zachowywał pozorny spokój, czekając z papierosem w dłoni.

– Co tu się odpierdala? – Adam nie wytrzymał tej mieszanki jazgotu i szaleństwa i wcisnął się w sam środek. Mijający go komandos tylko pokręcił głową.

– Odsiecz, kolego. – Kamil prawie nie poruszył ustami. Trwał jak słup soli.

– Że co? – Adam nie zrozumiał albo uznał to za żart.

– Zgłosili się... – Kłodziński bełkotał niewyraźnie, nie przestając krążyć.

– No, to chyba rewelacyjnie?! Co jest nie tak?

– To Rosjanie. Rosyjski śmigłowiec... – wykrztusił Kamil.

– Przecież to teraz bez różnicy. Sami mówiliście.

– To podejrzane... – odparł „Monsignore”. – Ile godzin skomlemy o ratunek? A ci się obudzili dopiero teraz. U rebeliantów syf, tłukli się między sobą. Teraz szaleją, leżąc na miasto albo cofają się pod granicę. I pojawiają się oni! – Wyciągnął dłoń z papierosem w stronę radia.

– Pieprzyć to! – Thomał nie miał ochoty na niebezpieczne teorie. Kamil spojrział na niego, zgrzytając zębami. Poczul się urażony.

Kamil wyciągnął z kieszeni zawiniątko z czarnym przedmiotem. Niby latarką.

– A to? Taka moja wisienka na torcie.

Stenblock ocknął się, chcąc dojrzeć, co za tajemnicę ukrywa Polak.

– Znalazłem w Kabulu po zamachu. Ktoś sobie ich słuchał w tej fundacji. Moim zdaniem Rosjanie, więc mam prawo podejrzewać...

– Nie mamy wyboru, sam wiesz – powiedział Stenblock, nawet już niezainteresowany podsłuchem, o którym nikt mu nie mówił.

– A jeżeli to podstęp? Jebana prowokacja! – porucznik ignorował Szweda. Nie lubił mazgai uginających się pod presją.

– Daj spokój – wtrącił Kłodziński. Pułkownik wreszcie się zatrzymał. – Chcą ewakuować cywilów. My musimy sobie poradzić. Są jak dar niebios...

– Niebios! – Kamil się zaśmiał. – Ci cholerni cywile... Oni są kluczem. Ta pierdolona fundacja. Tyle gówna w niej. Za wiele przypadków. Nie rozumiecie?! A jak ich stracimy... – Ostrzeżenie było czytelne.

– Przesadzasz – Adam zrozumiał hipotezę, ale nie uwierzył. – Nie posunęliby się tak daleko. Wykończyć tyle osób?

– A czemu by nie? Tyle widziałeś. Na takich tajnych wojnach wszystko jest możliwe. Choćby po to, żeby nas skompromitować.

– A jak zostaniemy, czekając na łaskę kogokolwiek, i damy się wybić, będzie lepiej?!

– Kurwa, może właśnie tak! – krzyknął „Monsignore”.

– Przymknijcie się obydwaj! – rozkazał Kłodziński. Oficer dyszał. Oczy nachodziły mu czerwienią pulsujących żył. – Kiedy będą? – zapytał Roberta.

– Właściwie lada chwila. Chcą decyzji. – Łącznościowiec odsunął słuchawkę od głowy. – Wkoło miasta pełno rebeliantów. Robią oblot, żeby unikać ostrzału. Boją się rakiet.

– Dlatego nie odzywali się wcześniej. Wszędzie talibowie... – Kłodziński usiłował wyjaśnić Kamilowi, ale ten pozostawał nieprzejednany.

– Więc jak się wyrwali? – mruknął, zostając przy swoim, tak żeby szef nie usłyszał.

– Każ im lecieć do szkoły – polecił. – Adam przygotuj ludzi. Polecisz z nimi – zażądał. Thomał nie protestował. Miał dość tego miejsca. – Dam ci jeszcze pana Stenblocka i jego eskortę – układał naprędce plan. – Nie tkną nikogo z taką obstawą. Ryzyko jest za wielkie – mówił do Kamila. – Tak, tu coś jest nie tak – przyznał wreszcie rację oficerowi Formozy. – Ale mamy zadanie uratować ludzi, a potem dopiero... Resztę wyjaśnimy, jak ujdziemy z życiem. – Odsunął krzesło i usiadł. Nie wiedział, jak sam wydostanie się z tego przeklętego wzgórza.

– Panowie... – Podniósł ciężką głowę na komandosów, mówiąc po angielsku. – Wygląda na to, że ktoś ocali nauczycieli. W tej sytuacji... – popatrzył w bok, skąd słychać było strzały. – Gdzie najlepiej ich ewakuować? Musimy być szybcy.

– Dach. – Wardani odparł momentalnie. – Śmigłowiec to duży cel, ale jeżeli się uwiniemy i jeżeli tylko mają dobrego pilota...

– Na pewno, zapewne wojskowy – wtrącił Kamil złośliwie.

– Pan major? – Stefan puścił uwagę mimo uszu i zapytał oficera GROM-u.

– Zgadza się... – Mariusz westchnął ciężko. – Wolalbym na szosie, tam prosto, ale mogą posłać szahidów albo znowu szaleńczą szarżę, której nie powstrzymamy.

– Dobra... postanowione? – Kłodziński chciał mieć pewność, że nikomu niczego nie narzucił.

– Tak jest! – Mariusz przytaknął, ale bez werwy. Stenblock odlatywał w otępieniu i nic już nie mówił. Wardani też nie był ucieszony.

– Poproś swoich o rozpoznanie. – Polski major przestawiał się na planowanie trudnej akcji. – Drony. Wiem, że generał jest zajęty, ale nie chcemy dać się zaskoczyć. – Wardani od razu zaczął wzywać Mita Sah i meldować o tym, co ma niedługo nastąpić.

– Ruchy, panowie! – Robert „Mucha” zadrżał.– Piętnaście minut i będzie „ptak”. Mało czasu...

Rebelianci nie pałali chęcią do ponawiania szturmów na umocnienia. Podgryzali obrońców od samego świtu, ostrzeliwując nękająco albo śląc niezbyt dalekie rozpoznanie na samochodach. Panował względny spokój.

Ściśnięci w grupę ludzie na ostatnim piętrze szkoły czuli się swobodniej. Kucali pod ścianą w całym rynsztunku, bez żadnych bagaży, z resztką zapasów wody rozdanej przez wojskowych.

Zadzierali głowy, czekając choćby dźwięku śmigłowca. Eksplodujące pociski przestały przeszkadzać. Stały się niemal niesłyszalne w obliczu wieści o wybawieniu. Nawet scenografia ostatniego aktu ich gehenny, popalone ściany i meble kilku ugodzonych pociskami sal, już nie przerażała.

Anna Linberg siedziała na schodku. Kiwała się nerwowo, gniotąc dłoń o dłoń. Jak przystało na liderkę, która dba o ludzi, zamierzała iść ostatnia z grupy cywilów. Za nią był Adam i trzech Szwedów z bronią. Czwarty ze Skandynawów miał pomagać w załadunku, prowadzić ordynek uciekających nieszczęśników i brać na siebie ewentualne niebezpieczeństwo.

– Spokojnie... – Thomał usiadł obok dyrektorki i załapał za pracującą nerwowo rękę. Anna przestała nimi ruszać.

– Boję się – przyznała po prostu.

– Wiem, wiem... – Poglądził ją po policzku. Nie obraziła się. Udawała albo naprawdę potrzebowała takiego gestu.

– Leci po nas solidna maszyna. Podróżowałem taką. – Nie zamierzał dodawać nic o gorszych momentach z praktyk z transportowymi helikopterami. – Niełatwo go zestrzelić – zapewnił z całą mocą. – Zjemy obiad w Choszczu, a kto wie kolację może w Kabulu...

– A śniadanie w Warszawie? – Linberg zapytała niespodzianie, rozpromieniona wizją ucieczki.

– A chciałabyś śniadanie w Warszawie? – Adam oblizał wargę i zmienił tembr głosu.

– Ty naprawdę umiesz rwać babki w każdej sytuacji! – Dziewczyna parsknęła śmiechem. Nie zaprzeczył.

W dole klatki zrobiło się głośniejsze. Polski major biegł na ostatnie piętro, dopilnować wszystkiego osobiście.

– Są! Za chwilę... – informował obstawę po angielsku. Dreszcz radości przeszedł po nauczycielach. Anna wstała.

– Łyk wody i jazda! – Adam nie zamierzał się rozczulać.

Mariusz załapał się za słuchawkę.

– Widać ich! – opowiadał jak komentator radiowy. I wtedy okolica zanosła się echem strzelaniny. Cywile zaczęli popiskiwać.

– To, to normalne! – Adam wskoczył na piętro, usiłując przemówić wszystkim do rozsądku. Byli bliscy paniki. – Nie dopadną ich. Są za daleko! – Przez sufit i okna doszedł dźwięczący odgłos silników. Przez zbite szyby wdarł się wicher i kurz. Zrobiło się nieznośnie głośno.

– Trzymajcie się nisko! – krzyczał „Hard”, który szedł na szpicy. – Jeden za drugim. Trzymajcie się za dłonie, jak mówiłem. Pilot nie zwolni!

Rumor narastał. Może i dobrze, gdyż maskował kolejne pociski, które zaczęły strzelać moździerze i działa bezodrzutowe. Ładunki frunęły na okolicę, zbliżając się niebezpiecznie do murów placówki. Tak jakby celownicy czekali na ten moment i zaczęli znów się przykładać do swojej roboty.

Wielki śmigłowiec był jak lep ściągający granaty. Nawet jeżeli strzelający nie widzieli celu i tłukli na pamięć, na przekazywane im namiary, walili w okolice przyszłego lądowiska. Mury trzęsły się od drgań helikoptera i wybuchów. Strop jęknął. Przez radio Polak dostał sygnał, że śmigłowiec czeka na ustalonej pozycji.

– Teraz! – wrzasnął major, machając na „Harda”.

Szwed wskoczył na stalową drabinę w połowie korytarza i z całym impetem wyważył włącz, jakby przeszkoda nic nie ważyła. Cywile ruszyli potulnie za nim.

Kolejne dwójki znikwały w otworze zięjącym kurzem. Anna złapała za szczeble i zaczęła wspinaczkę. Zawahała się, by upewnić się, że nikt nie został. Spotkała oczami Adama i skoczyła na dach. Thomal był tuż za nią. Czuł zapach paliwa, spalin i prochu. Wszystko przyspieszyło. Dla Thomala ogląd sytuacji zmienił się w urywane klatki jakiegoś filmu. Umysł nie nadążał z rejestracją całego szaleństwa, jakie eksplodowało wokół.

Podmuch wirnika smagał go po twarzy i ciele. Przed nim rozpościerał się niesamowity widok. Na końcu podłużnego dachu wisiał Mi-8, który teraz wydał się kilka razy większy niż zazwyczaj. Jego dwa tylne koła opierały się o dach, a przód zawisł w przestrzeni. Adam zdążył pomyśleć, że pilot jest naprawdę dobry, a nerwy ma ze stali.

Niezmordowany „Hard” łapał ostatnich ludzi trudno znoszących mały huragan i wciskał ich w wysoką ładownię maszyny. Kilka par rąk sięgało po ewakuowanych i pomagało wypełznąć do wnętrza. Szwed działał jak wielki, żywy taśmociąg, nie czując żadnego dyskomfortu. Wokoło, wśród plenerów kamienistej, żółtawej pustyni, wyrastały dymy. Ostrzał robił się celny. Thomal na samo wyobrażenie, że jakiś pocisk może paść na dach, zaczął szybciej przebierać nogami.

Popchnął Annę, łapiąc za spodnie w pasie, by nie zgubić jej, kiedy nie wytrzyma w podmuchu wiatru i padnie na ziemię. Ładownia wypełniała się w oczach. Pasażerowie wydzielali się, by popędzić ostatnich uciekinierów na dachu. Przez ten tłum przebił się jakiś mężczyzna. Był wysoki, chyba siwy. Trzymał się sufitu i patrzył na dach.

Granaty zaczęły spadać bliżej. Jeden uderzył na przeciwległym skraju dachu. Thomal stracił równowagę i puścił Annę. Osnuł ich ciemny dym. Komandosi Stenblocka przypadli do ziemi.

– Wstrzeliwują się! – krzyknął Polak, ale nikt go nie słyszał. Inny pocisk otarł się o ścianę i wybuchł na niższym piętrze od frontu. Thomal zerwał się na równe nogi. Linberg była już przy rampie. Silnik ryczał, jakby popędzał ludzi.

Zacisnęła zęby, wyciągnęła ramię. Z wnętrza wysunęła się dłoń siwego mężczyzny. Dopiero zobaczyła jego twarz. Wybałuszyła oczy. Wydała niemy krzyk i cofnęła rękę jak porażona. Siwy pochylił się bardziej i coś wołał. Ale Linberg zamarła. Adam usiłował ją unieść, ale trzeci pocisk wyrwał dziurę w samym środku dachu, sypiąc odłamkami metalu i cegieł. Anna zawyła i padła pod brzuch śmigłowca, na sam skraj dachu. Nie słyszała, jak w około zaczynają świszcząć serie karabinów maszynowych. Rebelianci podchodzili pod mury szkoły. Kilka rykoszetów odbiło się od blach maszyny.

Motory zawyły jak zmęczone zwierzę. Burza nabrała siły i przez sekundę wydawało się, że wszystko się wali. Mi-8 zaczął się podnosić, po skosie wspinając na wyższy pułap. Oddalał się bardzo szybko, strzelając dziesiątkami żarzących się jak ogniki flar, które miały oszukać rakiety naprowadzane na ciepło.

Linberg podniosła opornie głowę. Była wściekła. Widziała tylko czarną plamę ładowni i patrzącą na nią twarz.

– Anna... – Thomał podczołgał się do niej. – Jesteś cała? – Macał ją pewny, że kobieta dostała.

– Ręka... – syknęła, czując ból nad łokciem. Krwawiła.

– Nic... nic ci nie będzie. – Adam szukał opatrunku. Anna nie słuchała. Utkwiła wzrok w śmigłowcu, który stawał się niewielkim punktem na niebie. Nie słyszała, jak kakofonia bitwy przemija wraz z oddalającym się śmigłowcem. Szkoła przestawała zajmować rebeliantów. Ponieśli pierwszą, wielką porażkę. Dali zwierzynie uciec z potrzasku.

Obciążony śmigłowiec Mi-8 obniżył pułap, kiedy na horyzoncie zamajaczyła szeroka plama miasta, rozpostarta na równinie między górami. W ładowni było ciasno i bardzo głośno, ale ludzie nie potrafili okazywać radości na zbliżające się ocalenie.

Cywile ciągle pozostawali w czymś na kształt szoku. Dopiero teraz zaczynały wrzeć w nich emocje po tym, co przeżyli. Poza tym nie byli w komplecie. Zostawili za sobą wielu ludzi.

Konstantin siedział na skrawku wolnego miejsca ławki, tuż obok przednich drzwi i strzelca karabinu PK. Patrzył nieprzytomnie w przesuający się za oknem krajobraz. Na wsie, cętki ruchliwych pojazdów, które czasem objawiały się w dole.

Nie reagował na ledwo widoczne, krótkotrwałe ogniki wystrzałów, które nakrapiały ziemię, świadcząc o trwających w dole potyczkach. Może i o ostrzale w kierunku śmigłowca, który był szczęśliwie za szybki i wzniósł się zbyt wysoko.

Generał był odporny na to wszystko. Analizował, sekunda po sekundzie, wszystko po kolei. Aż do kulminacji, która zniweczyła wszystko. Nie wiedział, jak miał to rozumieć. Czy pomylił się w ocenach i nie miał już żadnego pola manewru?

– Dwie minuty! – Pilot wysunął głowę z kokpitu, krzycząc w jazgocie silników.

– Co? – Kostia ocknął się z półletargu. – A, w porządku. – Uniósł kciuk. Teraz wypełnił go najprawdziwszy lęk. Zostały mu dwie minuty, by wymyślić, co robić dalej.

Helikopter siadał przy hangarach lotniska w Chost, które tego poranka było pełne ruchu i życia. Pasami kołowały szare, niewielkie samoloty szturmowe. Gdzieś dalej jechały wolno cysterny paliwa, pod eskortą wojska. Na placu postojowym do startu szykowały się zielone Chinooki. Tłoczyło się przy nich kilkunastu ludzi, prędko ładując zaopatrzenie. Mechanicy obsiadali jeszcze inne, mniejsze śmigłowce, sposobiąc je do walki. A wszystko w promieniach gorącego słońca, którego żar odbijał się od połaci betonów i blaszanych ścian budynków.

Mi-8 wylądował i sunął wolno na wyznaczone mu miejsce, gdzie czekały dwie karetki i wojskowy Humvee. Załoga helikoptera wyskoczyła na płytę, jak tylko stanął, by pomagać cywilom w wychodzeniu.

Kiedy pierwsi z nieszczęśników zaczęli dotykać ziemi, a wkoło nie było słyhać strzelaniny, cywile zaczęli wierzyć, że przetrwają. Nauczyciele zaczęli rzucać się sobie na szyję, ściskać komandosów generała i jego samego, choć on uchodził tu za zwykłego inżyniera, który jedynie zlitował się nad nieszczęśnikami.

– Co teraz? – Yakow precyzyjnie się gdzieś z tyłu, ciekawy dalszego postępowania. – Mamy wszystkich. Prawie wszystkich. – Patrzył, jak żołnierze wnoszą „Bizona” i pomagają nieść do ambulansu. Sanitariusze armii narodowej ze szczerą, solidną troską zaczęli doglądać cywilów, w większości przecież swoich rodaków. Rozgardiasz przybierał na sile, a generał odczuwał skupioną na nim uwagę swojego zespołu. Ruszył sprężystym krokiem do afgańskiego oficera, który stał przy aucie i oglądał to całe przedstawienie.

– Dziękuję za wsparcie! – Siwy Rosjanin uśmiechnął się z wdzięcznością i wyciągnął dłoń. Oficer w stopniu kapitana stanął na baczność, zaskoczony.

– Wracacie z Mita Sah? – zapytał. – A gdzie reszta? Byli Polacy, Szwedzi. Domagali się wsparcia. – Adiutant generała Dżianahana był ciekawski, ale tak naprawdę nie wyglądał na specjalnie przejętego losem pozostałych obcokrajowców.

– Zostali – odparł zafrasowany Rosjanin. Afgańczyk pokiwał głową ze zrozumieniem. Nie zaproponował nic. Wolałby, tak samo jak i jego przełożony, by nikt nie próbował rozliczać ich z wykonania zadania, za które wzięli pieniądze.

– Co to za zamieszanie? – Palec Rosjanina pokazał na samoloty.

– Wróg się cofa. – Kapitan szczerze się rozpromienił. – Nie wszędzie, ale są oznaki załamania. Znaleźliśmy w górach przy granicy ich obozy. Dużo pożarów. Chyba zaczęli walczyć między sobą – tłumaczył, a Konstantin zmagął się z samym sobą, by nie dać poznać, że wie, o co w tym wszystkim chodzi.

– Dobry Allah zesłał nam okazję – podsumował filozoficznie Kostia.

– Dokładnie! – Afgańczyk wyszczerzył zęby. – Dostaliśmy zezwolenie, więcej posiłków, choć docierają tutaj z opóźnieniem. Góry za wysokie. Z Kabulu można dotrzeć tu tylko samolotami – tłumaczył, sądząc, że ma przed sobą ignoranta. – Mamy zadanie wyruszyć na pomoc Mita Sah i dystryktom przy szlaku Chost – Gardez na granicy prowincji. Z centrum kraju jest łatwiej dowozić zaopatrzenie. Tam mogą latać śmigłowce...

– Rychło w czas! – Rosjanin wymamrotał ledwo zrozumiałą przytyk, przerywając dumny wywód, który ocierał się o zdradę tajemnic. – Jak długo wam zajmie? – dopytał wyraźniej.

– Trzeba zebrać siły, określić kierunki natarć... – Kapitan nie palił się do szybkiej reakcji i mnożył przeciwności. – Pewnie widzieliście po drodze talibów. Mita Sah to największa bitwa. Atakują mniejsze posterunki...

– Mówił pan, że się cofają? – Konstantina drażnił ten nieskładny bełkot. Cierpiał na słońcu, chciało mu się pić.

– Ci, którzy dostali lanie albo stracili zapal. Fanatycy zaś miejscami ciągle...

– Rozumiem. – Generał pojmował, że stan wiedzy Afgańczyka jest tak niekompletny, jak wszystko w tym państwie.

– Muszę wrócić po resztę – oznajmił, chociaż nie było to łatwe. – Potrzebuję paliwa. I opieki dla tych ludzi.

– To oczywiście da się załatwić! – Afgańczyk był zdziwiony. Podrapał się w podbródek, czarując spojrzeniem, by padła odpowiednia deklaracja.

– Wszystko opłacimy – fuknął Kostia, rozumiejąc, że nawet wyręczenie tego tchórze w ratunku dla obcokrajowców musi kosztować.

– W porządku. – Kapitan poszerzył prezentowany garnitur złotych zębów. – Polacy, Amerykanie, wszyscy chcą ratować tych nieszczęśników.

– Amerykanie? – Konstantin powtórzył zaniepokojony. – Nie wolno im! – warknął, jakby ktoś zrywał umowę z nim samym. Opanowywana latami paranoja starego szpiega znowu wypływała na powierzchnię, mącąc trzeźwy ogład. „Pomyliłem się. Już wiedzą? Tracisz instynkt, stary ośle?” – głos w środku zadał nieuprzejme pytanie. Generał przeraził się, że zaliczył za wysoko. „To bez sensu” – odwrócił się od Afgańczyka, już nim nie zainteresowany, grzęznąc w natrętnych analizach, które same zaczęły pączkować mu w umyśle. „Bez sensu” – powtórzył sobie, wracając do swoich. Konstantin nie zamierzał przegrać, ograny przez już dwa obce wywiady. Musiał skończyć to wszystko, tak lub inaczej.

– Yakow – przywołał oficera. – Wracacie – rozkazywał, nie przewidując oporu.

– Jednak... – Chłopak nie był zadowolony.

– Wiem. Wystawimy się, ale będzie warto. Miejscowi dostali wiatru w żagle. Tym bardziej nie mają ochoty ani sposobności, żeby bawić się w samarytan. Amerykanie mają się w to włączyć.

– Psia mać! – Oficer zrozumiał.

– Ciekawe, nie... Musicie działać. Ostrożnie. Sam rozumiesz, że ja nie zaryzykuję. Polecisz ty. Załoga i jeden, góra dwóch bojowych. Udadzą ochronę ciebie jako inżyniera. Ochotników, którzy lecą jeszcze raz. Pozostałych upchnę gdzieś tu, żeby nie rzucali się w oczy. Wezwę samolot z Kabulu albo Tadżykistanu. Już możemy wiać oficjalnie.

– Tak jest! – Yakow odpowiedział wojskowo. Odwrócił się niespiesznie, przeszedł kilka kroków i zastygł. Odwrócił głowę. – To naprawdę tak ważne? To znaczy: warte tego wszystkiego?

– Nie wiem. – Kostia był szczery do bólu. – Okaże się, ale mówiłem wam, że potrzebujemy czegoś, by nas nie starli na proch. – Myślał o czymś intensywnie, nie odwracając wzroku. – Tutaj nie chodzi o „Mazara” i cały układ, jaki mieliśmy zlikwidować. Wszystkich w to umoczonych. Zrozum... – Podeszedł bliżej i pochylił się, patrząc chłopakowi w przepelnione ciekawością źrenice. – Gdyby to dotyczyło ciebie, gdybym wiedział – albo przynajmniej miał przeczucie – że nie zdradziłeś i byłaby szansa... Też bym wrócił. Przynajmniej próbował. Reszta jest nieważna. – Poklepał Yakowa po karku i zaczął opowiadać, jak najzwięźlejsz potrafił.

Pod stropem schronu grzmiało od wybuchów. Pogłos rozlaził się po prawie pustych pomieszczeniach, nie dając zapomnieć, że tutaj nie będzie spokoju.

Quadira, Anna Linberg wypila duszkiem całą butelkę wody. Otarła usta rękawem i cisnęła pustym opakowaniem. Dyszała nerwowo, nie potrafiła się opanować. Wydawało się jej, że wariuje w tej brudnej kwaterze, pokoju któregoś z najemników. Miało być tu bezpieczniej niż w szkole, która teraz była dymiącą ruiną.

Łomotanie obstrzałów nie drażniło kobiety tak mocno, jak głosy i obrazy, które powracały natrętnie. Linberg nie miała przy tym wielkiego wyboru. Wiedziała, że niebezpieczeństwo kroczyło ku niej

z każdej strony. Na razie ciągle była w twierdzy, ani Polacy, ani Szwedzi nie mogli tego zmienić. Jej oferta więc nikogo by nie obeszła.

Adam Thomal pchnął liche drzwi i stanął w progu.

– Lepiej już? – zapytał. Czuł urazę, choć chciał ją maskować.

– Tak – odparła z trudem Anna.

Thomal usiadł na jakiejś skrzyni pod plakatem z nagą kobietą, naklejonym na ścianę. Nie byłby sobą, gdyby nawet w tak poważnej sytuacji nie obrzucił dłuższym spojrzeniem wdzięków modelki.

– Jest pewien pomysł – odezwał się niespiesznie. – Opuścimy szkołę.

– Rozumiem. – Linberg nie protestowała.

– To dobrze. Jakaś odmiana. Powinnaś być w Choscie...

– Nie musisz mi tego tłumaczyć. – Oparła się o ścianę i podsunęła nogi do głowy. – Jestem twarda. A w każdym razie myślałam, że jestem, ale... – Zawahała się i popatrzyła na Adama. Czy był to ten moment? Intymna chwila w dźwiękach ostrzałów. – Wystraszyłam się. Nie panowałam nad sobą. Tego było za dużo. – Czarowała jak zwykła kobieta, która otarła się o psychiczne załamanie.

– Widziałem. – Thomal był oszczędny w słowach i z lekka zaczął odpuszczać złość. – Ale mogłaś powiedzieć, że jest ci źle...

– I co? – Anna najeżyła się, sama czując się dotknięta. – Pogłaskałbyś mnie? Przytulił do serduszka jak jakąś dziunię? – odparła, bezbłędnie czytając w naturze faceta. Ten rodzaj patriarchy rozłościł ją. Wpadła w istną furję. Krew zaszumiała w skroniach. Wahanie sprzed chwili uleciało w zapomnienie. Teraz Anna na powrót była ostra i wojownicza. – Nie spieprzę niczego więcej – obiecała. – I co teraz? Ktoś się zlitował?

Thomal nerwowo się uśmiechnął, nie pojmując tych zmian nastrojów. Wstał.

– Zabierz, co możesz. Najwięcej wody. Wywiozą nas do miasta, jak tylko to szaleństwo się uspokoi.

– A potem co?

– Potem coś wymyślą. – Adam nie chciał wchodzić w szczegóły, by nie straszyć pani dyrektor.

Pokój dowodzenia był nabity ludźmi. Najwięcej było wycieńczonych Afgańczyków. Rozsiedli się na krzesłach, na podłodze pod ścianami. Drzemali albo polewali się resztkami wody. Ludzie jednostki GROM wyglądali tylko nieco lepiej. Ubrudzeni, cali w sadzy, wymieszali się z miejscowymi. Resztę stanowiły szkieletowe obsady kilku posterunków na murach i posterunku pod wzgórzem.

Jerzmanowski siedział w końcu stołu, obok dwóch komandosów: polskiego majora i sierżanta sztabowego Wardaniego. Stenblock spoczął dalej. Już na pierwszy rzut oka apatyczny i wycofany. Ciężąca głowa opierała się na piersi w jakiejś depresyjnej pozie, kiedy zapatrzył się na trzymany w dłoni plastikowy widelec.

Dwaj ludzie rozmawiali bez ustanku przez radiostacje. Anna rozpoznała polskiego specja od łączności. Drugi był afgańskim komandosem. Potem spostrzegła ciągle wstrętny, życzący jej najgorszego, wzrok Kamila, komandosa Formozy. Gapił się na nią przez na wpół zamknięte powieki. Poruszał tylko głową, śledząc ruch dziewczyny. Wystraszyła się, że ją prześwietlił. Potulnie wcisnęła się w ciemny kąć i uciekła spojrzeniem. Thomal dołączył do reszty.

– Jeżeli jesteśmy już wszyscy... – Polski lider zaczął mówić, ale bez pośpiechu. – Afgański garnizon szykuje kontruderzenie w stronę Chostu. Rebelianci mają jakieś problemy we własnych szeregach. Trzeba się dostać do Mita Sah, a potem, jak dobrze pójdzie, może jutro droga do Chostu będzie otwarta. Ale najpierw trzeba porzucić to urocze miejsce. – Zrobił grymas, jakby chciał splunąć. Kiwnął na majora, oddając mu głos, i oparł się nisko na krześle.

– Ostrzał uszkodził albo zniszczył auta Kandaku. Szkolne wozy... Cóż, sami widzieliście. Będzie więc ciasno. W pierwszej kolejności sadzamy cywilów. – Zerknął ostrożnie na Stenblocka. – Potem cała reszta.

– Lotnictwo i artyleria dadzą nam osłonę – dokończył Kamal Wardani. – Jak tylko będziemy gotowi, dajemy znak – pokazał na mikrofon przy policzku – i ruszamy. Was się wywiezie... Do domu. – Chyba dotarło do niego, że jego walka jeszcze długo się nie skończy.

– Musimy się pospieszyć. – Stefan Kłodziński vel Jerzmanowski wybawił sojusznika z niezręcznej sytuacji. – Kandak to zawodowcy. Pan major rozmieści ludzi. Powiedzmy za – zerknął na zegarek – pół godziny?

– Damy radę – Wardani przytaknął. – Pojadę na szpicy – poprzysiągł.

Podoficer wstał i patrzył na Annę tak samo wrednie, jak wcześniej Kamil. Chciałby ją docisnąć, dowiedzieć się tego, czego nie chciał powiedzieć „Papa”. Bił się o ratunek dla tutejszych ludzi, ale chyba nie tylko. Wardani wreszcie porzucił zamiary wobec tej całej dyrektorki. Opanował się. Nie miał czasu dociekać, przesłuchiwać. On sam miał inne bitwy w wojnie, która nie chciała się skończyć.

Wardani klęknął na jednym kolanie przy uchylonym wejściu do wielkiego betonowego schronu, w którym kiedyś rezydowali najemnicy. Słuchał, zerkając na błękitne popołudniowe niebo. Pociski obrysowywały eksplozjami wzgórze, wystrzeliwane leniwie, niespiesznie. Za to od strony miasta aż jęczało.

Podoficer uważał się za gospodarza terenu, którego tak długo bronił, i to na siebie chciał wziąć ryzyko. Usłyszał dwa huki i czekał na terkot w powietrzu.

– Raz, dwa... – liczył pod nosem i wyczekał eksplozji. Granaty padły daleko na kamienistym polu. Nie było lepszego momentu. Przynajmniej nie chciał marnować czasu, by to sprawdzić. Słońce schodziło ku horyzontowi.

– Do wszystkich! – podniósł głos, podniecony. – Start, start, start! – wołał na jednym oddechu. Wstał. Odwrócił do wianuszka czekających operatorów i niewielkiej grupki ostatnich cywilów. Prawie cywilów. – Za mną!! – Tubalny głos wielkoluda rozległ się pod betonem. Sierżant rozwarł drzwi i popędził do auta, którym miał prowadzić wymarsz. Tuż za nim popędziła grupa, rozwijając się w dwie luźne linie, by choć

trochę zminimalizować prawdopodobieństwo trafienia odłamkiem. Anna gnała na samym końcu, obstawiona Szwedami, tak jak Stenblock i Jerzmanowski. Thomał biegł, ale i ukradkowo spojrzął na dymiącą ruinę, jakby chciał ją zapamiętać. Napiął mięśnie, zaciskał bezwiednie szczękę, wiedząc, jak kończy się odpuszczanie samemu sobie na ostatniej prostej. Wreszcie dopadł do Humvee.

– Dobra nasza – wydyszał, przyjemnie zaskoczony.

– Krawężnik, nie pierdol! – Kamil „Monsignore” capnął go za kark i cisnął w otwarte, pancerne drzwi samochodu. Thomał mógłby jechać jak inni, wciśnięty na pakę, albo i biec, bo dla wszystkich miejsca nie mogło starczyć, ale porucznik obdarzył go lepszymi względami. Po kilku latach burzliwej przyjaźni uznał, że tak trzeba.

Thomał wleciał do ciasnego wnętrza. Nim umościł się w tej klatce, usłyszał pisk dziewczyny i do środka wleciała Linberg, padając głową na udo Polaka.

– Tak od razu? – Szofer, brodaty komandos Kandaku zażartował, niezbyt wykwintnie, typowo po wojskowemu.

Anna wysapała niezrozumiale jakąś pyskówkę i wtuliła się w Adama. Do środka wcisnął się jeszcze sam „Monsignore” i strzelec erkaemu na wieży. Pod otwartą klapę bagażnika wsiadł „Mucha” i polski medyk.

– Jak w pekaesie na Kociewiu – skojarzyło się Kamilowi.

Silnik zbulgotał pod maską. Kierowca zaczął stękać w mikrofon pod hełmem i tłuc dłonią w kierownicę. Adam zrozumiał, że facet się denerwuje i popędza resztę w paszto. Polaka znowu, na sam koniec, dopadła częśćka turysty albo reportera, któremu zachciało się uwiecznić dramat dla potomnych, jakby to ich cokolwiek obchodziło. Nie bez trudu wyszarpał z brudnej kieszeni na udzie swój archaiczny aparat. Przycisnął do zakurzonej szyby, chcąc wyłowić cokolwiek interesującego. Linberg zdębiała, widząc te mocowania gliniarza. Wybuchła zdrowym, gromkim śmiechem.

– Ty, paparazzi!

Nawet kierowca pokręcił głową. Thomal szybko wyłączył aparat i jak obrażony wcisnął go na miejsce.

Chyba wszystko wreszcie było jak trzeba, bo szofer wymachnął dłońmi, krzyknął coś i docisnął gaz. Szarpnęło. Ci na tyle zaklęli, mało nie lądując na piasku. Kolumna zaczęła toczyć się ku bramie, zostawiając z tyłu tych kilku, którzy musieli biec. Było gorąco, bardzo gorąco, sprzęt ważył swoje, a oni biegli.

Adamowi zrobiło się przykro, ale tylko na moment. Nie był zwykłym „szturmanem”, tak sobie przynajmniej wmawiał. Humvee stoczyły się po nierównej ścieżce. Kilka pocisków łupnęło gdzieś po okolicy, ale nie wydały się groźne.

Strzelec na dachu wiercił się i kopał przy tym nogami za każdym obrotem wieży. Z wprasowanym w pamięć mięśniową przyzwyczajeniem wyszukiwał zagrożeń. Każdy z operatorów którejkolwiek z formacji przeszedł w inny wymiar. Tryb wojownika skupionego tylko na powstrzymaniu wroga.

W upačkanej szybie mignął jakiś kształt. Był szybki. Przez gang silnika dopiero po chwili doszły hałasy innych maszyn.

– Samoloty! – Thomal ucieszył się, wspominając płatowce z lotniska.

– Mamy szansę, mamy szansę! – „Monsignore” zadzierał głowę po swojej stronie, by cokolwiek dostrzec. Od południa trzaskało od krótkich, częstych wybuchów. W ułamkach sekund dało się też wyłowić terkot lotniczych działek i karabinów maszynowych. Strzelec na dachu był jak opętany, pierwszy raz od dawna widząc, jak lotnictwo jego kraju dopada nieprzyjaciela. Na nieboskłonie pojawiły się jeszcze dwa A-29 Super Tucano. Były wolniejsze. Pierwsza para obezwładniła rebelianckie pozycje, ale te maszyny szukały nowych ofiar. Adamowi było wszystko jedno, reszcie podobnie. Ludzie uspokajali się, jakby ktoś odłączał prąd. Zaczynali wierzyć, że już po wszystkim. Adam wiedział, że musi włożyć dużo wysiłku, obciążyć umysł i organizm, by przekonać samego siebie, że wcale tak nie musi być.

Osobliwa kolumna wyglądała jak oddział cofający się wiele dni. Spod kurzu i brudu nie widać było barwy samochodów. Dobytek ze skrzyń i worków transportowych wyglądał jak sterty niepotrzebnych staroci, upodabniając kolumnę do cygańskiego taboru. Tyle że bez pstrokatych barw i wesołości.

Lufy karabinów w wieżyczkach okręcały się co kilka chwil, wszędzie tam gdzie mógłby ukrywać się wróg. Do samego końca, aż do szańców obrony i rządowych posterunków na szosie.

Zasiadający na autach ludzie nie prezentowali się wiele lepiej. Ściśnięci jak w polskim pekaesie, jeżeli nie znaleźli miejsca wewnątrz, wisieli na zewnątrz, zakrywając twarze szalami i goglami. Co chwila głaskali palcami języki spustowe swojej broni. Własnymi ciałami osłaniali samochody w krótkiej, ale wciąż ryzykownej jednak podróży.

Mita Sah pod oblężeniem kipiało od hałasu. Ulice obstawione lichymi domami były wyludnione na przedmieściach. Okaleczone stropy, zrujnowane ogrodzenia tłuczone przypadkowymi pociskami nadawały grozy. Obrońcy szkoły przywykli do ruin, ale tutaj zniszczenia, choć nie totalne, ciągnęły się, gdzie by nie spojrzeć. Na obrzeżach, w kilku punktach, zwłaszcza bliżej dróg, swoje pozycje trzymali żołnierze regularnej armii. Wkopani w ziemię, pod stropami z desek, blach i worków z piaskiem. Zmizerowani, zmęczeni, ale ciągle groźni. Walczyli, nie uciekali.

Widok kolumny, która musiała mienić się jak zwycięski oddział, pobudzał ich do pozdrowień. Ślali uśmiechy, machali, wznosząc okrzyki dla komandosów Kandaku i zagranicznego wsparcia. A wszystko to w akompaniamencie dalekich pomruków nieprzemijającej bitwy. Lotnicze silniki, głuchoe wybuchy, wszystko to dochodziło z kilku kierunków naraz.

Bliżej niewielkiego centrum pojawiali się cywile. Pojedynczo, grupkami, zazwyczaj mężczyźni. Dźwigali baniaki wody, zakupy z nielicznych otwartych sklepów. Widząc ten mieszany oddział, przystawali, gapiąc się pytająco. Byli umęczeni, nie rozumieli wiele z sytuacji ogólnej, ale jednak nie porzucili swojego dobytku. Spojrzenia

były obojętne, czasem tylko za kawalkadą gonił jakiś okrzyk wsparcia. Czasem cywile błakali się sami. Jeden z takich osobników kucał przed domem z szarych cegieł i śledził ruch aut. Adam zwrócił na niego uwagę ze względu na kontrast, jaki czyniła jego butelkowo zielona sukmana i niewielka biała czapka na czubku głowy.

Ponad miasteczkiem gnały potężne Chinooki, osłaniane mniejszymi zwinnymi MD-500. Pięć Humvee wtoczyło się przez posterunek najezony lufami karabinów w obejście budowli zaanektowanych na bazę pośrodku miasteczka. Tak jak wiele miejsc w okolicy, mury ponadgryzane były pociskami znacznie mocniej, niż wtedy kiedy oddział ruszał do szkoły. Oficerowie i żołnierze wyzierali z ukrytych tuneli, zamaskowanych namiotów, z których przejścia prowadziły do ukrytego dowództwa.

Gdy tylko kolumna rozjechała się po placu, Afgańczycy zaczęli skakać z samochodów z taką werwą, jakby już byli najzupełniej bezpieczni. Gotowi byli całować ziemię, witali się wylewnie z kolegami z Commando Kandaku, policji i z każdym, kto okazywał im szacunek za wytrwanie na bombardowanym wzgórzu. Adam nie potrafił zrozumieć tej euforii. Przecież był to tylko epizod. Kilka dni strachu, które kosztowały życie ludzi. Komandosi nie mogli iść na urlop, odpuścić sobie. Nie mieli tego luksusu.

Przybysze z zachodu nie interesowali miejscowych tak mocno. Byli traktowani grzecznie, ale bardziej obojętnie. Zachodni byli przejazdem, by domknąć swoje sprawy, więc nie trzeba było się starać o ich względy. Już nie.

Stary dowódca, generał Maluvi pojawił się między żołnierzami w otoczeniu niewielkiego sztabu. Uściskał Wardaniego, ucałował w policzki jak starego przyjaciela. Dowodzący kompanią Kandaku Rahmat Yasim zrobił tak samo.

Kazali odpocząć drużynie, która wracała do oddziału. Ludzie Kamala zaczęli ściągać broń, żeby zgodnie z zasadą wyczyścić ją, by zawsze być gotowym do niespodziewanej walki.

Maluvi podał dłoń Kłodzińskiemu, by dać zadość dyplomatycznym obowiązkom.

– Dziękuję – powiedział po angielsku, chociaż bez przekonania. – Pomogliście odpychać wroga. To się wam chwali.

Przeszedł ku innym i ścisnął dłonie komandosom. Obdarzał każdego smutnym spojrzeniem człowieka umęczonego albo gotowego na swoją śmierć.

– Jeszcze dziś pošlę tam pluton wojska. – Przystanął przy Annie. Nie obawiał się złamania tradycji, podał rękę. – Kandak jest potrzebny tutaj i w całym dystrykcie. Dzięki wam wiem, że to wzgórze to ważny element obrony miasta i okolicy.

– Więc na coś się przydaliśmy?

– Dobrze to pani wymyśliła. – Stary uśmiechnął się. – To pani twierdza. W czasie pokoju, ale i wojny, jak się okazuje.

Odszedł kilka kroków, przyglądając się grupie. Stanął w rozkroku, łącząc dłonie na plecach. Był wiekowy, ale poza, kamizelka i broń przy pasie w połączeniu z siwą głową doświadczonego mudzahedina dawały mu powierzchowności osoby, którą należało szanować.

– Nasi goście mają wielkie szczęście! – przemówił mocno. – Znalazł się ktoś, kto pomógł w ewakuacji cywilów. Ci sami ludzie chcą wrócić po resztę. – Zachodni patrzyli po sobie, nabierając delikatnego optymizmu. Chyba nie od razu uwierzyli. Tylko Quadira stała nieruchomo, by nie zdradzić się jakimś gestem z nawracającym lękiem. – Helikopter powinien być tu w ciągu godziny. Chcę być pewnym, że nic im nie zagrozi, żaden ostrzał. Udacie się na lądowisko. Zabierzecie kilku naszych rannych. Wojskowych i cywilów. No i cóż. – Spuścił głowę. – Pożegnamy się.

Wykonał jakiś niezrozumiały gest dłonią i już zupełnie zobojętniały, jakby w jednej sekundzie zapomniał o problemie przybyszów, obrócił się i poszedł do budynku.

– Tak jak powiedział generał... – Yasim mówił za dowódcę. – Dziękujemy wam. Kamal opowiadał o was same dobre rzeczy. –

Wskazał na zmęczonego podoficera – Ale macie swoje rozkazy. Tu nic was nie trzyma.

– To my dziękujemy... – Kłodziński uklonił się. – Pomogliście bardzo.

– Chcecie tu odpocząć, czy wolicie, by wywieźć was na lądowisko? – Yasim przeciął czoło gadanie, skupiając na tym, co ważne.

– Ruszamy – zdecydował major GROM-u.

Nikt z grupy nie zamierzał oponować. Mariusz miał rozkaz zabezpieczyć delegację, cywilów. Nie miał zamiaru tkwić tu nawet minutę dłużej, niż było potrzeba. Zwłaszcza kiedy nikt go nie chciał, a miejscowi zaczęli robić się nieprzyjemni, co groziło utratą osłony z ich strony.

– OK. – Yasim nawet się uspokoił. – Pakujcie się... – kazał, pokazując na samochody. – Uspokaja się. Docisnęliśmy ich.

– Gratuluję! – Kłodziński chciał pochwalić w naturalny sposób – Jeszcze raz dziękuję – podał dłoń najpierw oficerowi, potem. Wardanemu. – Życzę wam powodzenia. Zwycięstwa. – Nie wiedzieć czemu, zrobiło mu się nieswojo.

Anna rzuciła się do wozu, ocierając łzy z policzków. Rzeczywiście targało nią zbyt wiele emocji. Nie sądziła, że tak skończy się doniosły etap jej życia. Nie chciała z nikim rozmawiać, zegnać się i silić na piękne słówka, w które nie wierzyła.

Adam usiadł obok. Chciał coś powiedzieć, ale uchwycił, że to nieodpowiedni moment. Grupa zapakowała się do samochodów z energią, jaka łapie człowieka w chwili szczęścia i pewności siebie.

Wartownicy odsunęli bramę. Za nią był otoczony drutami kolczastymi posterunek. Pierwszy Humvee afgańskiej armii wytoczył się pod wyjazd. Anna podniosła wzrok, czując nieodpartą potrzebę zapamiętania tej chwili.

– Nie zrobiłeś im zdjęć.

– Słucham? – Adam się zdziwił.

– Żadnemu z nich. – Wskazała kciukiem za siebie. – Szkoda, fajna byłaby pamiątka...

– W sumie racja. – Thomał zmieszał się, ale już było za późno.

Przed posterunkiem, których widział tak wiele w tym państwie, mignęło mu coś, co nie pasowało do militarystycznego krajobrazu. Ani w Kabulu, ani w Choscie nie zapamiętał cywila tak blisko checkpointu. Był ubrany w długą, za dużą koszulę i białą czapczkę typu uzbeckiego, na czubku głowy. Przypomnił sobie tego faceta.

– Stój! – Polak zawołał do kierowcy, natchniony dziwnym przeczuciem. Ten się wzdrygnął wystraszony i już miał się odwrócić i zrugać obcego, kiedy przy bramie błysnęło. Hałas był obezwładniający i ogłuszający. Krótki płomień sprawił, że człowiek w białej czapce wyparował. Podmuch uderzył w wóz, syjąc odłamkami kamieni i metalu. Wjazd zniknął w obłoku dymu. Anna wydarła się, objając o ściany, kiedy do wnętrza wpadł strzelec. Był pokrwawiony i nieprzytomny. Przez syk i piszczenie w głowie zaczęły przebijać się krzyki, ale i strzały. Wkoło biegali ludzie. Adam rozpoznał swoich. Polacy z GROM-u gnali na czoło, podnosząc broń. Zaraz potem wybuchła regularna strzelanina. Była głośna, szybka. Musiała dziać się na bliskim dystansie. Ponad murem pojawił się wirujący język ognia.

Anna w panice chciała uciekać, ale Thomał powstrzymał ją z wysiłkiem. Wyszarpał rannemu komandosowi opatrunek, jaki miał przy kamizelce. Rozpieczętował i kazał dziewczynie uciskać płytką ranę na policzku. Kierowca oszołomiony usiłował coś mówić, ale nikt go nie rozumiał. Sięgnął wreszcie po broń i pokazał Adamowi na dach. Thomał aż skulił się ze strachu. Afgańczyk wymachnął pięścią, sycząc najgorsze przekleństwa. Polak niechętnie zaczął wspinać się do wieży, wreszcie pojmując, że teraz wszyscy walczą o życie. Zorientował się, że kilka mierzonych kul, a może rykoszetów, ugodziło w przednią pancerną szybę. Że stoją prawie na wprost rozwartej bramy, przez którą ktoś do nich wali. Adrenalina przywróciła mu trzeźwość. Dodała mocy.

Powietrze cuchnęło. Było ciemno. Adam podciągnął amerykańskiego M240 pod ramię i skierował zasłoniętą pancerną blachą obrotnicę tam,

gdzie słyszał strzały.

W dymie majaczyły urywane scenki z przemykającymi daleko po drugiej stronie drogi postaciami. Wkoło nich rosły słupy piasku, wrywanego pociskami. Thomał wtulił się w kolbę. Wszystko wokół zdawało się snem. Zacisnął dłoń na uchwycie i wybrał jednego rebelianta na cel. Facet był w szaro-czarnym ubraniu. Od cywila odróżniał go karabinek kałasznikowa. Thomał pociągnął za spust. Karabin szarpnął, ale słabiej, niż spodziewał się Polak. Lufa przemówiła ogniem. Kilka smugowych pocisków prześlizgnęło się po asfalcie. Tamten zniknął. Thomał nie upewniał się, czy trafił. Szukał innego celu. Było ich jeszcze kilku. Wahali się, bijąc z dystansu, wystraszeni reakcją, której się nie spodziewali.

Adamowi zrobiło się słabo i duszno. Chciało mu się pić. Nie wiedział, co stało się chwilę później.

– Boże, co jeszcze? – wysapał prawie bezgłośnie i zaczął opadać w głąb wozu.

Nie wiedział, jak długo był wyłączony. Poczul, jak i silny wiatr smaga go po twarzy. Odruchowo podniósł głowę, spodziewając się jedyne źródła tego huraganu. Nie pomylił się. Nad miastem wisiał śmigłowiec Mi-8. Za nim podchodził Chinook. W oszołomieniu Adamowi ten widok wydał się strasznie osobliwy, ale i znaczący. Ktoś go podniósł z ziemi i pomógł prowadzić, kiedy rosyjska maszyna siadała na kamienistym polu między domami.

Polak zaczął się rozglądać, gdzie podziała się Anna. Szła z tyłu. Pomagała rannemu strzelcowi. Thomali jakby ulżyło. Chciał uciekać. Myślał o Matyldzie. Widział płonący wrak Humvee z wyrwanym przodem. Lej w asfalcie i zdemolowany posterunek pełen ciał. Z lądującej maszyny zaczęli wychodzić ludzie. Z bronią i bez niej. Byli zdumieni tym, co napotkali. Wprowadzili Adama i całą resztę. Taszczyli nosze z rannymi, a tych, co mogli chodzić, prowadzili na ławki pod burtami.

Adama już niewiele to obchodziło. Zaczął napinać mięśnie, szukając ewentualnej rany. Nic nie czuł, ale nie uspokoiło go to. „Wypełniłeś

zadanie!” – tłumaczył się przed samym sobą. Dźwignął głowę. Quadira siedziała naprzeciw. Była wystraszona, ale w pełni przytomna, cała w brudzie i umazana krwią po łokcie. Po nią tak naprawdę tu przyjechali. Dla niej było to wszystko.

Śmigłowcem szarpnęło. Zaczęli się szybko się wznosić. Zrobiło się chłodniej i Adam zasnął w drganiach maszyny.

Po całym bałaganie podróży i walk ostatnich dni cisza zadawała rzeczywisty, fizyczny ból. Była nierealna i podstępna. Każdy, który się nią napawał, usypiał zazwyczaj, nie potrafiąc narzucić organizmowi dyscypliny. Nadwątlone przygodą ciała nie miały energii. Buntowały się. Ludzie mieli przeświadczenie, że taki stan nie potrwa długo.

Dwie połączone ze sobą grupy uciekinierów spały. Wyczerpało je zbyt wiele skrajności: strach ucieczki pod ogniem rebeliantów, radość ocalenia i przybycie ostatnich nieszczęśników.

Większość padła na swoje legowiska w powierzonej im dusznej, ciasnej sali terminala. Pokój wypełniało chrapanie. Był jednak pewien wyjątek.

Anna Linberg zaciskała powieki, ale ukojenie nie przychodziło. Pozostawał tylko lęk przed przyszłością.

Dusiła się. Chciała świeżego powietrza, a także coś gnało ją, by odnaleźć odpowiedzi. Dobre czy złe, musiały w końcu paść.

Dziewczyna wysunęła się spod koca i usiadła, upewniając się, że nikt jej nie podgląda. Już przeświadczona, że jest bezpieczna, wstała i ostrożnie podeszła do drzwi prowadzących na korytarz. Było jeszcze jasno, słońce dopiero zaczynało chować się za górskie łańcuchy. Snop światła z tańczącymi w nim drobinami kurzu wlewał się w przejście.

Siedzący za drzwiami żołnierz GROM-u – nie wiadomo, w jaki sposób radzący sobie ze znużeniem – podniósł głowę. Był ciągle przytomny.

– Lepiej zostać w sali... – powiedział i uśmiechnął się, ale zaraz coś starło ten grymas z jego twarzy. Dostrzegł ciągle brudne od krwi dłonie

i ubranie dziewczyny. Schowała ramiona za siebie, skonfundowana.

– Muszę to domyć – powiedziała zawstydzona.

Ruszyła szybkim krokiem do schodów przed wysokim oknem, z którego rozciągał się widok na pasy i budynki portu lotniczego. Anna minęła jeszcze dwóch Polaków i Szweda. Nie reagowała na ich pozdrowienia i zaczepne pytania, jak się czuje. Facet o ksywce „Golas” chciał ją powstrzymać przy drzwiach bocznego wyjścia, ale naparła na niego, śląc jednocześnie smutny uśmiech.

– Ja na chwilę... – poprosiła i żołnierz ustąpił.

Adam Thomal wstał z krzesła dla podróżnych na parterze terminala, zwabiony zamętem, jaki robiła dziewczyna. Bolała go głowa. Zdjął bandaż i wilgotny opatrunek. Też dopadła go ochota, by pospacerować.

Powietrze traciło ciężar duszącego upału. Stawało się znośnie, choć od wielkich tafli betonu było ciągle gorącym nagromadzonym przez cały dzień. Coraz dłuższe cienie pośród pomarańczowej barwy zasnuwały wszystko wokół. Było przedziwnie spokojnie.

Nic nie latało, ani nie jeździło po ziemi. Nie było słyhać bitwy, nawet najdalszej. Samoloty szturmowe potulnie parkowały na swoich miejscach po drugiej stronie. Tak samo jak śmigłowce transportowe. Brakowało też ludzi. Pustkowie wyglądało jak obca planeta.

Quadira spacerowała wzdłuż niskiego terminala. Za ogrodzeniem rozciągał się prawie pusty parking, droga prowadząca do miasta. Dalej była tylko znana jej doskonale żółta, jałowa ziemia i kamienie. Kilka donic przed wejściem od frontu miało w sobie jakieś zwiędłe rośliny. Policjant przechadzał się przy drzwiach, pierwszy, jakiego spotkała od dawna. Mundurowy ją zignorował. Gdzieś hen widziała bunkry przy wjeździe na teren lotniska i barak, w którym przeszukiwano bagaże podróżnych.

To było wszystko. Szukała... sama nie wiedziała czego. Nie widziała śmigłowca, którym tu lecieli. Nie było samolotu, którym dotarła tu z Kabulu. Wydało się jej to zatrważające i nienormalne. Poczowała dreszcz.

Objęła się za ramiona. Była w pustynnych spodniach, brudnej koszuli z rękawem i poszarpanej chuście u szyi.

Świeższe powietrze dotleniło umysł. Mogła ułożyć sobie wszystko, o czym myślała, co ją drażniło, i wtedy ten minimalny spokój się zawalił.

Zatrzymała się, opuszczając ręce i zaciskając dłonie w pięści. Patrzyła, nie rozumiejąc, obawiając się i myśląc, czy ma najmniejszą szansę uciec.

– Dobry wieczór. – Konstantin Rabstein wyrósł jak spod ziemi. Był w świeżym ubraniu, wypoczęty. Zupełnie inaczej prezentował się, kiedy Quadira dostrzegła go po raz pierwszy tego dnia. Ruszył ku niej wolno, tak by nie spłoszyć. Uśmiechał się i patrzył uważnie na całą sylwetkę Anny.

– Piękna z ciebie kobieta. Wspaniale cię widzieć. – Był uprzejmy, jakby na ulicy po latach spotkał starą znajomą. Faktycznie, znali się od bardzo dawna.

– Czego... czego chcesz, wujku? – wymamrotała ciągle przerażona, nazywając starszego pana tak jak kiedyś. Było jej łatwiej, aniżeli uczyć się pseudonimów, stopni i wszystkiego, do czego głowy nie miała młoda dziewczyna.

– Oj, nieładnie. – Pogroził jej palcem. – Nie przywitasz się? Uratowałem cię. – Zapadła cisza, mącona tylko powiewami wiatru na płycie lotniska. Kostia rozejrzał się. – Usiądziemy. – Pokazał ławkę pod betonowym wykuszem budynku. Anna odruchowo spoglądnęła na dwie kamery sterczące ze ściany na rogu.

– Dobrze – pochwalił generał. – Ale nie martw się. Nic nam nie grozi. – Dał wymowny sygnał, że przygotował teren. Linberg usłuchała, jak zawsze, kiedy rozmawiała ze swoim nauczycielem.

– Nie spodziewałem się, że spotkam cię w takich okolicznościach – zaczął Kostia. Zarzucił nogę na nogę i zachowywał absolutny spokój, choć wciąż wypatrywał wkoło zagrożenia.

– Ile to już lat? – Anna złapała przynętę. Potarła skroń, nie potrafiąc zliczyć lat.

– Siedemnaście? – Generał udał niepewność. – Przepraszam. Po zakończeniu szkoleń spotkaliśmy się dwa razy w Sztokholmie, kiedy byłeś na urlopie. Wyjechałeś na chwilę z tego cudnego kraju.

– Szmata czasu – westchnęła, dopiero oswajając się z sytuacją.

– Tak... – Złapał jej dłoń i pogłaskał. – Wrosłaś w ten koloryt – stwierdził, a drugim ramieniem pokazał szczyty gór w oddali.

– Co masz na mnie? – Dziewczyna wycofała dłoń, zmęczona i nastraszona.

– Na ciebie? – Odgrywał zdziwionego. – Nic. Działałaś dobrze. – Przemienił się naraz w rasowego oficera. – Ktoś zarzuci ci, że może pogubiłaś się w balansowaniu pomiędzy zagrożeniami, że mogłaś rozegrać to lepiej albo...

– Albo zarzucą zdradę. – Ona istotnie nie miała nastroju, by bawić się w półprawdy.

– Zhardziałaś – Generał zaśmiał się, ale kilka sekund później był znów surowy i zasadniczy. – Po co tak ostro? Nikt nie oskarży cię o nielojalność. Lawirujesz. Wiem. Masz ku temu talent. Kto stwierdzi inaczej, nie zna się na tej robocie. – Stanowcza opinia wbrew pozorom zaczęła wygłuszać niepewność dziewczyny.

– Dziękuję – szepnęła.

– Nie masz za co. Od początku, kiedy tylko tu trafiłem, myślałem o tobie. O mojej dzielnej Quadirze, którą ciężko byłoby stracić. Miałem podejrzenia, że Polacy albo Szwedzi wzięli cię na celownik. Ba, że oddadzą Amerykanom. Że odstawią do Europy, bo zaczynasz sypać. Ale kiedy dowiedziałem się, że lecisz tutaj... Mamy ludzi wszędzie. W Kabulu na lotnisku, w firmach lotniczych. Mam dostęp do informacji.

– Po co cię przysłali? – Linberg musiała zaspokoić własną, pulsującą nieznośnie ciekawość. Konstantin odczekał, nie zamierzając rugać podwładnej.

– Wiesz, czym był „Smiersz”? – zapytał bez emocji.

– Z historii pamiętam. Śmierć Szpionom. Taka służba, co szła za frontem, szukając szpiegów, dywersantów. Niemców, Polaków, Litwinów...

– Tak, tak, tak – Konstantin uciszył ją gestem. Nie miał czasu ani ochoty na lekcje historii. – Teraz coś innego. Młodszy nazywają to „audytem specjalnym”, tacy jak ja „Śmierciem”. Należę do komisji kontrolnej ponad wszystkimi. SWR, GRU, FSB. Wygaszam operacje, jeżeli zagrażają samej górze albo służbie. Kiedy ktoś na za dużo sobie pozwala.

– Likwidujesz ich. Nie wiedziałam, że wciąż jesteś w służbie. – Anna odsunęła się na sam koniec ławki i zbladła. Zaczęła szukać sposobu, by wyrwać się z pułapki.

– Tak. – Kostia był szczery. – Ale tobie nic nie grozi. Uwierz mi. – Quadira nie zamierzała. Cofnęła się dalej. – Przyleciałaś tu, bo jesteś inteligentna i odważna. Nie prawię ci laurów, ale cię znam. Sam wybrałem do obróbki. Jeszcze jak byłaś u nas... To znaczy w Czeczenii. Jeżeli odważyłaś się lecieć w to gówno, to uznałem, że zyskałaś zaufanie ich audytorów. – Zaśmiał się rozbawiony porównaniem. – Wiesz doskonale, że to nie urzędnicy, a banda oficerów. Nie odstawili cię do pierdła w stolicy, a pozwolili jechać. Musiałaś się uwiarygodnić, prawda? Uciekać do przodu. A mogłaś walić do drzwi ambasady. A jednak... Walczysz do końca. Jesteś piękna, ogłupiasz mężczyzn. Powiedz, jak to załatwiłaś? Wystawiłaś kogoś innego? Czasem poświęcamy pomniejszych... Ten ktoś był nasz?

Anna wyprostowała się, wypięła krągłą pierś i pierwszy raz od bardzo dawna uspokoiła się. Ktoś, kogo traktowała jak protektora i nauczyciela życia, doceniał i potwierdzał jej zawodowość.

– Wystawiłam pracownika. Nie był nasz – powiedziała dobitnie. – Mój kochanek. Wszystko było w raportach. – Nie było czasu opisywać. – On naprawdę mnie kochał. Do tego stopnia, że nie puścił pary z ust. – W jej głosie słychać było mieszankę podziwu i lekceważenia.

– Czyli coś podejrzewał? – Konstantin się zaciekawił.

– Być może, ale nie wiedział nic dokładnie. Nie miał szans. Uważałam.

– Tego jestem pewien. – Generał skinął głową. – Twoi prowadzący nie potrafili zaś być tak ostrożni. Byli idiotami.

– Moi rodacy! – Z niejakim obrzydzeniem zachnęła się dziewczyna. – Nie traktowali mnie z powagą. Nie tak jak ty... – Zdobyła się na wyraz uznania. – Podejrzewałam, że ktoś z zespołu w szkole to kret. Dali go nam jako cichą ochronę. Tak samo jak Szweda. Kiedy spostrzegłam, że ten Mark łązi za mną raz, czy drugi, a ja nie mogę go zgubić... Myślałam, że to zazdrość o Balila, mojego kochasia. Ale kiedy wyrwałam się sama na spotkanie z „Mazarem”, a potem sprawdzając, spostrzegłam Marka i Jorga, wiedziałam, że coś z nim nie tak. Ludzie „Mazara” też ich wykryli. Wkurwili się. Zrobiliśmy burzę mózgów. Ja chciałam odpuścić na jakiś czas. Ale oni spanikowali. Choć ten mój krecik nie usłyszał za wiele.

– Skąd wiesz? – Ciekawość wręcz zżerała generała.

– Kiedy go załatwili – Linberg brzmiała, jakby chodziło o zabicie muchy albo strącenie piona na szachownicy – zabrałam się za szukanie w jego rzeczach. Kilka bzdur. Notował, kiedy wychodziłam z Balilem albo sama. Kręcił się obok starca, tego Wazzera, co szukał wnuka, zanim „Mazar” go uciszył. – Nie wspomniała o tym, że kret musiał mieć jakiś schowek, który odkryli goście. – Większość zniszczyłam. Co zostało, podrzuciłam pakistańskiemu zastępcy. Biedaczysko, zaklinał się, że nic nie wie. Racja. Nie wiedział, kto mógłby zrobić mu taką niedźwiedzią przysługę. Ale mimo to nie ciskał się, nie protestował.

– Wariat? – Generał usiłował dociekać.

– Być może. – Anna wzruszyła ramionami. – Wiedział o kontaktach z Ahmedem czy talibanem. Uznał, że weźmie to na siebie. Zwłaszcza że „Papa” nie upilnował swoich i któryś wypowiadał się ze współpracy. Spanikowany dupek. No, a Balil... Jest miejscowym. Chciał mnie ratować. Patologiczny romantyk. Ja tymczasem – zdobyła się na wyznanie – opowiedziałam o kontaktach z terrorystami. Spokojnie –

ubiegła wątpliwości oficera – tylko tych, które miały nas chronić przed atakami. To też zwałam na pana psora.

– Jesteś okrutna i przebiegła. Ale czasem tak trzeba... Wiesz o tym dobrze. Ale po co wybrałaś się tu?

– Przysłali mi jednego młodego. Kręci się, próbuje podchodzić. Nie wiem, czy się napalił, czy ma zadanie – wyjaśniała prędko. Coś zaszurało daleko za rogiem i dziewczyna zamarła, nasłuchując. Nic się nie wydarzyło, nikt ich nie nakrył, więc mówiła dalej.

– Nie mogłam się wycofać i pozostawić rzeczy samym sobie. Nie wiedziałam, że załatwiasz wszystko. Musiałeś czytać wszystko w dossier. „Papa” był moim człowiekiem w Choscie. Za długo siedział sam. Stał się zbyt pewny, a po ataku zbyt strachliwy. Miałam rację. Kiedy zaczęły się problemy, uznałam, że osaczony zacznie gadać. Zresztą zaczął.

– Co?! – Generał prawie wstał.

– Spokojnie. Możesz o nim zapomnieć – zapewniła kąśliwie, a z jej oczu dostał się ognik mordy.

– Stworzyłem diabła! – pochwalił Konstantin, łapiąc w mig znaczenie tego dzikiego wyrazu oblicza Anny. Zachodził jednocześnie w głowę, czy aby sam nie daje się podejść. – Więc wyczyściłaś sprawę?

– Była jeszcze szkoła w Paktiji. Miejscowi nie wytrzymali. – Tu zapal kobiety lekko przygasł w zawstydzeniu – „Mazar” ich „zamknął”. Tak jak chciał zrobić tu. Ale włączyło się Commando Kandak. Dlatego pognałam do Chostu, żeby upewnić się, że można uniknąć wpadki. Potem... kto wie? Przebić się do kapitana, wyjaśnić. Coś bym wymyśliła. Może jednak uciekłabym do ambasady...

– A ten Balil? – Generał miał obowiązek dopytać o szczegóły. – Wygada?

– Nie ma co. Dla nich wszystkich jestem oddaną sprawie wariatką. Idealistką. A on mnie kochał. Bo rajcowało go to, że nie posiadał mnie zupełnie jak tutejsze kobiety. Tak we mnie zapatrzony, na nic by nie wpadł. Chciał uczyć, zmieniać świat, pogranicze, a ja... zrobiłam z niego

terrorystę. Docisną go, ale opowie tylko o przekupywaniu talibów. Zresztą jak długo to potrwa? – Uświadomiła sobie, że los jej sprzyja i naprawdę ma szansę wydostać się cało.

– Oni – Konstantin wskazał na ścianę – powołają jakieś komisje. Będą zadawać pytania.

– Proszę bardzo. – Anna przyjmowała to jako wyzwanie. – Przeżyłam Afganistan. Przeżyłam zamachy. Nie dam rady z bandą nieogarniętych biurokratów? Będę bohaterką, towarzyszu generale. – Triumfowała, zapominając o zmęczeniu, lękach. Wyzbyła się wszystkiego, co dusiła w sobie od kilku dni. – Chyba że mnie sczyścisz. Spróbujesz zamachu, jak dziś w Mita Sah...

– O czym ty mówisz? – Konstantin autentycznie nie rozumiał.

– Samobójca. Rozerwał się przy bramie... – Starła się zachować pozory niewzruszonej postawy, ale wspomnienie ciągle budziło lęk.

– Nic o tym nie wiem – zaprzeczył gwałtownie generał. – To jebany Afganistan! Afganistan... – powtórzył spokojnie zły, że wyszedł z ulubionej roli. – Ktoś przedostał się przez kordon rządowych, namierzył punkt dowodzenia i grupę zachodnich komandosów. Ważny cel... Naprawdę! – Podniósł dwa palce jak do przysięgi.

– Powiedzmy, że wierzę. – Nie była przekonana. – Za to wybuch pod siedzibą w Kabulu... To na pewno byłeś ty.

– Bzdura! To ten debil „Mazar”. Chciał uciszyć wszystkich innych. Lubił brutalnie zacierać ślady. – Generał nie odbiegał daleko od prawdy. Kontrolował ludzi „Mazara”, ale nie zapobiegł atakowi. Nie wiedział jeszcze, na czym stoi.

– Po zabójstwie Marka, kiedy przyjechali po nas i miałam być ewakuowana, nadałam sygnał alarmowy przez „Papeę”. Wcześniej usiłowałam łączyć się alarmowo, ale nie dostałam odpowiedzi. Ukraińiec był przygotowany na taki wypadek. Nie wiedziałam, co się dzieje, kiedy Polacy zawiadomili mnie, że będzie zamach. Byłam pewna, że ktoś mnie skasuje. Przeżyłam, bo spartolili uderzenie, ale to

przekonało mnie, że muszę działać. Dostać się do kogokolwiek ze struktury poza ambasadą.

– Żyjesz, bo miałem przeczucie – wtrącił Konstantin. – Myślimy podobnie. Dlatego uznałem, że przetrwasz. Wstrzymałem wyrok, choć pracowałaś dla „Mazara”. – Był wspaniałomyślny niczym dobre bóstwo, które oczekuje wdzięczności. Anna rozumiała to doskonale. Oni naprawdę byli podobni. – Byłabyś tu rano, gdybyś się mnie nie przestraszyła. Widziałem, bałaś się. Bałaś się, że cię zlikwiduję. Wasz układ z rebeliantami wygasł. Ktoś zdjął z was parasol. Wiemy kto. „Mazar” zacierał ślady. Uznałaś, że i ciebie trzeba wymazać z tej historii. Ale mam inny plan. – Umilkł, bo teraz i on usłyszał szum gdzieś w pobliżu. – Mamy mało czasu – ocenił, podejrzewając, że niedługo będą tu sami.

– Więc co dalej? – Linberg złożyła dłonie na kolanie.

– Sprawa przerzutu miejscowych jest chyba zakończona – wyjaśnił. – Przynajmniej w kwestii działań tajnych. Jeżeli to wszystko się zawali – wyobrażał sobie klęskę Kabulu, rozglądając wkoło – będzie można rozmawiać oficjalnie.

– Moi uczniowie... – Anna znów przerwała. – Co z nimi zrobicie? Europa, Syria... Coś innego?

– Pójdą tam, gdzie trzeba będzie. Jaki będzie rozkaz. Zresztą mogę ci powiedzieć, że już są użytkownicy. Może przyjdzie ci ich znów uczyć. A przynajmniej opiekować się nimi. Nie ma dowodu, nawet śladu podejrzenia, że miałaś z tym do czynienia. Nawet jeżeli kogoś złapią. Ty byłaś oddaną sprawie dyrektorką. Nie namawiałaś, nie werbowałaś wprost. Rodziny się buntowały, ale to dzieci chciały wyjechać z tego raj. Wiedziałaś, że damy radę je obronić. Jak kiedyś ciebie. – Obrócił się w stronę lotniska. – Ucieszą się na spotkanie z tobą. Mam plan na twój powrót. Ty chyba to lubisz. Awansujesz i ciągle będziesz pomagać biednym i skrzywdzonym.

– Tak, lubię – przyznała Anna. – Mierzi mnie ten idiotyzm, to jak ludzie są głupi i nie potrafią czytać sygnałów. Jak sami stwarzają okazję,

by ich ograć. Poza tym Zachód sam się niszczy. Te wszystkie zboczenia, pochwała dla nich...

– Ale mają forszę.

– Mają forszę, za którą kupią sobie sznurek, na którym ich powiesimy. Lenin, nie?

– Niesamowite. – Generał był porażony zapalem młodej uczennicy. – Wierzysz w to?

– A ktoś wierzył, że Grozny będzie miastem drapaczy chmur?

Generał nie odpowiedział. Nie czuł się na siłach. Miał obok siebie jeszcze jeden przykład, że ludzie stamtąd mają w sobie więcej pasji, której brakuje takim jak on. Jego epoka przemijała. Kuratela jego rodaków nad innymi narodami również przemijała.

– Czerpię z ich głupoty i czekam... I dobrze się bawię – wyznała Linberg.

– Czyli połączenie wojowniczkki i kobiety wyzwolonej. Przesiąkłaś tym światem. Nawet jeżeli nie chciałaś.

– I co z tego? Uratowałam się.

– Prawda.

Kostia usiłował szybko ułożyć sobie w głowie przebieg wydarzeń. Prócz Anny nie było świadków akcji w prowincji Chost. Nie było grupy „Mazara”, Ahmeda, pakistańskich wodzów. Nawet jeżeli ISI wiedział o „Mazarze”, to nic nie mógł poradzić. „Mazar” nie miał poważania, a uważał się za króla. Gdyby było inaczej, nie pozwoliliby go zlikwidować. Przerzucał młodych Afgańczyków na północ, ale nie wiedział, gdzie i jak. Jego interesowały pieniądze i transporty heroiny. Tajne budżety. Przeczucie, kolejny zmysł generała, nie podnosiło alarmu. Oficer stawał się pewny, że z tego wyjdzie. Że ocalił diament, który można wykorzystywać długie lata. Jego uczennicę. Kobieta opromienioną legendą ciężkiej walki o swoich pracowników, która o mały włos nie zginęła w starciu z fanatykami. Mało jej nie stracił przez popędliwość Czeczena o pseudonimie „Mazar”. Chciał, by Afgańczycy

wykonali wyrok. Opamiętał się jednak. Musiał. Wyszło całkiem realistycznie. Jak przy żadnej wcześniejszej legendzie, jaką układał swoim ludziom. To był najważniejszy argument. Realizm i bohaterka. Jedyna, która nie zawiodła.

– Śpisz wujku? – Linberg potrząsnęła oficerem.

– Nie. Po prostu miałem długi dzień. Mam swoje lata, czyż nie?

– Więc co masz dla mnie? Jakies zadanie? – Anna zaczynała się niecierpliwić. – Za długo mnie nie ma. To wygląda dziwnie.

– Jest kilka pomysłów. – Generał znów był pryncypialny – Odczekamy do jutra. Upewnisz się, że nie ma wobec ciebie wątpliwości. Dasz mi znak. Potem ustalimy łączność – objaśniał krótko, coraz bardziej niecierpliwy i zły, że poddał się emocjom. – Ja odleczę przed świtem. Nie możemy zbyt długo siedzieć obok siebie. Ci ludzie to profesjonaliści. Chcieliby mnie poznać. A tak – wstał i poprawił pasek – inżynier-bohater zniknie. Nikt mnie nie zna, więc nie skojarzy. Nic nie znajdują w sieci, to problem, ale nie przejmuję się. Ryzyko zawodowe. Cóż... – złapał się pod boki – mnie też będą dociskać, ale kiedy się uspokoi... Tak, wtedy ktoś się do ciebie odezwie. Góra coś szykuje. Jeszcze tego lata. Teraz, wybacz... – Pochylił się i pocałował dziewczynę w policzki. – Nawet nie wiesz, jak miło było mi ciebie widzieć.

– Spotkamy się jeszcze? – Linberg zmieniła się w tęskniącą dzierlatkę, której powracały wspomnienia dawnych dni. Emocjonujących spotkań, kiedy opuszczała obóz dla uchodźców, by się uczyć u człowieka, który był dla niej jak własny Stirlitz.

– Może, Quadiro. Może jeszcze kiedyś się uda. – Generał wykonał coś na kształt niedbałego salutu i ruszył przed siebie. Wolno, blisko ściany, jak zwykły przechodzień.

Adam sterczał za betonowym filarem, walcząc z łomotem serca, który zdawał się głośny jak warkot silnika. Starszy pan przystanął gdzieś obok, jakby coś słyszał albo wyczuł. Zrobił krok, ale nie ruszył się. Stali tak obok siebie. Thomał wstrzymał oddech i podsunął dłoń na kaburę z bronią. Nie wiedział dlaczego. Coś w duszy mówiło mu, że musi bardzo uważać.

Tamten wreszcie dał za wygraną. Podreptał przed siebie. Adam nie zamierzał się ujawniać, wystawić na łatwy łup, gdyby stary na niego poczekał. Na ostatniej prostej trzeba było uważać najbardziej.

Port Lotniczy w Kabulu już na pierwszy rzut oka był inny niż kilka dni temu. Wokoło terminala parkowało o wiele więcej samolotów. W budynkach przewijały się tłumy podróżnych, gorączkowo usiłujących dostać się na swoje loty.

Senna atmosfera miejsca gdzieś uleciała, ustępując niewypowiedzianemu, ale dającym się odczuwać podenerwowaniu. Samo miasto za murami lotniska wydawało się również głośniejsze. Wydzielało więcej cuchnących oparów zasnuwających góry w okóło stolicy.

Kilkanaście osób z ciasnego transportowego Dorniera dołączyło do tej masy ludzi zapelniającej port. Biegli na spotkanie z resztą zespołu, który znali tyle lat. Ile było w tym wzruszeń i ulgi. Wszyscy rzucali się sobie na szyję. Płakali i śmiali się na przemian, radośni, że najgorsze było za nimi.

Kiedy pojawiła się Anna Linberg, nim dotarła do terminala, zgotowano jej istną owację, ustawiając szpaler. Nikt prócz tej garstki ludzi nie wiedział, co się dzieje. Policjanci, wojsko patrzyli na pokorną, skromną kobietę onieśmieloną i poruszoną takim podziękowaniem.

Przemknęła do budynku, a fala aplauzu spadła na kilku komandosów z Polski i Szwecji. Nie wychodzili z roli, porwani emocjami. Kiwali tylko głowami. Adam Thomal trzymał się na samym końcu. Szedł za Kłodzińskim i resztą.

– Boże, Adaś! – Przez tłumek przebrnęła Agata. Stanęła zatrwożona wyglądem byłego policjanta. Zakryła dłońmi usta i patrzyła, chyba naprawdę wystraszona. Przypominała spłoszoną dziewczynkę, a nie panią kapitan.

– Ty jedna, skarbenku, o mnie się troszczysz. – Adam zażartował, ale przyszło mu to z wielkim trudem. Był ciągle zmęczony i miał nad czym

główkować. Objął kobietę w pól i ucałował w policzek, tak jak czasem robił w niewinnych zagrywkach, których jednak granic nie przekraczał.

– Jesteś ranny, tak mówili. – Agata nie reagowała na komedię kolegi. Patrzyła na sińce, zdrapania i mętny wzrok.

– Nieco mnie ogłuszyło na sam koniec. Madzia mnie zabije, jak mnie zobaczy. Obiecałem przecież... – przypomniał sobie i zrobił się jeszcze bardziej apatyczny. Popatrzył na ludzi wchodzących do terminala. Nie chciał być z nimi, jeszcze nie teraz. Stał w cieniu jakiegoś samolotu i włożył ręce w kieszenie.

– Jak było? – Agata pytała niezbyt mądrze, ale zawsze lubiła znać opinię Adama.

– Cudnie – prychnął rozgniewany. – Hotel trochę stary, ale panienki i żarcie dobre.

– Cholera, Adaś... – Nie wiadomo było, czy Agata złości się za te odzywki, czy na siebie za infantyлизм. – Podobno mieliście piekło.

– Przywykłem... Żyjemy. Kilku naszych poturbowało. – Zaczął pozbywać się nagromadzonego napięcia, mając okazję i słuchaczkę. – Był tam burdel. Kto z kim, jak... Nie wiem. Muszę to poukładać, jak wrócę. Na pewno... – Poklepał kieszeń z aparatem w środku tak wymownie, jakby trzymał tam jakiś skarb.

– Czyli masz jakieś odpowiedzi? – Pani kapitan zrobiła się zaciekawiona.

– Nie wiem. – Adam miał mętlik pod kopułą. Nie chciał udawać. – Naszego Marka zabili talibowie. Pani dyrektor – wyciągnął brodę w stronę terminala – układała się z nimi, więc powinni dać jej spokój. A jednak...

– Może to przypadek. Jakiś inny odłam. – Oficer szukała naprędce wyjaśnienia.

– Może, ale sama wiesz, że przypadków nie ma. Był chętny do gadania świadek, ale... zmarł od ran.

– Ten Dar, on powinien coś zeznać. Pani pułkownik i ludzie z tutejszego SKW go dociskają. Raz ona, raz ja. Ale... na razie przestał mówić. Zaciął się i nic nie wie.

– Pięknie. – Thomal sapnął żałośnie i potarł twarz. – W tym bajzlu niełatwo będzie nad nim pracować. Widzę, ofensywa talibów w rozkwicie.

– Tak. Robi się nieciekawie. Naszych zwijają do końca miesiąca. Chodź. Po co mamy tak stać? – Pociągnęła Adama za ramię.

– Balila Dara trzymają w Bagram. Trzeba będzie go przywieźć, ale tam jest młyn. Kilka setek ludzi, jeżeli nie tysięcy. Adaś – przystanęła – pamiętasz te filmy o Wietnamie. O końcu wojny. Tu się robi tak samo.

– Nie przejmuj się. – Objął koleżankę i pogładził dłonią. – Coś z tego wyciśniemy. Byle się urwać, byle się urwać stąd..

Na tle szklanej ściany spostrzegł Annę. Chyba wyszła odpocząć od krzykliwego tłumu i peanów na jej cześć. Piła colę z puszki. Spotkała spojrzenie Thomali. Uśmiechnęła się miło i dokończyła napój. Odłożyła opakowanie na skraj betonowego słupka, upewniając się, że puszka stoi na widoku kamery na ścianie. Ale Adam tego nie wyłowił, nie połączył.

Cieszył się, że stres mijał także u pani dyrektor. Że kobieta idzie ku niemu, a on może badać dalej temat, którego nie dokończył. Łączyć dwie rzeczy: obowiązek i przyjemność.

EPILOG

Wiatr smagał opustoszałe aleje i całe ulice wielkiej, rozłożystej bazy wzniesionej po środku równiny. Była jak miasto duchów. Bezludna. Całe zewnętrzne oznaki życia dosłownie wyparowały z powierzchni ziemi. Zostały tylko setki budowli, czasem z zaparkowanymi rzędami samochodów, a nawet śmigłowców i samolotów.

Wyludniły się wojskowe baraki w otulinie placów apelowych, płotów z drutu kolczastego. Nikt nie pracował na wieży kontroli lotów, nie zajmował się magazynami, zbiornikami paliw. Tym bardziej niewielu zajmowało się bazarem, budynkami Pizzy Hut czy fryzjera.

W tę ogromną porzuconą strukturę zaczęły wlewać się ludzkie fale. Najpierw ostrożnie, pojedynczo, obawiając się pułapek albo oporu ukrytych gdzieś ostatnich obrońców starego porządku. Szybko okazało się, że nie grozi tu żadne niebezpieczeństwo. Do bazy zaczęły więc wjeżdżać samochody napakowane ludźmi. Uzbrojonymi rebeliantami, którzy rozjechali się po najdalszych zakamarkach tego miasta, jakim faktycznie było Bagram.

Byli zaprawieni w walce lub czasem zupełnie świeży, ale jednakowo zaciekawieni wszystkim, co pozostawiły zachodnie i rządowe wojska. Od jedzenia, komputerów aż po nowoczesne samoloty.

Wśród tych zdobywców działały nieskrępowanie zespoły, które były o wiele bardziej wybredne, jeśli chodzi o wybór miejsca. Grupy wywiadowcze albo oddziały chroniące dobrze poinformowanych specjalistów, którzy cieszyli się z sukcesu talibów i całej rebelii. Często wspierali ich bezpośrednio. Teraz mieli zadanie przejąć wszystko, co zaciekawiało ich mocodawców, nim uczyni to konkurencja lub cel zniknie w chaosie, albo dokładniej reżyserowanym bałaganie.

Zza murów otaczających hale kompleksu więziennego wydostawały się grupy uradowanych albo złorzeczących więźniów. Byli witani przez swoich braci jak święci, których wyrwano z rąk diabłów. Całe rzesze

rebeliantów przetrząsały korytarze cel, biura i archiwa w poszukiwaniu dokumentacji, jeżeli jakąś pozostawiono.

Balil Dar w brudnym kombinezonie, z wielotygodniowym zarostem przeciskał się przez tłum. Nie odczuwał radości, nie umiał się cieszyć. Był przytłoczony, obcy. Co któryś mijający go człowiek klepał, chwalił, skacząc w jakimś przedziwnym pląsie. Balil zaś chciał tylko uciec. Wyjść stąd, zanim ktokolwiek zorientuje się, że nie przynależy do innych więźniów: fanatycznych terrorystów i pojmanych komendantów talibskich ugrupowań. Balil Dar dostał się tu przez pomyłkę, autentyczną pomyłkę, splot dziwnych zdarzeń a może i zdradę.

Nikt na niego nie czekał, nie bronił ani nawet nie próbował wyciągnąć, zanim wszystko zaczęło się sypać. Był jak porzucony śmieć. I nie miał wiele czasu.

Parł ku głównej alei, by dotrzeć za pas obrony bazy, gdzie mógłby wtopić się w tłumy uchodźców i przynajmniej pomyśleć. Nie wiedział, co ma robić dalej. Zachodni go pozostawili, a dla nowych zwycięzców był zdrajcą albo przynajmniej nikim ważnym.

Nie wiedział jednak, że w tym bałaganie ktoś go rozpoznał. Wyłowił z setek twarzy, bo miał odnaleźć tylko jego. Byłego pakistańskiego nauczyciela. Teraz w przygarbionym, chudym brodaczu, nie pozostało nic z przebojowości, widocznej na fotografii z dawnych czasów.

Młodzieniec o krótkiej czarnej brodzie, w zwyczajowym turbanie, z kałasznikowem na ramieniu był jak dziesiątki mu podobnych, ale nie bawił się jak inni, czerpiąc z chwili triumfu. Najpierw musiał wykonać zadanie, za które zapłacono mu bardzo dużo pieniędzy.

Lato w Warszawie na początku sierpnia było upalne. Betonowa dżungla nagrzewała się od słońca, przez co nawet cienie budynków lub parków nie dawały wystarczającego wytchnienia.

Adam Thomał ubrał się lekko, w jasne cienkie spodnie i kremowe polo. Wyszedł z autobusu w okolicach Politechniki i dziarskim krokiem, byle szybciej zejść z nasłonecznionego chodnika, maszerował ku Polom

Mokotowskim. Mógłby wziąć auto, ale nie chciało mu się walczyć z korkami, a poza tym miał zamiar pić alkohol. Miał ochotę przejść się, przyglądając normalnemu miastu i uniknąć znajomych. Jemu też udzielała się paranoja z pracy. Przyspieszył kroku, zerkając w odbicia wiat przystanku.

Nie był spóźniony, ale cieszył się na nadchodzące spotkanie. Było tym, czym żył kiedyś, na wolności, bez okowów trwałego związku. Chwilami wesołego mrowienia w brzuchu albo ukłuć serca. Podniety, jaką dawało zdobywanie i ryzyko. O wiele bezpieczniejsze niż wojna albo to, z czym spotykał się w każdej kolejnej firmie.

Przystanął na światłach, czując, jak głowa rosi mu się od potu. Nie pomyślał, by zabrać czapkę albo jakiś kapelusz. Zaczął rozglądać się za jakimś sklepem. Miał ciągle zapas czasu.

Gdy tylko przekroczył aleję Niepodległości, wyczuł, że ma kogoś blisko siebie.

– Na randkę tak bez kwiatów? – Kamil „Monsignore” zapalał camela, nie patrząc na Adama.

– Boże! – wystękał Adam. – Wystraszyłeś mnie. Skąd ty tu?

– Wpadłem do stolicy... – Kamil podał mu dłoń, jakby nigdy nic, jakby to oni się umówili. Wyglądał jak letnik. Piaskowe bermudy w niewielkie kotwice, granatowa koszula wypuszczona na spodnie i niewielki plecak upodabniały go do zagubionego turysty.

– Sprawy służbowe, ale też sobie zwiedzam. Wolne mam. Mieli Formozę śłać do Kabulu, ale GROM miał jak zawsze lepszą popisówkę w dużym pałacu. – Zdawał się zawiedziony i zniesmaczony. – Gorąco. – Uniósł głowę, udając, że obserwuje nieboskłon. – A propos, pogoda jak w Kabulu. Ale nie... Tam teraz znacznie goręcej. Usiądziemy przy piwku? – Wskazał na daleki bar w cieniu drzew między polami a parkiem SGGW.

Thomal wiedział, że stary lis wszystko zaplanował, rozeznał i przeanalizował w każdy możliwy sposób.

– Przecież wiesz, że jestem umówiony.

– Ja nic nie wiem – odparował oficer błyskawicznie i lekceważąco. Kiedy chciał, grał całkiem naturalnie. – Madzia jak? Przyjęła wreszcie oświadczyń? – zapytał retorycznie, dla podenerwowania byłego gliny. – Co, popsulem humor? – docisnął z satysfakcją, widząc zmieszanie i rosnące niezadowolenie Adama.

– Czego chcesz? To wszystko w ramach obowiązków...

– O tak, tak... – Kamil naigrywał się, strojąc miny i rozdziawiając usta. – Bo ja cię nie znam. – Spoważniał, przymykając powieki. – Uważaj, po prostu uważaj – dodał.

– Słuchaj... – Adam postanowił przejść do kontrataku. – Stefan cię nasłał? Czy może gwiazda nasza najjaśniejsza, pani Aurelia? Mam zadanie i znam jego cel. Mam sprawdzać Annę Quadirę Linberg, skoro mieszka, działa i pracuje w Polsce. – Postarał się, żeby wszystko zabrzmiało bardzo wyraźnie. – Minęły prawie dwa miesiące. Męczyli ją na komisjach. Niczego nie ustalili, wreszcie nawet podziękowali, choć rozumiem, że to na wyrost. Że coś jest nie tak. Zabili nam człowieka, a my do końca nie wiemy kto. Ale dotąd nie znalazłem nic. Chyba że nie mówicie mi wszystkiego.

– Chyba nie mówią. Sztab ludzi przy tym grzebał. Ja też. I to mnie wkurwia. Ta niemoc. Ta zdzira – wycedził, żeby pognębić Adama i obserwować jego reakcję – nie podobała mi się od początku. – Thomał zacisnął pięści. – Co? Nieładnie się wyrażam? – „Monsignore” parł ku zwarcu, ale Adam pohamował się.

– Nie wiem, czy coś znajdziemy – stonował napięcie.

– Wiem, wiem... – Kamil zaciągnął się mocno, ciągle nie otwierając szerzej oczu. – Bo ona cię przerobiła.

– Bredzisz!

– Stary wpuścił cię w tę robotę, bo wiedział, jakie z ciebie kochliwe ziółko. – „Monsignore” zaczął wykład. – Jednego oficera, i to zaprawionego w robocie, ta baba już przerobiła. Owinęła wokół palca i kopnęła w dupę. Siadł przy zadaniu i czymś się, kurde, zdradził. Powinni go wycofać, ale nie. Ten drugi... ten Pakistaniec. Gapił się w nią

jak sroka w gnat. Też ją posuwał i tęsknił biedaczek. I co? Wyszło, że on winny. Tak? Tyle że wcześniej Mareczek jakoś pomijał go w raportach.

– Przecież go przesłuchiwali. – Thomal wyciągnął argument koronny na swoją obronę.

– Aha... Ta dziunia z kontrwywiadu i to przy naszym kontyngencie, jak walizki pakowali. Potem zamyknęli go w Bagram, aż się spierdoliło i ten, co trzymał klucze, nawiał. Już nikogo stamtąd nie dało się wyciągnąć, jak Amerykanie odeszli. Ot tak. – Pstryknął palcami, zniesmaczony. – W dwadzieścia cztery godziny. Wystawili miejscowych, nas i pół sojuszu... – Przeszli pod drzewo, odczuwając coraz poważniejsze skutki piekącego skwaru.

– Zrozum – Kamil mówił już milej – musisz uważać. Ta kobieta jest niebezpieczna. – Machał dłonią z papierosem, sypiąc popiołem. – Żeby nie wyszło tak, że to ona zacznie cię kontrolować. O ile już tego nie robi.

– Wypraszam sobie! – Thomal obruszył się dotknięty tym brakiem wiary w jego profesjonalizm.

– To sobie wypraszaj. Ja tylko mówię. Tak z troski. – Porucznik strzyknął wargami, obojętny na protesty młodszego kolegi. Dopalił papierosa i rzucił niedopalek na ziemię. Nabierał pewności, że czas użyć cięższych argumentów. Przerzucił plecak na pierś i sięgnął do środka. Wyciągnął złożoną kartkę.

– Widziałeś to? – Podał papier Adamowi. Było to zdjęcie ze zwykłej drukarki. Anna Linberg siedząca na jakimś skwerku, z książką.

– Wiem, że miewała ogon, ale tego nie znam. Bo cóż w tym ciekawego. – Nie rozumiał.

– To patrz na to... – Kamil sięgnął po kolejny karteluszek. Na innym zdjęciu widać było Annę, w tym samym miejscu, tego samego dnia, ale pod innym kątem. – Wyciągnąłem to z monitoringu. – Uśmiechnął się nieomal lubieżnie, ciesząc swoją zdolnością i mocą wkradania się w systemy elektroniczne. – Fotkę numero uno zrobiła obserwacja. SKW, ABW jeden pies... Druga jest moja. To chyba drugi czy trzeci dzień po tym, jak Linberg wróciła do Warszawy. Szwedzi są w niej zakochani,

dali jej odpocząć i szykować nową fundację. Teraz tu będzie świat ratować.

– Do brzegu – syknął Thomał, znudzony wywodem Kamila.

– Ta druga fotka... Coś cię w niej nie zastanawia? – pytał podniecony Kamil.

Adam wiedział, że gdzieś tkwi tu podstęp, ale nie miał ochoty ani werwy, by bawić się w łamigłówki.

– Oświeć mnie. Upał za duży na szarady.

– Glina... – „Monsignore” parsknął z obrzydzeniem. – Kubek. Papierowy kubek po kawie w klombie na skwerze.

– No i? – Adam już chciał zrugać komandosa, że ten marnuje czas, kiedy przeszył go dreszcz. Przypomniawszy sobie ten nic nieznaczący gest w Kabulu z puszką po napoju. Wszystko to przykryła nagła wylewność Anny, wreszcie rozumiejącej, że umknęła śmierci. Dziękowała jemu, jednemu z wielu.

– Boże! – Thomał rozdziawił usta. Kamil miał absolutną słuszość. Kobieta wzięła go na cel, podeszła tak, że nawet się nie zorientował. – To jest znak!

– O! Jednak coś tam się główkuje. Dwie kulki się zderzyły. – Pacnął Adama niby w gratulacyjnym geście w ramię. – Tak, po mojemu to znak. Nazwiesz mnie wariatem, jak wielu robi, ale to jest pierdolony znak. Nie wiem dla kogo. Choć najpewniej – sam spojrzawszy na obrazek – potwierdziła komuś, że jest bezpieczna. Nikomu od nas, bo byśmy o tym wiedzieli, więc... Obstawiam Ruskich.

– Może Szwedzi... – Thomał kontrował inną wersją, ale sam uznał, że to głupie.

– Może. – Kamil pozostawał wyrozumiały, ale miał swoją teorię. – Ale co ci mówiłem w Kabulu? To urządzone, które znaleźliśmy. Przekazałem wyżej. Jeszcze tam opowiedziałem Kłodzińskiemu, dlatego kazał ci szperać w rzeczach ochroniarzy przy szkole. To ruska zabawka, Adaś, ruskie tam siedzieli. – Uśmiechnął się kwaśno. – A jakby tego było

mało... Pamiętasz jakieś gadki o niejakim Karimie? Nasi na granicy złapali grupkę... Nazwijmy ich uchodźcami. I ich kurierów. Przywędrowali nieniepokojeni z Białorusi. Ciekawe nie?

– Ciekawe, ciekawe. – Adam nie miał pary, by dawać odpór kolejnym złym wiadomościom.

– U jednego ciapatego znaleziono smsa od kogoś o ksywie „Karim”. I to robi się bardzo ciekawe. Telefon odbiorcy już pewnie nie istnieje, ale na miejscu pani Anny myślałbym o zmianie pseudonimu.

– Uważasz, że to ona? Naprawdę? – Adam pytał już tylko dla zasady. Kamil podszedł, przybierając na swoje oblicze nieruchomą maskę.

– W telefonie, który znalazłeś u Ukraińca, był jeden numer. Kilkanaście rozmów. Zgadnij, jak zapisany.

– Karim. – Thomał ciężko przełknął ślinę.

– Dokładnie – „Monsignore” przymknął oczy. – „Papa” był człowiekiem Karima do jakichś specjalnych poruczeń. Zachował na aparacie kilka fotek. Był tam ten starzec, który chciał wyjaśnić o jego wnuku. Ten na zdjęciu ze szkoły w Kabulu. Stefan ci o tym wspomniał?

– Tak – skłamał Adam. Wiedział, że puszczono go na wabia, nie informując do końca, by niczym się nie zdradził. Tak sądził.

– Były jeszcze fotki z jakichś rozmów z bandziorami. Samochody, do których wsiadali nastolatki, dorośli. Spośród nich ktoś znalazł się we Francji, w Szwecji. No, a teraz...

– Nie mów, że jest jeszcze coś.

– Capnęliśmy panienkę. Chyba Afganka, około dwudziestu lat. Grzeczna, spokojna i cicha. Wiesz co? – Kamil chyba wspaniale się bawił, zadając koledze męki, przeciągając wszystko. – Jej buźkę wyszczególniłem z grupy na jednej z fotek. – Postarał się zabrzmieć chępliwie i uroczyście. Adam się nie odezwał, stał jak kołek, czując, jak oblewa go coraz więcej potu. – Bogu dzięki za dobrą rozdzielczość – ciągnął oficer. – Jestem pewien, że to ona. Mieszka w ośrodku. Na razie nie robi nic. Ale to dla nas sygnał. Poważne ostrzeżenie. Będzie jedna?

A może więcej? Ile jest takich Karimów? Bo to Karim. Prosto, metoda eliminacji. „Papa” nie żyje, Dar zaginął, a Karim objawia się tu nad Wisłą. – Wskazał palcem na chodnik. – To mocne poszlaki. – Zabrał Adamowi zdjęcia. Rozglądnął się, wyciągnął zapalniczkę i podpalił kartki. – Śmiecenie na ulicy to nie to samo co terroryzm... – Poczekał, aż płomień pochłonie papier i dopiero rzucił na ziemię. – I wisienka na torcie. Tego pewnie ci nie mówili. Miałeś się skupić na panience. – Czytał doskonale z twarzy zaskoczonego Adama. – Ukraińiec robił lepsze zdjęcia. Ty tym swoim złomem, w półmroku nie wychwyciłeś dobrze twarzy tego starego draęala. Linberg nie przyznała się najpierw do rozmowy, a potem stwierdziła, że dziękowała rosyjskiemu inżynierowi, który zaraz wyjechał. Możliwe, ale nas okłamała. Ale ja wiem, kto to może być. Znasz mnie, lubię grzebać w historii. Był kiedyś taki oficer. Są na niego materiały, ale niewiele, bo mieli ciągle dużo swoich, którzy łeb ukrećili sprawie. Ale był, wysoki szpakowaty brunet, weteran Zimnej Wojny. Podobno miał stopień podpułkownika i szukał czegoś. Robił biznesy, a jak zmieniło się na Kremlu u progu wieku, powierzyli mu ważniejsze sprawy. Może to jest... Nie, to jest klucz do tej zagadki. Zwerbowali ją? Czemu nie. Zrobiliby to sprytnie. Wyznaczyli jeszcze na miejscu, tak jak ona teraz wyznaczała swoich uczniów. No bo kto, do cholery, będzie sprawdzał czternasto-, piętnastolatkę? A dzieciaki wtedy i teraz ze strefy wojny są twarde, bezwzględne. Kiedy poczekasz i oszlifujesz takiego kandydata, będzie jak brzytwa. Będzie zajadły, odważny i nie będzie znał innego fachu. – Zaszło mu w gardle. – Jak widzisz... Wszystko się jakoś zaczyna układać. Ruskie panienkę wyciągnęli z gówna. Dlaczego? Ciekawe, nie?

– Kazali ci mi o tym powiedzieć? – Thomał zdobył się na odwagę, by zapytać.

Kamil udał głupio zdziwionego

– Ale skąd... – Mrugnął okiem. – Naprawdę nie chcieli, żebyś się czymś zdradził. Bo jesteś najbliżej. – Położył rękę na ramieniu kumpla.

– Więc czemu teraz? – Thomał nie pojmował celu tego spotkania.

– Bo trzeba się spieszyć. Ktoś uznał, że lepiej ci to wszystko opowiem. A może są zajęci... Wszystko przyspiesza. W Afganistanie się gotuje, a niedługo ludzi ze wschodu na granicy będzie więcej. W całym tłumie i tym bełkocie w mediach zaczną znikać tacy... uczniowie. Bóg jeden wie, gdzie wyszkoleni i przez kogo. Po co i kiedy ich uruchomią? A ty, stary, masz już pełną wiedzę. Wiesz, gdzie szukać. O kogo pytać. – Potrząsnął Adamem. – Uważaj, do cholery, bo ta baba jest diabłem. I co ciekawe... – coś przewrotnie imponowało w niej najbardziej Kamilowi – nie weszła na odcisk żadnemu jankesowi. Wiedziała, że to ściągnie kłopoty. Cały pieprzony amerykański aparat. A tu nic. Żadnych funduszy. Byle doić nas albo Szwedów. Bo co? Że niby łatwiej. O takiego! – Pocałował wściekle zaciśniętą pięść. – No, ale ty prawie się dałeś jej omotać. – Umilkł, szukając w głowie jeszcze czegoś, ale chyba wystrzelał się z informacji. – Dobra, znikam. Baw się i nie przesadz. Wiem, że to służbowo, ale... Pozdrów Matyldę i nie wkurz jej. Pewnie jeszcze się dąsa, że cię pokiereszowało, jak zawsze przy wyjazdach. Ale przejdzie jej. Lepszej nie znajdziesz. – Uścisnął koledze dłoń i odwrócił się, jak zawsze upewniając, że nie zwrócili zbytnio niczyjej uwagi. Rzucił jeszcze: – Wybacz stary. Ale wiesz już dobrze, jak jest. To wojna, ta pierdolona niewidzialna wojna.

Adam został sam, obserwując oddalającego się kolegę. Roily mu się dziesiątki niepokojących myśli. Był wściekły na takie traktowanie. Był zły, że nie wylapał niuansów w zachowaniu Anny, tak jak „Monsignore”.

Thomal chciał uciec, zapomnieć o randce, powabnym ciele dziewczyny, ale opanował się. Oddychał głęboko i często. Przywrócił sobie trzeźwość myślenia i jedna rzecz zaczynała stawać się wyraźniejsza. Coś co umknęło, zapadło się na samo dno pamięci. Teraz wracało przypomniane przez Kamila. Włączył prędko Internet w telefonie i zaczął wklepywać nazwisko w wyszukiwarce. Kiedy na ekranie pojawił się rezultat, Adam westchnął. Zrobiło mu się słabo. „Jak mogłeś zapomnieć?”. Nie dowierzał samemu sobie, jak mocno przestał być obiektywny. To było bezczelne. Jak żart rzucony w twarz wszystkim, którzy siedzieli w tej aferze.

Pierwszy tytuł strony i zdjęcia opisywały niejakiego Karima Nagiego. Egipskiego muzyka i kompozytora. Nie był to żaden dowód. Inni być może by go wyśmiali, ale on sam, Kamil i każdy owładnięty dokuczliwą psychozą, która kazała trzymać się tropów, byliby pewni. Nic nie działało się bez przyczyny. Jak i to, że kilka płyt Karima Adam Thomal znalazł na półce w pokoju Anny Linberg w gorącym Kabulu.

PRZYPISY

- [1] O przygodach Adama Thomala mogą państwo przeczytać w książkach: „Widowisko”, „Scenariusz chaosu” oraz „Świt nowych czasów”
- [2] O tej historii przeczytać można w powieści „Scenariusz chaosu-na dzikich polach”
- [3] Historię Arlwowa oraz jego ojca można poznać w powieściach „Widowisko” oraz „Świt nowych czasów”.
- [4] Afgańskie domy otoczone murem. Budowla wznoszona z drewna i gliny o solidnych, grubych ścianach z pomieszczeniami mieszkalnymi wewnątrz.
- [5] O wspólnych przygodach trójki bohaterów można przeczytać w dylogii „Scenariusz chaosu”.
- [6] Dawne sowieckie określenie Mudżahedinów. Pochodzi od słowa „duch”, które określało zwinność manewrów oraz zdolność cichego przenikania i podchodzenia rosyjskich pozycji.
- [7] Mine Resistant Mine Protected – ciężkie pojazdy kołowe do działań patrolowo-bojowych, skonstruowane tak, by osłaniać załogę przed wybuchami min i improwizowanych ładunków wybuchowych. Bardzo solidne konstrukcje. Pierwsze wozy tego typu skonstruowano w RPA podczas wojny w Angoli w latach osiemdziesiątych.